

JOHN
O'FARRELL



może zawierać
orzeszki

O'Farrell John

Może zawierać orzeszki

Alice nigdy nie przypuszczała, że tak skończy. Zawsze była taka rozważna, a teraz z niepokojem wstuchuje się w informacje o niebezpieczeństwach czyhających na jej trójkę małych dzieci - islamscy terroryści, zamachy bombowe, uderzenie asteroidy o ziemię... A globalne ocieplenie może spowodować, że połowa Londynu znajdzie się pod wodą! Wszystko to sprawia, że Alice towarzyszy nieustanny lęk i najchętniej trzymałaby swe dzieci pod gigantycznych rozmiarów kloszem, mającym uchronić je przed złem tego świata. Alice jako nadopiekuńcza mama stosuje przeróżne sztuczki, by dzieci były bezpieczne... W efekcie maluchy pluskając się w brodziku noszą kaski ochronne... Niestety, im dzieci są starsze, tym więcej jest powodów do zmartwień. Istnieje obawa, że najstarsza córka Molly obleje egzamin do elitarnej szkoły. Mama postanawia wziąć sprawy w swoje ręce.

1

Zawsze byłam bardzo ostrożna. David powiedział, że jestem jedyną znaną mu osobą, która od początku do końca czyta umowę licencyjną Microsoftu, zanim kliknie „Akceptuję”. Za moment miałam jednak dokonać bardzo odważnego czynu w imieniu wszystkich matek na świecie. Od dziesięciu minut kuciałam przyczajona za białą furgonetką, czekając na odpowiedni moment, żeby wypchnąć na jezdnię małego chłopczyka wprost pod pędzący samochód. Ktoś to musiał zrobić. Trzeba im wreszcie dać nauczkę! Oczywiście nie było to prawdziwe dziecko - nie jestem aż taką wariatką. To kukła umocowana na długim kiju.

Mieszkaliśmy przy długiej, prostej ulicy w południowym Londynie i młodzi mężczyźni, ogłuszeni dudniącymi basami muzyki słuchanej w samochodach, regularnie pruli tędy z prędkością czterystu kilometrów na godzinę. Przynajmniej wydawało mi się, że to młodzi mężczyźni, choć trudno było coś dojrzeć przez przyciemnione szyby. Być może wtedy, gdy wrzeszczałam: „Wolniej!”, jakaś zakonnica w podeszłym wieku wystawiała przez okno środkowy palec.

Wyobrażałam sobie, że rozciągam na całą szerokość jezdni długą kolczatkę albo że każę Davidowi przebrać się za policjanta, żeby ich zatrzymywał, zabierał kluczyki i pytał, czy muszą jeździć tak szybko tylko z tego powodu, że mają mikroskopijne penisy. Słałam pisma do odpowiednich urzędów, domagając się zainstalowania progów zwalniających, fotoradarów lub innych środków spowalniających ruch uliczny, ale nie mogłam już dłużej czekać. Wymyśliłam własne rozwiązanie. Postanowiłam uszyć naturalnej wielkości kukłę

udającą dziecko i przymocować ją do kija od szczotki. Kiedy pojawi się mknące bmw, wypchnę ją z nienacka pomiędzy zaparkowanych samochodów i kierowca będzie musiał gwałtownie zahamować, a ja wtedy spokojnie wyjdę i powiem: „Widzisz? Widzisz, co się może stać, jak będziesz tak pędził?”. A jemu spadnie kamień z serca, że to nie było żywe dziecko, i pokornie przyrzeknie, że nigdy więcej nie będzie już jeździł tutaj tak szybko.

- Co robisz? - zapytał David, zastawszy mnie w kuchni na wypychaniu starych rajstop Molly zmiętymi gazetami.

- Nic, nic. To ma być, hm... kukła, która będzie udawać dziecko.

- Rozumiem. Nawet nie będę dalej pytał.

- To coś w rodzaju stracha na wróble, tyle że ma straszyć kierowców, którzy za szybko jeżdżą. Jak zauważą dzieciaka wchodzącego na jezdnię, automatycznie przyhamują.

- Co?

- Zamierzam go umieścić między zaparkowanymi autami, tak żeby wystawał na zewnątrz, a wtedy kierowcy, widząc go, będą zwalniać.

Na rajstopy naciągnęłam stare szkolne spodnie Jamiego i przystąpiłam do przymocowywania nóg do wypchanego tułowia. Czułam na sobie przeszywający wzrok męża, nie odwróciłam się jednak.

- I co, chcesz go tak samego zostawić na ulicy? - zabrzmiało to jak wyrzut pod adresem skrajnie nieodpowiedzialnej matki, jakby szmacianemu dziecku groziło porwanie przez szmacianego porywacza.

- Nie, będę w pobliżu - odparłam, pomijając istotny szczegół, że osobiście będę trzymała tę kukłę.

W korpus wsunęłam kręgosłup z bambusowego palika, żeby się bez przerwy nie kiwał na wszystkie strony, tak jak prezenterzy telewizyjnych programów dla dzieci. Nałożyłam mu też szkolną czapkę Jamiego, rękawiczki i buciki, które luźno dyndały na końcach jego cienkich, wiotkich nóżek.

Największy kłopot miałam z twarzą. Wśród masek dostępnych w sklepie z zabawnymi gadżetami mogłam wybierać tylko między Myszka Miki, czarownicą, Frankensteinem a Tonym Blairem. Żadna z nich za bardzo nie przypominała wystraszonego dziecka.

O godzinie dziesiątej zajęłam pozycję za furgonetką ekipy remontowej, zaparkowaną tuż przy naszym domu. Przykucnęłam przy przedniej masce i czekałam, aż nadjedzie pierwszy szaleniec. W jednym z okien poruszyła się firanka. Po dziesięciu minutach od tego kucania zaczęło mi się robić słabo. Ludzie jak na złość jechali wyjątkowo ostrożnie, co było raczej wkurzające.

W tym starym mundurku Jamiego kukła wyglądała trochę przerażająco. Przyszło mi do głowy, że gdybym wpadła na ten pomysł kilka lat wcześniej, zabrałabym ją zamiast syna, kiedy szłam z nim pierwszy raz do przedszkola. Wówczas przynajmniej nie bałabym się, że go staranują na placu zabaw. Miałam wtedy ochotę powiedzieć tym wielkim, groźnym czterolatkom: „Przestańcie tak gonić, nie widzicie, że on się boi?”. I powiedziałam, tyle że oni nie za bardzo zwracali na mnie uwagę.

Wreszcie pojawił się samochód. Było to czarne bmw z przyciemnionymi szybami i ostentacyjnie grubą rurą wydechową, pędzące z tak ogłuszającym rykiem, że ledwo było słychać przelatujące na niebie jumbo jęty. Kiedy ten bezczelny idiota zaczął się zbliżać w moją stronę, poczułam przypływ adrenaliny. Jak on śmie tak otwarcie nas lekceważyć? - pomyślałam. Jakim prawem naraża życie moich dzieci? Gdy natężenie samczego ryku silnika nadjeżdżającej maszyny osiągnęło szczyt, wpadłam w szal. Kiedy dwie tony stali zrównały się ze mną, energicznie wypchnęłam kukłę wprost pod koła, żeby zmusić kierowcę do naciśnięcia hamulca.

Wiele rzeczy nastąpiło teraz jednocześnie, choć ja postrzegałam każdą z nich oddzielnie, niczym pojedyncze nutki, które układają się w akord. Rozległ się przeraźliwy pisk opon

na asfalcie i zaskakująco głośny dźwięk klaksonu, a zaraz potem huk uderzenia metalu o metal, powtórzony dwukrotnie w krótkim odstępie czasu, a towarzyszył mu charakterystyczny brzęk tłuczonego szkła. W jednym z samochodów włączył się alarm, który przypadkiem zgrał się z rytmem pulsujących uderzeń basu dobiegających nieprzerwanie z wnętrza bmw. I wtedy wybuchnąłem płaczem. Od długotrwałego kucania odpłynęła mi z nóg cała krew, usiłowałam więc wydzierać się na kierowcę, stojąc na skraju jezdni w czymś w rodzaju półprzysiadu.

Cztery godziny później David odebrał mnie z komisariatu. Na mocy artykułu 1 ustawy o przestępstwach przeciw mieniu (z 1971 roku) zostałam oskarżona o umyślne spowodowanie szkody. Poinformowano mnie, że będę musiała stanąć przed sądem i grozi mi nawet więzienie. Samochód sąsiada nadawał się do kasacji, naprawa innego pochłonęła tysiące funtów - i to za samą blacharkę. A winny wszystkiemu kierowca bmw nawet nie został ukarany za jazdę z nadmierną prędkością, widać więc wyraźnie, jaką mamy sprawiedliwość na świecie. David później żartował, że zeznanie, jakie ten facet złożył na policji, było całkiem zabawną lekturą. Udało mu się zdobyć kopię, która wisi teraz u nas, oprawiona w ramki, w ubikacji na parterze.

Zeznanie Franka Penna, kierowcy samochodu marki BMW w kolorze czarnym, o numerze rejestracyjnym X418 HGH, w sprawie zdarzenia przy Oaken Avenue, Londyn SW4

Dnia 27 marca br. około godziny 10.00 rano jechałem Oaken Avenue w kierunku południowym z prędkością około 50 km/h. Nagle tuż przed maską zauważyłem sterczącą na ponadmetrowej długości kiju kukłę Tony'ego Blaira w szkolnym mundurku. Odruchowo odbiłem w bok, uderzając w zaparkowany samochód, nie udało mi się jednak uniknąć zahaczenia kukły lewym błotnikiem, co pozbawiło

szmacianego premiera głowy, która wylądowała na mojej przedniej szybie. Uderzyłem w następny samochód, zatrzymałem się i właśnie wtedy zobaczyłem panią Alice Chaplin, która trzymała bezgłowy korpus na drewnianym kiju. Kuciała przy krawężniku i płacząc zaczęła do mnie krzyżeć: *Widzisz? Widzisz, co się może stać?! Zdałem sobie sprawę, że poważnie uszkodziłem dwa zaparkowane pojazdy, i natychmiast zadzwoniłem na policję.*

Skończyło się na tym, że ukarano mnie grzywną i musieliśmy zapłacić za naprawę bmw i dwóch uszkodzonych samochodów oraz pokryć koszty wynajęcia pojazdów zastępczych. David nigdy nie zdradził mi całej kwoty, chociaż miał taki pomysł, żebym wystawiła jedną z nerek na sprzedaż na stronie eBay Młody kierowca, który zaraz po wypadku zachowywał się wobec mnie bardzo niegrzecznie i agresywnie, klnąc, krzyżąc i wyzywając mnie od „psychicznych”, kupił sobie inny czarny samochód. David chyba mówił, że to był lexus. Nigdy więcej nie pojawił się jednak na naszej ulicy I załóżę się, że nie jeździ już tak szybko. Kto wie, może jest gdzieś jakieś dziecko, którego życie zostało uratowane tylko dlatego, że mój metrowego wzrostu Tony Blair poświęcił swoje. Chyba jednak było warto. Jeden z policjantów był przekonany, że mój wyczyn to jakaś polityczno-anarchistyczna manifestacja i ciągle się dopytywał, czy brałam kiedykolwiek udział w demonstracji przeciw kapitalizmowi. Odpowiedziałam, że nie, że głosuję na liberałów, a moje dzieci uczą się w prywatnej szkole Spencer House.

Sprawa w sądzie uczyniła ze mnie w oczach innych rodziców w szkole swego rodzaju bohaterkę, co przyjąłam z dużą wdzięcznością, ponieważ zawsze czułam się wśród nich trochę wyobcowana.

- Nie bałaś się? - zapytała moja przyjaciółka Sarah, kiedy pewnego sobotniego ranka siedzieliśmy w naszym salo-

nie i wszyscy goście podawali sobie z rąk do rąk oprawione w ramki zeznanie.

- Prawdę mówiąc, ani przez chwilę nie pomyślałam o konsekwencjach. A w ogóle to nic takiego, każda normalna matka zrobiłaby to samo... - wzruszyłam ramionami, stawiając na stoliku tacę z kawą i ciastkami.

- Nie, żadna normalna matka by tego nie zrobiła. W tym cała rzecz, jak mi się wydaje - powiedział mój mąż.

- A ja uważam, że należą ci się brawa - oświadczyła Ffion. - Na ulicach zrobiło się teraz tak niebezpiecznie, że strach wypuszczać dziecko za drzwi. A później każą nam się czuć winnymi, że je wszędzie wozimy samochodem...

- A co się stało z kukłą? - dopytywała się Sarah.

- Dostała się do gimnazjum Battersea - zażartował Philip. - I podobno jest najlepsza w klasie.

Philip, mąż Ffiony, nigdy nie był w stanie w pełni uczestniczyć w naszych spotkaniach towarzyskich, ponieważ silna potrzeba zapalenia papierosa z reguły wyganiała go na drugą stronę drzwi tarasowych, skąd od czasu do czasu starał się wtrącać swoje komentarze, w przerwach między jednym sztachnięciem a drugim.

- Kochanie, nie mów w stronę salonu. Wpuszczasz dym - powiedziała Ffion, gdy śmiech już ucichł. Podawałam filiżanki z kawą w jedną stronę, a zeznanie wędrowało w drugą. Zebrani rodzice usiłowali prowadzić uprzejmą konwersację, jednocześnie całkowicie koncentrując się na tym, co robią ich dzieci. Sarah ostrzegła swoje najmłodsze, żeby uważało na kredki woskowe, a mój synek Alfie bawił się spokojnie klockami Lego. Każde z nas obserwowało własne dziecko w taki sam sposób, w jaki aktor drugoplanowy ogląda film, w którym gra - na ekranie istnieje tylko on i nikt poza nim. David stwierdził, że skoro Alfie tak świetnie radzi sobie z klockami, to może być wskazówka, że w przyszłości zostanie architektem.

- Albo murarzem - rzucił William. Mąż Sarah miał zwyczaj stawać przed regałami i lustrować mój księgozbiór; za-

wsze się obawiałam, że zauważy brak zagieć na grzbietach klasyki i co ambitniejszych powieści, które stały na półkach wetknięte między babskie czytała i poradniki psychologiczne. Zobaczyłam, że David wkłada płytę do odtwarzacza.

- Kochanie, tylko nie *Piotruś i wilk* - jęknęłam.

- Ale Alfie chciał tego posłuchać.

- Chcesz powiedzieć, że nasz czteroletni syn poprosił o Prokofiewa?

- Nie, kiedy robiłaś kawę, zapytałem, czy chce bajkę o wilkach, i się zgodził.

- W każdym razie... - kontynuowała Ffion - póki co pozwalamy Gwilymowi malować i rysować do woli, ale przyjdzie taki moment, że trzeba to będzie jakoś ograniczyć, bo inaczej się okaże, że pchnęliśmy go w stronę szkoły artystycznej zamiast uniwersytetu.

- Skarbie, on ma dopiero cztery latka...

- Zamknij drzwi, wdmuchujesz dym.

- Ciii, proszę wszystkich o ciszę - przerwał David. - Zaraz zacnie się partia smyczków. Kogo reprezentują smyczki, Alfie?

- Piotrusia! - odpowiedział posłusznie Alfie i wśród zebranych rozległ się szmer podziwu, po czym wrócili do przerwanej rozmowy. Sarah właśnie zgadzała się ze stwierdzeniem, że trudno wyczuć moment, w którym należy zacząć kształtować zabawy dziecka z myślą o konkretnym celu, gdy David znowu przerwał:

- Ciii, teraz flet. Alfie, jaką postać ilustruje flet?

- Ptaszka!

- Wspaniale, Alfie - powiedziała Ffion. - Nigdy nie jest za wcześnie na zapoznanie ich z muzyką. Kiedy byłam w ciąży z Bronwyn, rozciągnęłam sobie parę słuchawek, żeby obejmowały mój brzuch, i ilekroć szłam się położyć, przykładalam je i puszczałam jej Szostakowicza.

- Och, cudownie. I co, lubi teraz Szostakowicza?

- Hm... Mniej więcej tak samo jak innych klasyków. Miałam zamiar puścić jej po kolei wszystkie piętnaście symfonii, a następnie przejść do koncertów, ale, niestety, urodziła się miesiąc przed terminem.

- Nic dziwnego, na pewno nie mogła się doczekać, kiedy stamtąd wyjdzie - parsknął William. Ffion się zaśmiała, ale nawet nie starała się, żeby to wypadło przekonująco.

Od dłuższego czasu usiłowałam we wszystkim dotrzymać kroku Ffion i Sarah. Zaczęło się wtedy, gdy pewnego dnia zgłosiłam się na ochotnika, żeby przyjść na lekcję czytania do klasy mojej córki. Pamiętam, że byłam trochę oburzona, kiedy posadzili mnie obok cudzego dziecka i gdy ono grzecznie mi czytało, cały czas wyciągałam szyję, żeby dojrzeć, jak w drugim kącie sali radzi sobie Molly. Siedziała przy niej inna ochotniczka. Prawdę mówiąc, tyle matek przyszło tam wtedy, żeby szpiegować nauczycieli, że dla dzieci zostało już niewiele miejsca.

- D... obry. P.. p... piesek. Po-wie dział. Tata. - dukała Molly. - Dobry. Piesek. Powiedziała. M... m... m...

- „Mama"! Molly, kochanie, tam jest napisane „mama" -zawołałam. - Znasz przecież to słowo, prawda?

Towarzysząca jej kobieta trochę się zirytowała, że jej przeszkadzam, ale ja nie mogłam tak beczynnie się temu przyglądać. Molly знаła wyraz „mama", to było pierwsze słowo, jakie w życiu wypowiedziała, trzeba jej było tylko troszkę podpowiedzieć. Niestety, odkryłam, że nawet wówczas, gdy przebywam z moją córką w szkole, nie przestaję się o nią martwić. Molly z trudem literowała słówka „dobry" i „piesek", a tymczasem dziecko siedzące przy mnie pokonywało fragment wybranej przez siebie książki płynnie i bez wysiłku: „Powszechnie znana prawda głosi, że majątny kawaler potrzebuje do szczęścia..."*. Cóż, przynajmniej tak mi się wtedy wydawało.

Fragment powieści Jane Austen Duma i uprzedzenie [wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza].

- Dobrze, Bronwyn - przerwałam ostro. - Na razie wystarczy. Idź teraz do swojej mamy i pobaw się. Halo! Skończyłyśmy! Może teraz zajęłabym się Molly?

Pięć lat później te same matki i ich mężowie stali się naszymi najlepszymi przyjaciółmi, a ich najstarsze dzieci, w tym i moje, czekają wkrótce egzaminy wstępne do gimnazjum. W sobotnie poranki, gdy nasze córki pobierały nauki na prywatnych lekcjach, my spotykaliśmy się u mnie w-kuchni i omawialiśmy najważniejsze sprawy bieżące. Do ilu szkół złożyć podania? Czy to prawda, że do Chelsea College przyjmują tylko tych, którzy mówią płynnie po łacinie? „Zwiedzaliśmy kiedyś fajną szkołę w Calais. Jedyny minusem jest to, że Bronwyn musiałaby wstawać codziennie o 4.30, żeby zdążyć na Eurostar”. Te cosobotnie spotkania pozwalały nam przy okazji poświęcić trochę więcej czasu młodszym pociechom, które odpowiednio pobudzane i zachęcane, zdobywały pod naszym okiem podstawowe życiowe umiejętności: pisanie, rysowanie i rozpoznawanie wszystkich postaci opery *Piotruś i wilk*.

- Słuchajcie, teraz będzie obój. Czyj to motyw, Alfie? -kontynuował David.

- Kaczki! - zawołał Alfie, a nasi znajomi wyrazili stosowny podziw.

- Mój Cameron lubi klaskać w rączki, kiedy śpiewamy piosenki - rzuciła odważnie Sarah, ale nikt nie raczył na to zareagować.

- Czekajcie, zaraz zagra klarnet. O, jest. Kogo on oznacza, Alfie?

- Kotka!

- Zuch chłopak! Klarnet to instrument dęty, prawda? A jakie znasz inne instrumenty dęte?

- Trąba!

- Świetnie. A kogo ona tutaj przedstawia?

- Dziadka!

- Ależ on jest muzykalny - zauważyła Sarah. Moim zdaniem, bardzo celnie.

- Dziadek jest trąba! - powtórzył radośnie Alfie.
- Nie, synku, trąba reprezentuje postać dziadka - poprawił z naciskiem David.
- Jaki mądry chłopczyk. Robiliście mu testy? - spytała Ffion. Wydawało mi się, że już jej opowiadałam, jak mu poszło w instytucie, ale widocznie musiała zapomnieć.
- Tak, parę tygodni temu dostaliśmy wyniki. W instytucie stwierdzili, że jest „umiarkowanie uzdolniony” - powiedział David.
- Umiarkowanie uzdolniony... to dobra wiadomość -uśmiechnęła się delikatnie Ffion.
- Niby tak, tylko że my uważamy, że go trochę za nisko ocenili. Naszym zdaniem powinni napisać po prostu „uzdolniony”. Ale marzy mi się, żeby jego aspiracje sięgały jeszcze wyżej.
- On ma dopiero cztery lata, kochanie - wtrąciłam, widząc, że William spogląda na nas z lekkim niedowierzaniem.

W tym momencie zapanowała nagła panika, bo Sarah, niczym ochroniarz z prezydenckiej obstawy, jednym susem przeskoczyła pokój i wyrwała swojemu dziecku herbatnik z ręki.

- W porządku, mam go. Na szczęście nie zdążył połknąć.
- Przepraszam, to jemu nie wolno jeść ciastek?

Sarah poważnym tonem zaczęła czytać na głos napisy na pudełku:

- Może zawierać śladowe ilości orzeszków ziemnych. Tak myślałam.
- Nie wiedziałam, że Cameron jest uczulony na orzechy
- Tego nie wiemy, nigdy mu nie dawaliśmy. Ale przecież nie warto ryzykować, prawda?
- Hm... No tak, tak, to może być problem...
- Ojej, znowu: „może zawierać śladowe ilości...” W takim razie to też odpada - powiedziała, biorąc do ręki kolejne opakowanie ze stołu.
- Ale to jest właśnie paczka orzeszków.
- A, rzeczywiście. Widzę, że zabezpieczają się na wszystkie sposoby.

Kiedy potencjał umysłowy naszego syna został już jednoznacznie udowodniony, Philip skorzystał z okazji, żeby przypuścić kontratak, prezentując rodzący się geniusz własnego czterolatka, który właśnie tłukł plastikowym tyranozaurom w stegozaura, ponieważ ten ośmielił się zawędrować na stole nie tam, gdzie powinien.

- Bardzo ładnie, Gwilymie - powiedział Philip, wsadzając głowę przez drzwi, trzymając dymiącego papierosa w wyciągniętej dłoni. - Tyranozaur był mięsożerny, prawda?

Kiedy dwie figurki prehistorycznych gadów zderzyły się ze sobą, chłopczyk wydał odgłos naśladujący eksplozję.

- A stegozaur?

- Roślinożerny! - wyseplenił z dumą mały Gwilym, a przez pokój przebiegł delikatny szmer uznania.

- A pachycefalozaur? - zachęcał Philip.

- Wsyzkożerny!

- Tak jest. Wszystkożerny. Mądry chłopczyk.

- Ma spory zasób słów jak na czterolatka - zauważyła Sarah.

- W badaniach wyszło, że Gwilym wykazuje szczególne zamięłowanie do zabaw z dinozaurami, korzystamy więc z okazji, żeby się trochę nauczył o drapieżnikach i łańcuchu pokarmowym.

- No tak, właściwie czemu nie...

- Uważaj, kochanie, właśnie wpuściłeś tu dym.

- Nie tak, Gwilymie, przecież roślinożerca nie może jeść mięsożercy - przerwał mu Philip. - Baw się, jak należy, skarbie!

- Philipie, bądź tak miły i, zanim się odezwiesz, wydmuchuj dym na zewnątrz - przykazała Ffion.

Gwilym nie zwracał uwagi na ojca i stawiając cały łańcuch pokarmowy na głowie, udzielił roślinożercy prawa zaatakowania nietykającego zazwyczaj *Tyrannosaurus Rexa*. „Grarr! Grarr!” - ryczał wegetarianin, który po milionach lat nieje-

dzenia mięsa, nawet w święta, w końcu nie wytrzymał. Ffion usiłowała jakoś odwrócić naszą uwagę od nieco napiętej atmosfery, jaka się wytworzyła z powodu rozbieżności dwóch męskich interpretacji prehistorii.

- My oczywiście mamy szczęście, że nasze dzieci oceniono jako „wybitnie uzdolnione”, ale gwarancji nie ma nigdy Johnsonowie zbadali swoją pięcioletnią córeczkę i w testach wyszło, że jest... Hm...

„Przeciętna”... - wypowiedziała to słowo szeptem, żeby przypadkiem dzieci nie usłyszały

- Tak mi przykro. Nie wiedziałam - powiedziała z przejęciem Sarah.

Po plecach zebranych przeszedł dreszcz na myśl, że jakiegoś rodzica może dotknąć tak straszliwe nieszczęście. Decydując się na dzieci, wszyscy jesteśmy świadomi statystycznego ryzyka, że może nam się przytrafić pociecha, która będzie zaledwie „przeciętna” zamiast wybitnie lub chociaż umiarkowanie zdolna, ale możemy się tylko modlić, żeby nas to nie spotkało. David zerknął na mnie, ale ja szybko odwróciłam wzrok. Od pięciu lat trzymaliśmy w tajemnicy wyniki testów naszej najstarszej córki. Nie były sprawiedliwe. Molly tak naprawdę jest bardzo mądrą dziewczynką, tylko troszkę gorzej radzi sobie na egzaminach.

- Dzięki Bogu, że instytut tak wysoko ocenił Gwilyma -ciągnęła Ffion, znajdując okazję, aby podkreślić, że jej najmłodszy syn wypadł lepiej od naszego. Nastąpiła kłopotliwa cisza, którą zaraz wypełnił mój mąż.

- O, teraz będzie waltornia! Alfie, jaką postać przedstawia waltornia?

- Wilka.

- Ja jednak uważam, że zbyt nisko ocenili Alfiego - skontrował David. - W dniu badania był przeziębiony i to się pewnie odbiło na wynikach. Poważnie myślę, czy by go nie zawieźć jeszcze raz.

- Kochanie, to kosztuje dwieście pięćdziesiąt funtów -przypomniałam.

- Owszem, ale, moim zdaniem, warto. Dobrze byłoby wiedzieć, na jakim jest etapie rozwoju i o jakiej szkole czy dodatkowych zajęciach powinniśmy myśleć.

Sarah z niepokojem zerknęła na męża, ale nie znalazła wsparcia w jego oczach.

- O jakim wy właściwie instytucie mówicie? - zapytała.

- To wy jeszcze nie badaliście Camerona? - zmarszczyła czoło Ffion.

- To się nazywa Cambridge Institute for Child Development - pospieszyłam z wyjaśnieniem. - Mogę dać ci numer telefonu do nich.

- I mieści się w Cambridge?

- Nie, w Balham. To tylko taka nazwa - dodałam. - Kobieta, która go prowadzi, specjalizuje się w badaniu najzdolniejszych dzieci. Rozmawia z dzieckiem, obserwuje, jak się bawi, analizuje jego rysunki, a później przysyła ci wyczerpujący raport wraz z oceną.

- To po prostu nadziana baba, która we własnym domu wyciąga pieniądze od naiwnych rodziców, wmawiając im, że ich dzieci są najmądrzejsze na świecie - zakpił William.

- A ja myślę, że to ważne, aby rodzice wiedzieli, jak przebiega rozwój dziecka - stwierdził David. - Nawet jeśli badającym zdarzy się czasem pomylić.

- Ciebie oceniła jako „umiarkowanie naiwnego”. Jeśli przyjdiesz tam znowu, zaklasyfikuje cię do „wybitnie naiwnych”.

- Zamknij się, Williamie - upomniała go żona i zwróciła się do mnie. - On tylko żartuje. Przypomnij mi koniecznie, żebym wzięła od ciebie ten numer, jak będziemy wychodzić.

- A teraz zagrają kotły, kogo oznaczają te duże bębny, Alfie?

Alfie nie zareagował.

- Alfie! - powtórzył David, trochę za ostro. -Co?

- Kogo oznaczają kotły?

- Myśliwego - odparł nadąsany Alfie.
- Hm... Philipie! - zawołał William, uśmiechając się złośliwie. - Coś mi się zdaje, że roślinożercy znów zapomnieli gdzie jest ich miejsce w łańcuchu pokarmowym - i udając zatroskaną minę, skinął głową w kierunku stolika, gdzie przed chwilą z oparcia kanapy nadleciał rzymski centurion z szablą i przypuścił atak na dinozaury.
- Nic się nie dzieje, Philipie, zostań na zewnątrz - powiedziała Ffion.
- No jasne, człowiek też nie może za bardzo tłumić swojej wyobraźni - wzruszył ramionami Philip, przydeptał niedopałek i wszedł do środka. - Gwilym doskonale wie, że w czasach rzymskich dinozaurów już dawno nie było na świecie Pamiętajsz, co się stało z dinozaurami, Gwilym?
- Psyleciał meteoryt.
- Widzicie? - uśmiechnął się dumnie jego tata.
- Ktoś chce jeszcze raz posłuchać *Piotrusia i wifta*? - zaproponował David.

Poznaliśmy się w czasach, gdy oboje pracowaliśmy w City. Ja byłam asystentką, a David zajmował się bankowością. Do czasu, gdy zostaliśmy małżeństwem, nie zdołał nu wytłumaczyć, na czym tak naprawdę polega jego praca Ludzie, którzy nigdy nie zajmowali się międzynarodowymi finansami, zawsze mieli duże kłopoty ze zrozumieniem, jak to możliwe, że pieniądze się „kupuje i sprzedaje”. Być może David też tego nie rozumiał i dlatego go wylali. Zaczął więc pracować na własny rachunek jako doradca finansowy, co jak stwierdził, wyjdzie wszystkim na dobre, bo dzięki temu będzie miał więcej czasu, żeby побыć w domu z dziećmi Jakby to było coś dobrego. Odtąd mój mąż rozwinął interes polegający na tym, że doradzał ludziom, co mają zrobić ze swoimi pieniędzmi, zabierając im przy tym sporą ich część. Powodziło nam się na tyle dobrze, że nie musiałam co tydzień śledzić losowań totolotka.

Ja nadal pracowałam na pełny etat jako osobista asystentka, ale tym razem trójki moich dzieci o imionach Molly, Jamie i Alfie. (Nikt nam nie powiedział, że końcówki „-ie/-y” nie są obowiązkowe). Układałam im plan dnia, dbałam, żeby miały ze sobą odpowiednią maskotkę, kiedy nocowały poza domem, przygotowywałam im posiłki i organizowałam transport. I jak każda dobra asystentka wiedziałam, że beze mnie by sobie nie poradziły. Musiałam dopingować Jamiego na meczach miniligi rugby, oklaskiwać Alfiego, gdy chlapał nóżkami w brodziku podczas zajęć „Małe kaczuski”, na których oswajano dzieci z wodą, a Molly wciąż musiała mnie mieć przy sobie, kiedy ćwiczyła gamy na skrzypcach. Inaczej twierdziła, że to za trudne i sobie nie poradzi. „Kochanie, to wcale nie jest trudne, a ty radzisz sobie naprawdę znakomicie. Powiem ci, że to najładniejszy kawałek na skrzypcach, jaki w życiu słyszałam”. System pochwał wymknął się w naszym domu spod kontroli. Gdy byłam pierwszy raz w ciąży, kupiliśmy z Davidem ładny dom niedaleko parku Clapham Common, gdzie mogliśmy obserwować żaglówki pływające po jeziorze, popijać kawę przy podium dla orkiestry, a nocą w krzakach uprawiać gejowski seks z nieznajomymi. To zabawne, że kiedy mieszkasz w jakiejś okolicy, przeważnie nie korzystasz z atrakcji, z których ona najbardziej słynie. Jednak w miarę jak dzieci robiły się starsze, coraz trudniej było je osłaniać przed mroczną stroną wielkomiejskiego życia. Chodziły oczywiście do drogiej, elitarnej szkoły, a grono naszych znajomych wywodziło się z tej samej chronionej mniejszości. Dzieci wychodziły bawić się na zewnątrz, ale tylko do ogrodu za domem, chodziły na basen, ale tylko do prywatnego klubu odnowy biologicznej. Tam się pewnie można nabawić szlachetniejszej odmiany grzybicy. Od czasu do czasu, kiedy opuszczaliśmy dom i szliśmy się przejść ulicą, miałam ochotę zasłaniać im oczy przed widokiem pijaków i żebraków, roztrzaskanych szyb w samochodach, i żółtych

policyjnych tablic wzywających świadków niedawnego napadu z bronią.

- Policja poszukuje świadków napadu. Co to znaczy mamusiu?

- To tylko taki napis, skarbie. O, spójrz na tego gołąbka Co on tam znalazł? - w tym momencie zauważyłam, że trzyma on w dziobie swojego nieżywego kolegę rozjechanego przez ciężarówkę. - O, zobacz tam, jakie śliczne kwiaty na wystawie!

- A zobacz tu, mamusiu, jeszcze więcej kwiatków przywiązanych do latarni.

-Ach, rzeczywiście.

- Po co ktoś je przywiązał do latarni? O, i jakieś kartki wiszą. Przeczytamy, co tam jest napisane?

- Nie, dziecko, chodź, pójdziemy do księgarni, zanim wykupią wszystkie książki. Spójrz na ten śmieszny rower przypięty do poręczy Jest bez kół. Ciekawe, czemu nie ma kół?

- Bo ktoś je ukradł - ucięła rzeczowo Molly.

Szkolne podręczniki nie przygotowywały ich na to wszystko Nie żebym uważała, że to szczególnie dobry pomysł.

Biff i Chip znaleźli w rynsztoku brudne strzykawki.

- Pobawmy się w walkę na miecze! - mówi Chip.

- Stój! - krzyczy tata.

- Zostaw to! - woła mama.

- Te strzykawki porzucili narkomani. Pewnie są zakażone wirusem HIV - mówi tata.

-I dlatego ja i wasz ojciec nigdy nie uprawiamy seksu z nieznajomymi bez zabezpieczenia - dodaje mama. Wszyscy zaczynają się śmiać.

Ja trzy razy przesłabym przez ulicę, żeby ich ominąć, ale Alfie zawsze potrafił wypatrzeć naćpanych kloszardów rozwalonych na chodniku przy bankomacie.

- Mamusiu, możemy dać temu panu trochę pieniążków?

- Nie, skarbie, nie powinieneś tego robić.

- Ale tu jest napisane, że on jest głodny. Jak mu damy pieniądze, to będzie mógł sobie kupić wafli ryżowych.

- Możesz wrzucić kilka monet do pieska-skarbonki, który stoi przed apteką.

- Ale ten pan ma prawdziwego psa. Dlaczego on ma tyle cycuszków?

- To suczka, skarbie, musiała mieć niedawno szczeniaki.

- A gdzie one są? Możemy wziąć jednego do domu? „Jasne, jeśli masz ochotę wyławiać je z dna Tamizy” -

to była oczywiście tylko myśl, w porę ugryzłam się w język.

W końcu doszłam do wniosku, że lepiej będzie unikać takich spacerów. Wolałam wozić dzieci na King's Road i tam kupować im buty, książki i przybory szkolne z Harrym Potterem. Najchętniej trzymałabym je schowane pod gigantyczną wersją osłony przeciwdeszczowej, takiej samej, jaką rozkładało się nad wózkiem. Byłby to wielki, bezpieczny klosz, który by je chronił przed wdychaniem spalin z ciężarówek i oglądaniem całego syfu i brudu starej części miasta; świata, który rozciągał się tuż za progiem ich domu. Zamiast tego przypinałam je pasami do tylnego siedzenia terenowej limuzyny i wywoziłam do prywatnej szkoły mieszczącej się po drugiej stronie parku.

W naszej okolicy samochód terenowy to podstawa. Kiedy wozisz dzieci przez tak niedostępne i górzyste rejony, jak Clapham czy Battersea, dodatkowa inwestycja w postaci napędu na cztery koła jest niezbędna. Zwykle samochody trzeba by zostawiać w bazie u podnóża Lavender Hill, gdyż tylko wytrzymali Sierpowie na mułach oraz auta terenowe są w stanie pokonać nachylenie, z jakim ma się do czynienia przy wyjeździe z KFC w kierunku Wandsworth. Oczywiście droga do szkoły zawsze była bardzo zatłoczona i z tego powodu musieliśmy wyjeżdżać tak wcześnie, że nierzadko dzieci jadły śniadanie już przypięte do siedzeń.

- Molly, ile jest sześć razy dziewięć? - zagadnęłam ją kiedyś w dniu klasówki, gwałtownie skręcając w boczną uliczkę, żeby uniknąć stania w korku.

- Pięćdziesiąt cztery - wymamrotała, plując na siedzenie okruszkami tostu z pastą drożdżową, a jej braciszek w tym czasie wołał: - Mamo, mam, Molly mówi z pełną buzią!

Pewnego razu jakieś dziecko wyskoczyło nagle na ulicę i musiałam gwałtownie hamować. Jak matka może pozwolić, żeby jej dziecko wędrowało samopas do szkoły? Dobrze, że trafiło na mnie. Łatwo sobie wyobrazić, co by się mogło stać, gdyby to był któryś z tych szaleńców prujących po Oaken Avenue. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że odwożąc dzieci do szkoły, przyczyniam się do zwiększenia natężenia ruchu na drogach, ale po prostu nie mam wyjścia. Po ulicach jeździ za dużo samochodów, żebym się odważyła wypuścić dzieci same na ulicę. O środowisko dbam w inny sposób. Kiedy robię zakupy przez Internet, zawsze staram się kliknąć na ikonkę z zielonym samochodem, żeby dostarczył mi je kierowca, który znajduje się najbliżej mojej okolicy.

Wydaje mi się, że lubiłam mój samochód dlatego, że czułam się w nim bezpiecznie. Mogłam zapakować się do niego, zamknąć drzwi i przeprowadzić dzieci przez niebezpieczne ulice, nie czując się tak bezbronna wobec świata zewnętrznego. Pomagało mi to również odseparować się nieco od reszty społeczeństwa. Oczywiście poza innymi matkami ze Spencer House. Ffion jeździła olbrzymim, krowiastym subaru jakimś-tam, a nawet ta kobieta, która miała tylko jedno dziecko, kupiła sobie vana. Co rano o wpół do ósmej przed szkołą robiło się straszne zamieszanie, ponieważ wszystkie panie za kierownicami swoich krążowników jednocześnie wykonywały skomplikowane manewry, żeby się zmieścić na znajdującym się tam minirondzie.

Purpurowe mundurki, opłaty za naukę i dzieci, które na koniec lekcji podają nauczycielowi rękę - to nie jest świat, od którego zaczynałam. Dorastając na zielonych przedmieściach Middlesex, znalazłam się w grupie ostatnich dzieci w kraju, które przystąpiły do egzaminu „11+”. Kiedyś obowiązkowo zdawali go wszyscy uczniowie w wieku jedenastu lat, a miał on decydować, czy będą się uczyć w szacownej „grammar school”*, która na dalszym etapie umożliwi im start na uniwersytet, czy w obskurnym publicznym gimnazjum, które opuszcza się po skończeniu szesnastu lat, żeby zarabiać na życie, zamiatając podłogę u fryzjera. Był to właściwie dosyć brutalny test, którego celem było

ustalenie, czy należysz do klasy robotniczej, czy średniej. Zdradzały to już same pytania. „Pytanie 1: Co to jest samochód? a) elegancki pojazd, którym tatuś dojeżdża do pracy w banku, b) ten zardzewiały gruchot wsparty na ceglach na trawniku przed domem. Pytanie 2: Co to jest kucyk? a) śliczny, mały konik w naszym ogrodzie, b) fryzura, jaką nosi mój starszy brat, kiedy schodzi do garażu na próbę zespołu deathmetalo-wego”. Nawet odpowiednie imię było sporym ułatwieniem. Jeśli u góry kartki widniało „Timothy” lub „Arabella”, dostawałeś najwyższą ocenę, ale jeśli było tam napisane „Wayne” czy też „Rita”, już na dzień dobry traciłeś punkty.

Ale i ten system segregacji czasami szwankował, o czym miałam okazję przekonać się tego dnia, gdy ogłoszono w klasie wyniki. Nigdy tak długo nie wracałam do domu. W końcu rodzice zdołali wysupłać dosyć pieniędzy, żeby mnie posłać do trzeciorzędnej szkoły prywatnej, która od pokoleń dostarczała Imperium Brytyjskiemu agentów nieruchomości i dziewczyn do działów PR. Wkrótce w Middlesex zlikwidowano egzaminy dla jedenastolatków. Co więcej - zlikwidowano również całe hrabstwo, tak na wszelki wypadek. I teraz, po tylu latach, widzę, że jedyne, co mi dało to moje trzeciorzędne wykształcenie, to silne pragnienie, aby moje dzieci miały lepiej. One będą wiedziały, jakie miasto jest stolicą Kanady i że crescendo to nie tylko marka chipsów. Z łatwością przyjdzie im orientowanie się w tych strasznych dylematach współczesnej etykiety, na przykład czy niegrzecz-
Szkoła, w której uczy się głównie przedmiotów humanistycznych i przykładą większą wagę do wykształcenia ogólnego.

nie jest nie odpowiedzieć na dowcipny e-mail rozesłany do wszystkich osób znajdujących się w książce adresowej nadawcy? I właśnie dlatego tyle płaciliśmy za Spencer House, a Alfie rozpoczął edukację od najlepszego prywatnego przedszkola - w którym młodzi wychowawcy od samego początku czuwalni nad nim, kiedy czteroletnią rączką próbował kreślić pierwsze, koślawe literki - żeby moje dzieci nie spędziły reszty życia w kompleksach, że wszyscy wiedzą więcej niż one. A tak na marginesie - to Ottawa. Właśnie sprawdziłam, że Ottawa jest stolicą Kanady.

Oblanie pierwszego ważnego egzaminu w moim życiu sprawiło, że teraz byłam zdecydowana zrobić wszystko, aby Molly zdała swój. Gdy miała dziewięć lat, zorientowaliśmy się, że rodzice jej koleżanek już rozglądają się za dodatkowymi korepetycjami, które mają pomóc ich córkom w dostaniu się za dwa lata do Chelsea College. Skontaktowaliśmy się więc z poleconym nam nauczycielem i ustaliliśmy terminy. Jeśli ktoś jest niezwykle zapracowany, to oczywiście trudno mu znaleźć czas na kolejne zajęcia, ale Molly miała akurat w środy okienko między lekcją gry na skrzypcach a baletem, udało się więc wcisnąć tam nowego korepetytora. Traktowaliśmy nasze dzieci jak olimpijczyków: całe lata przygotowań do tego jednego naukowego skoku wzwyż, od którego wszystko zależy. Gdyby tego dnia Molly miała zły nastrój, zachorowała albo była niedysponowana z innego powodu i straciłaby poprzeczkę, cały wysiłek poszedłby na marne.

Oczywiście w obecności Molly staraliśmy się nie robić z tego wielkiej afery, ale bardzo się bałam, że nasze napięcie się jej udziela.

- Mnóstwo dzieci obgryza paznokcie - uspokajał mnie David.

- Ale nie u nóg.

Udawałam więc, że wcale się tym nie przejmuję. A jednak w środku drżałam na myśl o tym, że jeśli Molly dalej będzie tak słabo szło na egzaminach i obleje testy do Chelsea College,

niechybnie skończy jako narkomanka i któregoś dnia będzie musiała sprzedać skrzypce, żeby zdobyć pieniądze na kolejną działkę cracka. Zawsze sobie obiecywałam, że cokolwiek moje dzieci postanowią zrobić ze swoim życiem, będę je wspierać, jeśli więc Molly wyląduje na dworcu jako prostytutka, żeby zarobić na swój nałóg, postaram się oczywiście uszanować jej decyzję.

- Mamo, tato, to jest mój alfons, Siergiej.

- Witaj, Siergieju, miło cię wreszcie poznać.

- Siergiej zaproponował, że zajmie się moimi finansami, a ja będę po prostu dostawała wypłatę w brudnej heroinie.

- Rób, jak uważasz, kochanie. Jestem pewna, że Siergiejowi leży na sercu wyłącznie twoje dobro.

To byłaby raczej okrutna kara za oblanie jednego egzaminu w wieku jedenastu lat. Dlatego byliśmy zdecydowani ją doksztalcać, motywować, poddawać testom i przekupywać. Aha, i na wszelki wypadek postanowiliśmy zrobić jeszcze coś, co mogłoby zwiększyć szanse naszej ukochanej pierworodnej - uciec się do oszustwa.

David Zinkin

Zioła pomagają w nauce. Jak wielowiekowa sztuka zielarska może odblokować umysłowy potencjał twojego dziecka

Sunrise Books

Cena: 6,99£

Czy wiecie, że zapomniane plemię Indian Manoi zamieszkujące dorzecze Amazonii poznało wysoko rozwiniętą sztukę wytwarzania naturalnych, ziołowych środków leczniczych, które, według wierzeń, zapewniały odporność na wszelkie choroby? Niestety, wiele z tych tajemnic zaginęło, kiedy Indianie Manoi zostali zdziesiątkowani przez epidemię ospy wietrznej i grypy po pierwszym kontakcie z odkrywcami przybyłymi z Europy. Jednak dzięki informacjom, które ocalały, mamy fascynującą okazję poznać rozmaite sposoby, jakimi całkowicie naturalne środki pobudzające wspomagają niektóre rodzaje aktywności mózgowej. Wiemy już, że reakcje chemiczne w mózgu zależą od obecności białek złożonych, witamin i minerałów, które pomagają synapsom przetwarzać te miliardy drobnych sygnałów, które codziennie do nich docierają. Stąd już tylko mały krok dzieli nas od uświadomienia sobie, że apteczka natury może nam pomóc poprawić pracę mózgu i zwiększyć sprawność intelektualną. Posługując się tą książką jako przewodnikiem, a także z pomocą naturalnych ziół, które możesz u nas zamówić telefonicznie, płacąc kartą kredytową, będziesz w stanie precyzyjnie dobrać odpowiedni preparat do konkretnej dyscypliny naukowej, z którą nie radzi sobie twoje dziecko.

Echinacea jest naturalnym środkiem pobudzającym pracę tych partii mózgu, które są odpowiedzialne za myślenie logiczne i analityczne. Idealna przy nauce matematyki, zwłaszcza przy zgłębianiu logarytmów, równań i systemu dwójkowego. W wypadku algebry należy ją zmieszać pół na pół z wyciągiem z wilczej jagody. ***Nagietek lekarski*** wspomaga synapsy odpowiedzialne za funkcję mowy i zdolności językowe. Dwie tabletki rozpuszczone w przefiltrowanej wodzie należy podać dziecku na dwie godziny przed planowanym przystąpieniem do czytania lektury (powieść, poezja lub dramat). W wypadku „Beowulfa” zaleca się podanie trzech tabletek.

Ziele świętojańskie od tysięcy lat jest znane jako środek o działaniu synergistycznym, pomocny przy nauce geografii. W wypadku geografii społeczno-ekonomicznej jako alternatywę można zastosować zwyczajny dziurawiec.

Pokrzywa wspomaga procesy mózgowie niezbędne przy dłuższych okresach wzmożonej koncentracji, na przykład podczas egzaminów. Uwaga: nie próbuj podawać dziecku pokrzywy w jej naturalnej postaci, ponieważ proces jej trawienia zamiast ułatwić, mógłby utrudnić skupienie uwagi. Jeśli chodzi o zajęcia praktyczno-techniczne, nie udało się dotąd odkryć odpowiedniego środka wspomagającego.

2

- Nie chcę, to jest wstrętne! - protestowała Molly, kiedy podstawiłam jej pod nos szklanekę czystej wody z kilkoma kroplami wyciągu z pokrzywy i echinacei.

- Skąd wiesz? To zwykła woda, bez smaku, twój organizm nawet nie wie, że coś tam jest!

- To po co to pić?

- To rodzaj homeopatii, kochanie. Trudno mi to wytłumaczyć, ale czytałam o tym książkę i to ma pomóc twoim synapsom. To jest stuprocentowo naturalna i ekologiczna echinacea i pokrzywa.

- Pokrzywa? Ta, co parzy?

- No... tak, ale tu jest tylko kilka kropli naparu, nic ci nie będzie.

Podniosła szklanekę. Nie wiem, czy jej usta weszły w jakikolwiek kontakt z ciecżą, ale reakcja była dramatyczna.

- Auć, piecze! Oparzyłam się!

- Nie bądź śmieszna - powiedziałam ostro. - To woda, nie może parzyć. A teraz przestań gadać bzdury i pij.

Molly zaczęła płakać i w tym samym momencie do pokoju wszedł David.

- Co się dzieje, kochanie?

- Mama każe mi jeść pokrzywę!

- Mówiłam jej, że tam jest tylko odrobina naparu, reszta to woda. Postanowiłam zastosować terapię ziołową, żeby przyspieszyć pracę synaps w jej mózgu.

- Nie zmuszaj jej. Chyba nie chcemy, żeby poszła jutro zaryczana na egzamin. To jej na pewno nie pomoże.

Przygotowania do próbnego egzaminu Molly nie przebiegały najlepiej. Kazałam jej więc położyć się wcześniej spać, żeby zdążyła wypocząć. Ona, jako wyraz protestu, na siłę starała się nie usnąć i między ósmą a dwunastą w nocy aż trzy razy schodziła na dół, w końcu jednak nie wytrzymała i padła. Zauważyłam też, że nawyk obgryzania paznokci poszerzył się teraz na okoliczny naskórek. Wokół podstawy każdego paznokcia widniał zaczerwieniony półksiężyc. Kiedyś wspominała, że chce zostać wegetarianką, ale uświadomiłam jej, że najpierw musi przestać zjadać własne palce.

Mimo że był to tylko próbny test, i tak czułam, że to coś niezwykle ważnego, że nazajutrz się okaże, czy przyszłość mojej córki stanie się pasmem szczęścia i sukcesów, czy też przewróci się ona na pierwszej przeszkodzie w tym szaleńczym wyścigu, jakim jest życie we współczesnym świecie. Czy Molly wyczuwała moje napięcie? Czy to normalne, że rodzice naskakują na dzieci tylko za to, że spytały, czy mogą obejrzeć kolejny odcinek *Simpsonów*, i zaraz wybuchają płaczem, mówiąc:

.Wybacz mi, wybacz, skarbie. Boże, ja się po prostu strasznie boję o twój test - nie, nie to chciałam powiedzieć. W ogóle się nie boję, napiszesz najlepiej, jak umiesz, a jak ci się powiedzie, kupię ci fajny prezent. Nawet jak ci się nie powiedzie, to też". Nie słyszałam, żeby w którymś z poradników dla rodziców zalecano akurat takie zachowanie, ale w końcu wszyscy wypracowujemy sobie własne metody postępowania z dziećmi. Krzyk, płacz, przeprosiny i wreszcie próba przekupstwa - wszystko w ciągu kilku sekund. Czasem się zastanawiałam, czy ja właściwie nadaję się na matkę. Próbowałam sobie wyobrazić siebie jako samotną, bezdzietną kobietę zbliżającą się do czterdziestki, która ma mnóstwo przyjaciół gejów i jest przesadnie wrażliwa na punkcie praw zwierząt. Może mieszkając tylko w towarzystwie golden retrievera wcale nie byłabym inna? „O Boże, mój Shandy nie aportuje tak dobrze jak inne psy w parku. Może cierpi na dyspraksję? Może za wcześnie zaczęłam z nim ćwiczyć albo powinnam wynająć prywatnego tresera, żeby go nauczył przynosić patyki?"

Test próbny Molly był skonstruowany na wzór egzaminów wstępnych do Chelsea College. Każdy wiedział, że to jedyna szkoła, do której należy posłać dziecko, ponieważ wszyscy wokół tak mówili. Bardzo szybko stała się jedną z najlepszych londyńskich szkół prywatnych po tym, jak rząd

przehandlował budynek Royal Hospital, a resztkę rezydujących tam jeszcze „weteranów Chelsea” wywieziono do hospicjum gdzieś na południowym wybrzeżu (zapewniając ich, że będą tam zazdrośnie strzegli godności nowo utworzonego miana „weteranów Bognor”). Okazałe kolumny, przestronne dziedzińce i wspaniałe boiska sportowe (a wszystko to w samym centrum miasta, nad rzeką) spowodowały, że w nowej placówce panowała atmosfera tradycji i wielkości, co wywołało popłoch wśród przedstawicieli klasy średniej, którzy zabijali się, żeby załatwić swoim pociechom miejsce w „najlepszej szkole”.

Moje dzieci po prostu musiały tam pójść. Jak tylko Molly się tam dostanie, znikną wszystkie problemy tego świata. Każdy strzęp informacji interpretowałam wyłącznie pod tym kątem.

Podajemy najważniejszą wiadomość dnia: islamscy terroryści grożą zamachem bombowym w Wielkiej Brytanii...

„O, nie! - myślałam. - Co będzie, jeśli wysadzą Chelsea College? Szkoła nie będzie mogła przyjąć nowych uczniów. ...a globalne ocieplenie może spowodować, że połowa Londynu znajdzie się pod wodą”.

„Tak, ale która? Nowa szkoła Molly stoi tuż nad rzeką, czy mają tam dość pomieszczeń na wyższych piętrach?”

Molly nie szła na ten egzamin sama. Wszystkie koleżanki pobierały lekcje u tego samego nauczyciela, co miało im zapewnić przewagę nad innymi. A tego dnia wszyscy jego podopieczni zgromadzili się w wynajętej sali, on zaś robił, co mógł, aby jak najwierniej odtworzyć warunki zbliżone do prawdziwego egzaminu, czyli przez trzy godziny siedział za biurkiem, od czasu

do czasu kichając i głośno wycierając nos. Zapewnialiśmy się wzajemnie, że dzięki takiej próbie dzieci podejną do prawdziwego egzaminu z większą wiarą w siebie, a kto wie, może element rywalizacji zdopinguje je do tego, że będą chciały dać z siebie wszystko. Nie, żebyśmy to my robiły z tego zawody, chociaż Ffion ogłosiła, że na dziecko, które uzyska najlepszy wynik, będzie czekać duża puszka czekoladek Quality Street.

- Którymi, jak mniemam, zwycięzca zechce poczęstować pozostałych - dorzuciłam.

- Ale tych zielonych trójkątnych nie dam - powiedziała urocza córeczka Ffion, Bronwyn, najwyraźniej pewna, że to jej przypadnie nagroda, którą następnie zabierze na górny pokład otwartego autobusu wynajętego przez jej matkę na specjalnie dla niej zorganizowaną paradę zwycięstwa ulicami Clapham.

- Nie martw się, Molly - dodała, zwracając się do mojej nieco zaokrąglonej córki. - Możesz sobie wziąć kokosowe, one najmniej tuczą.

Uważam za godne pochwały, że rząd zamierza wprowadzić ustawę zabraniającą rodzicom bicia własnych dzieci. Ale co z cudzymi? Na pewno dałoby się dodać taką klauzulę: „Prawo zabrania wymierzania klapsów jakiegokolwiek dziecku, wyłączając Bronwyn”.

Zaprowadziłam Molly do sali, posadziłam i zapewniłam, że świetnie da sobie radę. Zauważyłam, że przekroczyła już ten wiek, kiedy się ślepo wierzy we wszystko, co mówi mama. Egzamin próbny składał się z trzech osobnych testów przedzielonych dwiema krótkimi przerwami, żeby dzieci mogły się napić soku i zjeść ciastko. Natknęłam się na Sarah, która właśnie sprawdzała skład na kartonie z sokiem. Wpadłam też na Ffion i Philipa, którzy wybierali się do parku, żeby potrenować z Gwilymem bieganie przed dniem sportu w przedszkolu. Zapomniałam, że to już w piątek. Ale to nic wielkiego, będzie trochę zabawy i tyle.

- To skandal - stwierdziła Ffion. - Objechałam dosłownie pół miasta i, wyobraźcie sobie, nigdzie nie można dostać kolców dla dzieci poniżej piątego roku życia!

Przez cały ranek martwiłam się o Molly. Z całych sił starałam się przesyłać jej dobre fluidy, sprawić myślami, żeby się jej powiodło, jak gdyby siła moich pragnień mogła w jakiś sposób przemieszczać się w kosmosie i natchnąć ją entuzjazmem i zwiększyć sprawność umysłową. Kiedy jednak po skończonym teście Molly ukazała się w drzwiach, była blada i wyczerpana. Zanim którakolwiek z nas zdążyła się odezwać, jej smutna twarz i zgarbiona postać powiedziała mi, że moja córka nie sprostała zadaniu.

- Witaj, skarbie. Niezły maraton, co? Cisza.

- Musisz być bardzo zmęczona. Co masz ochotę zjeść na lunch?

Cisza.

- Może wolisz najpierw pobiegać w parku z Kirsty i Bronwyn?

Cisza.

Przed egzaminem poradziłam jej, że jeśli nie będzie wiedziała, jak odpowiedzieć na dane pytanie, niech je zignoruje i przejdzie do następnego. Wygląda na to, że postanowiła korzystać z tej rady przy każdym pytaniu, które jej zadam od dziś aż do dnia jej ślubu.

Nienawidziłam się za to, że pozwoliłam mojej córce zmierzyć się samotnie z tym wyzwaniem.

Zawsze dostawała dużo lepsze oceny z zadań domowych, kiedy przy niej siedziałam i delikatnie tylko sugerowałam, że może powinna skreślić tę odpowiedź, a wpisać tamtą. Ilekroć moje dzieci rozpoczynały nowy etap w swoim życiu, byłam przy nich i trzymałam je za rękę. Gdy Molly nauczyła się jeździć na rowerze, jeszcze wiele dni później biegałam za nią, sapiąc i dysząc, mocno chwytając ją w pasie na widok każdego najlżejszego zachwiania kierownicy. Chciałam wszystko robić za swoje

dzieci - usunąć każdą przeszkodę, jaka stanie im na drodze, stoczyć każdą walkę i przyjąć każdy cios. Słyszałam, że samica pelikana wydziobuje mięso z własnej piersi, żeby nakarmić młode, i kiedy się o tym dowiedziałam, ujrzałam w tym zachowaniu odrobinę samej siebie. Ponieważ jednak moje dzieci krzywią się na większość rzeczy, które im podaję do jedzenia, jest raczej mało prawdopodobne, żeby dały się przekonać do przełknięcia surowego ludzkiego mięsa. No, chyba że byłyby to panierowane paluszki z kurczaka w kształcie dinozaurów.

Wypuszczenie dzieci spod skrzydeł i pozwolenie im, by robiły coś beze mnie, wydawało mi się czymś okrutnym. To tak, jakby mi ktoś nagle odciął jakąś część ciała. Gdy każde z mojej trójki przychodziło na świat, ich ojciec uroczyście odcinał pępowinę. Wzruszający i symboliczny moment, ale, moim zdaniem, odbywa się to o wiele za wcześnie. Wiem, że teraz jest taka moda, żeby jak najwcześniej przechodzić na technologię bezprzewodową, ale nic by się nie stało, gdyby zostawiali pępowinę jeszcze na rok, dwa. Domyślam się, że kilka mniej przyjaznych dzieciom restauracji mogłoby się krzywić, że ich klienci muszą patrzeć na splecione wiązki naczyń krwionośnych obleczone skórą i przytwierdzone do niemowlaka raczkującego po podłodze pizzerii. „Nie ruszaj się, Alfie, znów zaczepiłeś się o nogi pana kelnera”.

Sądzę, że właśnie dlatego wymyślono te uprzejme asekuracyjne dla dzieci. Substytut pępowiny. Kupiłam taką Alfiemu, kiedy zaczął chodzić. Wszystkie kupiłyśmy i kiedy tylko znajdowałyśmy się w odległości czterystu metrów od otwartego zbiornika wodnego lub jadącego samochodu, następowało wdrażanie procedury awaryjnej - dzieciom zapinało się szelki na piersiach i przez resztę dnia ciągnęły nas na smyczy niczym rozbrykane spaniele. Coś tu jest stanowczo nie tak. Parki są pełne wielkich i groźnych psów, które biegają luzem, a wszystkie mamy trzymają swoje dzieci na uwięzi. Oczywiście gdy maluch skończy cztery latka, nie da się już go zmusić, żeby chodził w tej krępującej ruchy uprzejmy. Wtedy można kupić w Mothercare specjalną smycz przyczepianą do nadgarstka.

Kilka dni później w przedszkolu organizowano dzień sportu i wszyscy rodzice zebrali się w parku Clapham. Sarah zauważyła w pobliżu dwa duże psy i tak się przestraszyła, że uparła się, aby mały Cameron wystartował w wyścigu z założoną uprzężą, a ona będzie biegła za nim i go asekurowała.

- Och, jestem pewna, że dzieciom nic nie grozi - powiedziała młoda australijska wychowawczyni, ale Sarah pozostała nieugięta i stwierdziła, że absolutnie nie spuści dziecka ze smyczy, skoro po parku biegają takie potwory.

- A jeśli to są te okropne rottweilery? - zapytała, rozglądając się nerwowo po twarzach zebranych. - Biegające dziecko jest dla nich jak królik, one od małego są uczone chwycić ofiarę za gardło. Widzieliście ten artykuł w „Daily Mail”?

„Boże, - pomyślałam. - Czytałam o tym”. Zamieścili duże, kolorowe zdjęcie małego chłopczyka całego w szwach i śladach po zębach. Zaatakowały go jakieś agresywne „diabelskie psy”, jak określiła je gazeta. Obok był rysunek przedstawiający bestię, która rozszarpuje dziecko, a pod spodem artykuł telewizyjnego eksperta do spraw zwierząt, który wyjaśniał, że przecież psy pochodzą od wilków. Przeraziła mnie ta potworna wizja ogromnego zwierzęcia, które wyłania się z lasu i nagle budzi się w nim okrutny instynkt łowcy, kiedy widzi mojego małego Alfiego. On próbuje uciekać, słyszę jego krzyk, ale potwór doskakuje mu do gardła i zaczyna nim rzucać niczym szmacianą lalką.

- Ja chyba też na wszelki wypadek założę Alfiemu uprzęż - powiedziałam.

- Tak, ja też - powiedziała Ffion. - Nie chcę, żeby Gwilym pomyślał, że tylko jego mama nie dba o bezpieczeństwo dziecka.

- Ale nie może tak być, że tylko niektóre matki będą biegły za dziećmi, a inne nie - wtrąciła inna kobieta i zrzuciła buty,

przewidując, że przyjdzie jej wziąć udział w wyścigu. Nie minęło wiele czasu, a wszystkie mamusie ustawiły się za swoimi pociechami, dzierżąc w dłoniach smycze. Wyglądały jak rząd dżokejów z japońskiego kanału telewizyjnego o dziwacznych sportach.

- Do startu... Gotowi... Start! - zawołała skonsternowana wychowawczyni, ale niektóre z mam wypchnęły dzieci do przodu już na dźwięk słowa „gotowi”.

Mały Alfie poruszał się na chwiejnych nóżkach tempem w miarę stałym, a ja starałam się truchtać równo z nim. Smycz okazała się jednak nieco na krótko i musiałam biec z mocno zgiętymi kolanami.

- Śmiało, skarbie, szybciej, szybciej! - dopingowałam syna zza pleców, ale pozostałe matki darły się tak głośno, że i ja w końcu zaczęłam krzyczeć.

Biegliśmy sobie tak, że mogliśmy zająć mniej więcej czwarte miejsce, a jakiś metr przed nami był Gwilym z Ffion. Nagle Gwilym jakby stracił grunt pod nogami, lecz na szczęście jego mama była na miejscu i gwałtownie podrywając smycz w górę, zapobiegła upadkowi. Gwilym mógłby przecież zrobić sobie krzywdę lub - co gorsza - przybiec drugi. Właściwie to dosłownie uniosła go w powietrze, gdzie dyndał przez kilka sekund, podczas gdy ona biegła dalej. Tym samym nagle znaleźli się bardzo blisko prowadzących. Widząc to, kilka co bardziej ambitnych mam również zaczęło używać szelek w celu zmuszenia pociech do szybszego biegu. Już nie truchtały dyskretnie z tyłu, ale ciągnęły swoje dzieci, i to szybciej, niż pozwalały na to ich czteroletnie nóżki. Efekt był taki, że maluchy jakby odbijały się od bieżni, mamy podciągały je w górę, a od czasu do czasu - dla zachowania pozorów - stawiały na trawie ich małe stopki w skórzanych sandałkach. Ponieważ to jednak zwalniało nieco tempo, wkrótce zniknęły wszelkie pozory *fairplay* i matki właściwie same stały się zawodniczkami w wyścigu, unosząc przed sobą zdezorientowane pociechy, które wciąż przebierały nóżkami

w powietrzu mniej więcej pół metra nad ziemią. Zauważyłam, że przygląda się nam jakaś staruszka, która kręci głową i mruży coś pod nosem. Wyglądała na zdumioną i zażenowaną. Pamiętam, że pomyślałam wtedy: „Ech, ci starsi ludzie...”

- Brawo, Gwilym! - powiedziała Ffion, która pierwsza przeniosła uwieszona na uprząży synka wysoko nad linią mety. - Wygrałeś, skarbie!

- To niesprawiedliwe - odezwała się inna matka. - Gdybyś nie podniosła Gwilyma, mój Henry byłby pierwszy!

- Alexander zwykle wszędzie jeździ w wózek. Nadal uważam, że powinniście mi pozwolić pchać go w wózku!

- A może umówimy się tak, że wszystkie dzieci dzisiaj wygrały, dobrze? - zaszcebiotała z nadzieją w głosie australijska wychowawczyni. Był to najgorsze, co mogła zaproponować. Wszystkie matki były co do tego zgodne. To nie wszystkie dzieci wygrały, ich dziecko wygrało. Po dniu sportu już jej nigdy więcej nie spotkałam. Sądzę, że wołała przez jakiś czas trzymać się od nas w pewnej odległości. Na przykład takiej, jaka dzieli Londyn od Australii.

Gdy Gwilym przyjmował nagrodę za wygraną „biegu” na sto metrów, a Ffion wyrażała swoją radość odrobinę głośniej, niż nakazują dobre maniery, ja ukradkiem podeszłam do Sarah, która gorąco oklaskiwała zwycięzcę, jakby już zapomniała, w jakim stylu wygrał.

- Masz już wyniki testu Kirsty? - zapytałam.

- Nie, skąd. Ale, prawdę mówiąc, nie umieram z nerwów.

- Boże ja ledwo to wytrzymuję. To tylko próbny test, a co będzie, jak się odbędzie ten prawdziwy? Molly po prostu musi się dostać do Chelsea, nie ma innej możliwości.

- Och, wszystko będzie dobrze. Ty to masz szczęście. Molly to mądra dziewczynka, nie to, co moja Kirsty, tępa jak młot kowalski! - mówiąc to, Sarah zarechotała jak koń, co wywołało wrażenie, że w ich rodzinie jest to przypadłość dziedziczna.

- Jak ty możesz być taka spokojna? Co zrobisz, jeśli Kirsty nie zda wstępnych?

- Ona w życiu ich nie zda - zaśmiała się.

- To z czego się tak cholernie cieszysz?

Rozejrzała się na prawo i lewo, żeby sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje.

- Mogę ci zdradzić małą tajemnicę? Złożyłam podanie o pracę w administracji Chelsea College i właśnie się dowiedziałam, że mnie przyjęli! -1 rozpostarła ramiona, jakby chciała dodać: „Ta-daa!” albo „Uściskaj mnie!”, ale jeżeli chodziło o to drugie, nie skorzystałam z propozycji.

- Co takiego?

- Nie wiedziałaś? Dzieci pracowników Chelsea College automatycznie dostają tam miejsce. No, są pewne ograniczenia, oczywiście. Nie sądzę, żeby życzili sobie dzieci kucharek wśród uczniów. Ale dla nas to oznacza, że cokolwiek się stanie, Kirsty już jest uczennicą Chelsea! Czyż to nie fantastyczne?

Niedaleko rozległa się wrzawa, ponieważ kolejna grupa dzieci rozpoczęła wyścig. Byłam w szoku. Poczułam wręcz, jak ogarnia mnie fala mdłości.

- Miałam kupę szczęścia, dostali ponad sto zgłoszeń. Oczywiście wszystkie od matek dziesięcio- i jedenastolatków.

- To wspaniała wiadomość, Sarah - uśmiechnęłam się, używając zupełnie nie tych mięśni, co trzeba. - Gratuluję. - Prawda? Oczywiście dla porządku musi przystąpić do egzaminu, pomyślałam więc, że powinna pójść na ten próbny, żeby się oswoić. Ale nieważne, jaką dostanie ocenę, i tak już jest przyjęta.

- Brawo, kochanie, wygrałeś, wygrałeś! - zawołała niedaleko jakaś mama.

Nie zapytałam Sarah, dlaczego nie przyznała się nam, że ubiega się o tę pracę, bo i tak znałam odpowiedź. Doskonale wiedziała, że i ja, i Ffion zrobiłybyśmy to samo. Wszystkim nam przyświecał ten sam cel, ale mimo udawania, że jesteśmy po tej samej stronie barykady, w gruncie rzeczy było dokładnie odwrotnie. Gdy Ffion zaczęła posyłać córkę na prywatne lekcje, które miały ją przygotować do egzaminu do gimna-

zjum, dowiedziałam się o tym dopiero wtedy, gdy Bronwyn wygadała się przypadkowo w rozmowie z Molly, choć stojąc z uchem przyklejonym do drzwi jej pokoju trudno mi było dosłyszeć wszystkie szczegóły.

Gdy później zagadnęłam o to Ffion, oczywiście udawała niesamowicie uczynną, podała wszystkie zamiary i nawet zaoferowała się podwozić Molly. Teraz też, gdy zapytałam, czy nie wie, kiedy możemy spodziewać się wyników, zachowywała się tak życzliwie jak nigdy.

- Masz rację, powinny już być - stwierdziła, przyciskając do piersi świeżo zdobyty dyplom Gwilyma stroną z nazwiskiem do zewnątrz. - Po południu zawożę tam Bronwyn, odbiorę więc wszystkie wyniki i dam wam znać.

- Och, nie trzeba, sama mogę się dowiedzieć, jak poszło Molly. Tak się tylko zastanawiałam, czy już są.

- Ależ nie ma sprawy, on na pewno już poprawił prace, ale wysyłka pocztą trwałaby kilka dni. Przyślę ci e-maila. Skoro już tam będę, równie dobrze mogę odebrać wyniki dla wszystkich.

- Nie, nie. Naprawdę nie trzeba. Nie chcę ci sprawić kłopotu.

- Żaden kłopot. To będzie szalenie interesujące zobaczyć, jak poszło całej reszcie.

- Mamusiu, pierwszy przybiegłem!

- Tak, słonko, wygrałeś, byłeś wspaniały - powiedziała, biorąc swojego małego mistrza na rękę. - Jesteś najlepszym sprinterem w całym przedszkolu!

Nigdy nie potrafiłam zachowywać się asertywnie w obecności Ffion. Może to kwestia gabarytów. Fizycznie różnimy się od siebie diametralnie: ja mała i chuda, a ona wysoka i potężna. Powiedziała kiedyś, że ma grube kości, ale na jej miejscu trochę bym się niepokoiła, dlaczego one tak falują, kiedy wygrywa tego typu wyścigi. Miałam też problem z utrzymaniem kontaktu wzrokowego, ponieważ panicznie się bałam, że nie będę umiała oderwać oczu od ciemnych

włosków rosnących nad jej górną wargą. Może to i ona nosiła spodnie w tym związku, ale jedynym użytkownikiem maszynki do golenia pozostawał nadal Philip.

O szóstej po południu David zajrzał do gabinetu i zastał mnie tam wpatrzoną w pusty ekran komputera.

- Co robisz?

- Sprawdzalam, czy nie przyszedł list od Ffion.

- Ale ty tu siedzisz prawie godzinę. Nie musisz być na miejscu, kiedy przychodzi e-mail. Nikt ci nie zostawi awiza, że masz się po niego zgłosić na jakąś e-pocztę.

- Nie usiedzę spokojnie, dopóki się nie dowiem, jak jej poszło.

Jeszcze raz kliknęłam „Wyślij i odbierz” w nadziei, że serwer się zorientuje, że na dzień worka zapodziała mu się jakaś samotna wiadomość, którą zapomniał dostarczyć, ale zobaczyłam tylko ten sam smutny tekst: „Nie masz nowych wiadomości”.

Wreszcie za kwadrans dziesiąta na ekranie wyświetliła się informacja o nowej poczcie. Właściwie przysły dwie wiadomości, ale pierwszą zignorowałam, ponieważ nie planuję w najbliższym czasie powiększać sobie penisa. Poniżej migotała druga żółta koperta opatrzona szalenie enigmatycznym nagłówkiem: „Wyniki testu - interesujące!”. To słowo mogło wróżyć cokolwiek, chociaż radosny wykrzyknik na końcu oznaczał niewątpliwie, że Bronwyn spisała się na medal. Pierwsze, co mi się rzuciło w oczy, to to, że w nagłówku widniały adresy wszystkich matek, a ja sądziłam, że Ffion prześle mi tylko wyniki Molly. Przewinęłam pośpiesznie ekran i zauważyłam, że nie umieściła ich w treści wiadomości, ale przysłała w formie załącznika. Otworzyłam go. Wiem, wiem, nie obchodzi mnie, że to niebezpieczne, bla, bla, bla, nie obchodzi mnie, czy mój komputer złapie wirusa żółtaczkę typu B, dajcie mi wreszcie spojrzeć na wyniki mojej córki! Jakbym przeczuwała, widząc jej nastrój po egzaminie. Poszło fatalnie. Gorzej, niż w moich najgorszych przypuszczeniach. Kiedy patrzyłam na wyniki, coraz bardziej rzedła mi mina:

we wszystkich testach osiągnęła poniżej 50 %, i ten fatalny wynik z matematyki, z której powinna dostać przynajmniej 80 %, żeby myśleć o dostaniu się do szkoły.

	Jęz. ang.	Myślenie abstrak- cyjne	Matematyka	Średnia
Bronwyn	87 %	88 %	87 %	87 % (wyśmienicie!!)
Eliza	82 %	80 %	74 %	78 % (bardzo obiecujący wynik!)
Henrietta	70 %	58 %	82 %	70 % (świetnie!)
Druscilla	66 %	58 %	67 %	63 % (dobrze!)
Fleur	77 %	59 %	50 %	62 % (nieźle!)
Jemima	66 %	60%	51 %	59 % (całkiem, całkiem!!)
Kirsty	54 %	61 %	39 %	51 % (coraz lepiej!!)
Molly	44 %	49 %	23 % (!)	38 % (poniżej oczekiwań!)

Ponownie spojrzałam na wyniki i moje rozczarowanie ustąpiło miejsca oburzeniu, a w końcu przeszło we wściekłość. Właśnie zdałam sobie sprawę, że imiona dziewczynek zostały ułożone w kolejności od tej „najlepszej” do „najgorszej”. Ffion zadała sobie trud, żeby stworzyć własną miniligę, w której na szczycie tabeli widnieje jej dziecko, a moje na samym końcu. Zaczęłam się trząść ze złości. Jak ona śmie rozsyłać to do wszystkich, żeby pokazać, jaka to jej Bronwyn jest zdolna, a jak słabo poszło Molly?! Boże, nawet Kirsty „Dwa plus dwa równa się dwadzieścia dwa” McDonald poradziła sobie lepiej, a przecież Molly jest od niej dużo mądrzejsza, a już na pewno nie głupsza od Bronwyn. Bo to bardzo inteligentna dziewczynka, tylko troszkę gorzej radzi sobie na egzaminach. Ffion posunęła się nawet do dodania własnych komentarzy Jej córeczka (myślała, że może jesteśmy ciekawi) zdała test „wyśmienicie”, gdy moja - każdy mógł to zobaczyć - wypadła „poniżej oczekiwań”, a jej fatalny wynik z matematyki został

w dodatku opatrzonego wykrzyknikiem. O tak, Ffion, cholernie zabawne, co? Tylko 23%! Aha, pod tekstem było jeszcze postscriptum: „Mogę prosić wszystkich o złożenie się po 1,07 funta na poczet czekoladek, które kupiłam jako nagrodę?”.

Wzięłam kalkulator i policzyłam wyniki Molly. Nie wyszło wcale 38%, lecz 38,66%, ocena powinna być więc zaokrąglona w górę, nie w dół. Średnia Molly wyniosła zatem 39%, a nie 38%. Ffion nie wystarczyło, że umieściła ją na ostatnim miejscu, musiała ją jeszcze oszukać o cały punkt procentowy. Zamknęłam ze złością plik, ale przypomniałam sobie, że David pewnie będzie chciał rzucić okiem, zawołałam go więc.

- I co ty na to? - zapytałam, gdy wpatrywał się w ekran. - Nie zamawiałem środka na powiększenie penisa, to zwykły spam.

- Nie to, niżej. Wyniki testu.

- O Boże, no i jak jej poszło? - Kliknął i zapadła długa cisza. - Cholera. Niech to szlag. Gdzie ona miała głowę? Tylko dwadzieścia trzy procent z matmy! - krzyknął.

- Nie musisz stosować znaków interpunkcyjnych dodanych przez Ffion.

David zauważył łzy kapiące na jego biurko i, obejmując mnie ramieniem, żeby mnie pocieszyć, zręcznym ruchem wytarł słone krople z nieskazitelnego tekowego blatu.

- To tylko próbny test. Dobrze, że to się stało teraz, niż gdyby miała zaważyć prawdziwy egzamin.

- Och, przestań. Ona w życiu nic zdąży w kilka miesięcy nadrobić zaległości.

W odruchu złości miałam ochotę od razu zadzwonić do Ffion i na nią nawrzeszczeć.

- Wściekasz się, bo Molly zaważyła test. Nie odgrywaj się na najlepszej przyjaciółce.

- Ona nie jest moją najlepszą przyjaciółką! Była po prostu pierwszą matką, jaką tu poznałam. Myślisz, że powinnam teraz napisać do wszystkich sprostowanie i wyjaśnić, że Molly dostała trzydzieści dziewięć procent

- Nie, to nic nie zmieni.
 - Skoro Ffion zabiera się do stawiania wykrzykników przy ocenie z matematyki, to powinna wiedzieć, że końcówkę 0,66 zaokrągliła się w górę, a nie w dół. To są podstawowe wiadomości.
 - Zapomnij o tym pół procenta.
 - Ale ona to tak przedstawiła, jakby to był cały procent. Między trzydzieści osiem procent a trzydzieści dziewięć jest cały jeden punkt procentowy, z którego ograbiono naszą córkę. Nie uważasz, że powinnam wysłać wszystkim krótki e-mail i zwrócić na to uwagę?
 - Molly i tak pozostanie najgorsza w grupie.
 - Przepraszam bardzo, ale ja nie uznaję jej metodyki. Kto tu jest od decydowania, kto jest najgorszy?
 - Molly jest najgorsza - uciał twardo David.
 - Z matematyki, owszem, ale tu nie wzięto pod uwagę innych rzeczy Molly jest znacznie lepsza od Bronwyn w... w... W grze na skrzypcach.
 - Super - odrzekł z sarkazmem David. - Będzie najlepszą skrzypaczką w gimnazjum Battersea. Wyobraziłam sobie, jak nasza mała Molly maszeruje do tej okropnej miejskiej szkoły ze skrzypcami w ręku. Tam nie należy nosić takich rzeczy, bo za bardzo zwracasz na siebie uwagę. Bezpieczniej ukryć je w futerale na karabin maszynowy
- Tego wieczoru siedziałam w łóżku, podkreślając co ciekawsze fragmenty Rodziców bez kompleksów, gdy David wyjawiał mi swój plan B.
- Trzeba będzie pomyśleć o St. Jude's.
 - Szkoła z internatem? Nie ma mowy.
 - Mogłaby dostać stypendium muzyczne.
 - Molly pójdzie ze swoimi koleżankami do Chelsea College.
 - Alice, sama mówiłaś, że ona w życiu nie zda egzaminów wstępnych. Będziemy musieli zweryfikować plany, zapisać ją do St. Jude's i niech się skupi na muzyce.

- Gdyby wypić wtedy tę echinacę, dostałaby więcej niż dwadzieścia trzy procent - powiedziałam, a David spojrział na mnie jak na wariatkę. Umieszczenie Molly w szkole z internatem absolutnie nie wchodziło w rachubę. Nie mogłabym znieść myśli, że musiałabym się z nią rozstać, choć nie miałam odwagi podać tego jako powód. Bałam się, że David by mi zarzucił, że własne uczucia przedkładam nad dobro naszej córki.

- Pójdzie do Chelsea. Przecież zawsze tego dla niej pragnęliśmy. To jest najlepsza szkoła. Tam idą wszystkie jej koleżanki i Molly też tam pójdzie.

- A jakim cudem się tam dostanie?

- Coś wymyślę.

- Dobra. To ty myśl, a ja tymczasem idę spać. Rano zadzwonię do St. Judes po informator.

I nagle wszystko utonęło w całkowitej ciemności. Sięgnęłam do szafki przy łóżku i znalazłam coś, żeby zająć ręce, gdy będę się zamartwiała.

- Znowu strzelasz folią?

- Przepraszam, postaram się to robić ciszej.

Wsunęłam pod kołdrę sfatygowaną kopertę z folią bąbelkową i starałam się jak najdelikatniej ścisnąć polietylenowe pęcherzyki.

- Na miłość boską, jak mam zasnąć w tym hałasie? Ciągłe szeleścisz i szeleścisz!

Przestałam. Później z przekory strzeliłam jeszcze raz i mogłam już tylko leżeć, wpatrując się w czarną nicość, jaką jawiła się przyszłość mojej córki.

Stan permanentnego lęku towarzyszy mi, odkąd tylko urodziły się dzieci. Pamiętam, jak któregoś dnia, gdy Molly i Jamie byli jeszcze mali, usłyszałam w radiu audycję na temat prawdopodobieństwa uderzenia o Ziemię asteroidy. Dzieci nie mogły zrozumieć, dlaczego nagle każę im opuścić ogród i wracać do domu. W końcu musiałam się zmusić, żeby przestać zachowywać się tak irracjonalnie, chociaż gdy wybiegały na podwórko kuchennymi drzwiami, nadal wołałam:

„Uważajcie na siebie!" i lękliwie zerkałam w niebo. Gdy David wrócił z pracy, był bardzo ciekawy, dlaczego dzieci pluskają się w brodziku w kaskach.

„Uważajcie na siebie" - to była chyba najczęściej wygłaszana przeze mnie kwestia.

- Mamusiu, możemy iść na zjeżdżalnię?

- Hm... dobrze, ale uważajcie na siebie.

- Mamusiu, możemy poskakać z trampoliny?

- No, nie wiem... Niech będzie, ale uważajcie na siebie. Pewnego razu Jamie huśtał się na szczycie drabinki

na szkolnym placu zabaw, gdy nagle usłyszał donośny głos swojej matki: „Jamie, uważaj!", kiedy przypadkiem tamtędy przejeżdżałam. Biedne dziecko zadarło głowę w niebo, zastanawiając się, czy właśnie przemówił do niego Pan Bóg. Dobrze, nie przejeżdżałam przypadkiem. Nadłożyłam drogi, żeby sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku. Nie mogłam się powstrzymać - ten lęk był we mnie zawsze. Paraliżujące uczucie nieustannej paniki, która trzepocze się wewnątrz mnie i szuka czegoś konkretnego, na czym mogłaby przysiąść.

Lęk ma wiele form. Jeżeli się nie bałam, że coś się przydarzy moim dzieciom, to bałam się, że nic im się nie przydarzy, że skończą jako nieudacznicy i zgorzkniałe wyrzutki społeczne, ponieważ nie zapewniliśmy im możliwie najlepszego startu w życiu. Bałam się, że gdy Jamie wkroczy w okres dojrzewania, zacznie olewać szkołę i będzie się całymi dniami wałęsał po podziemiach metra w towarzystwie innych wykolej eńców, jeżdżąc w górę i w dół po ruchomych schodach i przylepiając gumę do zucia do sutków modelek na billboardach z reklamami biustonoszy. A wszystko dlatego, że nie zapisaliśmy go w porę na lekcje klarnetu. Moje dzieci musiały więc otrzymać najlepsze możliwe wykształcenie, musiały iść do Chelsea College. Widmo Wielkiej Szkoły majaczyło groźnie na niebie niczym te zbliżające się asteroidy Na początku wydawało się tylko odległym punkcikiem, ale wciąż rosło i rosło, aż w końcu zaczęło przesłaniać całe światło i blokować ciepło.

Chciałam szturchnąć Davida, ale nie było potrzeby. On też nie spał.

- Pamiętasz, jak ci opowiadałam o wyścigu w przedszkolu?

- Nie przejmuj się, że Alfie nie wygrał. Gwilym jest od niego pół roku starszy

- Nie o to chodzi. Zresztą to nie Gwilym wygrał, tylko Ffion. Przerzuciła go przez linię mety.

- Myślałem, że wszystkie tak zrobiłyście.

- Tak, ale Ffion była pierwsza, od początku miała więc przewagę.

- Daj spokój. Masz tylko metr pięćdziesiąt pięć wzrostu, byłaś na straconej pozycji.

- Metr pięćdziesiąt osiem. Ale nie, chodzi mi o to, że Gwilym nie wygrał tego biegu sam, jego matka zrobiła to za niego.

- I co w związku z tym?

Zawiesiłam głos dla wzmocnienia efektu, a następnie podzieliłam się z nim pomysłem, który zakiełkował mi w głowie.

- Ja pójdę na ten egzamin. -Co?

- Podam się za Molly i zdam za nią egzamin wstępny. David włączył nocną lampkę. Pod wpływem nagłego

blasku światła zrobił taką minę, jakby był kompletnie dezorientowany i zaskoczony.

- Chyba nie mówisz poważnie?

- Spójrz na mnie. Jestem niska, prawie nie mam biustu, a w zeszłym roku chcieli mi sprzedać w kinie ulgowy bilet. W Chelsea College nikt nie zna Molly. Jeśli trochę popracuję nad swoim wyglądem, będę mogła usiąść na sali z innymi dziećmi, podpisać się na kartce za Molly, postarać się, żeby uzyskała sto procent z testu i tym samym zagwarantować jej miejsce w najlepszej szkole w Londynie. Była czwarta trzydzieści i hałas pierwszego porannego jumbo jeta wdzierał się w ciszę nocy.

- To się nigdy nie uda. Kochanie, mogłabyś uchodzić za dwudziestokilkulatkę, ale jedenastoletnie dziecko?

- A taka Henrietta z jej klasy? Jest ode mnie wyższa i w dodatku ma większy biust. Przezywają ją krową. Ona też będzie na sali, podobnie jak setki innych dzieciaków różnego wzrostu i postury. Jeśli nasunę na oczy bejsbolówkę i założę odpowiednie ciuchy, kto się zorientuje?

David zamilkł na chwilę, bo samolot wykonywał gwałtowny skręt, ponieważ pilot właśnie się zorientował, że nie leci dokładnie nad naszą sypialnią.

- Ale co powiemy Molly?

- Może napisać test w domu. Powiemy jej, że na sali zabrakło miejsca albo coś takiego. To akurat najmniejszy problem. - Sam nie wiem. To dosyć desperacki krok.

- Nie bardziej niż chodzenie do kościoła tylko po to, żeby się dostać do szkoły wyznaniowej albo podanie fałszywego adresu, żeby skorzystać z puli rejonizacyjnej.

- Owszem, bardziej.

- No dobrze, może trochę. Ale musimy robić to, co uważamy za najlepsze dla naszych dzieci. Przecież nikogo nie okradamy i tak będziemy im płacić tysiące funtów czesnego rocznie.

Samolot znajdował się dokładnie nad naszym domem. Chyba zmieniał bieg czy coś w tym rodzaju, bo dźwięk nagle przeniósł się na wyższe tony.

- Cóż, racja - zamyślił się David. - A Molly będzie cennym nabytkiem dla szkoły.

- Bardzo cennym. Może nawet zostanie pierwszą skrzypaczką w szkolnej orkiestrze. I właśnie dlatego, że jest inteligentna - podkreśliłam.

- Bardzo inteligentna.

- Tylko troszkę gorzej jej idzie na egzaminach.

- A w tym Chelsea College akurat może jej pomóc, kiedy już się tam dostanie - powiedział David.

Hałas na niebie powoli zanikał, ale w oddali już było słyhać narastający gwizd kolejnego odrzutowca.

Barney Trovers MGS

Zaprzyjaźnij się ze swoim lękiem

Sunrise Books

Cena: 6,99£

Czy zdążyłeś się już zaprzyjaźnić ze swoimi lękami? Nie??? To dziwne, bo towarzyszą ci one przez większą część życia!!! Nie sądzisz, że trochę niegrzecznie jest ignorować je w ten sposób? Może należy jednak poznać je trochę lepiej, dowiedzieć się, kim są? „ Cześć, lęku przed porażką, jestem Barney jak się masz? ”, „ Cześć, lęku przed wstydem, dlaczego nie pozwalasz mi robić tylu rzeczy? ” Wiesz co? O mały włos, a w ogóle bym tej książki nie napisał, ponieważ się bałem, że zostanie odebrana jako irytujący bełkot, ale POSTANOWIŁEM SIĘ Z TYM LĘKIEM ZAPRZYJAŹNIĆ i oto spójrz - właśnie trzymasz ją w dłoni!!!

3

Jest wtorkowy poranek w lutym na początku lat osiemdziesiątych. Mam trzynaście lat i siedzę w pierwszej ławce w środkowym rzędzie. Przedpotopowe, wypaczone meble pochodzą jeszcze z czasów, gdy używano tabliczek z rysikami i stosowano kary cielesne: siedzisko i oparcie z ciemnego drewna jest połączone z biurkiem z opuszczanym blatem, na którym całe pokolenia dziewcząt wyryły swoje inicjały lub na zawsze uwieczniły imiona chłopców, których w danym tygodniu darzyły uczuciem. Wciąż jest tam otwór na kałamarz, ale ceramiczne naczynie wypełniają teraz stare ostrużyny z ołówka.

Trwa właśnie lekcja najbardziej znienawidzonego przeze mnie przedmiotu. Panna Torrance - stara i gruba, ubrana w beżowy tweed, z wielkimi pierścieniami na każdym palcu poza tym najważniejszym, obdarzona wybuchowym temperamentem, który potrafi eksplodować pod byle jakim pretekstem. Mieszam ołówkiem w zakurzonego kałamarzu. Chce mi się siusiu, ale do przerwy zostało jeszcze dziesięć minut, a boję się ryzykować, że spowoduję gniew nauczycielki.

- Tamaro, podaj liczbę dziewięć w systemie dwójkowym.

- Jeden, zero, zero, jeden.

- Dobrze.

- Susan, podaj liczbę dwanaście w systemie dwójkowym.

- Jeden, zero, zero, zero.

- Dobrze.

„O czym one mówią?” - myślę.

- Jennifer, jak będzie dwadzieścia cztery?

- Jeden, jeden, zero, zero.

- Baran!

Słyszac słowo „baran”, Jennifer wie, że musi wstać i pozostać w tej pozycji, dopóki nie udzieli prawidłowej odpowiedzi. Jeżeli drugi raz także odpowie źle, zostaje „kozą” i musi stanąć na siedzisku. Trzy niepoprawne odpowiedzi i delikwentka staje się „kozłem”, wtedy musi stanąć na ławce, dopóki właściwa odpowiedź nie sprowadzi jej z powrotem na dół. Panna Torrance uważa, że to uatrakcyjnia lekcję, chce w ten sposób pokazać, że ma osobowość.

Pięć minut później znajduję się wśród pół tuzina dziewcząt stojących przy ławkach. Wiem, że moja odpowiedź była błędna, ale uznałam, że będzie lepsza niż powiedzenie prawdy, która brzmi: „Nie mam zielonego pojęcia, o czym pani mówiła przez całą lekcję”. Przeszuję z nogi na nogę. Odkąd stoję, jeszcze bardziej chce mi się sikać. Ta potrzeba zaczyna przesłaniać wszystko inne, tymczasem panna Torrance coraz szybciej wyrzuca z siebie kolejne pytania, a w klasie rozlegają się chichoty towarzyszące ciągiemu schodzeniu i wchodzeniu na ławki.

- Jennifer, ile to będzie czternaście w systemie dwójkowym?

- Jeden, jeden, zero.

- Koza!

Jennifer bez wahania wstaje. Zawsze dociera do tego etapu, ale nigdy jeszcze nie została kozłem - za chwilę odpowiednio łatwe pytanie sprowadzi ją z powrotem do parteru.

- Alice, jak podamy liczbę czternaście w systemie dwójkowym?

Zaskoczyła mnie. Miałam nadzieję, że jak będę unikać jej wzroku, to może mnie nie zauważy, stoję przecież w samym środku klasy

- Yyyy... Jeden, zero, jeden, zero - wypowiadam na chybił trafił kilka słów w tym obcym dla mnie języku, którym inni zdają się władać tak płynnie.

- Koza!

Wspinam się na siedzenie. Teraz czuję już naprawdę duży dyskomfort. To przychodzi falami, nawet boli, ale staram się nie wiercić w sposób zanadto widoczny. Wtedy następuje bezprecedensowe złamanie niepisanych reguł narzuconych przez pannę Torrance. Zadaje mi pytanie drugi raz z rzędu.

- Kozioł! - krzyczy wraz z nauczycielką grupka jej pupilek i jako jedyna w klasie stoję teraz na ławce, górując nad głowami koleżanek, które, udzielając kolejno poprawnych odpowiedzi, odzyskują godność i siadają na swoich miejscach.

.Wyobraź sobie pustynię - powtarzam w myślach. -Wyschniętą pustynię, gdzie w promieniu wielu kilometrów nie ma wody, ale oto ukazuje się fatamorgana z kaskadą wodospadu, który zamienia się w strumień wody spuszczonej w toalecie, w świętym, prywatnym sanktuarium, gdzie są drzwi zamykane na klucz i miejsce, na którym można usiąść i dać upust naglącej potrzebie. Wyobraź sobie kurz i pył, piasek, powietrze, białą, okrągłą deskę sedesową... Nie, nie, wyrzuć to z głowy!"

- Cóż, Alice, zostałam dzisiaj naszym kozłem - mówi w końcu panna Torrance. - Ale mam dla ciebie, myślę, coś łatwego...

Ja jednak nawet nie słyszę jej pytania, mogę jedynie przybrać skupiony wyraz twarzy, udawać, że się zastanawiam nad odpowiedzią, a tymczasem myślę tylko o tym, że muszę się natychmiast wysikać. Lekcja, proszę, skończ się. Dzwonku, zadzwoń... Wskazówka minutowa na zegarze wciąż jednak znajduje się w tym samym miejscu, co poprzednie dwa razy, gdy na niego zerkałam. Cisza. Wszystkie twarze w klasie wpatrują się we mnie.

- Czy mogę wyjść do toalety?

- O, moja panno, nie wywiniesz się tak łatwo!

- Śmiało, Alice, dasz radę - słyszę czyjś przyjazny szept.

- Alice, czy do ciebie cokolwiek dotarło z tego, co mówiłyśmy dziś na lekcji?

- Tak, proszę pani. - Trudno brzmieć wiarygodnie, gdy się stoi ponad głową nauczycielki w strachu, że się za chwilę obsika całą klasę.

- No więc, jak wygląda liczba cztery w systemie dwójkowym?

- Alice, powiedz, przecież wiesz - zachęca inny szept.

Wszystkie twarze są zwrócone na mnie, wszystkie koleżanki dopingują mnie myślami. Intensywnie analizuję każde słowo, z których składa się to pytanie, i powoli powtarzam je sobie w myślach, ale to czynność zupełnie bezcelowa -to tak, jakbym się zastanawiała: „Co... to... jest... tra la la la, bum-cyk-cyk?”, mając nadzieję, że odpowiedź sama się nasunie.

- No więc?

- Przepraszam, czy mogłaby pani powtórzyć?

- Przecież to są podstawowe wiadomości. No? Jak będzie cztery?

Muszę coś powiedzieć. Czuję ogromne ciśnienie, napiera mi na pęcherz, uciska i gniecie. „Alice, wymyśl coś, cokolwiek!”

- Jeden, jeden, jeden, jeden.

Chyba inteligentnie to wykombinowałam. Cztery jedyńki dają w sumie cztery, tego jestem pewna. Mam nadzieję, że trafiłam.

- NIE! - grzmi z niedowierzaniem panna Torrance. - NIE! NIE! NIE! NIE! To przecież piętnaście!

- No tak.

- Rozumiesz, dlaczego cztery jedyńki oznaczają piętnaście?

- Yyyy... Tak.

- A więc jak będzie cztery?

- Ach, cztery? - powtarzam, jakby dotąd nie wyraziła się jasno.

- Owszem, cztery

Cisza. Stojąc na ławce, z wysokości trzech metrów widzę czubek jej głowy Przez szklane drzwi widzę także korytarz, gdzie zaledwie parę metrów dalej czeka na mnie wybawienie w postaci ubikacji. Moje

gołe, chude nóżki znajdują się na wysokości twarzy koleżanek. Białe skarpetki w czarnych bucikach nerwowo przestępują z miejsca na miejsce. Mam wrażenie, jakby to trwało wieczność, chociaż przypuszczam, że stałam tak w milczeniu przed całą klasą piętnaście, może dwadzieścia sekund. W pierwszej chwili jestem zaskoczona, jak ciepła jest ta ciecz, która spływa mi po nodze i jak szybko ścieka w dół po wewnętrznej stronie ud, następnie łydek, a w końcu wsiąka w skarpetki i napęnia buty. Zaskakuje mnie też jej ilość - płynie nieprzerwanie, formując kilka wartkich strumyków, które docierają do krawędzi ławki i skapują na zakurzoną podłogę, tworząc kałużę, a kilka kropli odbija się od blatu i pryska na tweedowy zakiet panny Torrance.

Trochę trwało, zanim się zorientowała, co się dzieje, zanim zrozumiała, dlaczego siedzące najbliżej mnie dziewczęta krzyczą „Błeee!” i gwałtownie odskakują na boki. Upomniała je ostro, żeby się uciszyły i usiadły na miejsca, nieświadoma, że na jej zakiecie pojawiają się małe, wilgotne plamki. Panna Torrance nigdy mi nie powiedziała, jak wygląda liczba cztery w systemie dwójkowym. Nigdy więcej też nie założyła tego zakietu. Ale przynajmniej po tym zdarzeniu skończyła się „zabawa” w barany, kozy i kozły.

Większość koleżanek z klasy nosiła w klapie mundurka odznaki za wybitne osiągnięcia w różnych dziedzinach - występy w chórze, grę w koszykówkę, dyżury w bibliotece. Okazało się, że nie przewidziano plakietki za obsikanie nauczyciela matematyki. Oczywiście to wszystko wywołało u mnie ogromny uraz i przez jakiś czas nie chodziłam do szkoły, ale w końcu nawet najgorsza rzecz, jaka się dziecku może w życiu przytrafić, odeszła w niepamięć. Później nawet udało mi się zostać przewodniczącą klasy, zdobyć kilka nagród za działalność w klubie dyskusyjnym i zagrać główną rolę w szkolnym przedstawieniu. Życie toczyło się dalej. Zerknęłam na wątek o mojej szkole na forum internetowym *Absolwenci*. Ktoś napisał: „Nie wiecie, co się stało z Alice Siuśmajtka?”

- O, *Absolwenci* - powiedział David, spoglądając mi przez ramię. - Jesteś zalogowana?
- Nie, nie mam nastroju na sentymentalne wynurzenia czterdziestolatków przechodzących kryzys wieku średniego - odparłam, pospiesznie wyłączając komputer. Tego dnia położenie dzieci do łóżek nastąpiło więcej trudności niż zwykle, zwlokłam się więc zza biurka i opadłam na sofę. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, jak jestem zmęczona po wczorajszej nieprzespanej nocy, kiedy to debatowaliśmy nad przyszłością naszej córki. Zaczęłam przerzucać kanały w telewizorze i natrafiłam na program o młodym małżeństwie, które porzuca stresujące życie w północnym Londynie i zakłada ekologiczną plantację oliwek w Toskanii. Ciekawe, czy plantatorzy oliwek oglądają programy o ludziach, którzy postanowili zostać zaangażowanymi rodzicami z wielkiej metropolii, którzy trąbią, stojąc w korku, bo już są spóźnieni z córką na lekcję szkockich tańców ludowych? Wydałam z siebie ciężkie, przeciągłe westchnienie, zrzuciłam buty, powierciłam się trochę, żeby znaleźć jak najwygodniejszą pozycję i uniosłam do spragnionych ust duży kieliszek schłodzonego białego wina. Tyle że on tam nie dotarł. Kontynuował swój lot po łuku, ponieważ David zgrabnym ruchem wyjął mi go z dłoni i odstawił na stół.
- Obawiam się, młoda damo, że na razie nici z wina. Czeka cię trochę pracy.
- Co? Chyba żartujesz. Oddaj kieliszek!
- Nie możesz zasiąść do testu po wypiciu alkoholu. To źle wpłynie na wynik. Napijesz się, jak skończysz. To będzie twoja nagroda.
- Davidzie, nie traktuj mnie jak dziecko. Mam ochotę napić się wina i to zaraz!
- Najpierw rozwiążesz test z matematyki. Do roboty, papiery czekają na biurku. Tudzież szklanka mleka i kilka herbatników.
- Dlaczego jest tak, że ilekroć wymyślłam jakiś plan, mój mąż musi się do niego zapalić bardziej niż ja?
Dlaczego nie po-

ślubiłam jednego z tych cudownych mężczyzn, na których kompletnie nie można polegać i którzy nie interesują się swoją żoną ani dziećmi?

- Jutro to zrobię - mruknęłam nadąsana.

- Nie, jutro będziemy testować myślenie abstrakcyjne. Opracowałem ci harmonogram powtórek.

Podstawił mi pod nos kartkę z tabelą, jak gdyby chodziło tu o jakąś siłę wyższą, z którą żadne z nas nie ma prawa dyskutować.

- Zbieraj się. Jeżeli mamy to zrobić, musimy to zrobić dobrze. Wszystkie dzieci, które przyjdą na ten egzamin, będą miały za sobą kilka lat przygotowań, korepetycji i tak dalej. Nie możesz zakładać, że umiesz więcej tylko dlatego, że jesteś dorosła. Matematykę ostatni raz zdawałaś dwadzieścia lat temu. To chyba nie był najważniejszy moment, aby przypomnieć mojemu mężowi, że w końcu tego egzaminu nie zdałam. Próbowałam dwa razy i dałam sobie spokój. Nawet dzisiaj regularnie zdarza mi się nastawić magnetowid na 18.30 i dlatego nie udaje mi się nagrać programu, który się zaczyna o wpół do dziewiątej.

- Cóż, chciałam tylko posiedzieć dziesięć minut w spokoju, ale skoro tak, mogę zacząć od razu - podniosłam się z sofy. - Mam trzydzieści sześć lat, sądzę jednak, że okażę się trochę mądrzejsza od przeciętnej jedenastolatki...

Biurko Davida zostało starannie wysprzątane. Biała kartka z testem, w której odbijało się ostre światło lampki, spoglądała na mnie, leżąc obok świeżo zatemperowanego ołówka. Na biurku stał też budzik, który trochę za głośno tykał.

- Staralem się stworzyć jak najbardziej realistyczne warunki. Tylko pamiętaj, dwa razy sprawdź każdą odpowiedź - powiedział David. -1 zapisz wszystkie działania.

- Wiem, wiem - uciełam.

- A jak utkniesz na jakimś pytaniu, przejdź dalej i jeśli starczy czasu, wróć do niego.

- Mam dość. Wycofuję się! Jeżeli zamierzasz traktować mnie jak małe dziecko i wykorzystać tę sytuację, żeby pokazać, jaki jesteś ważny, to zrobię te testy, kiedy będę chciała.

- Ale to samo mówisz Molly...

- Molly ma jedenaście lat.

- I ty też, kochanie. Musisz chodzić, mówić, pisać i nawet wiercić się jak jedenastoletka. No, rozwiąż ten test, a kupię ci płytę Avril Lavigne.

Przeczytałam pierwsze pytanie i zdziwiłam się, że jest takie łatwe. Zamiana ułamków na liczby dziesiętne... Pamiętam, jak przerabiałam to z Molly. to będzie na pewno 0,01, szybko wpisałam więc do rubryki odpowiedź i dosłyszałam za plecami pełne uznania chrząknięcie.

- Davidzie, mógłbyś zamknąć drzwi?

David pchnął je, a ja nie odwracając się, dodałam:

- Z drugiej strony.

Czasem się zastanawiam, jakim cudem współpracujący małżonkowie mogą do czegośkolwiek dojść. Czy Hilary Clinton naprawdę sądziła, że można było zreformować politykę zdrowotną Stanów Zjednoczonych, kiedy prezydentem był jej mąż?

- Bill, czytałeś mój wstępny projekt reformy służby zdrowia?

- Nie musisz tego mówić tym tonem.

- Nie mówię żadnym tonem, tylko pytam, czy zechciałeś łaskawie na niego spojrzeć.

- Łaskawie? Twierdzisz więc, że się objam, tak? Tylko dlatego, że zapomniałem o naszej rocznicy, bo wypadła, kiedy dokonywaliśmy inwazji na Somalię?

Zawzięłam się i postanowiłam, że nie popełnię ani jednego błędu. David nie będzie miał nad czym cmokać i kręcić głową z politowaniem. Mój mąż uważał się za coś w rodzaju intelektualisty. Ilekroć oglądał *University Challenge* albo *Mastermind**, najczęściej udzielał złych odpowiedzi, ale i tak **Tytuły teleturniejów emitowanych w brytyjskiej telewizji.**

był z siebie dumny, ponieważ mylił się tych samych pytaniach, co ci superbystrzy uczestnicy. Tego wieczoru nie dam mu okazji do zadzierania nosa. Poprawi mój test i z wielkim ociąganiem powie: „Brawo. Maksymalna liczba punktów”, usiłując jednocześnie przypomnieć sobie, dlaczego właściwie dręczy go niejasne uczucie rozczarowania. Skończyłam ułamki i przeszłam do następnej części. „Uzupełnij ciąg liczb: 2, 3, 5, 7, 11, 13, 17...?” Dobra, to nie od razu rzuca się w oczy, ale rozwiązanie bywa zwykle dość proste - wystarczy odkryć zasadę. Zobaczmy... Pierwsza liczba zwiększa się o jeden, dwie następne o dwa... Aha, już widzę, teraz trzy kolejne będą się zwiększać o trzy, nie mylę się? Cholera, źle. To musi być coś innego... Jeszcze raz przeczytałam pytanie, żeby się upewnić, czy nie przeoczyłam czegoś oczywistego.

Mam: 2 plus 3 daje 5. Jeśli więc zsumuję 3 i 5, powinna mi wyjść następna liczba ciągu, którą jest... Cholera, 7. Powinno być 8, musieli się pomylić w druku...

Miałam wrażenie, że za każdym razem, kiedy staram się wsłuchać we własne myśli, w innej części mózgu uruchamia się alarm samochodowy, no i po dziesięciu minutach wciąż gapiłam się tępo na cyferki, aż w końcu zaczęły mi się zlewać w nic nieznaczące kształty

Wrrr... to niesprawiedliwe. Byłam wściekła, że muszę tu ślęczeć i odrabiać jakieś nadprogramowe zadania z matematyki. Jedną ręką podpierałam głowę, a druga spoczywała bezwładnie na biurku.

Jęknęłam przeciągle, przeczesałam palcami włosy i zauważyłam spadające na papier drobinki łupieżu.

Fuj, skąd on się wziął? Na ubraniu nic nie było, ale kiedy energicznie podrapałam się w głowę, nasypało się tego jeszcze więcej. Przysunęłam lampkę, żeby się lepiej przyjrzeć, i zwijając kartkę w rulonik, wysypałam wszystko na biurko. Znalazło się tam też kilka włosów, w tym jeden zupełnie biały. Nie dość, że siwieję, to jeszcze te siwe włosy mi wypadają. Niedługo zamienię się w jedną z tych staruszek

o cienkich, białych włoskach, spod których prześwituje różowy placek skóry. Jeszcze tylko powinnam sobie kupić kraciasty wózek na zakupy i wypchać go bochenkami krojonego chleba z przeceny, które później wyrzucę na skraju parku, żeby wszystkie gołębie mogły się najeść.

- Minęło dwadzieścia minut! - zawołał David. - Powinnaś już robić drugą część!

- Dziękuję, kochanie! - odkrzyknęłam, pokazując mu figę przez drzwi. Szybko strzepnęłam na ziemię fascynujące odpadki z mojej głowy i wróciłam do zadań. Zostało mi jeszcze mnóstwo do zrobienia. Nie dotarłam nawet do połowy pierwszej części. Zostawiłam ten głupi ciąg liczb z ewidentną pomyłką w druku i przesłam do łatwych procentów. „Jeśli Simon ma 7 jabłek, Peter 6, a Jennifer 11, to jaki procent wszystkich jabłek ma Peter?” Bułka z masłem. Wszystkich jabłek jest 24, a Peter ma 6, żeby więc obliczyć wartość procentową, trzeba to pomnożyć przez 24 i podzielić przez 100, co nam daje... 1,44 %. Hm..., chyba coś nie tak. Ach, pewnie trzeba odwrotnie: 24 podzielić przez 6, razy 100, i wyjdzie nam... 400. Peter ma 400 % ze wszystkich 24 jabłek. Sprawa robiła się poważna. Przecież ja zawałę ten test. Nie chodziło mi o egzamin, który miałam zdawać za Molly - dziwne, ale wydawał mi się on jeszcze zbyt odległy, żeby już teraz się denerwować. To przewidywalna reakcja Davida na moją dzisiejszą klęskę nie dawała mi spokoju. Perspektywa wysłuchiwanie do północy cierpliwych tłumaczeń, co i gdzie źle zrobiłam, ten ton głosu, jakim powie: „To ty nawet nie umiesz policzyć procentów?” ... Musiałam się postarać, choćby po to, żeby uniknąć skazania na dożywocie za zamordowanie własnego męża i nie zostawić dzieci na pastwę opieki społecznej, gdy sama będę spędzać resztę życia w więzieniu Holloway, pisząc obsceniczne listy miłosne do piłkarzy z pierwszej ligi. Następne zadanie wydało mi się kompletnie niezrozumiałe. Wpadłam w panikę. Może ja mam dyskalkulię? Albo arytmofobię? Kiedy niedawno byliśmy z Ffion i Sarah na lun-

chu w Mange Tooting, położono przede mną rachunek, który miałam podzielić na trzy. No i wpatrywałam się w niego dłuższą chwilę, aż w końcu powiedziałam: „Wiecie co, ja dzisiaj stawiam... Nie, nie, wy płaciliście za parking”. Nie powiem, żeby Ffion szczególnie protestowała.

W moim umyśle panował potworny bałagan i chaos -gorzej niż u nas na strychu. Kiedyś dokładnie wiedziałam, co gdzie leży, a teraz zgromadziły się tam sterty bezużytecznych śmieci i nic nie można znaleźć. Umysł Davida był taki jak jego gabinet: metodyczny i uporządkowany. Rozejrzałam się wokół i uderzyła mnie myśl, że jako podłotek nawet nie śniłam, że poślubię faceta, który na noc zakłada foliowy pokrowiec na komputer. Na biurku miał pudełko z przegródkami, które pomagało mu utrzymywać jeszcze większy porządek. Jego płyty CD leżały każda w swoim pudełku, a kalendarz z wyrywaniem kartkami naprawdę pokazywał aktualną datę. Była tam też figurka z magnesami do spinaczy ustawiona w równej linii z podajnikiem taśmy klejącej i kieszonkowym kalkulatorem. Kalkulator!

Leżał i kusił, żeby go włączyć. Mogłabym właściwie sprawdzić te kilka odpowiedzi, co do których i tak jestem pewna. „Nie bądź żalosna” - powiedziałam do siebie. Ten sprawdzian jest po to, żeby stwierdzić, jak dużo pracy czeka mnie jeszcze do końca przyszłego miesiąca, kiedy zaczynają się egzaminy wstępne. Jeśli dziś będę oszukiwać, to tylko stracę czas. Zresztą, znając przezorność Davida, pewnie na wszelki wypadek wyjął baterie. Prawdę mówiąc, wkurzyła mnie ta myśl: że też tak mało mi ufa. Z ciekawości nacisnęłam przycisk „ON”. Zamigotała cyferka 0, uświadamiając mi, że taki właśnie może być wynik mojego testu. Dwukrotnie przeliczyłam ostatnie zadanie i wyszło mi, że jest dobrze. Nic złego więc się nie stało. Później okazało się jednak, że na wcześniejsze pytanie odpowiedziałam źle. Zamieniłam więc wynik na poprawny, bo doszłam do wniosku, że bez sensu jest wpisywać odpowiedzi, o której wiadomo, że jest zła.

Następnie kalkulator powiedział mi, że wynik pierwszego zadania z drugiej części to 147. Dowiedziałam się też, że w zadaniu siódmym średnia liczba spinaczy do bielizny wynosi 93. Policzyłam, że 6 z 24 to jest 25 %. Pierwiastek kwadratowy ze 196 wynosi 14. Lunch w Mange Tooting wyszedłby po 13,17 funta na głowę. Przeleciałam wszystkie trzy części, nadrabiając stracony czas. Pozostało wprawdzie kilka zadań, których nie umiałabym rozwikłać, nawet używając kalkulatora, ale większość dała się wyliczyć od razu. Miałam więc jeszcze dwadzieścia minut na wykombinowanie, że ten nieszczęsny ciąg liczb, nad którym się tak głowiłam, łączy jedna wspólna cecha - są to oczywiście liczby pierwsze. Następne będą więc 19 i 23. Przepelniona dumą zdołałam samodzielnie rozgryźć ostatnie nieruszone jeszcze zadania. Udało się. Skończyłam pisać w wyznaczonym czasie i w dodatku miałam wrażenie, że całkiem nieźle mi poszło. Wzięłam do ręki kalkulator, żeby go wyłączyć. Był to rozbudowany model z mnóstwem skomplikowanych funkcji, których zastosowania nawet nie znałam. Na jednym z przycisków było napisane „sin”, nacisnęłam go więc z ciekawości, czy na wyświetlaczu pojawi się „repent”*.

- Czas minął! - zawołał David, wpadając do gabinetu. Pisnęłam zaskoczona i szybko nakryłam kalkulator ręką.

Zrobiłam to tak energicznie, że przesunął się na sam brzeg biurka i na pewno by spadł, gdybym go mocno nie przycisnęła do krawędzi.

- Ale mnie wystraszyłeś. Aż podskoczyłam! - Nie mogłam ruszyć ręką, bo kalkulator zleciałby z hukiem na podłogę.

- No to zobaczymy, jak ci poszło - powiedział David.

- Świetny pomysł - odparłam bez jednego drgnięcia i uśmiechnęłam się do męża.

- To dziwne. - Spojrzał na swoje idealnie uporządkowane biurko. - Coś tu nie gra.

Sin - ang. 'grzech, grzeszyć', repent - ang. 'żałować za grzechy, okazywać skruchę'.

Między magnesem na spinacze a podajnikiem na taśmę klejącą zionęła wielka pustka. Nie miałam siły dłużej przytrzymać kalkulatora.

- Skończyła mi się taśma w podajniku. Kiedy to się stało? Zabrał mi przed nosa arkusz z testem i wyszedł

do kuchni. Odetchnęłam z ulgą i odłożyłam kalkulator. I wtedy mój wzrok spoczął w miejscu, gdzie leżała odsłonięta następna kartka w pliku: „Tylko dla rodziców: Rozwiązania zadań z Części I”.

- Gratulacje! Świetny rezultat! - wykrzyknął David, wchodząc do salonu, gdzie opróżniałam właśnie kieliszek wina, który mi wcześniej brutalnie odebrano. - Zdobyłaś dziewięćdziesiąt jeden procent za pierwszym podejściem, a mówiłaś, że matmy boisz się najbardziej!

- E tam - mruknęłam. Wstałam i poszłam nalać sobie następną porcję, żeby tylko nie patrzeć mu w oczy i nie zdradzić się ze swoim postępkiem.

- Co ty, nie cieszysz się? - spytał zbity z tropu.

- Cieszę. Super. Gdzie ta butelka?

- Alice, właśnie zdobyłaś tyle punktów, ile pozwoli naszej córce dostać się do Chelsea, a wyglądasz na zawiedzioną.

- Nie, jestem tylko zmęczona.

To była prawda, ale w głębi duszy czułam złość. Ci dranie mieli rację. Sama siebie oszukuję. No i wkurzało mnie też święte przekonanie Davida, że to wszystko to będzie dla mnie pestka.

- Sporo odpowiedzi zgadywałam. Pewnie miałam szczęście.

- Co? Zgadłaś, że pierwiastek ze stu dziewięćdziesięciu sześciu to czternaście? Daj spokój, świetnie się spisałaś. Spokojnie zdasz ten egzamin.

- Wcale nie spokojnie, rozumiesz? - warknęłam. - To nie jest takie proste, jak ci się wydaje! Nie masz pojęcia, jaka to presja, cała odpowiedzialność będzie spoczywać na moich barkach. I tak wystarczająco trudno jest być dobrą matką bez

pisania jakichś durnych testów z matematyki, żeby zapewnić przyszłość dzieciom! Jakby mało było w życiu innych egzaminów, na których nie trzeba nerwowo sprawdzać, czy osiem dwunastych wyrażone w procentach to jest na pewno siedem-dziesiąt-kurwa-pięć, bo jeden mały błąd może zrujnować całe życie mojej córki!

- Sześćdziesiąt sześć. -Co?

- Osiem dwunastych to inaczej dwie trzecie, czyli 66,666 i tak dalej. Na pewno napisałaś dobrze, gdybyś to sprawdziła... - mruknął David i natychmiast zrozumiał, że to nie jest najlepszy moment, aby robić uwagi na temat moich umiejętności liczenia w pamięci.

- Tego już za wiele! Rezygnuję! Sam sobie idź na ten egzamin. Załóż różową bluzeczkę, blond perukę i udawaj jedenastoletnią dziewczynkę, skoro jesteś tak cholernie świetny z matmy

- Ale ja mam metr dziewięćdziesiąt.

- Niech będzie, że jest wysoka jak na swój wiek. -1 wąsy

- To co? Ffion też. Gównu mnie to obchodzi, wycofuję się! Nie dam rady, nic z tego nie będzie.

Powiedziałam, że idę do wypożyczalni oddać kasetę Alfiego, chociaż nie bardzo wiem, dlaczego musiałam przy tym tak mocno trzasnąć drzwiami. Już na zewnątrz zorientowałam się, że nie wzięłam kluczyków do samochodu. Nie miałam ochoty wracać i znowu znosić tego radosnego optymizmu Davida, postanowiłam więc iść pieszo. Mieszkaliśmy zaledwie pięć minut od głównej ulicy, a piętnaście, gdybyście chcieli jechać samochodem, ale nagle dotarło do mnie, że jeszcze nigdy po zmroku nie pokonywałam tego dystansu na własnych nogach. Stawiając pierwsze, energiczne kroki między żywopłotem a zaparkowanymi samochodami, uświadomiłam sobie, że to nie zwykłe lenistwo kazało mi uruchamiać land rovera za każdym razem, gdy chciałam kupić głupie mleko.

To był strach. Bałam się chodzić wieczorem po mojej własnej ulicy.

„Zaprzyjajnij się ze swoim lękiem”, powtarzałam sobie, pospiesznie mijając podejrzenie wyglądające kubły na śmieci, w których, jak się okazało ku mojej wielkiej uldze, nie krył się żaden oprych gotów wyskoczyć i mnie napaść. „Zaprzyjajnij się ze swoim lękiem”. Dlaczego moje buty muszą robić tyle

hałasu? Gorączkowy stukot obcasów zdawał się obwieszczać: „Samotna, dobrze sytuowana kobieta zabiera na wieczorny spacer telefon komórkowy i wypchany portfel. Prawdopodobnie nosi też Rolex. Serdecznie zapraszamy”. W broszurce wydawanej przez miejscowe pogotowie sąsiedzkie czytałam niedawno, że ostatni mieszkaniec tej okolicy, któremu skradziono aktówkę, zdołał zrobić uciekającym bandytom zdjęcie swoim nowym telefonem komórkowym. Pomyślałam, że to dosyć budująca wiadomość, dopóki nie przeczytałam dalej, że rabusie wrócili i gwizdnęli mu ten telefon. Przyciskałam mocno do piersi cenny skarb z napisem „Blockbuster Video”, widząc oczami wyobraźni, jak przedstawiciele kryminalnego półświatka usiłują upłynnić kradzioną kasetę z *Bobem Budowniczym* za cenę działki kokainy. Przy krawężniku połyskiwały kawałki rozbitego szkła, z oddali dobiegał odgłos syreny radiowozu, który pędził na miejsce jakiegoś innego pospolitego przestępstwa. Nagle wprost przede mną wyłoniły się z ciemności dwie postaci. Dwóch wysokich nastolatków w kapturach na głowach wyszło z bramy i zaczęło zbliżać się w moją stronę. No i masz. Już po mnie! Ten lęk wcale nie jest moim przyjacielem - zawsze przez niego czuję się okropnie. Zwolniłam kroku, za to przyspieszyło moje serce. Przez chwilę szłam w ich kierunku, uznając, że jeśli teraz zawrócę, od razu poznają, że się boję, i stanę się łatwym celem. Gdy przechodzili pod latarnią, w żółtopomarańczowym świetle mogłam dojrzeć ich wyraźniej: obaj byli czarni, chudzi jak patyki i mieli ponury wyraz twarzy Szli w pewnej odległości od siebie, mu-

siałabym więc przejść dokładnie między nimi. W tym momencie oczywiście nastąpiłby atak. Jeden z nich był prawdziwym wielkoludem, mierzył chyba ze dwa metry Ciekawe, czy to on mnie uderzy, a drugi w tym czasie zażąda portfela? Czy będą chcieli od mnie czegoś więcej? Czytałam kiedyś o złodzieju, który uciął kobiecie palec, żeby jej ukraść ślubną obrączkę. Może oni też czytali ten artykuł w „Daily Mail”

i postanowili to wypróbować? Byli jakieś sześć metrów ode mnie, kiedy nagle się odwróciłam i pospiesznym krokiem ruszyłam z powrotem w stronę domu. Czułam, jak pulsuje we mnie adrenalina, a serce pracuje na najwyższych obrotach. Usłyszałam za plecami ich śmiech i porzuciwszy wszelkie pozory dopadłam do automatycznie zamykanej bramy przy wjeździe do naszego domu. Drżącymi palcami wstukałam kod. Dziewięć, cztery, dziewięć, sześć - data urodzin Jamiego, a zarazem czterocyfrowy kod, którego używałam do wszystkiego. Zamrugała czerwona dioda, a piszczący dźwięk oznajmił, że właśnie skończył się okres ważności. Wybuliłam mnóstwo forsy, żeby mieć najlepszy dostępny na rynku system alarmowy, ale to się wiązało ze zmianami kodu dostępu co dwa miesiące. Ta brama miała chronić mnie i moją rodzinę przed przestępcami, a tymczasem uwięziła mnie razem z nimi na zewnątrz. Stałam tam zupełnie sama i za chwilę miałam zostać napadnięta przez dwóch wyrostków o martwym spojrzeniu. Gorączkowo naciskałam dzwonek, ale było już za późno. Spojrzałam za siebie i zobaczyłam ich.

„Powiedzą coś najpierw, czy od razu przejdą do rzeczy?” -myślałam, zaciskając powieki i kuląc ramiona.

- Nie! - krzyknęłam cicho. Nagle z ułamka sekundy zrobiło się kilka sekund. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że potencjalni napastnicy poszli dalej. Nadal w tym samym tempie, nadal w pewnej odległości od siebie, śmiejąc się i żartując. I wtedy się opamiętałam. Chociaż jeden z nich był wysoki jak sekwoja, była to tylko para dzieciaków. Szli sobie ulicą bez celu i w ogóle nie byli mną zainteresowani.

Boję się czarnoskórych, nastoletnich chłopców Nareszcie to wyznałam. Ja, Alice, boję się czarnych nastolatków. Czy to brzmi jak wyznanie rasizmu? Pewnie tak. Nigdy nie uważałam się za rasistkę. Rasiści to typy z ogolonymi głowami i tatuażami na rękach, kibicujący klubom piłkarskim, hodujący buldogi i wieszający w oknach plakaty partii narodowej, a takich raczej trudno znaleźć przy Oaken Avenue. Ja natomiast wyznaję powszechnie przyjęty pogląd moralny, że rasizm jest be. Nelson Mandela i Martin Luther King? Ci są dobrzy, zdecydowanie. Ku Klux Klan? Żli, bardzo źli. Gdybym kiedyś spotkała osobę w białym, spiczastym kapturze, z płonącym krzyżem w ręku, bez wątpienia pomyślałabym o niej jak najgorzej. Ale czarnoskórzy nastolatkwie? Cóż, przykro mi, ale nie umiem skłamać. Ja się ich po prostu boję. I uczciwie się do tego przyznaję. Być może kiedy Nelson Mandela i Martin Luther King mieli po czternaście lat, też naciągali na głowę kaptury i krążyli po Oaken Avenue na rowerach, które nie wyglądały na ich własność. Być może Trevor McDonald* po raz pierwszy zainteresował się dziennikarstwem, kiedy gryzmolił graffiti na murach wiaduktów kolejowych. Być może ci chłopcy w metrze, którzy nawet nie udają, że chodzą do szkoły i porzucają na siedzeniach niedojedzone Big Macki, wyrosną kiedyś na szanowanych prezenterów telewizyjnych lub wielkich przywódców wygłaszających przemówienia o wolności i podobnych sprawach. Na razie jednak nie potrafię być hipokrytką i udawać, że nie czuję zagrożenia ze strony czarnoskórych, nastoletnich chłopców.

Moja reakcja jest oczywiście spowodowana lękiem, że taki delikwent może mnie obrabować. Ze jeśli kiedyś będę usiłowała wyminąć hordę wyrostków na rowerach tarasujących chodnik w mrocznej uliczce, jeden z nich wyrwie mi torebkę, ucieknie do jakiejś betonowej kryjówki, a tam gorączkowo

Pierwszy czarnoskóry reporter telewizyjny w Wielkiej Brytanii.

opróżni zawartość, szacując pospiesznie, ile łatwej forsy da się zarobić na kieszonkowej parasolce, buteleczce perfum Clarins i kilku starych, sponiewieranych tamponach Lil-lets. A nawet gdyby złapała go policja, wiadomo - tamponów i tak nie odzyskasz. Czy jakiegokolwiek ubezpieczenie będzie w stanie zrekompensować ich sentymentalną wartość? Czy znajdę gdzieś drugą taką samą parasolkę z dwoma wyłamanyimi prętami, którą kupiłam u Bootsa za 4,99 funta?

Jeśli nie straty materialne byłyby dla mnie problemem, to dlaczego tak się boję? Przypuszczam, że chodzi tu o sam fakt, że muszę obcować z taką masą czystej agresji, że drugi człowiek potrafi mi okazać tyle wrogiej pogardy. To mnie najbardziej przeraża. Ten lęk nie wynika z osobistego doświadczenia. Nigdy żaden czarny nastolatek mnie nie okradł, nie napadł i nawet nie zaczepił. Więcej przemocy doświadczam od staruszek, które rozpychają się łokciami w autobusie, ale nie oblewa mnie zimny pot na widok emerytki na wózku inwalidzkim, bo nie podejrzewam, że za chwilę otworzy ogień z ukrytego po kocem karabinu maszynowego.

Wydaje mi się, że w równym stopniu boję się też białych nastolatków, zwłaszcza tych w bluzach z kapturami, jeżdżących wieczorami na rowerach bez świateł po chodniku i wyglądających, jakby żywili się wyłącznie chipsami. Dlaczego młodzi przestępcy nie mogą być tacy, jak dawniej? Rumiani, z potarganymi włosami, śpiewający *Consider Yourself* tańczący za plecami Rona Moodyego*? Trudno mi sobie wyobrazić współczesnego złodzieja, który beczelnie kradnie jabłko z koszyka stojącego na głowie stepującego tragarza z Covent Garden. Pragnę zauważyć, że moje dzieci również by się o to nie pokusiły - musiałyby na moment przerwać taniec, a ja musiałabym im to jabłko najpierw obrać, później pokroić i dodatkowo wymieszać z ekologicznymi rodzynkami.

*

Chodzi o musical Oliver! z 1963 roku, nakręcony na podstawie powieści Charlesa Dickensa Oliver Twist.

W książce *Zaprzyjaźni) się ze swoim lękiem* napisali, że tych najgorszych lęków można się pozbyć tylko w jeden sposób - trzeba z nimi stanąć twarzą w twarz. Czy to oznacza paradowanie o północy po Brixton Road z brylantową kolia na szyi i drogim telefonem komórkowym przy uchu? Wątpię, czy jestem na to gotowa. Tego wieczoru nie zdołałam nawet dojść do końca ulicy, przy której mieszkam. Wślizgnęłam się cichaczem do domu, wzięłam kluczyki i pojechałam do wypożyczalni samochodem. Nie miałam ochoty na osobisty kontakt z przyszczatym gówniarzem za ladą, wsunęłam więc kasetę przez okienko, po czym szybko wróciłam do domu i zamknęłam za sobą drzwi, dwukrotnie przekręcając klucz. To ciężkie przeżycie przypomniało mi, dlaczego tak strasznie mi zależało, żeby Molly poszła do Chelsea College. Ponieważ chciałam ją utrzymać z dala od band małoletnich przestępców wałęsających się po ulicach i tego tałatajstwa, które pracuje w wypożyczalni i ma przekłute brwi, wargi i pewnie jeszcze kilka narządów wewnętrznych. Chciałam ją ochronić przed ludźmi, których sama się bałam. Chciałam, żeby obracała się w towarzystwie samych miłych osób, dobrze wychowanych młodych ludzi, którzy dbają o przyrodę, uważają, że znajomość tabliczki mnożenia jest cool, a po świątecznym przyjęciu przysyłają kartkę z podziękowaniami. Później wyrośnie na czarującą i dobrze wykształconą młodą damę i będzie się spotykać z chłopcem, który nie ma wytatuowanych na kłykciach słów „love” i „hate”, za to gra razem z nią w orkiestrze i mówi takie rzeczy, jak: „Do widzenia, pani Chaplin, proszę się nie martwić, na pewno wrócimy z kina przed dziesiątą. Mamy szczęście, bo akurat grają *Pokój z widokiem*, a oboje przygotowujemy się z tego do matury, chociaż oczywiście film nigdy nie zastąpi książki”.

Gdybym chciała być wobec siebie naprawdę szczerą, musiałabym przyznać, że cała rzecz sprowadza się do podziałów klasowych. Sama nie zadawałam się z ludźmi, którzy zamieszkiwali okoliczne osiedla komunalne, i bałam się zezwa-

łać na to moim dzieciom. Niewiele było przyjęć, na których zdarzyło mi się mówić: „Ffion, poznaj Shaz. Shaz pracuje jako recepcjonistka w solarium i marzy o wygranej w Loterii Narodowej”. Rodowitych mieszkańców tej części południowego Londynu traktowałam jak obce plemię, a ich ponure szare bloki jak inny kraj. A nawet coś jeszcze odleglejszego -nie zastanawiałbym się zbytnio, gdybym miała wsiąść w samolot i polecieć do Umbrii czy Prowansji, ale w życiu nikt by mnie nie namówił, żebym się zapuściła kilkaset metrów dalej na teren pobliskiego getta zabudowań komunalnych. Zresztą tamtejsi dealerzy pewnie nie sprzedają echinacei.

A gdyby tak szkoły zaczęły organizować programy wymiany? Kiedy byłam dzieckiem, na tej zasadzie jeździło się do Francji. Raz przez dwa tygodnie mieszkałam w Lille u „typowej francuskiej rodziny”. Trudno było mi wprawdzie uwierzyć, że typowe jest trzymanie psa uwiązanego obok pralki w podziemnym garażu albo zmuszanie gości z Anglii, żeby jedli coś, co - jak do dziś jestem przekonana - było surowym bekonem. Teraz należałoby raczej wysyłać pociechy na coś w rodzaju „społecznej wymiany międzyklasowej” - zamiast jechać za granicę, niech przeprowadzą się na kilka tygodni na drugi koniec dzielnicy i pomieszkają w prawdziwej robotniczej rodzinie. Będą pić gazowane napoje z plastikowych butelek, nosić ogromne, puchowe kurtki z logo Jankesów na plecach i wałęsać się po ulicach w porze, gdy powinny już być w łózkach. Oczywiście rodzice mogliby się z nimi kontaktować. Jamie przysłałby mi pocztówkę z opisem, jak sobie radzi z przystosowaniem się do życia w nowej, przybranej rodzinie:

Sie masz, staruszko!

Zajebicie tu jest. Uczę się języka. Daliśmy czadu wczoraj, była niezła zabawa, dopóki nie rąbnął mnie pociąg, którego się czepiałem. Powiedziałem Kevinowi, że potrzebuję drągów, bo mnie wszystko

boli. Obiecał, że skołuje działkę. Ekstra, nie? Czy Strangeways to nazwa szpitala?
nara,*

Jamie

David najwyraźniej przemyślał strategię, jak najlepiej poradzić sobie z moim nagłym buntem, ponieważ następnego wieczoru, gdy kładliśmy się spać, rzucił niedbale, że powinniśmy się zastanowić, jakie ciuchy mam włożyć na ten egzamin. To była odważna taktyka, ale wcześniej wiele razy już się sprawdziła. Oboje wiedzieliśmy, że podtekst brzmiał: „Wczoraj nie mówiłaś tego poważnie, prawda?”. Jasne było też, że moją zdawkową odpowiedź, w której wyraziłam zamiar odwiedzenia działu z odzieżą dla nastolatków w Gapie, należało rozumieć: „Dobrze, cofam to, co powiedziałam. Nie zmieniamy planu”. Mimo kompromitującej porażki, jaką poniosłam, pisząc pierwszy od dwudziestu lat test, nie widziałam innej drogi. Nadal chciałam mieć pełną kontrolę nad całym procesem, tylko w ten sposób byłam w stanie wszystkiemu podołać. Inaczej sobie tego nie wyobrażałam. Przed Molly otworzy się perspektywa lepszego życia, jeśli tylko dobrze odegram za nią tę jedną rolę.

Leżeliśmy obok siebie w ciemności. Myślałam, że jeśli namówię Davida, żeby mnie trochę doksztąpił i będę intensywnie wkuwać, to na pewno uda mi się uzyskać najwyższą ocenę na egzaminie przeznaczonym dla jedenastolatków, a Molly napisze swój test w domu i będzie przekonana, że dostała się do szkoły dzięki sobie, ale z drugiej strony absolutnie nie możemy jej odpuścić nauki, bo zostanie w tyle - aha, no i przy okazji nie wolno nam zaniedbać edukacji Jamiego, a Alfie też we wrześniu idzie do zerówki... W tym samym czasie David prawdopodobnie myślał: „Ciekawe, czy jest dzisiaj jakaś szansa na seks...”.

Prawdopodobnie autor ma na myśli więzienie w Manchesterze.

Sięgnęłam do szafki i od razu wyczułam zirytowanie Davida, gdy spod moich palców wydobył się pierwszy odgłos pękającego bąbelka.

- Koniecznie musisz to robić? Pyk!

- To mi pomaga zasnąć - broniłam się, obmacując arkusz folii w poszukiwaniu ostatnich wolnych pęcherzyków.

- Czemu sobie nie kupisz jakichś koralików antystresowych albo nie posłuchasz prognozy w radiu Pyk!

- Próbowałam, ale przy radiu nie umiem zasnąć Leżę i czekam, czy nie powiedzą, że nad Clapham nadciąga huragan.

Pyk!

Czułam, jak z każdą małą, kontrolowaną eksplozją rozwiązuje się kolejny supeł w żołądku - każde uwolnienie powietrza uwiecznionego w bąbelku to jeden problem z głowy Ale tych bąbelków było ciągle tak wiele - gdy kończyłam jeden arkusz zaraz musiałam sobie znaleźć nowy Po niebie przeleciał odrzutowiec i gdzieś w pobliżu włączył się alarm w samochodzie.

- A może powinniśmy się przeprowadzić na Lundy? -rzuciłam w ciemność.

- Lundy?

- To mała wysepka pośrodku Kanału Bristolskiego.

- Wiem, gdzie jest Lundy. A po jaką cholere mielibyśmy to robić? ³

- Czytałam, że tam jest najniższy wskaźnik przestępczości w całej Wielkiej Brytanii. A gdybyśmy sprzedali nasz dom tutaj, to założę się, że w Lundy znaleźlibyśmy coś z naprawdę dużym ogrodem.

- Alice, jestem doradcą finansowym. Lundy to same skały i dzika przyroda. Co ja bym tam robił, zakładał fokom portfele inwestycyjne? Doradzał kupno akcji w rybach?

- Ale pomyśl, jaką dzieci miałyby swobodę. Mogłyby chodzić do miejscowej szkoły razem z dziećmi strażnika

przyrody albo latarnika i pooddychać świeżym powietrzem w czasie obserwacji ptaków.

- I myślisz, że tam nie znajdziesz sobie nowych powodów do zmartwień? Nie będziesz leżeć po nocach w strachu, że dzieci padną ofiarą pikującego maskonura?

David zaczął odpływać w sen, a ja próbowałam odegnać od siebie koszmarną wizję, w której wstrętne morskie ptaszysko zadziobuje na śmierć moje maleństwo.

- To maskonury umieją latać? - zapytałam pięć minut później.

- Uhm, umieją... - wymamrotał David w poduszkę.

- Och, a ja myślałam, że to takie pingwiny.

- No co ty - zaśmiał się z politowaniem. - Pingwiny występują tylko na południowej półkuli.

I zakrył głowę poduszką, żeby nie słyszeć strzelających bąbelków.

Nagle, jakby wyczuwając mój niepokój, do naszej sypialni wbiegł Alfie. Był przerażony. Znow to samo: bał się, że w szafce z zabawkami chowa się niedźwiedź.

- Kochanie, w Anglii nie ma niedźwiedzi - odezwał się David, dostrzegając okazję do przeprowadzenia krótkiej lekcji przyrody, mimo że było wpół do drugiej w nocy. - Ostatni niedźwiedź europejski na Wyspach Brytyjskich został zastrzelony w trzynastym wieku, nie pamiętasz? A nawet tak mały niedźwiedź jak himalajski potrzebuje do życia co najmniej pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych lasu, nie ma więc mowy, żeby któryś z nich zmieścił się w twojej szafce. Nic się nie bój i wracaj do łóżka.

- Nie...

- Czemu?

- W szafce jest niedźwiedź.

- Alfie, nie bądź śmieszny! - zniecierpliwił się David. - Przecież ci przed chwilą tłumaczyłem, że to niemożliwe. Co on miałby tam jeść, klocki Lego?

David zawsze się denerwował, kiedy coś było nie tak, jak powinno. Na przykład wściekał się, że wszędzie piszą 9/11. „Toamerykanizm! - krzyczał. - W Anglii powinno być 11/9!" Muszę jednak przyznać, że w tym wypadku byłam po jego stronie. Szansa, że w południowej Anglii zachowała się kolonia niedźwiedzi nieodkryta przez przyrodników przez siedemset lat, a zwłaszcza zamieszkująca okolice południowej obwodnicy Londynu, była bardzo niska. A jeszcze, żeby taki medźwiedź-mieszczuch zdołał sforsować wszystkie zamki w naszych drzwiach wejściowych, wstukać wielką, niezgrabną łapą właściwy kod na klawiaturze i wślizgnąć się niepostrzeżenie do szafki w pokoju Alfiego - to już przekraczało granice prawdopodobieństwa.

Odsunęłam koldrę i wpuściłam go do siebie. Od razu zarzucił mi rączki na szyję.

- Zdajesz obie sprawę, że jeśli pozwolisz mu tu leżeć, to się nigdy nie wyśpisz? - mruknął David.

- Mm... ślicznie pachniesz - powiedziałam, wachając włosy Alfiego niczym była palaczka, która wyciąga szyję za przechodniem z papierosem. Pragnęłam, by ta chwila trwała wiecznie. Przytulałam go mocno, czekając, aż zaśnie i sama się oszukiwałam, że za sześć godzin nie będę na niego fukać, żeby się pośpieszył z myciem zębów i zakładaniem butów - płacąc za tę nocną bliskość rozdrażnieniem wywołanym niedospaniem.

W tym momencie moje dzieci były całkowicie bezpieczne, ale jutro znów będę musiała im pozwolić iść do szkoły, zmierzyć się z wszelkiego rodzaju zagrożeniami i podjąć rozmaite decyzje, które mogą się okazać błędne. Czytałam, że można teraz kupić dziecku specjalną elektroniczną bransoletkę i jeśli zostanie porwane, można je bardzo szybko zlokalizować za pomocą satelitarnego systemu śledzenia. Wyobraźcie sobie, co by było, gdyby wszystkie dzieci coś takiego nosiły-na placu zabaw trzeba by ustawić wieżę kontrolną, w której zestresowani operatorzy radarów wykrzykiwaliby ostrzeżenia: „Zjeżdżalnia zajęta, mały Timothy wciąż jest na dole”

Zastanawiałam się, czy wkrótce będzie możliwe zainstalowanie miniaturowej kamery na czubku głowy dziecka, żeby siedząc w domu, można było obserwować wszystko, co robi, kiedy jest poza domem. Trzeba by się wtedy zaopatrzyć w taki miniaturowy mikrofon, jakich używają prezenterzy w telewizji, aby można było upomnieć syna czy córkę, żeby trzymało się poręczy, gdy będzie zbiegać po schodach, albo nakierować je w stronę stołu z sałatkami w szkolnej stołówce.

A może wszystkie kamery przemysłowe w kraju należy połączyć w jedną centralną sieć, żeby rodzice mogli dostroić swoje odbiorniki i na ekranie śledzić każdy krok dziecka? Najpierw ujęcie z kamery rejestrującej ruch uliczny. Oto widać, jak pociecha przechodzi przez jezdnię. Następnie mija kamerę policyjną na ruchliwym deptaku, a później przechwytuje je kamera internetowa na wystawie sklepu Dixons. Gdziekolwiek zawędruje, zawsze będzie w zasięgu wzroku rodziców, jeśli tylko mama z tatą zgodzą się płacić 49,95 funtów miesięcznego abonamentu za specjalny, indywidualnie skonfigurowany kanał kablowy. Może trzeba sprzedać ten pomysł Philipowi, bo ostatnio szukał metod nowego, odkrywczego wykorzystania komputerów.

Molly niedawno zakomunikowała, że chce się wybrać zupełnie sama do sklepiku na końcu ulicy i kupić sobie komiks. Uznaliśmy z Davidem, że to jej dobrze zrobi, z całych sił udawałam więc, że zachowuję całkowity spokój w obliczu tak szaleńczego wyzwania. Omówiłam z nią szczegółowo, co będzie musiała zrobić, nie mając u boku mamy. No i poszła. I kupiła. Wyszła z domu, na chodniku skręciła w lewo, przeszła jakieś sto metrów, dotarła na róg ulicy, weszła do sklepu, wybrała komiks, wręczyła sprzedawcy pieniądze (dokładnie odliczoną gotówkę, którą przygotowałam wcześniej) i wróciła do domu. A później powiedziała:

- Mamusiu, widziałam, jak się chowałam za żywopłotem.

Czerwone cyfry na wyświetlaczu budzika wskazywały godzinę trzecią z hakiem, a ja z głową Alfiego wciśniętą pod

pachę zaczynałam zapadać w sen. Nagle gwałtownie się poderwałam. Obudził mnie dziwny hałas. To nie był odgłos dziecka wchodzącego po schodach, to coś dochodziło z zewnątrz. Ktoś się wspiał na ogrodzenie i jest teraz w ogrodzie za domem. Serce biło mi tak szybko, że wyssało całą energię z innych mięśni i nie byłam w stanie się ruszyć. Przecież oni mogą w tej chwili forsować tylne drzwi. Mogą mieć ze sobą paralizatory, jak w zeszłym tygodniu ci włamywacze pokazywani w *Crimewatch* - być może nawet ten sam gang wchodzi właśnie po schodach, żeby nas obrabować, a następnie zastrzelić mnie i dzieci, żebyśmy nie mogli ich później opisać Nickowi Rossowi*. Wyobraziłam sobie żółtą tablicę na naszej ulicy: *Policja szuka świadków brutalnego morderstwa*. Jakaś niewyraźna fotografia przedstawiająca mnie z dziećmi, pokazywana raz po raz w wiadomościach. O Boże, mam nadzieję, że David nie dałby im tego zdjęcia z Center Parcs, na którym tak koszmarnie wyglądałam w bikini.

W końcu się zmusiłam, żeby odpędzić od siebie te irracjonalne myśli. Trzeba zachować rozsądek.

Podobne sytuacje już wcześniej się zdarzały i David zawsze wracał do łóżka, twierdząc, że na zewnątrz nikogo nie ma. Byłam w półśnie, może mi się przesłyszało? Spokój. Równowaga.

Opanowanie. Nie straszne mi to coś, co może być teraz w ogrodzie. Jestem we własnym domu, wszystkie drzwi są zamknięte, okna zakratowane, nic mi nie grozi, nie ma się czego bać.

I nagle wydałam z siebie cichy okrzyk. W ogrodzie zapalił się reflektor czujnika ruchu. Ktoś naprawdę tam był. Niedawno kazałam zainstalować ten czujnik właśnie z myślą o takiej ewentualności i proszę, już się trafił jakiś złodziej!

- David, obudź się! Za domem jest włamywacz! -Co?

- Czujnik się uruchomił. Ktoś tam jest. David usiadł na łóżku.

Prowadzący program *Crimewatch* (odpowiednik polskiego programu 997).

- Pewnie znowu kot.

- Mam zadzwonić na policję, co? Może zadzwonię... Tak, tak, zadzwonię na policję - paplałam beładnie.

- Nie, najpierw sam zobaczę - odparł David i jego blade pośladki zniknęły za drzwiami sypialni. Ilekroć szedł sprawdzić, czy nas ktoś nie okrada, nie raczył nawet narzucić szlafroka. Gdybym to ja była facetem, który wyrusza na wojnę z bandą naćpanych i uzbrojonych włamywaczy, nie wpadłabym na to, że najlepszym strojem ochronnym będzie stara, powyciągana koszulka z majtającym u dołu interesem.

Na wszelki wypadek trzymałam w ręku telefon i usiłowałam sobie przypomnieć, czy na policję nadal dzwoni się na 999, czy może zmienili numer na 118-ileśtam. Ale wtedy David przyczłapał z powrotem z miną człowieka zmęczonego życiem i rzucił w moją stronę kawałek folii bąbelkowej.

- To był niedźwiedź z szafki Alfiego - westchnął. -Przyniosłem ci świeży arkusik...

David Zinkin

Dieta zodiakalna

**Jedz produkty właściwe dla twojego znaku zodiaku i patrz,
jak znikają kilogramy!**

Sunrise Books

Cena: 6,99£

Jesteś wszystkożerną kozą czy wybrednym krabem? Skrupulatnie liczysz kalorie, czy zjadasz lwią część obiadu jak prawdziwy Lew? Podobnie jak układ gwiazd determinuje naszą osobowość, mamy też różny apetyt i metabolizm zależnie od znaku zodiaku. Nieważne, czy jesteś Panną, która preferuje pokarm prosty i świeży, czy Wodnikiem, który często pije wodę podczas posiłków - korzystając z tabeli zawartej w naszej książce, poznasz sekrety astrologicznego odchudzania stosowane już przez starożytnych Egipcjan.

Ja na przykład jestem spod znaku Bliźniąt i nigdy nie potrafię się zadowolić tylko jedną czekoladą, mój znak nakazuje mi jeść je parami. Ale dla takich osób jak ja najlepszym rozwiązaniem jest właśnie „parzyste” podejście do diety, a mianowicie: 1. mniej jeść i 2. więcej ćwiczyć. Sprawdziło się to w wypadku wszystkich znanych mi Bliźniąt.

David zawsze wyrażał się z pogardą o wszystkim, co ma związek z astrologią. Wkurzałam się, bo to wcale nie jest typowa cecha Byków. Nigdy nie lubił, kiedy ktoś wiedział na jakiś temat więcej od niego. W każdym razie w książce opisali go bardzo trąmie: „Jako jeden ze znaków ognia nie znosisz, kiedy twój posiłek stygnie. Lubisz za to, aby warzywa były dobrze ugotowane i unikasz taniej, wysokoprzetworzo-nej żywności”. To było tak prawdziwe, że aż straszne. Jedyna sprawa w tej książce, z którą, moim zdaniem, trochę przegięli, to zalecenie, abyśmy starannie dobierali składniki, zgodnie z naszym symbolem astrologicznym. Ja jestem Rakiem, którego symbolizuje krab, ale jakoś mi się nie widzi konsumowanie nadpsutych mewich łbów.

W pierwszych tygodniach diety schudłam kilka dobrych kilogramów, chcąc się jak najbardziej upodobnić do jedenastoletniej dziewczynki. Poprzednie próby zrzucenia wagi kończyły się niepowodzeniem, ponieważ zawsze wychodziłam z założenia, że nie muszę przecież liczyć pozostawionych przez dzieci paluszków z kurczaka, które dojadłam na stojąco z ich talerzy. Teraz jednak odkryłam w sobie samodyscyplinę. Oto nowa dieta Alice Chaplin! Wystarczy, żeby od tego zależała cała przyszłość twojego dziecka, a zdziwisz się, jaką masz silną wolę! To dlatego tak trudno nam schudnąć po urodzeniu dzieci, jesteśmy wtedy bardziej skoncentrowane na ich życiu niż na swoim. David jednak uważał, że jeśli naprawdę chcę wyglądać jak współczesna nastolatka, powinnam zacząć się opychać hamburgerami do momentu, aż osiągnę otyłość kliniczną.

Tak się składa, że Molly nabrała nieco ciała w ciągu ostatniego roku. Prawdę mówiąc, całkiem sporo. Nie lubi uprawiać sportów, bo nie znosi przegrywać, a wszystkie czynności wymagające trwałego wysiłku lub energicznych ruchów, na przykład krojenie kiełbasy, wolałam raczej wykonywać za nią. Oprócz gry na skrzypcach jedyną rzeczą, w której Molly szło naprawdę dobrze, było czytanie - codziennie wracała ze szkoły, mając za sobą kolejne kilkadziesiąt stron. „Dzisiaj na angielskim tylko czytaliśmy książkę”. „To wspaniale, że tak dużo czytasz” - mówiłam, ale w duchu zastanawiałam się, dlaczego mamy płacić komuś 3000 funtów na semestr za to, że przyjdzie posiedzieć w klasie, kiedy nasze dzieci czytają książki. Ale cieszę się, że Molly jest w czymś dobra. A dodatkową satysfakcję sprawia mi, że odziedziczyła te zainteresowania po mnie. To bardzo ważne, aby twoje dziecko widziało, że czytasz odpowiednią literaturę. Tak pisali w poradniku *Dziecko to podróż. Ty jesteś kompasem*.

Kiedy więc pewnej soboty Ffion zaproponowała, żeby nasze jedenastoletnie pociechy stworzyły własny klub czytelniczy, w ramach którego mogłyby się spotykać i dyskutować, przyklasnęłam temu pomysłowi. One i tak czytały te same książki, a my wszystkie bardzo pragnęliśmy, żeby doskonaliły swoje umiejętności językowe, pomyślałam więc, że to wspaniała rzecz.

- Nie sądzisz, Molly, że to może być świetna zabawa? -zapytała Ffion, zanim jeszcze zdążyłam zamienić słowo z córką. - Na pewno ci się spodoba. Chciałabyś się spotykać z koleżankami i rozmawiać o książkach, co? Chciałabyś? Hm...? Hm... skarbie? Byłoby cudownie mieć własny klub dyskusyjny, prawda? Ty przecież tak uwielbiasz czytać, na pewno chciałabyś o tym rozmawiać, co? Chciałabyś?

Wewnętrzny kursor w głowie Molly musiał chyba błyskawicznie przelecieć wykaz opcji, które pozostawił jej do wyboru ten gwałtowny napad entuzjazmu Ffion, i szybko odkrył, że jedyną możliwą odpowiedzią będzie „tak”.

- Pomyślałam, że na początek wybierzemy *Lwa, czarownicę i starą szafę* - zakomunikowała Ffion.
 - Och, to super. Jak byłam mała, uwielbiałam tę książkę -ucieszyła się Sarah.
 - Świetnie, w takim razie ustalone. To ja może skoczę do księgarni i kupię pięć egzemplarzy, a później ustalimy jakiś termin w przyszłym miesiącu, żeby dzieci mogły się spotkać i podyskutować. Najwyraźniej Ffion musiała zobaczyć tę książkę w jakiejś promocji typu „kup dwie, jedną dostaniesz gratis”, a teraz zamierza zebrać od nas na to pieniądze, a sobie zostawić darmowy egzemplarz.
 - A to nie one powinny raczej wybrać, co chcą czytać? -zapytałam odważnie.
- Rozciągnięte w radosnym uśmiechu usta Ffion leciutko zadrżały, gdy analizowała moją wywrotową propozycję. Nie dała się jednak zbić z tropu, ale sprytnie ją wykorzystała, aby przeforsować swój pierwotny plan. Ffion miała czarny pas w aikido konwersacji.
- Masz rację, Alice, powinniśmy je zapytać, to przecież one będą czytać te książki. Molly, chcesz przeczytać *Lwa, czarownicę i starą szafę*, prawda? Chcesz? Na pewno ci się spodoba -to jest o magicznej krainie, i jest tam lew, i czarownica, i stara szafa, aha, no i bohaterami są dzieci, które wyrwały się spod opieki dorosłych. Brzmi nieźle, co? Na pewno chciałabyś o tym poczytać. To co, kupić ci ją, hm...? Ty przecież lubisz takie książki, skarbie, na pewno będziesz więc chciała przeczytać *Lwa, czarownicę i starą szafę*.
- Moja biedna Molly wyglądała na lekko przerażoną.
- Tak, proszę. Dziękuję pani - odpowiedziała ledwie dosłyszalnym szeptem i spojrzała na mnie, szukając w moich oczach aprobaty. Gdyby się nie zgodziła, boję się, że Ffion mogłaby ją zamienić w kamienny posąg.
- Ideą tego pomysłu z klubem było pogłębienie znajomości klasycznej literatury dziecięcej, i można powiedzieć, że w pew-

nym sensie ten plan już się powiódł. Na dwa dni przed ustalonym terminem pierwszego spotkania siedzieliśmy z Davidem w łóżku i każde studiowało własny egzemplarz *Lwa, czarownicy i starej szafy*. Było już dobrze po północy, a David właśnie notował ołówkiem kolejną uwagę na marginesie.

- Co masz?

- Edmund je ptasie mleczko. Muszę rano wyjaśnić Molly pojęcie alegorii.

- Ale przecież cała ta baśń to jedna wielka alegoria. Aslan to Jezus, dzieci to apostołowie, a Edmund to Judasz... Tak pisali w opracowaniu, które ściągnęłam z Internetu.

- Tak, ale jeśli Molly coś takiego powie, od razu się wyda, że ją przygotowaliśmy.. Natomiast zupełnie spokojnie może powiedzieć, że jej zdaniem ptasie mleczko symbolizuje wszelkiego rodzaju pokusy, na przykład narkotyki i takie tam.

- Ja uważam, że tę kwestię powinna poruszyć dopiero po omówieniu charakterystyk postaci.

- Hm... to zależy Ile już zrobiłaś?

- Właśnie pracuję nad Łucją i panem Tumnusem - odparłam, wertując notatki. - A później chciałabym się zabrać za Edmunda i Białą Czarownicę.

- Cztery postaci chyba wystarczą, jeśli Molly ma jeszcze zdążyć powiedzieć kilka słów o stylu narracji...

- No tak, ale przecież nie możemy jej wskazywać dokładnie, co ma mówić, to musi wypływać od niej. To mają być tylko sugestie, zachęta do tego, żeby zaczęła samodzielnie odkrywać te wszystkie rzeczy.

- Oczywiście, masz rację. Jutro usiądę z nią i zapytam, jakie miała skojarzenia, czytając o ptasim mleczku, no wiesz, czy czuła, że kryje się za tym jakieś szersze znaczenie...

- A jeśli na to nie wpadnie?

- Cóż, wtedy jej powiem, co ma mówić.

Na miejsce pierwszego zebrania klubu czytelniczego wybrano mój dom, chociaż takiej propozycji nie zgłaszał żaden z jego mieszkańców. Rano zdałam sobie sprawę, że przyda-

łoby się zorganizować odpowiedni poczęstunek, rozstawiłam więc w pokoju półmiski z niskotłuszczowymi chipsami z ekologicznych ziemniaków, a na stole pojawił się dzbanek z sokiem z czarnego bzu i pięć szklanek. Czwórka pozostałych dzieci przybyła z książkami pod pachą i w towarzystwie przejętych rodziców. Moja córka powitała gości z właściwym sobie entuzjazmem.

- Molly, przywitaj się z Bronwyn - szturchnęłam ją.

- Cześć, Bronwyn.

- Bronwyn, przywitaj się z Molly.

- Cześć, Molly.

Na razie szło nieźle. Dzieci stały niepewnie w przedpokoju, nie bardzo wiedząc, co dalej robić, aż w końcu sugestywna perswazja Ffion naprowadziła je na miejsca.

- Wspaniale to wygląda, co? Hm...? Siadajcie, dzieci, zobaczcie, mama Molly przygotowała dla was chipsy, jak to miło z jej strony, poczęstujcie się i napijcie soku, ty nie, Bronwyn, tobie nie wolno jeść chipsów, no śmiało, zajmijcie miejsca, świetnie, przynieśliście książki, tak? My nie będziemy się wtrącać, może wybierzcie teraz jakiś ulubiony fragment i zaczniecie czytać, hm...? Jakby co, jesteśmy obok, o nic się więc nie martwcie.

Właśnie miałam wyjść do kuchni, kiedy się zorientowałam, że pozostali rodzice zamierzają zostać w pokoju i wszystko obserwować. No, oprócz Philipa, który obserwował zza drzwi tarasowych, gdzie palił papierosa, moknąc w lekkiej mżawce. William był, ale jakby go nie było. Wyjął z półki tomik wierszy i próbował się odizolować od klubu czytelniczego... czytając. Dzieci siedziały na krzesłach, ledwie dotykając stopami podłogi, a rodzice podpierali ściany w niecierpliwym oczekiwaniu.

- Zaczynajcie! - powiedział David.

Molly spojrzała na mnie, a ja kiwnęłam na nią, zachęcając, by pierwsza odezwała się do gości.

Wszystkie dzieci zerknęły na mamę lub tatę. Miały takie miny, jakby coś spsoły

- No, mówcie coś - powiedziała Ffion.
- Te chipsy są stare - odezwała się Kirsty.
- Nie, one tylko tak dziwnie smakują - wyjaśniła Molly. - Są ekologiczne.
- Niech ktoś coś powie o książce. Bronwyn, może ty zaczniesz? - zachęcała ją matka.

Bronwyn spojrzała na nią ze złością i szepnęła przez zaciśnięte zęby:

- Mamoo... Przestań.
- Podobała ci się książka, skarbie? Powiedz najpierw, czy ci się podobała, czy nie.
- Podobała - mruknęła Bronwyn.
- Nie patrz na mnie, skarbie. Powiedz to do pozostałych uczestników.

Bronwyn odwróciła głowę i zwracając się do podłogi oświadczyła:

- Książka mi się podobała.

To cenne naukowe spostrzeżenie nie wystarczyło, żeby przełamać lody, i nastąpiła kolejna chwila ciszy, a tymczasem dorośli obserwatorzy pozostali w bezruchu, wymieniając między sobą spojrzenia pełne dzielnego optymizmu. Ktoś cicho zakaszłał. Dzieci czekały, aż ta męczarnia wreszcie się skończy

- Może zostawimy je same? - zaproponowałam.
- Bronwyn, zdaje się, że miałaś jakąś myśl na temat tego, o czym traktuje ta baśń - wtrąciła się jej matka. - I dlaczego Clive Staples Lewis ją napisał. Jak to było? Ze ona ma coś symbolizować, tak? Czemu tego nie powiesz, hm...? Hm...? - Ffion wpatrywała się wyczekująco w córkę.

Bronwyn lekko się zaczerwieniła i powiedziała:

- Uważam, że ta książka to alegoryczne przedstawienie chrześcijańskiej przypowieści, w której Aslan symbolizuje Chrystusa, dzieci apostołów, a Edmund Judasza.

Poczułam na sobie piorunujące spojrzenie Davida.

- Och, Ffion, jaka ta twoja Bronwyn jest mądra - wyszeptała Sarah. - Niezwykle inteligentna jak na swój wiek.

No i Ffion poczuła się zmuszona przytaknąć. David uśmiechnął się i nawet kiwnął głową, ale jego myśli wyraźnie krążyły gdzie indziej.

- Molly, zdaje się, że chciałaś coś dodać na temat ptasiego mleczka? - wtrącił się.

Przerażona tym, że została tak nagle wywołana do tablicy, nasza pierworodna mruknęła:

- Nie - i zmierzyła ojca wściekłym spojrzeniem.

- No, słonko. Nie pamiętasz? Mówiłaś, że to ma jakieś szersze znaczenie...

Molly westchnęła i nie mając wyjścia powiedziała urażona:

- Uważam, że ptasie mleczko, które je Edmund, symbolizuje wszelkiego rodzaju pokusy.

- Co za błyskotliwe spostrzeżenie! - wykrzyknęła Sarah. -Brawo!

Zebrani byli pod wrażeniem, a my z Davidem staraliśmy się za bardzo nie okazywać po sobie, że pękamy z dumy. Wszyscy to widzieli: nasza córka jest niezwykle czytana, spostrzegawczą i inteligentną jedenastolatką, mimo że troszkę gorzej jej idzie na egzaminach.

- To on mi kazał tak powiedzieć - obwieściła Molly, patrząc na ojca i wszystkie dorosłe głowy skierowały na oszusta oskarżycielskie spojrzenia.

- Ale... Ja... Ja ją tylko naprowadziłem na ten trop - jękał się David.

- Nieprawda. Napisałeś mi to na kartce i kazałeś się nauczyć na pamięć - Molly uśmiechnęła się łobuzersko, ale ten uśmiech natychmiast zbladł, kiedy ujrzała groźną minę na coraz bardziej czerwonej twarzy ojca.

- Moim zdaniem, najlepiej jest, kiedy dzieci samodzielnie uczą się odkrywać literaturę - oznajmiła smutnym głosem Ffion, a w tym czasie jej córka dyskretnie odwróciła notatnik, który miała na kolanach. - Przejdźmy może do kuchni i zostawmy je same - dodała i ruszyła przodem.

- Mnie się najbardziej podobały obrazki - odezwała się Kirsty Jej mama uśmiechnęła się do niej, ale nie skomentowała uwagi, mając nadzieję, że nikt z nas jej nie dosłyszał.

Zebrałam zamówienia: trzy herbaty, dwie kawy i popielniczka dla Philipa.

- Ja jej tylko udzielałem wskazówek, wspólnie robiliśmy też notatki - tłumaczył się David Sarah.

Następnie zwrócił się do Williama: - Tylko pomagałem...

Ffion zerknęła na nuty Jamiego stojące na pianinie.

- Och, stare dobre czasy Spójrz, Philipie, pamiętasz, jak nasz Gwilym przerabiał ten utwór?

- Ach, tak - odparł, wyciągając szyję przez kuchenne okno. Wstawił tam głowę, aby nie być posądzonym, że się alienuje.

- Uważaj, kochanie, znowu wpuszczasz dym...

Ja wciąż kipiałam ze złości, że to Bronwyn okazała się dziś lepsza. Zdaję sobie sprawę, że czasem zbyt serio podchodzę do rywalizacji, ale to, co prezentowała Ffion, ta bezpardonowa walka, przekraczało już wszelkie granice. Co gorsza, zwykle na tym wygrywała, cholera. Pewnego razu, gdy Bronwyn miała przygotować krótki układ taneczno-wokalny na szkolny wieczór talentów, Ffion poprosiła zawodowego reżysera teatralnego, który mieszkał przy tej samej ulicy, żeby przyszedł popatrzeć, jak ćwiczy jej córka i ewentualnie udzielił kilku wskazówek. Skończyło się na tym, że zaciągnęła go tam aż cztery razy. To śmieszne. Przecież gdybyśmy my zaangażowali zawodowego reżysera, Molly też mogłaby wygrać konkurs. Niestety, odmówił, bo już wcześniej zobowiązał się pomóc Bronwyn. Poszłam nalać wody do czajnika, ale zauważyłam, że dzbanek z filtrem jest pusty, musieliśmy więc chwilę poczekać.

- Ja tylko pomagałem... - zwrócił się David do Williama. Jakby mój mąż zniósł dziś za mało upokorzeń, dokładnie w tej chwili do kuchni wszedł jego najmłodszy syn ubrany w strój wróżki. Na dodatek głośno stukał obcasikami, co wyraźnie przyciągało uwagę.

- Jaka śliczna sukienka, Alfie, kto ty jesteś? - spytała Ffion.

- Dzwoneczek!

- Ach, ten elf...

Ja uważałam, że to słodkie, że taki maluch lubi się przebierać, to tylko David miał problem z zaakceptowaniem tego, że jego czteroletni syn jest transwestytą.

- Synku, idź zobacz, co tam jeszcze masz w szafie - poprosił tata. - Jest przecież ten kostium Boba Budowniczego. A strój kowbojski? Może załóż któryś z nich.

- Sukienka Esmeraldy! - oznajmił radośnie Alfie.

- Yyy.. Ta stara sukienka Molly jest już trochę znoszona, nie sądzisz? A co z żołnierskim hełmem, który ci kupiłem?

- Śpiąca Królowa! - wykrzyknął i pobiegł się przebrać.

- Rozkoszny A więc, czy myśleliście już, co zrobicie, jeśli Molly nie dostanie się do Chelsea? - zagadnęła Ffion.

- Och, jestem pewna, że zda ten egzamin - rzuciłam niedbale.

Milczący uśmiech Ffion zdawał się sugerować coś wręcz przeciwnego.

- Warto mieć w zanadrzu kilka opcji awaryjnych - kontynuowała. - Bo wiecie, w Chelsea zwracają bardzo dużą uwagę na poziom nauczania i nie wiem, czy to byłoby najodpowiedniejsze miejsce dla takiej dziewczynki jak Molly To, broń Boże, nie zarzut, jest bardzo wesołym i miłym dzieckiem, a jeśli chodzi o zajęcia muzyczne, to z całą pewnością byłaby najlepsza.

Spojrzenie Davida błagało mnie, żebym nie dała się sprowokować i nie powiedziała za dużo.

- Prawdę mówiąc, Ffion, bierzemy pod uwagę wyłącznie Chelsea. Ostatnio trochę nad tym pracuję, to znaczy pracujemy razem z Molly, i jestem zupełnie spokojna, że ona się dostanie...

Kątem oka dostrzegłam, jak David kładzie książkę kucharską na stercie testów egzaminacyjnych wypełnionych moim charakterem pisma.

- Cóż, mój Boże, to bardzo... Hm... odważne z waszej strony. Z pewnością macie rację. A to, że znalazła się wtedy na dole rankingu, to pewnie jednorazowa sprawa.

Przez chwilę milczałam, a w końcu zebrałam się w sobie, żeby coś powiedzieć.

- Nie można tworzyć rankingu na podstawie wyników jednego testu. A co z innymi rzeczami, które również należałoby wziąć pod uwagę? Ja też mogłabym zrobić ranking na podstawie tego, które dziecko lepiej gra na skrzypcach i Molly byłaby wtedy na pierwszym miejscu. Albo kto jest lepszy w grach komputerowych, czy kto najszybciej przeczytał *Harry'ego Pottera* i coś tam, cokolwiek to było w tym grubym czwartym tomie. Nie możesz klasyfikować dzieci na podstawie tylko jednej rzeczy, to nie fair.

- A co powiecie na ranking dzieci, które najwięcej zapamiętały z tego, co im rodzice naopowiadali o Lwie, czarownicy i starej szafie⁷. - rzucił William, co mi raczej nie pomogło.

- Ja jej tylko pomagałem...

Sarah wyczuła, że pora zmienić temat.

- A co z Bronwyn, macie coś w zapasie?

- Na wszelki wypadek zapisaliśmy ją do paru innych szkół. Będzie więc zdawała do Alleyn's, JAG's, City of London, St. Paul's, Streatham Hill i Clapham High, Godolphina i Latimera, Emanuela, Putney High, Francis Holland, aha, i jeszcze zastanawiamy się nad jedną szkołą z internatem w Massachusetts...

Nadal się we mnie gotowało, ale jednocześnie myślałam, czy nie powinnam teraz notować tych wszystkich nazw, żeby w razie czego mieć w rezerwie dwadzieścia siedem opcji do wyboru dla mojej własnej córki.

- Ale nauczyciele, którzy z nią pracują, jednogłośnie twierdzą, że nie będzie miała problemu z dostaniem się do Chelsea. Prawda, kochanie?

Philip pokiwał głową zza okna, choć wątpię, czy cokolwiek słyszał. Padał właśnie intensywny deszcz. Ffion użyła liczby mnogiej. Niechcący się wygadała. Byłam przekonana,

że Bronwyn ma tylko jednego nauczyciela, tego samego, do którego chodzi Molly.

Gdy nadszedł wieczór, David rozsiadł się na sofie ze szklanką zimnego piwa, a ja wyrwałam mu ją z dłoni i wstawiłam do lodówki.

- Co ty wyprawiasz?

- Rusz się, mamy mnóstwo pracy. Zamierzam załatwić Molly miejsce w Chelsea, choćby to miało być jedyne osiągnięcie w moim życiu. Musisz mi jeszcze raz wytłumaczyć mnożenie ułamków i dzielenie pisemne. Do Chelsea dostaje się tylko 40 procent najlepszych kandydatów, co przy liczbie dziewięciuset chętnych daje... Hm... Moglibyśmy przy okazji jeszcze raz przerobić procenty?

- Koniecznie teraz?

- Przecież nie robimy tego dla siebie - skarciłam go. - Robimy to po to, żeby nasza córka miała jak najlepsze wykształcenie i jak najlepszy start w życiu. No i żeby zobaczyć wyraz twarzy Ffion, kiedy Molly pokona Bronwyn na egzaminie...

Poziom orientacji Davida w zagadnieniach współczesnej matematyki okazał się problematyczny. On wiedział wszystko. Sytuacja, gdy mój mąż musiał mnie uczyć czegoś, w czym był bezdyskusyjnie lepszy, stwarzała niedopuszczalne zachwianie delikatniej równowagi sił, która pozwalała funkcjonować naszemu małżeństwu. Musiałam przyznać, że nie mam pojęcia, jak obliczyć objętość sześcianu ani co się dzieje, gdy pomnożymy liczby ujemne, później czułam więc potrzebę nawiązania rozmowy na temat, w którym poruszałam się znacznie pewniej, na przykład twórczość Jane Austen czy zastosowanie soli kuchennej w zmywarkach. Moja znajomość literatury była dużo większa, gdyż jedyne powieści, jakie czasem Davida czytywał, zawierały w swojej fabule wątki mówiące o opracowywaniu przez Hitlera planów bomby atomowej po inwazji na Kornwalię.

- Ile jest minus dziewięć razy minus pięć? - zapytał, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie.

Patrzyłam na niego ze szczególną powagą, aby pokazać, że słucham. Z nosa sterczały mu siwe włoski.

- Przepraszam, mógłbyś powtórzyć?

- Minus dziewięć razy minus pięć.

Mój mąż miał zdecydowanie najbardziej owłosione nozdrza, jakie w życiu widziałam - co mi przypomniało, że jutro po szkole Jamie jest umówiony u fryzjera. Ciekawe, może przy okazji podciąłby też włoski Alfiemu? Tyle że on zawsze robi taki raban, że lepiej zajmę się tym sama, kiedy będzie spał. Chociaż gdy ostatnim razem robiłam to po ciemku, specjalnie, żeby go nie zbudzić, osiągnęłam skutek odwrotny, gdyż w pewnej chwili dźgnęłam go nożyczkami w ucho.

- Nie wiesz, czy się zastanawiasz?

- Nie wiem czego?

- Pytałem cię o wynik mnożenia.

- Zastanawiam się. Jeszcze raz, jak to było?

Sądziłam, że nauczyciele powinni być nastawieni życzliwie do ucznia, zachęcać go i wspierać, a nie mówić tak przykre rzeczy: „Na litość boską, błagam, słuchaj, co do ciebie mówię, zanim mózg mi eksploduje z nerwów”. Prawda jest taka, że przez to wszystko czułam się jeszcze głupsza, niż jestem. Nigdy nie miałam takiej intelektualnej pewności siebie jak David czy nasi znajomi. Siedzieliśmy kiedyś przy stole w ulubionej włoskiej restauracji i Ffion powiedziała: „Granada to cudowna mieszanka islamu i dawnej Hiszpanii”, a ja myślałam, że chodzi jej o sieć moteli. Za to David umiał zawsze przywołać stosowną odpowiedź. „To prawda. Cóż, imperium osmańskie zostało wyparte z Półwyspu Iberyjskiego zaledwie pięćset lat temu”. Ja tylko siedziałam tam i zastanawiałam się, czy warto w ogóle wspomnieć o moich wakacjach w Maladze. Mój mąż sprawiał wrażenie lepiej wykształconego ode mnie,

podobnie jak wszyscy znajomi, i czasem czułam się wśród nich głupiutka jak mała dziewczynka.

- Co robiłeś w Granadzie, Philipie? - zawołałam na drugi koniec sali, gdzie mąż Ffion siedział samotnie w części dla pałacowych.

- Konferencja informatyczna. Pracujemy nad nowym oprogramowaniem rozrywkowym i ciągle szukamy dobrego pomysłu. Ale na razie jakoś wszystko utknęło w miejscu.

- A co to takiego jest?

- Masz w domu komputer, prawda? Możesz dzięki niemu robić zakupy, sprawdzać horoskop, pisać listy, ale raczej nie grywasz w gry, prawda? - powiedział, wyciągając szyję, żeby mnie dojrzeć przez gąszcz roślin.

- Czasem z dziećmi. Ale to dlatego, że Jamie nie jest za dobry w grach komputerowych. Ostatni raz, kiedy grał w *Pustynną Burzę*, Amerykanie przegrali.

- Jest masa programów, z których zwykli ludzie mogą korzystać w wolnym czasie: *Family Tree Maker*, *3-D Garden Composer* czy inne takie, ale żaden z nich nie stał się jakimś absolutnym bestsellerem. A ja właśnie chciałbym coś takiego wymyślić.

Philip pracował w firmie produkującej programy komputerowe i był odpowiedzialny za kreatywną stronę każdego projektu. Twierdził, że jego najbardziej dochodowym przedsięwzięciem było rozesłanie na przypadkowe adresy e-mailowe następującej wiadomości: „Szanowny zboczeńcu, twój komputer został przyłapany na łączeniu się ze stronami pornograficznymi. Jesteśmy w posiadaniu kompletnego rejestru wszystkich twoich adresów e-mailowych. Jeżeli nie chcesz, abyśmy się skontaktowali z twoimi znajomymi i kolegami z pracy, i poinformowali ich dokładnie, jakie nieprzyzwoite strony odwiedzałeś, wyślij pięćdziesiąt funtów na następujące konto bankowe na Kajmanach...”. Chwalił się, że na tym jednym pomysle zarobił prawie milion, a ja nigdy nie wiedziałam, czy mówi prawdę, czy robi mnie w konia.

- A gdyby wymyślić grę, w której wygrywa ten, komu najszybciej uda się odciągnąć dzieci od ciągłego grania w na komputerze? - zaproponował William. Philip go nie dosłyszał. - Albo coś takiego: skoro wszyscy robią zakupy przez Internet, to może internetowe kradzieże sklepowe? Wchodzisz na stronę, zamawiasz, co ci się podoba, a inni idą to dla ciebie zwędzić.

- Ja mam pomysł na program! - zapalił się David. - *Zmień bieg histońi*. Słuchajcie, można by zacząć, powiedzmy, od bitwy pod Zama, a później, podejmując różne decyzje, można by się przekonać, jak potoczyłaby się historia, gdyby Scypion nie pokonał Kartagińczyków w drugiej wojnie punickiej i Rzym nie stałby się dominującą siłą w rejonie Morza Śródziemnego! To dopiero byłby przebój! Przy stole rozległ się trzask przełamywanej grzanki.

- Obawiam się, że musiałbyś tam jeszcze gdzieś umieścić pędzącego jeża... - skomentował William. Oczywiście David nie mógł całymi dniami uczyć mnie matematyki, ponieważ jako jedyny żywiciel rodziny miał ważniejsze sprawy na głowie. Konkretnie pracę szkolną Jamiego na temat II wojny światowej. Usiłowałam sobie wyobrazić reakcję ludzi na spotkaniach towarzyskich, gdy spytają „Czym się zajmujesz?“, a David odpowie: „Piszę pracę o II wojnie światowej dla mojego dziewięcioletniego syna“. „Ach, rozumiem. I co, da się z tego żyć?“ „Nie są to kokosy, ale za to liczymy na nagrodę na koniec semestru“.

Odkąd kilka tygodni temu dobrowolnie zaoferował się pomóc Jamiemu, jego cele zawodowe uległy pewnemu przesunięciu. Nad biurkiem nadal wisiały starannie przypięte do tablicy skomplikowane wykresy i arkusze kalkulacyjne, ale tym razem nie dotyczyły one prognoz finansowych w stosunku do nakładów inwestycyjnych, lecz ilustrowały przebieg okrążenia zachodniej części Stalingradu przez VI Armię generała von Paulusa.

- Jak było w pracy, kochanie?
- Fantastycznie. Znalazłem dla Jamiego świetne materiały archiwalne na temat ofensywy nad Wołgą. Delikatnie zwróciłam mu uwagę, że to ma być projekt dziewięciolatka, chyba więc zbyt szczegółowo podchodzi do zagadnienia, ale on się twardo bronił.
- Ale przecież bitwa pod Rostowem miała kluczowe znaczenie dla odzyskania pól naftowych na Kaukazie. Jeśli to pominię, cała operacja „Uran” traci sens.
- Słuchaj, ja wiem, że zależy nam, aby Jamie dostał dobrą ocenę, ale nie sądzisz, że jak będziesz robił wszystko za niego, to się trochę mija z celem?
- Ja tylko rozwijam jego pomysły.. A później pomagam mu znaleźć odpowiednie materiały...
- Czyli co, nasz dziewięcioletni syn postanowił sporządzić kronikę niemieckiej okupacji... Tej, no... Estonii?
- Niemcy nie zajęli Estonii - zaśmiał się z pogardą David. - Państwa nadbałtyckie zostały podbite przez Rosję w ramach realizacji potajemnego nazistowsko-sowieckiego paktu o nieagresji.
- Przecież wiem. To było w czterdziestym pierwszym.
- Trzydziestym dziewiątym.

Tak naprawdę po prostu czułam się urażona, że ten projekt w pewnym sensie oddala mnie od syna. Miałam wrażenie, jakbym straciła na wojnie dwóch ukochanych mężczyzn. To się ciągnęło w nieskończoność - czekanie w niepewności, kiedy moi dzielni panowie raczą wrócić z wizyty w Imperial War Museum, i podtrzymywanie domowego ogniska, podczas gdy oni staczali bitwy na froncie szkolnego zadania domowego. David ogłosił stan wojenny - to militarne przedsięwzięcie stało się czymś dostępnym wyłącznie dla chłopców. Wszędzie były miny, druty kolczaste i tablice z napisami: „Achtung! Frau Verboten!”. Jeżeli ośmieliłam się wkroczyć na terytorium Davida, natychmiast dostawałam się pod intensywny ostrzał. Tylko za to, że pozwoliłam

sobie zwrócić uwagę, jak ładnie Jamie dobrał kolory, malując plan Hiroszimy.

- Właśnie dlatego żadna kobieta nigdy nie zostanie ministrem obrony - śmiał się David. - „Pani Minister, które czołgi kupujemy? Wolałabym te zielone”.

Żałowałam, że tak mało wiem o II wojnie światowej. Mogłabym wtedy spędzać trochę czasu z synem, dyskutując o historii, o bitwach i armiach. Kiedyś trochę mu pomogłam, kiedy kazali im w szkole wyobrazić sobie, że są ewakuowani

i napisać na ten temat wypracowanie (choć zanim jego matka sprawdziłaby, do której wsi najbezpieczniej byłoby go ewakuować, wojna dawno już by się skończyła). Może powinnam się trochę nauczyć, może Waffen SS pozwoliłyby mi zbliżyć się do syna?

- Kiedy był ten pakt o nieagresji?

- W sierpniu trzydziestego dziewiątego. Tuż przed wybuchem wojny.

- Ale przecież Rosja w czasie wojny była po naszej stronie?

-No i?

- Co się więc stało, że ten pakt przestał obowiązywać? David spojrzał na mnie niemal ze współczuciem.

- Cóż, podejrzewam, że Hitler, najeżdżając na Rosję, mógł formalnie naruszyć któreś z postanowień paktu o nieagresji.

- Ach, rozumiem.

- Tak, sądzę, że kiedy wysłał kilka tysięcy dywizji pancernych, okupujących setki kilometrów kwadratowych sowieckiego terytorium, i zamordował dwadzieścia milionów Rosjan, jakiś wyjątkowo spostrzegawczy i upierdliwy formalista na Kremlu mógł to uznać za poważne naruszenie postanowień rozdziału trzeciego paragrafu drugiego paktu, który traktował o nieagresji.

- No dobrze już, dobrze - powiedziałam. Sarkazm Davida charakteryzował się podobnym wyrafinowaniem jak poczynania jego ukochanych zbrodniarzy wojennych.

- Być może Rosjanie byli przewrażliwieni albo Stalin tego dnia miał zły humor i źle zinterpretował sygnały. Może Hitler, nakazując totalną eksterminację bolszewickich Untermenschen, nie chciał, żeby zrobiono to w sposób agresywny?
- Wiesz, na czym polega twój problem? Za bardzo się w to zaangażowałaś.
- Co?
- Wykazujesz niezdrowe zainteresowanie faszyzmem.
- Co ty pleciesz?
- Tak! Jesteś gorszy niż kanały historyczne w telewizji. Uważam, że to co najmniej podejrzane, jeśli kogoś aż tak fascynuje Trzecia Rzesza... Niedługo zaczniesz jeździć na targi militariów i kolekcjonować faszystowskie insygnia.
- Słuchaj, tylko dlatego, że mogę nauczyć dzieci czegoś, o czym ty nie masz zielonego...
- I tu tkwi problem. Ty to robisz za niego, zamiast pozwolić, żeby sam do tego wszystkiego doszedł!
- Nie wierzę własnym uszom! I to mówi kobieta, która ma zamiar przebrać się za własną córkę, żeby zdać za nią egzamin!
- Właśnie! I z tego powodu muszę ślęczeć w gabinecie i rozwiązywać jakieś zasrane testy z matematyki, a ty sobie spędzasz czas z dziećmi! Myślałam, że faceci powinni dzielić życie między pracę a dom, ale ty? Skąd! Tylko rodzina, rodzina i rodzina! Ani razu nie pomyślisz, żeby wrócić późno do domu, bo się zasiedziało na drinku z jakimś ważnym klientem. Ani jednego weekendu, żebym została sama z dziećmi, bo tobie w ostatniej chwili wypadło coś ważnego w pracy. Inni mężowie zostawiają żonom na głowie cały dom i każą im siedzieć z dziećmi, ale ty oczywiście jesteś takim egoistą, że musisz mieć kontrolę nad wszystkim. David zawsze źle znosił krytykę. Wystarczyło, że ktoś wystawił mu negatywny komentarz na eBayu, a cały weekend miał zepsuty. Jednak kilka dni po naszej awanturze wróciłam do domu i w kuchni przy stole zastałam Jamiego, który

rysował wielki eksplodujący okręt wojenny, zamiast słuchać wykładu ojca na temat geopolitycznych skutków inwazji Japończyków na Mandzurię. Chyba jednak coś do Davida dotarło. Pozwolił Jamiemu samodzielnie skończyć pracę za-liczeniową.

Im więcej dowiadywałam się o II wojnie światowej, tym bardziej wydawała mi się skomplikowana. W przeciwieństwie do III wojny - to był po prostu konflikt „moja rodzina kontra reszta świata”. W latach czterdziestych obowiązywały hasła: „Walczmy ramię w ramię”, „Wszyscy płyniemy na tej samej łodzi”, a tutaj byłam ja i moje dzieci, okopani przeciwko całej reszcie - Alice, Molly, Jamie i Alfie kontra Anglia, Francja, Stany Zjednoczone, Niemcy, Japonia, Rosja i Ffion (nie mogłam się zorientować, po czyjej stronie był David, ciągle zmieniał sojuszników - pewnie robił za Włochy). Po drodze zawiązało się oczywiście kilka przelotnych sojuszy. Jeżeli nasza ambasada musiała wystosować zaproszenie na kinderbal lub wręczyć prezent urodzinowy, zawsze znalazły się jakieś kanały dyplomatyczne, ale to wszystko było tylko elementem nadrzędnego celu: moje dzieci *über allés* w nieustającej geopolitycznej bitwie o objęcie przez moją córkę wszechstronnej dominacji.

Teraz czekała mnie kolejna misja - pora rozpocząć działania w ukryciu jako tajna agentka w imieniu mojej córki. Wyruszyliśmy zatem na King's Road w poszukiwaniu odpowiednich ciuchów. Tak jak się spodziewałam, David nie mógł sobie tego odpuścić, krążył więc teraz między wieszakami w dziale Gapa dla nastolatków, szukając cukierkoworóżowych bluzeczek i kolejno rozkładając mi je przed nosem. Zdawał się nie dostrzegać, że zaczynamy budzić coraz większe zainteresowanie personelu, w ogóle mu nie przyszło do głowy, że ktoś stojący z boku i widzący faceta, który usiłuje namówić żonę do przymierzania różnych części dziewczęcej garderoby, może nabrać podejrzeń. Wynurzyłam się z przymierzalni ubrana w kusy T-shirt, a David rozdarł się na cały sklep:

- Nic z tego, za bardzo widać, że masz rozwinięte piersi. Trzeba ci kupić sportowy stanik, żeby wyglądało, jakby się dopiero wykluwały..

W końcu musiałam go odesłać do domu, zanim by wylądował w centralnej kartotece policyjnej. Stałam samotnie w przymierzalni naprzeciw ogromnego lustra, mając na sobie dzinsy wyszywane cekinami i różową bluzę z jakimś bohaterem z kreskówki (wszystko w rozmiarze 10-12 lat) i czułam się jak wariatka wybierająca się na bal kostiumowy. Te rzeczy okrutnie nie pasowały do mojej dojrzałej cery i siwiejącej kopy siana na głowie. Próbowałam wszystkiego: workowatych spodni od dresu, długiej, kwiciastej sukienki i wreszcie zielonej mini z legginsami, w której wyglądałam jak mim z prowincjonalnego teatru. Moja rozpacz rosła, a tymczasem każda kolejna rzecz wyglądała na mnie jeszcze bardziej groteskowo. Niezależnie od tego, co głosił napis na koszulce (*Kool Kidz*), w ogóle nie przypominałam współczesnej nastolatki. Czemu ja muszę mieć te kurze łapki, te wielkie wory pod oczami, ten sterczący podbródek i plamy wątrobowe na czole? Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek była zadowolona ze swojego wieku. Zdaje się, że przez całe dzieciństwo żałowałam, że nie jestem starsza, a całe dorosłe życie marzę o tym, żeby być młodszą. Nie mam pojęcia, kiedy nastąpiło to przejście, ale przecież musiał być jakiś moment, gdy myślałam o sobie: „Jestem szczęśliwa, mając tyle lat, ile mam”. To pewnie był jakiś weekend jeszcze w latach osiemdziesiątych. Na pewno jest sposób, żeby ukryć tę starzejącą się twarz. Przez chwilę rozważaliśmy z Davidem, czy nie zrobić ze mnie gorliwej muzulmanki. Początkowo wydawało się, że to idealny pomysł. Mogłabym wejść na salę egzaminacyjną Chelsea College ukryta pod czarczafem, jedynie z wąską szparką na oczy i z upudrowanymi na ciemno dłońmi. Kto miałby śmiałość poprosić mnie o zdjęcie muzulmańskiego nakrycia głowy? Kto by się odważył wyjść na rasistę, mówiąc: „Tutaj

nie wolno nosić takich rzeczy, młoda damo. Mogłoby się okazać, że nie jesteś tym, za kogo się podajesz". Ale później uświadomiłam sobie, że przy rejestracji musiałabym podać nazwisko, a „Molly Chaplin" nie brzmi raczej po arabsku.

Odwiesiłam ostatni z T-shirtów na drzwiach i zaczęłam się z bliska przyglądać w lustrze mojej twarzy, sprawdzając, czy na języku też mam już zmarszczki.

- Skarbie, chyba nie chcesz nosić tych ubrań z napisami, prawda? Hm...? To niezbyt elegancko, być chodzącą reklamą Gapa. No wiesz, nikt ci za to nie płaci. To co, nie bierzemy tego, prawda? Skarbie? Momentalnie rozpoznałam ten nachalnie-przymilny ton głosu.

- Tu jest ładna bluzeczka, Bronwyn. Przymierz, skarbie, przecież lubisz takie rzeczy. To twój ulubiony kolor... Nie, nie ta, ta pod spodem, podoba ci się, prawda?

Co Ffion robi w Gapie? Myślałam, że wszystkie ubrania dla dzieci zamawia u krawca w Mediolanie. Nie mogę teraz wyjść z naręczem dziecięcych ciuchów i bez dziecka u boku. Mogłaby sobie coś pomyśleć.

Postanowiłam poczekać, aż sobie pójdą. Wtedy będę zupełnie bezpieczna. Nagle usłyszałam, że ktoś szarpie za klamkę.

- A, ktoś tam jest... Na miłość boską, nie macie tu innych przymierzalni?

- Są na dole - odparła ekspedientka, przychodząc mi na ratunek.

- W porządku, zaczekamy. Stój tu obok mnie, Bronwyn, żeby nikt się nam nie wepchnął bez kolejki.

Uniosłam nogi w obawie, że zdradzą mnie buty. Byłam w pułapce. Ffion nie zamierzała zrezygnować, a ja nie mogłam się jej pokazać - sytuacja bez wyjścia. Wtem usłyszałam jakichś turystów i pomyślałam, że wreszcie teren jest czysty.

- *Il fait beau aujourd'hui, n'est pas?*

- *Oui, il fait très beau.*

To nie byli turyści. To Ffion skorzystała z okazji, żeby poćwiczyć z córką francuski.

- *Quelle heure est-il?*

- *Il est onze heures et demie.*

- *Qu'est-ce que tu as mangé pour petit déjeuner ce matin?* -Co?

-Nie „co” tylko „comment”. Przecież rozmawiamy po francusku.

- Ty nie.

- Bo nagle przeszłaś na angielski.

- *U fait beau aujourd'hui, n'est-ce pas?*

- Dobrze, wystarczy. Zresztą ja już to przed chwilą mówiłam.

Znów szarpnęła za klamkę. Zrozumiałam, że nie ma szans, aby Ffion i Bronwyn dały za wygraną. Nie miałam wyboru, musiałam stawić temu czoło. Wymyśliłam, jak to zrobić. Mogło się udać lub nie, ale nic innego mi nie pozostało. Przekreśliłam zamek i wymaszerowałam na zewnątrz.

- No wreszcie... - usłyszałam głos Ffion. - Och! Dziecko, coś chyba pokręciłaś, to nie tak się zakłada - dodała, widząc, jak wychodzę z przymierzalni w bluzie założonej tył na przód, z kapturem naciągniętym na twarz. - Ta dziewczynka założyła to odwrotnie - powtórzyła do ekspedientki. Ale to dziwne dziecko z twarzą schowaną pod kapturem kompletnie ją zignorowało, szło nadal przed siebie i kilka metrów dalej walnęło głową w filar.

- Ekstra - powiedziała Bronwyn. - Mogę przymierzyć taką samą?

W końcu zdecydowałam się na kilka sukienek, jasnoniebieską bluzę i trzy pary adidasów, które świecą, kiedy się biegnie. To doświadczenie dało mi jednak do zrozumienia, że nie chodzi o ciuchy. To głowa, która z nich wystawała, działała na moją niekorzyść. Poszłam więc wybielić sobie zęby, a następnie wysupłałam największą sumę, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się na siebie wydać, i ufarbowałam włosy na blond

u najlepszego fryzjera na West Endzie. W salonie z głośników leciała piosenka *Nastoletni śmieć*, a ja starałam się czuć jak gwiazda filmowa w scenie przeobrażenia, kiedy to w tle puszczały muzykę, żeby trochę ożywić tempo akcji.

Wróciłam do domu i krzyknęłam Davidowi, żeby nie wychodził z gabinetu. Założyłam najodpowiedniejsze ciuchy i stanęłam przed lustrem. Stwierdziłam, że wyglądam kilka ładnych lat młodziej: żadnych siwych włosów, smukła talia. Obejrzałam się z każdej strony i spróbowałam zachichotać jak podłotek.

- Dobra, zamknij oczy - powiedziałam, stając w drzwiach gabinetu. - Ta-da!

- O kurczę, wyglądasz fantastycznie - powiedział David, wybałuszając gały na swoją żonę-lolitkę.

- Miło mi - odparłam i zakręciłam się na pięcie, udając, że pociągam łyk z plastikowej butelki z *Simpsonami*, którą trzymałam w ręku.

- Niesamowite. Wyglądasz młodo, zdrowo, szczupło. Po prostu super!

- Cóż, solidnie się napracowałam.

- No i z dobrym skutkiem. Wyglądasz fantastycznie, tylko...

- Tylko co?

- Podniecasz mnie.

- Co?

-Przykro mi, ale wyglądasz niezwykle seksownie. A ponieważ nie ma takiej możliwości, żebym czuł pociąg seksualny do jedenastolatki, to znaczy, że to nie działa. Jesteś ewidentnie dorosłą kobietą, piękną, młodą i szczupłą, ale w życiu nikt cię nie weźmie za jedenastoletnią dziewczynkę. Wybacz, kochanie, ale nic z tego nie będzie...

Kompletnie się załamalam. Albo nasz plan był do niczego, albo wyszłam za mąż za pedofila. Z mojego punktu widzenia obie te ewentualności prezentowały się raczej przygnębiająco.

Simon i Sally Marrable
Małpolud w twojej kuchni

Sunrise Books

Cena: 6,99£

W latach trzydziestych brytyjski antropolog doktor Walter „Wattie” White prowadził przełomowe badania nad zachowaniem afrykańskich goryli górskich. Odkrył, że samce, którym zabierze się jedzenie i wszystko, co mają, wykazują znaczny stopień WROGOŚCI wobec swoich ludzkich dręczycieli, ale - co interesujące - goryle, którym podawano dużo owoców i czekolady, wykazywały mniej antypatii w stosunku do zespołu badaczy. Niestety, doktor White zginął w dramatycznych okolicznościach, kiedy zaatakował go rozdrażniony, blisko dwustukilogramowy goryl, jednak wyniki jego badań pozostają do dziś bardzo cenne.

Gdy twój „małpolud” wraca z „dżungli”, uszanuj jego potrzebę rzucenia się najedzenie, sięgnięcia po drinka czy symbole swojego statusu. U niektórych naczelnych takie POTWIERDZANIE DOMINACJI może polegać na chwytaniu kija i waleniu nim o ziemię, ale u innych może to być zagarnięcie pilota do telewizora. Większość samic naczelnych nauczyła się nie tykać tych trofeów. Ty także zrozum i uszanuj to, że żyjesz pod jednym dachem z gorylem, a wówczas twój naczelny partner nie zdziczeje do reszty.

5

Odbyliśmy z Davidem zażartą dyskusję na temat nowej szkoły Molly. Ja już na dzień dobry byłam wściekła, bo powiedział, że wyglądam staro.

- Wcale nie mówiłem, że wyglądasz staro - bronił się. -Mówiłem tylko, że nikt nie uwierzy, że masz jedenaście lat.

- Twierdzisz więc, że jestem pomarszczoną staruszką i powinnam nosić tylko dziergane kaftaniki i wełniane papucie, tak?

- Nie, na litość boską! Po prostu uważam, że powinniśmy przygotować jakiś plan awaryjny, na wypadek, gdyby cię wywalili z sali i oskarżyli o podszywanie się pod jedną z uczennic.

- Wiesz, co ty teraz robisz? To się nazywa „potwierdzanie dominacji”. Czytałam o tym, wszystkie samce naczelných to robią. Ilekroć samica coś wymyśli, samiec musi przejąć nad wszystkim kontrolę, żeby nie stracić poczucia, że nadal jest dominującym partnerem.

- Ale ja jestem jej ojcem...

- Pilot do telewizora jest odpowiednikiem kija. -Co?

- Goryle muszą trzymać pilota... Nie, czekaj, one łapią za kij... W każdym razie, używają go do tego samego celu.

- Do zmieniania kanałów?

Czasami David był taki nierozgarnięty - nie rozumiem, jakim cudem udało mu się wygrać szkolny turniej wiedzy dla rodziców tego dnia, gdy co chwila zniknął w toalecie z telefonem komórkowym.

Jednak do tego stopnia nie miał przekonania do mojego pomysłu przebrania się za Molly, że w końcu

uległam i obiecałam przynajmniej rozważyć opcję szkoły z internatem. Inaczej przyjdzie nam chodzić po domach i rozdawać „Strażnicę” w nadziei, że przyjmą Molly do tej niedawno otwartej szkoły Świadków Jehowy. Mimo że zaoferowałam się towarzyszyć jemu i Molly podczas dni otwartych w St. Jude's, byłam absolutnie zdecydowana nie oddawać córki do jakiejś odległej instytucji. Nie miałam zamiaru zostawiać jej tam samotnej, pozbawionej miłości i zmuszonej zakochać się na zabój w kapitanie drużyny lacrosse*, po to tylko, żeby później popaść w bulimię, bo on przestał odpisywać na jej SMS-y, które wysyłała do niego co godzinę.

Lata kształtowania się osobowości mojego męża upłynęły w niedużej, męskiej szkole z internatem w Yorkshire, do której został przyjęty, mimo że nie wykazywał zamiłowania do masturbacji ani zbyt głośnego mówienia. Zawsze powtarzał, że czuł się tam bardzo nieszczęśliwy, ale podobnie jak osoby, które doświadczyły przemocy w dzieciństwie, wyrastają na dorosłych również stosujących przemoc, tak i David był przekonany, że szkoła z internatem będzie odpowiednia dla Molly.

- Przecież jej nie znosiłeś.

- Tak, ale dzięki tej szkole jestem dzisiaj tym, kim jestem. Jakby było się czym chwalić.

- Witamy w St. Jude's - powiedziała nasza przewodniczka, kilkunastoletnia dziewczynka o śmiertelnie poważnym wyrazie twarzy. - Zaczniemy od budynku głównego, a następnie pokażę państwu nasz basen.

- Słyszysz, Molly? Mają tu basen, co ty na to? - spytał jej wniebowzięty ojciec.

- Uuu, basen - cmoknęłam z dezaprobatą. - Wyobraź sobie, jak ci każą wskakiwać do lodowatej wody!

Lacrosse - kanadyjska gra sportowa, w której uczestniczą dwie drużyny starające się wbić piłkę do bramki przeciwnika za pomocą rakiety w kształcie laski z siatką na zgięciu.

- A nie, jest podgrzewana - sprostował David, zaglądając do folderu.
- Jasne, tam mogą wszystko napisać, ale wystarczy, że ostatni rodzic wyjedzie za bramę, a zaraz wyłączają bojler, a dziewczynkom każą smarować skórę łojem, żeby nie zamarzły, kiedy będą je wrzucać do wody...

Molly w zdumieniu patrzyła, w jaki sposób w tej szacownej, wiekowej instytucji zdołano połączyć klasyczny majestat z najnowszymi osiągnięciami techniki cyfrowej.

- Tutaj odbywają się lekcje hiszpańskiego - recytowała monotonnym głosem przewodniczka.

- Hej, fajnie tu, co, Molly? - powiedział David.

- Nie no, Molly, spójrz na ten plakat z walką byków. To prawdziwe okrucieństwo, nie sądzisz?

David zaoferował się sam oprowadzić Molly, żeby „tylko zobaczyć, co ona o tym myśli”, ale ja nie mogłam dopuścić do tego, żeby moja córka była przez całe popołudnie narażona na intensywny lobbing swojego ojca. On by ją z miejsca zapisał i Molly zostałaby mi odebrana na zawsze, skazana przez całe życie na wiarę, że wioślarstwo to interesujący sport, i ochrzczona jakimś idiotycznym przydomkiem po którymś z bohaterów *Kubusia Puchatka*.

- Tędy idzie się do sali gimnastycznej - ciągnęła przewodniczka, unikając naszego wzroku i ciągle poprawiając okulary na piegowatym nosie. Sądziłam, że w sali gimnastycznej nie będzie nic, co mogłoby szczególnie zachwycić moją córkę, ale gdy weszliśmy do środka, ujrzeliśmy trampoliny Trampoliny! Czemu nie poszli na całość i nie zainstalowali od razu wodnych zjeżdżalni i dmuchanego zamku?

- Ale tu fajnie - zachwycił się David.

- Jej! - powiedziała Molly.

- Ale chyba nie da się non stop okupować trampoliny?

- Nie, skaczemy na zmianę.

- Tak myślałam. Widzisz więc, Molly, większość czasu musiałabyś stać i patrzeć, jak skaczą inne dziewczynki...

Nasz spór przeniósł teraz cały swój ciężar na Molly Teraz ona była królową, a my dwójką nadskakujących dworzan, zachwalających zalety naszych sprzecznych punktów widzenia i świadomych tego, że jeśli któreś zbyt szybko zdradzi się ze swoimi intencjami, może to się obrócić przeciwko niemu.

- Hm... To bardzo piękny, stary budynek, prawda, Molly? - powiedział mój adwersarz.

- Bardzo stary. Czy tu straszy? - spytałam.

- Nie, chyba nie.

- W ogóle by mnie to nie zdziwiło. Mnóstwo takich budynków jest nawiedzanych przez duchy
Nasza przewodniczka nie wiedziała, co powiedzieć, i niewykluczone, że teraz nie sypia po nocach, trzęsąc się ze strachu w swoim pokoju w internacie. Chociaż sądząc po jej wyglądzie, to właśnie noc jest tą porą, kiedy zwykle wychodzi ze swojej trumny To był pewnego rodzaju szczęśliwy zbieg okoliczności. Dziewczynka, która nas oprowadzała - żywy przykład, który miał naszą córkę zachęcić do wyboru właśnie tej szkoły - była jakimś kuriozalnym, androgenicznym wyrzutkiem rodziny Addamsów i widziałam, że Molly przygląda się jej dziwnym okularom w grubych oprawkach, przejrzałym przyszczom i zrośniętym brwiom. Bywa, że dziecko jest tak utalentowane muzycznie, że z czasem przestaje zwracać uwagę na swój wygląd czy brak umiejętności komunikowania się z ludźmi. Na tej podstawie można by sądzić, że ta dziewczynka to drugi Mozart.

Następnie poszliśmy obejrzeć pokoje w internacie. Ku mojemu rozczarowaniu ani trochę nie przypominały one baraków obozu jenieckiego z czasów II wojny światowej. Spodziewałam się ujrzeć długie i wąskie, półokrągłe namioty z rzędami metalowych prycz. Najlepiej, żeby jeszcze pod jedną z nich kulilo się wystraszone, kruche dziewczątko w samej bieliźnie, a środkiem paradował nalany sadysta, preżąc bat w oczekiwaniu na wymierzenie kolejnego lania. Ale miejsce, do którego nas doprowadzono, było ciepłą i przytulną sypialnią, w której stały tylko cztery łóżka.

Za oknem rozciągał się widok na boiska do hokeja na trawie, na które wygoniono chyba całą szkołę mimo chłodnej aury.

- Ojej, jak tu pięknie - powiedział David, przesadnie akcentując słowa.

- Hm... trochę ciasnawo... - zauważyłam. - Kiedy wszystkie dziewczynki się wprowadzą, będziesz miała niewiele miejsca na swoje rzeczy, Molly.

- Molly, spójrz... Beyoncé - wyszeptał konspiracyjnie David, wskazując plakat, który na moje nieszczęście deklarował uwielbienie dla ulubionej piosenkarki Molly Widząc, że to ma być coś w rodzaju argumentu przetargowego, na podstawie którego jedenastoletnie dziecko ma zdecydować o swoim przyszłym wykształceniu, czym prędzej wskazałam na znaczek z Kylie Minogue przypięty do korkowej tablicy.

- No nie, Kylie Minogue. Zdaje się, że jej nie cierpisz, prawda? Wyobraź sobie, Molly, że mieszkasz z kimś, kto puszcza na okrągło tę piosenkę: „Na, na-na - na, na-na-na-na...”. Dostałabyś szału.

- Och, jestem pewien, że zakwaterują cię z dziewczynkami, które mają podobne zainteresowania. Przymuszczałnie z najlepszymi przyjaciółkami. Pomyśl tylko, co noc bitwy na poduszki, wieczorne uczty, to będzie jak jedne wielkie wakacje.

- Nie mów jej, co ma myśleć, Davidzie. Niech sama podejmie decyzję... Dostyc tu ciasno, nie sądzisz, Molly?

David spojrzał na mnie, unosząc brwi, i niemal szeptem powiedział:

- Przytulnie.

- Ciasno - powtórzyłam takim tonem, jakby chodziło o bezspornie stwierdzony fakt.

- Przytulnie.

- Ciasno.

Właśnie miałam dorzucić: „I pomyśl, będziesz tu cały czas sama, bez mamy i taty”, ale zorientowałam się, że to mogłoby ostatecznie przeważyc szalę na korzyść szkoły z internatem.

Molly była oczarowana. Oto dziecku wychowanemu na *Harrym Potterze* nagle pokazuje się jego własny Hogwart. Przed oczami roztoczyła mi się wizja najbliższych lat: moja ukochana pierworodna przebywa w miejscu oddalonym dwieście kilometrów ode mnie, a ja codziennie rano włączam komputer z płonną nadzieją, że może przysłała swojej samotnej matce choć krótki e-mail. David widział, że szala przechyla się na jego stronę i był podekscytowany perspektywą, że córka pójdzie w jego ślady - Są tu oczywiście uczennice, które dojeżdżają - chwyciłam się ostatniej deski ratunku. - Nie musiałyby mieszkać w internacie, mogłabym ją codziennie dowozić.

- Alice, to jest Wiltshire. Dwie i pół godziny w jedną stronę.
- Wynajęlibyśmy samochód kempingowy. Molly mogłaby w nim spać w drodze do szkoły A z powrotem odrabiać lekcje... - Mój rozpaczliwy głos rozplynał się w powietrzu, bo David oddalił się w stronę jakichś obrazów na ścianie. - Albo sprawdzimy, czy nie ma jakichś fajnych szkół na Lundy.. - dodałam już bardziej do siebie.
- Chodź zobacz, Molly. Robią wrażenie, nie?
- Nie wolałabyś swojej starej sypialni w domu, kochanie? - spytałam po cichu.

Molly spojrzała na mnie tak, jakby wiedziała, że odpowiedź zrani moje uczucia.

- Bo myślałam, żeby ci tam wstawić na górę telewizor i DVD...
- Naprawdę? Miałabym własny telewizor? Z DVD?
- Tutaj oczywiście nie pozwoliliby ci tego trzymać w pokoju...
- Ale przecież... Jak wcześniej pytałam, i ty, i tato mówiliście, że absolutnie...
- To dlatego, żebyś miała jeszcze większą niespodziankę na urodziny I telefon komórkowy. Kupię ci komórkę, jeśli zostaniesz w domu.
- Super!
- Tylko jedna sprawa: na razie nie wspominaj o tym ojcu, bo wciąż pracuję nad tym, żeby go przekonać.
- Kurczę, dzięki, mamo.

Wrócił David, a ja udałam, że tylko pocieszam Molly, która przed chwilą rzuciła mi się z radości na szyję.

- Przecież będziesz do nas przyjeżdżać na święta, kochanie... Ale oczywiście sama zdecydujesz, czy chcesz tu mieszkać z jakimiś obcymi dziewczynkami, czy u siebie w domu, wśród własnych rzeczy.

- Nie, chyba wolę zostać w domu.

- Co? - powiedział zaskoczony David. - Jeszcze nawet nie widzieliśmy sal muzycznych. A przecież z tego najbardziej słynie ta szkoła. Mogłabyś grać w orkiestrze...

- David, umówiliśmy się, że pozwolimy jej zdecydować. I wtedy wtrąciła się ta irytująca trzynastoletnia przewodniczka:

- U nas też są telewizory. I wypożyczalnia DVD.

- Kto mówił o DVD? - zwróciłam się do niej, jakby była kompletną idiotką. A biedne dziecko poprawiło okulary i wbiło wzrok w podłogę.

Molly zachciało się siusiu i młodsza siostra Morticii poszła zaprowadzić ją do ubikacji. Miałam nadzieję, że moja córka nie wróci ze śladami kłów na szyi.

- Musimy ją tu zapisać - powiedział błagalnie David. - Alice, ona się nie dostanie do Chelsea.

- Jeszcze zobaczymy.

- Zejdź na ziemię. To jest dla niej jedyna szansa: stypendium muzyczne w St. Jude s.

- Davidzie, sam słyszałeś, że ona nie chce tu chodzić...

- W takim razie zostajemy z niczym. Albo wyślemy cię na ten egzamin i będziemy się modlić, żeby w sali pilnowali was sami niewidomi nauczyciele.

- To chyba lepsze, niż zostawić tu Molly i pozwolić, żeby się zamieniła w takie dziwadło, jak ta tutaj. Odkąd przy-

szliśmy, ta dziewczyna ani razu się nie uśmiechnęła. Spójrz na nią: tłuste włosy, twarz bez wyrazu. Trzydzieści lat, a wygląda, jakby miała czterdzieści.

David zamilkł i nagle się zamyślił.

- To prawda - zaśmiałam się. - Wygląda, jakby się urodziła przed wojną i pięćdziesiąt razy z rzędu powtarzała klasę.

- Mam! -Co?

- Ta dziewczyna. Ty wyglądasz jak ona!

- O, dziękuję ci bardzo, Davidzie. Właśnie to chciałam usłyszeć. Wcale nie wyglądam jak...

- Nie, nie, nie zrozumiałaś mnie...

- Jak śmiesz? Ona jest pospolita, brzydka, pryszczata i nosi okropne okulary...

- Właśnie, a przed chwilą sama powiedziałaś: „trzydzieści lat, a wygląda, jakby miała czterdzieści”. Nie damy rady zrobić z ciebie ładnej jedenastolatki, zrobimy więc brzydką.

- Co takiego?

- Na egzamin do Chelsea. Musisz wyglądać dziwnie, jak te dzieci, których wieku nie sposób odgadnąć. Ale tak okropnie, żeby ludzie ze wstrętem odwracali wzrok.

- Ach, nie tylko jestem więc stara, ale jeszcze w dodatku brzydka, tak?

- Zrobimy z ciebie tłustowłosą, pryszczatą okularnicę i ubierzemy w wyjątkowo nieładne i niemodne ciuchy. - Wybacz, ale nie sądzę, żebym była do niej podobna...

- Może zrobimy ci wielką, czerwoną bliznę na pół twarzy? Albo udawaj, że jesz tippex czy coś takiego... Nie, to by się za bardzo rzucało w oczy... - David był bardzo podniecony i trochę się rozpędził.

- Wybacz, ale nic z tego nie będzie. Ja w ogóle tak nie wyglądam. Sarah powiedziała, że jeszcze nigdy nie widziała, żebym wyglądała tak młodo i atrakcyjnie - rzuciłam urażona.

- Tak, tak, teraz wyglądasz ładnie... - zbył mnie David. -Ale pomyśl, co by było, gdybyś zafarbowała włosy na czarno

i wtarła w nie pół pudełka margaryny? Gdybyśmy ci założyli wielkie okulary w grubych oprawkach, sklezione na przykład plastrem? Miałybyś mnóstwo pryszczu na twarzy, takich wielkich, ropiejących, i byłabyś tak zawstydzona, że cały czas obgryzałabyś paznokcie, i tak więc zasłaniałabyś sobie pół twarzy? Nikomu nie przyjdzie do głowy: „Nie, ona na pewno nie ma jedenastu lat”. Wszyscy będą myśleć: „Biedne dziecko, jak też musi wyglądać jej dom...”, a później szybko odwrócą wzrok, żebyś nie pomyślała, że się na ciebie gapią, a poza tym przyjemniej jest patrzeć na ładne i uśmiechnięte dzieci ze Spencer House.

To był genialny plan. Po cichu musiałam przyznać, że wydawał się niezawodny. Pozostałą część wycieczki odbyliśmy w błyskawicznym tempie, zwłaszcza że nasza przewodniczka zaczynała być coraz bardziej zaniepokojona sposobem, w jaki przyglądamy się jej z góry na dół, analizując ubranie, uczesanie i sposób poruszania się. W drodze powrotnej zastanawiałam się, czy atrakcyjność tego pomysłu z udawaniem jedenastolatki nie polegała głównie na tym, że dzięki niemu miałabym okazję raz jeszcze wyglądać młodo i ładnie. Cóż, teraz trzeba było spojrzeć prawdzie w oczy - dla dobra dziecka muszę poświęcić własny wygląd i schować próżność do kieszeni. Skąd my to znamy? Pierwsza próba zrobienia sobie sztucznego trądziku zakończyła się tak, że wyglądałam jak postać z kreskówki: twarz upstrzona kropkami z czerwonej szminki. Wystarczy, że spojrzy na mnie egzaminator i każe mnie wyprowadzić z sali, zanim jeszcze kogoś zarażę tą komiczną wysypką, którą musiałam chyba złapać od Toma i Jerry'ego. Jednak po wizycie w sklepie z kosmetykami teatralnymi na West Endzie nauczyłam się, jak używać masek lateksowych i specjalnego kleju, jak nakładać podkład, żeby nie był zbyt widoczny, i jak

idealnie dobrać odcień. Ostatnim krokiem było posmarowanie twarzy oliwą z oliwek, jej tłusta warstwa sprawiła, że trądzik wyglądał szczególnie autentycznie. Postanowiłam, że nie będzie dwóch takich samych pryszczycy. Niektóre będą wyglądać, jakby dopiero zamierzały się wykluć, inne, jakby właśnie wyskoczyły, a tu i ówdzie będzie widniał blednący krater po jakiejś dawnej erupcji. Każdy został starannie zbudowany z kilku warstw, żeby miał wyczuwalną strukturę, a ich odcień przechodził subtelnie od różowawej otoczki aż po żółtawy czubek. Pozostało mi jeszcze odgrzebać stare okulary w grubych oprawkach, które nosiłam w czasach, gdy nie miałam jeszcze szkieł kontaktowych.

- Jezu, wyglądasz obleśnie - powiedział David.

- Miło mi - odparłam szczerze. Z artystycznego punktu widzenia osiągnięcie tak odrażającego efektu dało mi prawdziwe poczucie satysfakcji. Jestem pryszczata, brzydka i mam tłuste włosy, od lat nie byłam z siebie taka dumna.

Gdyby jeszcze z matematyką szło mi równie łatwo. „Peter układa kafelki w łazience. Czarne mają szerokość 20 cm, a białe 15 cm. Jeśli będzie je układał naprzemiennie, ile musi zużyć, żeby pokryć 120 cm powierzchni?” Nie mam pojęcia, nie może po prostu wezwać ekipy Balham Bathrooms? Pracuje u nich taki Polak, który jest właściwie bardzo miły, mimo że pali skręty w oknie i wrzuca niedopałki do sedesu. No, Alice, skup się... Zaczynij od trzech z każdego koloru, to da nam $60 + 45 = 105$, czyli zostaje jeszcze 15 cm, wystarczy więc dodać jeden biały kafelek i oto mamy odpowiedź! Siedem! Cztery małe, trzy duże, rozwiązałam! Jestem Einsteinem! Jestem Pitagorasem! Jestem... Jestem... Jakimś innym sławnym matematykiem, ale akurat nie umiem sobie przypomnieć nazwiska. Nawiasem mówiąc, sama nie wybrałabym takich kafelków. Jak na mój gust, pasowałyby do miejskich szaletów z lat siedemdziesiątych.

Dzięki ciągłym powtórkom i korepetycjom u Davida szło mi coraz lepiej. W końcu nabrałam pewności, że potrafię sobie

poradzić z każdym matematycznym wyzwaniem, o ile tylko nie będzie chodziło o właściwe oszacowanie ilości makaronu dla trójki dzieci, tak żebym później nie musiała zeskrobywać do kosza całej tony resztek z talerzy.

Z każdego testu kupiliśmy po dwa egzemplarze, ale Molly zostawiała tyle pustych miejsc, że właściwie mogłam korzystać z jej zadań. Nadal musieliśmy zachowywać pozory i gonić ją do nauki, ale atmosfera paniki nieco opadła. Kiedy coś jej się nie udało, Molly nie musiała już wysłuchiwać przez ścianę całonocnych kłótni rodziców. Wciąż pomagałam jej w lekcjach, ale nie przejmowałam się tym aż tak. Nie musiałam już tłumić złości, że nie rozwiązuje całego testu po półgodzinnym, tępym wpatrywaniu się w kartkę. „Molly ma dwoje rodziców. Jeżeli zabierzemy jej jedną histeryzującą matkę i jednego przesadnie ambitnego ojca, to co się z nią stanie? Odpowiedź: zaczną jej odrastać skórki wokół paznokci”.

Ale tak to zwykle jest, że kiedy pozbywamy się jednego zmartwienia, na jego miejscu natychmiast pojawia się nowe. Teraz, gdy przestałam się gryźć szkołą Molly, coraz wyraźniej widziałam, że dzieje się coś niedobrego z Jamiem. Matka instynktownie wie, kiedy coś się święci - mamy takie ultra-czułe antenki, które potrafią wykryć najdelikatniejsze zmiany w nastroju czy morale. A to, że w poniedziałek rano Jamie wybuchnął płaczem, kiedy powiedziałam, że czas do szkoły, był już ostatecznym sygnałem.

Przemoc w szkole to bardzo powszechne zjawisko, z którym prędzej czy później spotyka się większość dzieci. Specjaliści opracowali nawet klarowne strategie i szczegółowe metody postępowania w zetknięciu z tym skomplikowanym problemem, ale gdy ofiarą pada moje własne dziecko, nadal uważam, że najwłaściwszą reakcją byłoby przejść się osobiście na boisko i stłuc na kwaśne jabłko tego gnojka, który śmiał go tknąć.

To jest tak, jak z groźnymi chorobami. Słyszałam o innych dzieciach, które były prześladowane w szkole, ale nigdy

nie przypuszczałam, że może to dotknąć mojego syna. Nie było wyraźnej przyczyny, dla której nagle stał się ofiarą tej plagi: nie ufarbowałam mu włosów na rudo, nie kazałam zakładać białych skarpetek do sandałów. Na początku w ogóle nie chciał o tym rozmawiać i między jednym chlipnięciem a drugim próbował dość nieudolnie zaprzeczać, że cokolwiek złego się dzieje. W końcu jednak podstępem wydusiłam z niego, że pewien chłopak nazwiskiem Danny Shea znęca się nad nim od momentu przekroczenia progu szkoły aż do ostatniego dzwonka. Dopiero wtedy mnie oświeciło, dlaczego Jamie nie chciał, żebym mu przygotowywała trójkątne kanapki - ponieważ Danny Shea się z nich naśmiewał. Chciał zabierać ze sobą lunch w pudełku, ponieważ Danny Shea czatował na niego w kolejce na stołówce. Danny Shea kopał Jamiego, gdy mijał jego ławkę, szczypał w przebieralni przed lekcją wychowania fizycznego, dopadał go podczas każdych zajęć i popychał, uderzał, aż w końcu musieli interweniować wychowawcy i w poczuciu obowiązku upominali ich mówiąc, że obaj są siebie warci.

Po trosze byłam rozżalona, że jedno z moich dzieci stało się celem prześladowań jakiegoś tyrana, a jednocześnie potrzebuje aż takiej pomocy przy opracowywaniu szkolnego projektu. To nie fair - przecież powinno być tak, że jeśli dziecko jest ofiarą w szkole, to przynajmniej pozostaje pocieszenie, że w wieku trzynastu lat śpiewająco zda wszystkie końcowe egzaminy. Jednak najsilniejszym uczuciem był gniew, pierwotna wściekłość matki, która pragnie chronić swoje młode. Bo ja nie chciałam tylko nastraszyć Dannyego Shea; chciałam mu zrobić krzywdę. Miałam ochotę wytargać go za włosy, aż zacznie ryczeć, chwycić za gardło i wykrzyczeć mu w twarz, żeby nigdy więcej nie śmiał tknąć mojego syna. Chciałam sprawić, że zacznie się tak bać Jamiego Chaplina, że będzie wolał się schować za pianinem, gdy pani Soames będzie grała *When I'm Sixty-four*, niż choćby się o niego otrzeć.

Oczywiście wiedziałam, że takie rozwiązanie problemu byłoby niedopuszczalne. Te sprawy załatwia się w ramach ustalonych procedur. Dobrze, właściwie to nie pamiętam dokładnie, dlaczego to byłoby takie niestosowne, gdybym się sama rozprawiła z dziewięcioletnim łobuzem, ale po prostu wiem, że tak jest i już. To trochę tak, jak z zamachami na okrutnych dyktatorów - David wielokrotnie cierpliwie mi tłumaczył, dlaczego to nie należy do oficjalnej polityki ONZ, i ja w końcu zaczynałam rozumieć i przyznawałam mu rację. A później, za kilka dni, znów pytałam:

- Czemu oni zwyczajnie nie podłożą bomby pod samochód Husajna? Dlaczego od razu muszą napadać na całe państwo?

Jamie błagał, abym nie zgłaszała tego nauczycielom, bo to pogorszy sprawę, a ja, chcąc go uspokoić, bezmyślnie się zgodziłam. W ten sposób stałam się kompletnie bezsilna. Patrzyłam, jak co rano opornie wlecze się do szkoły niczym jagnię prowadzone na rzeź, a później cały dzień myślałam o nim, zastanawiając się, czy to się dzieje właśnie teraz. Godzinami odchodziłam od zmysłów, dopóki nie dotarł bezpiecznie do domu. Z niepokojem pytałam wtedy, jak minął dzień, on jak zawsze rzucał obojętne „w porządku”, a ja, nie chcąc być zanadto nachalna, dodawałam: „Żadnych problemów, nic? Wszystko OK?”, a Jamie nie odpowiadał, tylko sam z siebie oferował się poćwiczyć na pianinie. Wtedy już wiedziałam, że coś jest nie tak.

W tamtym tygodniu stałam się ofiarą następnego, najbardziej bezpośredniego jak dotąd ataku ze strony Ffion. Właściwie lepsze byłoby słowo „afront”.

Kochani,

Alice zwróciła mi uwagę, że ranking, który wam podesłałam po egzaminie próbnym, nie był miarodajny, bo nie uwzględniłam w nim innych osiągnięć, na przykład gry na skrzypcach Molly itp. Doszłam do wniosku, że ma rację!!! Razem z Philipem pobawiliśmy się więc trochę i zaktualizowaliśmy listę!!!

Myślę, że z ciekawością zobaczycie, gdzie leżą mocne i słabe strony waszych dzieci!!!

Milej lektury!! Ffion

Załącznik: zaktualizowany ranking

Kliknęłam na ikonkę i komputer zapytał, czy na pewno chcę otworzyć załącznik. Jak się okazało, to pytanie wcale nie było takie głupie. Pierwsze, co mnie uderzyło, to stopień skomplikowania tabeli. Ileż pracy musieli włożyć, żeby stworzyć tak rozbudowany ranking. Nie, to nieprawda. Pierwsze, co zauważyłam, to była pozycja Molly na liście. Tak jak foka, która potrafi usłyszeć wołanie swojego młodego pośród tysięcy fok na plaży, matka natychmiast wyłowi imię swojego dziecka z całej strony tekstu. Molly była czwarta. Jedyna uczennica, która zdała egzamin piątego stopnia z gry na skrzypcach, nadal była tylko czwarta. Jednak Ffion uwzględniła cały wachlarz innych osiągnięć i atrybutów, i muzyczna dominacja mojej córki została zniwelowana niedociągnięciami w innych dziedzinach, od „osiągnięć sportowych” po „balet” czy - nie do wiary - „maniery”.

	Wynik egzaminu próbnego	Osiągnięcia sportowe	Liczba nagród zdobytych w szkole	Przemawianie publiczne	Pływanie	Muzyka	Języki obce	Balet	Jazda konna	Ogólna prezencja	Maniery	Ocena ogólna
Bronwyn	87 %	90 %	92 %	75 %	77 %	55 %	93 %	82 %	83 %	92 %	97 %	84 %
Henrietta	70 %	89 %	83 %	75 %	76 %	75 %	79 %	81 %	82 %	83 %	76 %	79 %
Druscilla	63 %	76 %	89 %	78 %	72 %	80 %	74 %	70 %	80 %	82 %	72 %	76 %
Molly	38 %	12 %	90 %	86 %	74 %	95 %	62 %	80 %	0 %	54 %	88 %	62 %
Kirsty	51 %	61 %	58 %	71 %	74 %	60 %	61 %	32 %	68 %	69 %	69 %	61 %
Jemima	59 %	59 %	57 %	0 %	74 %	80 %	71 %	60 %	68 %	51 %	70 %	59 %
Fleur	62 %	57 %	63 %	41 %	76 %	50 %	9 %	72 %	69 %	70 %	36 %	55 %
Eliza	78 %	40 %	60 %	74 %	1 %	17 %	85 %	42 %	55 %	60 %	5 %	47 %

Patrząc na kategorię „przemawianie publiczne”, pomyślałam, że Ffion mogła jednak uwzględnić, że biedna Jemima się jąka.

No i gdzie w tym skomplikowanym systemie ocen autorstwa Ffion i Philipa znalazło się miejsce dla ich własnej córki? Gdzież pośród ośmiu dziewcząt w tabeli mogła się uplasować Bronwyn? Ooooch, jest, spójrzcie, na samej górze, brawo, Bronwyn, co za utalentowane dziecko! I to wszystko wyliczył komputer. Kto by się ośmielił sprzeczać z Ffion, że jej córka nie jest najlepsza, skoro dowiódł tego specjalnie opracowany arkusz kalkulacyjny?

Kiedy przyjrzałam się uważniej poszczególnym wynikom, wiedziałam już, jakiego użyła wybiegu, żeby zmusić komputer, aby zrobił z jej córki prymuskę. Bronwyn otrzymała 83 % za jazdę konną, podczas gdy Molly, która w ogóle nie jeździ, dostała 0 %.

- Nie, to jest po prostu śmieszne! - powiedziałam na głos. - Kompletne bzdury.

Później w rubryce „osiągnięcia sportowe” zobaczyłam, że Molly dostała nędzne 12 %, i gdy sama przed sobą przyznałam się do tej gorzkiej prawdy o moim ukochanym dziecku, zrobiło mi się ciężko na sercu. Prawdę mówiąc, te 12 % to i tak było na wyrost. Na sto podań ona nie złapałaby piłki nawet dwanaście razy, ponieważ zwyczajnie się jej boi. Nawet gdy ktoś lekko rzucał w jej stronę woreczkiem z grochem, uchylała się i kucała ze strachu. „Gorzej niż nasi kry-kieciarze”, mawiał David.

Z satysfakcją jednak dostrzegłam, że Molly zdobyła znakomity wynik 88 % za „maniery”, ustępujący jedynie 97 % Bronwyn. Eliza Rhys-Jones w tej samej kategorii zdołała uzyskać tylko 5 %. Tak, to by się nawet zgadzało. Zresztą spojrzawszy wnikliwie na poszczególne oceny, musiałam przyznać, że wiele z nich było dość sprawiedliwych. Z wyjątkiem Bronwyn, której oceny były jawnie zawyżone, oraz Molly, którą oceniono stanowczo za nisko. Czwarte miejsce wśród ośmiu dziewcząt - to ją obraża! Gapiłam się na to z coraz

większym niedowierzaniem i oburzeniem. W dodatku Ffion miała irytujący zwyczaj umieszczania w e-mailach wykrzykników, które miały osłodzić nieprzyjemne wiadomości. Pewnie niedługo zaczniemy używać takich samych emotikonów, jakimi nasze dzieci ozdabiają swoje maile, mając nadzieję, że dzięki nim będziemy mogły bezkarnie obrzucać się jeszcze gorszymi obelgami: „Wypchaj się, Ffion, ty tłusta krowo:)” albo „Obyś sama zdechła, Alice, ty anorektyczna małpo ;-)”.

Ffion wysłała ten e-mail do wszystkich rodziców, których miała w książce adresowej, niemal wszyscy, których znam, zobaczą, że Molly dostała tylko 54 % za „ogólną prezencję” (zauważyłam jednak, że rodzice Elizy, których okropna córka zajmuje ostatnie miejsce w tabeli, zostali roztropnie usunięci z listy odbiorców). To było bardzo obraźliwe i niedorzeczne, a jednak wiedziałam, że co mniej rozsądne matki potraktują to poważnie. A gdzie jest wyróżnienie, które Molly dostała za swój wiersz na Dzień Matki, zatytułowany *Moja matka*, który noszę ze sobą w torebce? Poza tym Ffion przyznała własnej córce aż 55 % z muzyki, co jest wielkim przegięciem. (Bronwyn uczyła się grać na pianinie. Metodą Suzuki. Na keyboardzie Yamahy A efekt brzmiał jak stare, zdezelowane Kawasaki.) Analizując tabelę szczegółowo, zastanawiałam się, co by było, gdyby nie brać pod uwagę tego dosyć arbitralnego kryterium, jakim jest jazda konno. Używając kalkulatora Davida obliczyłam, że gdyby pominąć zasadność posiadania umiejętności poruszania się konno po Londynie w XIX wieku, Molly przesunęłaby się w rankingu o dwie pozycje w górę, można więc powiedzieć, że powinna była zająć drugie miejsce. Druga na osiem dziewcząt - to brzmi znacznie lepiej. A gdyby jeszcze obniżyć o 15 % wynik Bronwyn w kategorii „maniery” za ten incydent, kiedy mnie spytała, czy nas nie stać na zatrudnienie pomocy domowej, wówczas Molly byłaby pierwsza.

Poza tym, w odróżnieniu od Bronwyn, Molly przynajmniej nie zapomina spuścić po sobie wody, kiedy w cudzym domu załatwia grubszą potrzebę, a jakoś nie widzę, żeby Ffion umieściła w tabeli kategorię „umiejętność spłukiwania toalety po zrobieniu kupy”. Nie, nie wolno mi się wyżywać na małej Bronwyn. To jedna z najbliższych koleżanek Molly i nie można jej winić za to, że ma matkę, która cierpi na przerost ambicji. Już pomińmy to, że kiedyś w szkole podczas wyścigu z jajkiem

dopuszczała się oszustwa. Tabelka też jakoś tego nie uwzględniła; nie widzę, żeby odjęto punkty za widoczne ślady kleju znalezione na łyżce zwyciężczyni. Cały ten ranking to jedna wielka farsa. Pokazał tylko, jak żalosna stała się Ffion. Matka, która nieustannie szuka potwierdzenia własnej wartości. Ilekroć skarżyłam się Davidowi na Ffion, pytał, dlaczego wciąż się z nią przyjaźnię. Jednak przyjaźni nie da się tak po prostu anulować, jak się anuluje comiesięczne polecenie zapłaty w banku. Zresztą i tego nie potrafiłam nigdy zrobić. Zdaje się, że do dziś płacę abonament na siłownię, w której byłam tylko dwa razy w styczniu 2003 roku. Trwałe przyjaźnie nawiązują się wtedy, gdy ludzie zostają postawieni w ekstremalnych sytuacjach, na przykład towarzysze broni w okopach, współwięźniowie w celi, no i świeżo upieczone matki zbierające się po szoku, jakim było porzucenie kariery zawodowej po to tylko, żeby nie spać po nocach i być obrzygiwaną dwadzieścia cztery godziny na dobę. Kiedy wspólnie z kimś przeżyłaś koszmar zajęć aqua-aerobiku dla mam z dziećmi, odczuwasz później głęboką więź, którą trudno zerwać. Moi rodzice zmarli, zanim zostałam matką, więc w tym pierwszym okresie po urodzeniu dziecka rozpaczliwie potrzebowałam wsparcia. Poza tym co chwila się okazywało, że coraz więcej rzeczy nas łączy. Gdy wstrząśnięta i zdumiona zauważyłam, że mojej malutkiej córeczce zaczynają się wyrzynać ząbki, okazało się, że dzieciom Ffion i Sarah również. Gdy Molly skończyła pięć lat, ich dzieci też skończyły pięć, to było niepojęte. Tak naprawdę jednak nie chciałam zrywać kontaktów z Ffion, ponieważ nie chciałam przegrać. Bałam się odpaść

z wyścigu. Poza tym ostatnie matki, które odeszły z naszej grupy, dostarczyły nam na wiele lat tematu do plotek. Taka już ludzka natura - gdy tylko za kimś zamkną się drzwi, natychmiast zaczynamy obrabiać mu tyłek. Jestem pewna, że tak samo było podczas tej burzy śnieżnej na Antarktydzie, kiedy kapitan Oates z poważnymi odmrożeniami wyszedł chwiejnym krokiem z namiotu, aby zginąć w śnieżycy, bo nie chciał być ciężarem dla współtowarzyszy wyprawy: „Odchodzę. Nie będzie mnie jakiś czas”. Chwila ciszy, a następnie: „Cholerny Oates, jaki szlachetny, nie?”, .Właśnie, wielki męczennik. «Och, nie przejmujcie się, pozwólcie mi umrzeć». Szczerze mówiąc, cieszę się, że się go pozbyliśmy”.

Ilekcję Ffion odnosiła więc zwycięstwo w takiej bitwie jak ta, we mnie rosła determinacja, aby wygrać całą wojnę. Załatwienie Molly wstępu do Chelsea College wymagało ode mnie zdania dwóch egzaminów. Choć przerobiłam niezliczone ilości testów, to wciąż nie przeprowadziłam próby tego najtrudniejszego - ani razu nie pokazałam się publicznie w przebraniu i nie sprawdziłam, jaka będzie reakcja ludzi, gdy spróbuję udawać dziewczynkę, która właśnie kończy podstawówkę.

- Klub młodzieżowy? - spytał zdziwiony David? - A jak spotkasz tam którąś z koleżanek Molly?

- Pojedziemy do innego miasta, daleko stąd...

- No ale... Skąd weźmiesz...

- Wykonamy parę telefonów. Doprawdy, Davidzie, to ty masz być tutaj dorosłym.

Ponieważ to on wymyślił, żeby zrobić ze mnie pokrakę, czułam, że powinnam przejąć inicjatywę i w pełni wykorzystałam to, że ciężko mu idzie z realizacją kolejnego etapu planu. Wikary w Putney powiedział, że z przyjemnością powita Molly w piątek wieczorem na spotkaniu w klubie młodzieżowym i obiecał, że poprosi opiekuna, aby po nią wyszedł.

- W której części Putney państwo mieszkacie? - zapytał.

- Yyy... Dopiero mamy się przeprowadzić - wymyślił na oczekaniu David. Zaimponował mi, ale mu tego nie powiedziałam. -1 pomyśleliśmy, że byłoby dobrze, gdyby Molly wpadła do klubu i poznała jakieś dzieci, zanim tu zamieszka... Tak, właśnie tak.

- Świetnie. W takim razie z której strony będą państwo wjeżdżać do miasta?

Nastała cisza.

- Przepraszam, coś mi przerywa - powiedział David zakrywając ręką słuchawkę. - Dzwonię z komórki, a właśnie wjeżdżamy do tunelu... - wychrypiał, bawiąc się kablem od telefonu w gabinecie, a następnie nacisnął guzik i rozłączył rozmowę.

Kiedy wyruszyliśmy na zachód, usiadłam z tyłu. Musieliśmy wyjść z domu, zanim opiekunka odbierze dzieci ze szkoły, żeby nie zostały na całe życie psychicznie okaleczone, widząc własną matkę w dziecięcych ciuchach i bejsbo-lówce, z twarzą pokrytą pryszczami. Zdaniem Davida, nieco przesadziłam z trądzikiem, ale ja utrzymywałam, że to dlatego, aby ludzie odwracali ode mnie wzrok. To miała być twarz, na którą niegrzecznie jest się gapić. A kiedy nadejdzie właściwy dzień, erupcje na mojej skórze muszą być na tyle odrażające, żeby odciągnąć uwagę obserwatorów, którzy mogliby donieść na tajnego szpiega, który przeniknął szeregi wroga.

Przyjechaliśmy tak wcześnie, że postanowiliśmy jeszcze pójść coś zjeść. Własnym dzieciom nigdy nie pozwalałam chodzić do McDonalda, ale w tych okolicznościach wydawało się to nawet stosowne. A poza wszystkim, przyjemnie było znaleźć się w miejscu, gdzie personel był bardziej pryszczaty ode mnie. Poprosiłam o zestaw Happy Meal. Wśród czekających mnie zadań aktorskich z pewnością żadne nie będzie tak wymagające, jak udawanie, że się delectuję każdym kęsem tego obrzydliwego hamburgera.

- Kończ te frytki, Alice.

- Molly - syknęłam. - Mam na imię Molly, tato.

- No tak, oczywiście. Kończ frytki, Molly. Podoba ci się zabawka?

- Co? Ta disnejowska figurka z plastiku? Mam jedenaście lat, nie jestem dzieckiem. - I zrobiłam taki sam gest dłonią, jaki robi Molly i jej koleżanki. Obok przy stoliku siedział jakiś zakłopotany ojciec z dwójką nastoletnich dzieci, który wyglądał, jakby właśnie zabrał je od byłej żony na jeden z rzadkich wspólnych weekendów. Z pełnym zrozumieniem spojrział na Davida udreńczonym wzrokiem, jak gdyby rozpoznał w nim bratnią duszę, samotnego ojca po rozwodzie, który usiłuje jakoś odnaleźć się w sytuacji.

Zaczynała mi się podobać rola upierdliwej nastolatki, która nie ma już cierpliwości do swojego na wpół śpiącego ojca.

- Ta-tooo! - upomniałam go, kiedy podniósł się z krzesła, żeby wyjść. - Tutaj się wyrzuca wszystko z tacy do kosza!!!

David najwyraźniej nie wiedział, czy ta parodia Molly ma go bawić, czy też jego żona znalazła sobie nowy sposób, żeby mu powiedzieć, że wszystko robi źle.

- Jak widzę, nie wszyscy tak robią.

- Jasne, zostaw. Niech twoje służące posprzątają po tobie cały syf. Jak zwykle.

- O nie. Dostyc tego, Molly! - zganił mnie ostro, aż tamten drugi ojciec na niego spojrział. - Bo ci schowam maść na pryszczę, ty mała cętkowana poczwaro - i współczujący uśmiech na twarzy tamtego nagle zniknął.

Kiedy zbliżaliśmy się do kościoła, dygotałam z nerwów. Nasunęłam czapkę na twarz. Dzieci przybywały parami lub trójkami, omawiając w podnieceniu wydarzenia dnia w szkole, wymieniając plotki i rzucając zupełnie mi nieznanymi powiedzonkami. W tym momencie najchętniej bym się odwróciła i poszła z powrotem do samochodu, ale przez wzgląd na Molly wzięłam się w garść.

Zdałam sobie sprawę, że moje nerwy są tu zupełnie na miejscu. Oto obca, dziwnie wyglądająca dziewczynka z problemami skórnymi zostaje przyprowadzona do klubu młodzieżowego, w którym

nikogo nie zna. Oczywiście pamiętałam o tym, żeby zaczesać tłuste strąki na twarz, obgryzać paznokcie

i gapić się na swoje buty

- Dzień dobry, to jest Molly Chaplin - powiedział David do młodego mężczyzny, który nas powitał w drzwiach. - Jest tu pierwszy raz. Rozmawiałem telefonicznie z wikarym w tej sprawie...

Uśmiech młodego człowieka o mało nie zniknął z jego twarzy, gdy zwrócił wzrok w moją stronę.

- Witaj, Molly! - zaszczębiotał radośnie. Miał jakieś dwadzieścia lat i zachowywał się z tą irytująco sztuczną serdecznością. To pewnie tutaj szkoła prezenterów *Blue Petera* .

- Ona jest bardzo nieśmiała... - powiedział David. Ja zaś wymamrotałam jakąś niewyraźną odpowiedź.

- Proszę się nie martwić, zajmę się nią.

„Tato” zapłacił 50 pensów, podał numer komórki i zostawił mnie samą. Bezmyślnie bawiłam się brudnym plastrem przyklejonym do oprawek okularów.

- Mam na imię Simon - powiedział prezenter *Blue Petera*. - Mam coś ważnego do zrobienia i chciałbym, żebyś mi w tym pomogła, dobrze?

O nie, pomyślałam, znów ten stary numer pod tytułem: „Daj dziecku zadanie do wykonania, a wtedy poczuje się ważne”. Przestaliśmy to stosować na naszych dzieciach, kiedy miały jakieś siedem lat.

Poszłam za Simonem do kuchni, mijając dzieci grające w gry planszowe i ping-ponga. One nawet nie zauważyły mojego przybycia.

- Pomożesz mi, Molly, rozstawić te papierowe kubki, bo później wszyscy napijemy się oranżady.

Oranżada, bosko. Następnym razem przyniosę ze sobą piersiówkę z wódką, żeby to jakoś przetrwać.

Nie wypada się chwalić, ale całkiem ładnie udało mi się poustawiać te kubki na ladzie. Simon, zawiedziony, że to zadanie zajęło nowej dziewczynce nie więcej niż czterdzieści

Brytyjski program dla dzieci.

sekund, posadził mnie przy stoliku, na którym leżały bibuły, papier kolorowy i tym podobne rzeczy
- Słuchajcie, to jest Molly. - Pozostałe dzieci spojrzały na mnie niepewnie. - Ona nikogo tu nie zna, może więc ty, Ellie, zaopiekujesz się nią, dobrze?

- Yyy... Dobrze - zgodziła się Ellie, na moje oko dość niechętnie.

- Do której szkoły chodzisz? - spytała.

- Na pewno o niej nie słyszałaś, to kawałek stąd... - bąknęłam. Ona wzruszyła ramionami i wróciła do oklejania bibułą kolorowych drucików, a ja tymczasem triumfowałam w środku, że nie dodała: „A jakim to cudem jeszcze chodzisz do szkoły, skoro każdy widzi, że masz koło czterdziestki?”.

Wcześniej postanowiłam, że będę unikać wdawania się w dłuższe rozmowy, ale jakoś nie nadarzały się ku temu okazje. Chłopcy ignorowali mnie kompletnie, a mimo że kilka co sympatyczniejszych dziewczynek próbowało mnie zagadnąć, szybko rezygnowały, nie mogąc wydusić ze mnie więcej niż jedno słowo. A jednak na razie plan działał. Dzieci może niekoniecznie pragnęły się ze mną zaprzyjaźnić, ale tolerowały mnie w swoim towarzystwie. Byłam dzieckiem. Dziwnym, ale jednak dzieckiem.

Próby plastyczne mojego autorstwa były „abstrakcyjne”, żeby użyć łagodnego określenia, ale Simon pochwalił je z taką samą protekcyjną pobłażliwością, jakiej używa opiekun w domu starców, chwając staruszkę, której w czasie posiłku wreszcie udało się trafić łyżką do ust. W klubie było właściwie dwoje opiekunów, oboje około dwudziestki, i, jak się domyśliłam, mieli pracować w osobnych salach. Jednak Simon ciągle miał coś ważnego do załatwienia w tej drugiej, gdzie zajęcia prowadziła atrakcyjna dziewczyna. To było takie widoczne. Simon chyba myślał, że się urodziłam wczoraj. A przynajmniej jedenaście lat temu.

Mniej więcej wtedy usłyszałam, jak Ellie jęknęła:

- O nie... - widząc, że do sali wchodzi jakiś chłopak. Przyzwyczaiałam się do tego, że Molly automatycznie reaguje niechęcią na chłopców, ale to było coś więcej. To był poziom nienawiści zarezerwowany tylko dla nadprogramowych lekcji matematyki albo taramasalaty

- On jest straszny... - szepnęła. Wydało mi się to dosyć surową oceną całej osobowości dziecka, ale szybko się okazało, że jest do głębi prawdziwe.

Chłopak zaczął zabierać dzieciom kawałki tektury, które sobie przygotowały. Powiedział, że jego model będzie najlepszy, przechwalał się, że jego rodzice mają największy dom i że on jest najlepszym narciarzem w klubie - twierdzenie trudne do podważenia w samym środku Putney.

- I najlepiej gram w ping-ponga w całej szkole - dodał. -Mógłbym cię ograć do zera, Ellie. No, kto się ze mną zmierzy?

Dzieci jakoś nie skusiła ta propozycja. Nie miały ochoty zostać pobite przez samozwańczego mistrza, który później będzie im o tym przypominał do końca życia.

- No, cieniasy, kto podejmie wyzwanie? - powtórzył. Aż przykro było patrzeć, jak siedzą w milczeniu, zrezygnowani.

- Ja z tobą zagram - usłyszałam własny głos. Nie wiem, co mną kierowało. Chyba wkurzył mnie sposób, w jaki ten chłopak wywyższał się nad innymi. A tak naprawdę myślę, że przypominał mi Ffion. „Nie mogę wypaść z roli - pomyślałam, biorąc do ręki sfatygowaną rakietkę z odklejającą się okładziną. - *Muszę grać jak spięte, onieśmiałone dziecko*". Chłopak oznajmił, że serwuje pierwszy i pięć razy z rzędu ściał piłkę, a ja tymczasem starałam się, jak mogłam, żeby wglądać na zdenerwowaną i bezradną w tej sytuacji.

- Jest! Pięć do zera dla Danny ego! - ogłosił, tłumacząc, że teraz kolej na mój serw. Posłałam mu wysoką i bardzo łatwą piłkę, a on przywalił w nią z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

- Jest! Sześć do zera dla Dannyego! - powiedział głośno, rozglądając się, czy wszyscy słyszeli. Siedem do zera, osiem

do zera, dziewięć... - jego samozachwyłt rósł z każdym zdobyłtym punktem. Aż wreszcie tak mnie wkurzył, że nie byłam w stanie go dłużej tolerować i postanowiłam się odegrać. Danny posłał mi szybką, płaską piłkę na samą krawędź stołu, a ja odbiłam ją z lekką wsteczną rotacją, żeby go trochę przegonić. Nie miał szans trafić. Nastala chwila ciszy

- Zwykły fuks! - powiedział i czekał, aż podniosę piłeczkę, mimo że to on miał bliżej.

Bo Danny nie wiedział jednej rzeczy: jestem świetna w ping-ponga. Mamy w domu stół, a nie dalej jak zeszłego lata osiągnęłam zawrotne szczyty turnieju finałowego Club Med na Korfu. Gdybym chciała, rozkwasilibym tego rozpieszczzonego, aroganckiego gówniarza dwadzieścia jeden do zera, ale tym razem postanowiłam, że będzie to dwadzieścia jeden do dziewięciu.

- Ellie, możesz mi potrzymać okulary? - spytałam z poważną miną.

Serw znów był po jego stronie, ale moje returny lądowały na samym kancie stołu, wyrzucając Danny'ego raz na prawo, raz na lewo. Wokół zaczął zbierać się tłum.

- Ta nowa dziewczynka wygrywa z Dannym Shea - usłyszałam, pochłonięta walką i widząc, że przeciwnik zaczyna się solidnie pocić. I nagle się zatrzymałam.

- Danny Shea? -Tak?

- Ze szkoły Spencer House w Clapham?

- Tak, a co?

Oto on - chłopak, który zatrul w tym semestrze życie mojemu synowi - stoi po przeciwnej stronie stołu i, prawdę mówiąc, wygląda dosyć żałośnie. Ten, którego wyobrażałam sobie jako wielkiego, umięśnionego draba, nie jest ani specjalnie wyrośnięty, ani groźny, jedynie potwornie zarozumiały i agresywny.

- A, tak pytam. Zastanawiałam się, dlaczego nie chodzisz do klubu w Clapham?

- Bo już tam nie mieszkam, głupia. Przeprowadziliśmy się do Putney. Dwanaście dziewięć dla ciebie.
- Trzyście dziewięć - poprawiła Ellie.
- Wszystko jedno - wzruszyłam ramionami. - Może być dwanaście.

Dzieci zrobiły takie miny, jakby pierwszy raz w życiu widziały kogoś takiego.

- Masz lepszą raketkę - stwierdził, gdy wynik wynosił już piętnaście do dziewięciu.
- Dobra, tę piłkę ci podaruję - powiedziałam wykazując (tak sędzę) pewność siebie i dojrzałość wykraczającą daleko poza moje jedenaście lat.

- Dołóż mu, Molly... - szepnęła Ellie, kiedy ją mijalam. Zauważyłam, że trzyma kciuki.

Danny mógłby być całkiem dobrym graczem, gdyby się za każdym razem nie popisывał tak mocnym ścieniem. Jakby wyrzucał na stół całą nagromadzoną frustrację i gniew. Ciekawe, skąd się w nim bierze tyle agresji. Być może dla jego rozwoju psychicznego byłoby lepiej, gdybym pozwoliła mu pozostać najlepszym tenisistą. Być może należało mu pozwolić przodować w jednej prawnie usankcjonowanej dziedzinie, może wtedy byłby mniej skłonny dręczyć i wyżywać się na takich dzieciakach jak ja. A potem pomyślałam: pieprzyć to, zmiotę wrednego gnojka ze stołu.

Przy stanie dwadzieścia do dwunastu Danny miał walczyć o pozostanie w grze, lecz nagle odłożył raketkę.

- Już mi się nie chce. Nuda.
- To znaczy, że przegrałeś - powiedziała Ellie.
- Zamknij się, śmierdziucho - warknął Danny. - I idź sobie pograć ze swoją nową, przyszczatą koleżanką.
- Przegrałeś. Molly cię pokonała... - ciągnęła Ellie.
- Ellie-śmierdziucha kocha Molly. Ellie to lesbijka - szydził Danny.
- Danny, nie przezywaj jej tak - wtrąciłam się, spokojnym ruchem zakładając okulary. - A o tym, czy ktoś jest gejem,

czy nie, dowiaduje się dopiero po wejściu w okres dojrzewania. A nawet wtedy, jeśli Ellie stwierdzi, że jest lesbijką, albo ty dojdiesz do wniosku, że wolisz chłopców, to i tak nie ma w tym nic złego. Po tych słowach dzieci zaczęły się z niego śmiać, a ja miałam wrażenie, że moja riposta powinna zamknąć społeczną debatę pod hasłem: „Dokąd zmierza seksualność?”. Jednak mój młody oponent miał w zanadrzu inny chwyt retoryczny. Poczułam silne szarpnięcie za włosy.

- Nazywasz mnie gejem, ty pryszczata lesbo?

- Puść moje włosy, Danny...

- Czemu masz taką twarz? To AIDS?

- Zostaw moje włosy, Danny, to boli.

- Danny, przestań... Niech ktoś zawoła Simona! - powiedziała Ellie.

- Auć, ty draniu, ostrzegam cię, puść mnie! - krzyknęłam, ale on pociągnął jeszcze mocniej, tak że o mało nie przewróciłam się na plecy. W odruchu złości walnęłam go łokciem w brzuch, chyba mocniej niż powinnam, i Danny zgiął się w pół, jęcząc z bólu. Wtedy się odwróciłam, chwyciłam go za rękę i wykręciłam mu ją do tyłu, aż zaczął krzyczeć.

- A teraz posłuchaj mnie uważnie, Danny Shea - szepnęłam mu do ucha. - Jeśli KIEDYKOLWIEK tkniesz palcem Jamiego Chaplina z twojej klasy w Spencer House, jeśli choć raz powiesz mu coś przykrego, nie mówiąc o kopaniu i biciu, to przysięgam, że zjawię się tam i powybijam ci wszystkie zęby z tej twojej dużej czaszki, kapujesz? - Na dokładkę jeszcze mocniej szarpnęłam go za rękę.

- Dobrze... Auć! Puszczaj, proszę...

- Molly, puść go! - zawołał ostro Simon, wchodząc do sali.

Danny kucał na podłodze i płakał. Ręka chyba go bolała, chociaż nie sędzę, żebym wykręciła ją tak mocno.

- Nie pozwolę, żebyś w moim klubie biła inne dzieci.

- On mnie ciągnął za włosy

- Nie opowiadaj bajek, Molly.
- Wcale nie opowiadam bajek. Wyjaśniam tylko kontekst. On mnie złapał za włosy i nie chciał puścić.
- Nie interesuje mnie, co kto komu zrobił.

Byłam zła na niego, że bierze stronę Dannyego i chyba też trochę na siebie, za to, że dałam się tak wyprowadzić z równowagi.

- A poza tym nie powinieneś nas zostawiać bez opieki. Ustawa o opiece nad dziećmi z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku w rozdziale drugim wyraźnie mówi, że w klubach młodzieżowych i na letnich obozach dzieci poniżej czternastego roku życia nie mogą pozostawać bez nadzoru osoby dorosłej. Co gorsza, twoja nieobecność była naruszeniem zaufania, jakim cię obdarzyli rodzice tych dzieci - wyszczeżałam. Ellie i reszta gapili się na mnie z otwartymi ustami.

- Molly, ile ty masz lat? - spytał Simon.

- Ja? Jedenaście.

- Powiedz, w co ty grasz? Jesteś jakąś ukrytą reporterką, czy co?

- Skąd, ja mam jedenaście lat. Urodziłam się w... Yyy... Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym. Pamiętasz? Wyjątkowo gorące lato. Oasis, Blur, hm... Live Aid?

- Albo stąd natychmiast wyjdiesz, albo dzwonię na policję i zgłaszam, że napastowałaś dziecko. David był zdziwiony, kiedy zobaczył mnie pół godziny wcześniej, niż się umawialiśmy. Siedział w kącie pubu, czytając gazetę i popijając piwo, kiedy zrezygnowana klapnęłam naprzeciw niego i obwieściłam, że plan nie wypalił.

- Nie rozumiem.

- Opiekun mnie przejrzał. Zagroził, że zawiadomi policję.

- Policję? Jasna cholera! Myślał, że przyszłaś porwać dziecko?

- Gorzej, oskarżył mnie, że jestem dziennikarką.

Czułam się kompletnie wyczerpana. Intensywny wysiłek psychiczny, jakiego wymagało utrzymywanie się w roli, w końcu mnie rozłożył na obie łopatki.

- Szlag by to trafił! Nic z tego nie będzie. Całe nasze starania, ślęczenie nad testami i wszystko na marne! Co my zrobimy? No bo to koniec, prawda? Będziemy musieli w ogóle zrezygnować ze szkoły dla Molly i uczyć ją w domu albo sprzedamy dom, żeby zapłacić za inną szkołę i zamieszkamy w przyczepie, którą zaparkujemy obok budynku, żeby mieć pewność, że mieszkamy na tyle blisko, że nie odrzucą naszego podania, a później wszyscy będą się wyśmiewać z naszych dzieci i dokuczać im, że mieszkają w domu na kółkach.

- Uspokój się. Coś wymyślimy

- Jasne! Tylko tyle masz do powiedzenia? „Coś wymyślimy”. Jesteś tak przydatny jak pomoc Microsoftu. - Byłam zdruzgotana. Czułam się totalnie zrezygnowana, nieszczęśliwa i przybita. - Muszę się napić. Chcesz jeszcze jedno?

- Nie, dzięki. Weź sobie duże piwo, ja mogę prowadzić.

Gruby, brodaty właściciel pubu gawędził z jakimś klientem i miałam wrażenie, że zerknął na mnie z niejakim zdziwieniem, kiedy zobaczył, że zbliżam się do baru.

- Wódkę z tonikiem proszę - powiedziałam z ciężkim westchnieniem. - Najchętniej podwójną.

Mój organizm domagał się alkoholu, podobnie jak czekolady po lekcji pływania.

- Przykro mi, ale dzisiaj raczej nie planowałam stracić licencji - odparł przesadnie sarkastycznym tonem.

- Słucham?

Wskazał na tabliczkę z napisem: „Osobom do lat 18 alkoholu nie sprzedajemy”.

- Umiesz czytać? Czy teraz już tego nie uczą w szkołach? No, spływaj! Wróc za kilka lat i to nie o tej porze, kiedy powinnaś już spać.

Zatkało mnie.

- Och, dziękuję, dziękuję panu! - zawołałam. - Jestem taka szczęśliwa!

Mogłabym się nachylić i ucałować go w usta, tyle że był obleśny i śmierdział starym tytoniem do fajek.

- Davidzie! Davidzie! - krzyknęłam radośnie na cały bar. - Nie sprzeda mi, mówi, że jestem za młoda!

- Brawo! - odpowiedział David. - Cóż za osiągnięcie! W drodze do domu opowiedziałam mu o pobycie w klubie.

- Ustawa o opiece nad dziećmi? Skąd to wytrzasnęłaś? - roześmiał się.

- Znikąd. Wymyśliłam na poczekaniu. Myślisz, że mógł zawiadomić policję?

- Nie, bo wtedy wyszłoby na jaw, że flirtowałam z opiekunką, zamiast pilnować dzieci.

Kiedy David usłyszał pełną relację z wieczoru, stwierdził, że świetnie sobie radziłam jako dziecko do momentu, w którym postanowiłam ograć Dannyego Shea w ping-ponga. Odzyskany entuzjazm Davida przekonał mnie, że to prawda. Plan właściwie się sprawdził. Zawaliłam tylko pod koniec, bo wyszłam z roli. Ale po raz drugi bym tego nie zrobiła. Dostałam nauczkę - miałam zebrać doświadczenia i zebrałam. David przekonał mnie, że w związku z tym nie ma powodu sądzić, że tak samo nie uda mi się w Chelsea College, jeśli tylko zdołam się powstrzymać, żeby kogoś nie pobić.

- Nawet jak zobaczę Ffion?

- No tak, z wyjątkiem Ffion. Kiedy zobaczysz Ffion, możesz lać, ile wlezie. Moim zdaniem, jesteś gotowa, Alice. Egzamin już za parę dni, a ty jesteś gotowa.

Na myśl o tym, co mnie czeka, ogarnęła mnie fala podniecenia i strachu.

- Czemu stajemy? - spytałam, gdy David zajechał na stację benzynową.

- Coś dla dopełnienia wizerunku - odparł tajemniczo. - W takich miejscach zawsze sprzedają jakieś pluszaki. Kupimy ci maskotkę na szczęście...

Rohan Jayasekera
Feng Shui umysłu

Sunrise Books

Cena: 6,99£

Twój mózg składa się z wielu różnych przegródek czy też „pomieszczeń” - tak jak pokoje w mieszkaniu. Łączą je korytarze, które są zagracone i nieuporządkowane, pełne zakamarków, o których prawie zapomniałeś. Na co dzień proces myślenia odbywa się w centralnej części mózgu; to jest twój umysłowy „salon”. Jeśli wejdiesz po schodach na górę, natrafisz na pomieszczenie, w którym powstają sny - niech to będzie „sypialnia”. A jeszcze dalej za małymi drzwiami kryje się twoje psychologiczne „poddasze”, ciemny pokój, do którego wstawiasz wszystko to, o czym nie chcesz już myśleć. Itak jak wewnątrz budynku możesz nadawać kierunek i koncentrować przepływającą przenień pozytywną energię, również dzięki medytacji i pozytywnemu myśleniu możesz harmonizować swoje wewnętrzne „chi”, pozwalając światłu i energii wpływać przez okna twojego umysłu!

„PRZEGLĄD NEUROENDOKRYNOLOGICZNY”

Psychoneuroimmunologia, neuropsychofarmakologia, medycyna reprodukcyjna, chronobiologia i etologia człowieka http://www.nel.edu/25_4/NEL250404R01_Esch_Stefano.htm

Jeśli chodzi o wyspecjalizowane komory mózgowe biorące udział w procesach motywacyjnych, to fizjologiczne podłoże motywacji pozytywnych lub negatywnych leży przede wszystkim w obrębie układu limbicznego. Płat limbiczny otacza spoidło wielkie (corpus callosum) i składa się z zakrętu obręczy i tworu przyhipokampalnego. Hipokamp, który mieści się u podstawy rogu skroniowego komory bocznej, a jego funkcjonowanie jest ściśle związane z procesami przetwarzania pamięci, również jest objęty płatem limbicznym. Dodatkowe struktury wchodzące w skład układu limbicznego to zakręt zębaty, ciało migdałowate, podwzgórze (zwłaszcza ciała suteczkowate), przegroda (u podstawy przodomózgowia) oraz wzgórze (jądro przednie i kilka innych). Pod względem czynnościowym „formacja hipokampalna” dzieli się na hipokamp, zakręt zębaty i większą część tworu przyhipokampalnego.

6

Raz jeszcze przeczytałam oba wywody na temat komór mózgowych i zdecydowałam się na ten o feng shui. Bo jeśli człowiek ma obawy, czy jego umysł ma odpowiednią zdolność koncentracji, to niewiele pomoże mu podsunięty przez męża ściśle naukowy artykuł objaśniający funkcjonowanie mózgu, przy którym wysiada się już po drugim zdaniu.

Dla mojego mózgu nadszedł wreszcie dzień próby. Umysłowy D-Day, jak to określił David.

Przyglądaliśmy się rysunkowi Jamiego, na którym przedstawił plażę w Normandii: setki ludzików brodzących na nabrzeżu, tonące okręty, wybuchające na niebie samoloty. Czerwiec 1944 roku: największe siły inwazyjne, jakie kiedykolwiek zmobilizowano. Ale to było nic w porównaniu z najazdem, który musiał przeżyć personel Chelsea College w sobotni poranek w dniu egzaminów wstępnych. Tłumy zdenerwowanych rodziców szturmujące punkt rejestracji na tyłach sali egzaminacyjnej, aby zgłosić, że ich dziecko przebudziło się w nocy, bo sąsiadowi włączył się alarm w samochodzie i w związku z tym proszą, żeby to wziąć pod uwagę przy wystawianiu ocen z testów:

- To jest Edina Symes ze szkoły podstawowej Thomasa, ma słabe krążenie. Mam tu zaświadczenie lekarskie, że ona musi siedzieć blisko kaloryfera... Może pani sama przeczytać, to napisał lekarz, ona musi siedzieć przy kaloryferze, tu jest wyraźnie napisane...

- Przepraszam, moja żona zna osobiście wicedyrektora Worralla. Tak, tak. No więc, widzi pani, cały czas byliśmy przekonani, że egzamin ma trwać dwie godziny, a nie trzy, przerabialiśmy tylko testy dwugodzinne, syn tak właściwie nie jest więc

przygotowany na trzygodzinny egzamin, no, wie pani, to nie jego wina, czy to będzie uwzględnione podczas oceniania prac? Jak mówiłem, moja żona zna wicedyrektora Worralla...

- Mój syn będzie musiał wyjść do toalety w trakcie egzaminu, prawda, Henry? Czy to będzie możliwe? Bo, wie pani, on codziennie wypróżnia się dokładnie o 11.30, ma bardzo regularne stolce, ale to mu zajmuje jakieś dziesięć minut, czy będzie mógł dostać dodatkowe dziesięć minut na rozwiązanie testu? Bo to byłoby nie fair, gdyby karano uczniów za to, że mają uregulowaną pracę jelit. Jeśli już, to powinni oni dostawać dodatkowe punkty...

Czy ja też taka jestem? Na pewno nie tak agresywna jak te matki, brakuje mi fanatycznej pewności siebie tych nadrodziców. David mówi, że zawsze się boję, aby nie zrobić czegoś nie tak albo nie wydać się komuś niegrzeczna. Twierdzi tak tylko na podstawie tego, że nadal umieszczam formułkę „z poważaniem” na końcu SMS-ów.

Nauczyciele siedzący przy stole rejestracyjnym wyglądali, jakby przez te dwadzieścia minut postarzelali się o dziesięć lat. Usiłowali tłumaczyć, że mogą uwzględnić jedynie naprawdę wyjątkowe okoliczności, ale to zdawało się tylko umacniać argumentację poszczególnych matek. Zamienili się nagle w bezwzględne wyrocznie, które ośmielają się wbić klin między ich dziecko a słowo „wyjątkowy”. Rodzicom właściwie zabroniono wchodzić do środka, mieli tylko odstawić dzieci pod szkołę, ale widocznie ten zakaz ich akurat nie dotyczy, podobnie jak podwójna linia ciągła przy wjeździe do budynku, zastawiona w tej chwili rzędami terenówek błyskających światłami awaryjnymi (co najwyraźniej usprawiedliwiało całkowite zablokowanie ruchu w obu kierunkach).

Czułam się dziwnie zdystansowana od tego całego szaleństwa. Podobnie jak mój syn, malarz wojenny, byłam niewidzialnym obserwatorem. Być może dlatego, że byłam chyba jedyną uczennicą, której nie towarzyszył rozhisteryzowany rodzic, nachylający się, aby udzielić mi ostatniej rady i jeszcze raz sprawdzić, czy wzięłam ze sobą zapasowe pióra i naboje. Bez wątpienia pomagało mi w tym to, że przybrałam pozę osoby zamkniętej w sobie. Bejsbolówkę nasunęłam głęboko na twarz, wpatrywałam się w podłogę i krążyłam gdzieś z tyłu, czekając na swoją kolej. Chaos panujący w

szkole był tak wielki, że zastanawiałam się, czy teraz, po tylu staraniach, gdybym się zjawiała tutaj w moich zwyczajnych, dorosłych ciuchach i zasiadła do egzaminu, ktokolwiek by to zauważył. Czasem jakieś dziecko spojrzało na tę dziwną, pryszczatą dziewczynkę, ale zaraz chwytało je za brodę i jakiś rodzic odwracał mu głowę z powrotem w swoją stronę, powtarzając w kółko: „Pamiętaj, masz tu butelkę, pij wodę, tylko nie za dużo, bo później będziesz musiał wychodzić do ubikacji, a nie możesz tracić czasu, bo musisz pisać, bla, bla, bla”. W tej chwili dzieci były już tak oszołomione liczbą sprzecznych rad i wskazówek, że tylko bezmyślnie kiwały głowami, jakby po pięcioletnim pobycie w odosobnieniu wrzucono je w sam środek gwarne, arabskiego targowiska.

Doprawdy, czemu ci rodzice nie zostawią ich w spokoju? Dlaczego nie pozwolą swoim dzieciom własnoręcznie wyjąć piórnika, samodzielnie znaleźć stolika i w ogóle zrobić wszystkiego po swojemu? Szykując się wewnętrznie do odbycia egzaminu za moją córkę, oddawałam się rozmyślaniom. W atmosferze zaciętej rywalizacji, wywołanej przez tylu zdesperowanych rodziców, czułam się zadziwiająco spokojna i wyciszona. Wprawdzie zabrałam ze sobą tylko jedno zapasowe pióro, nie przyniosłam poduszki na krzesło ani napoju energetyzującego, za to miałam jedną przewagę na większością kandydatów: miałam trzydzieści sześć lat, a nie jedenaście. Ten czynnik mógł się okazać decydujący.

Jednak jako matce było mi bardzo ciężko opuszczać dziś rano dom, zostawiając córkę w bardzo słabej formie.

- Kurczę, Molly, jesteś niesamowicie blada - powiedzieliśmy jej oboje poprzedniego wieczoru. -
Twarz masz białą jak papier. Chyba coś cię łapie...

- Ale ja nie czuję się chora - odparła Molly pogodnie.

- No wiesz, to całkiem możliwe, przy tym wirusie, który ostatnio krąży.. - dodał David. - Co za pech! I to tuż przed egzaminami do Chelsea...

- Ale ja czuję się dobrze - protestowała Molly, kiedy wtykałam jej do buzi termometr. David przyniósł jej z sypialni kołdrę, żeby mogła się położyć na sofie przed telewizorem, i w końcu stopniowo Molly dała się przekonać, że chyba tak trzeba. Kilka minut później, marszcząc z z troskaniem brwi na widok wskazania „36,6⁰C”, oznajmiłam poważnym głosem, że ma bardzo wysoką gorączkę i nie ma mowy, żeby poszła jutro na egzamin. Trzeba będzie załatwić, żeby mogła go zdać w innym terminie w domu. Kiedy David pilnował, aby uwaga całej trójki została pochłonięta przez niezawodnego hipnotyzera, jakim jest telewizor, przystąpiłam do przeprowadzenia wielokrotnie powtarzanej transformacji w dziecko-odmieńca. Zamknęłam się w łazience i nałożyłam na twarz zestaw pryszczy, na które nawet sama nie miałam ochoty patrzeć. Wetknęłam na głowę czapkę i zsunęłam nisko daszek. Z tym kostiumem wróciła cała osobowość. Stojąc przed lustrem, zauważyłam, że odruchowo spuszczam głowę i zaczynam nerwowo skubać paznokcie - onieśmielona, speszona i skrępowana. U nas w szkole była taka sama dziewczynka. Zawsze osamotniona, na przemian wyśmiewana i wyszydzana. Rozmawiałam z nią tylko raz. Kiedy trzy koleżanki wyrzuciły zawartość jej teczki do kałuży, pomogłam jej pozbierać rzeczy. „Dziękuję”, szepnęła, bojąc się spojrzeć mi w oczy „Nie ma sprawy - odparłam. - One są okropne”.

I nie pomyślałam o niej później przez następne dwadzieścia pięć lat. Aż do teraz, kiedy nagle znów znalazłam się w szkole i przypomniałam sobie jej sposób bycia i to, jak spuszczała wzrok na ziemię. Stałam samotnie w Chelsea College, czekając, aż podejść do stolika i szeptem wypowiem swoje nazwisko. Nieobecność rodzica, który by się

za mnie wepchnął do kolejki, oznaczała, że dotrę tam jako jedna z ostatnich. Poza mną zauważyłam tylko jedno dziecko, któremu nikt nie towarzyszył. Była to schludnie ubrana czarnoskóra dziewczynka z ciasno zaplecionymi warkoczami i nieśmiałym wyrazem twarzy. Stała za mną i wyglądała na nieco zdezorientowaną. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że nie zauważyłam tu żadnego ucznia o ciemnym kolorze skóry Oprócz Japończyka i paru Azjatów wszystkie dzieci były białe i wyglądały tak samo jak Molly i jej koleżanki. Cała sala dzieci, których komfortowe życie zostanie udokumentowane w postaci eleganckich czarno-białych fotografii zdobiących ściany takich samym przestronnych, wiktoriańskich domów jak nasz.

Właśnie się zastanawiałam, czy któraś z koleżanek Molly zdaje egzamin w tym samym dniu, gdy nagle dostrzegłam Bronwyn, a następnie maszerującą kilka metrów przed nią jej matkę, która minęła komisję rejestracyjną i poszła zająć najlepszy stolik dla córki, zanim inni zdążyli w ogóle o tym pomyśleć. Krzesło zostało sprawdzone i okazało się nieodpowiednie. Ffion posadziła Bronwyn przy stole i kazała jej położyć obie ręce na blacie, żeby przypadkiem nikt nie zgłaszał żadnych roszczeń terytorialnych („Nie, skarbie, obie”). Sama tymczasem wypróbowała kilka innych krzeseł, w końcu porywając jedno z tylnego rzędu, gdzie właśnie zdenerwowany mężczyzna sadzał swoje dziecko. Bronwyn była wyraźnie zawstydzona bezczelnym zachowaniem matki, zwłaszcza gdy zauważyła, że całe zdarzenie obserwuje jakaś dziwna, pryszczata dziewczynka w grubych okularach. Zdawało mi się, że przez ułamek sekundy odniosła wrażenie, że skądś mnie zna, ale kiedy nasze oczy się spotkały, Bronwyn odwróciła głowę i zaczęła się - na próżno - rozglądać za prawdziwą Molly. Wyczułam, że czarnoskóra dziewczynka z kolejki w pewien sposób łączy się do mnie, może coś jej podpowiadało, że ja też jestem outsiderem. Byłam sama i odróżniałam się od reszty - tak jak ona. Miała nie tylko inny kolor skóry,

ale także ubranie. Zdradzały ją buty. Ujawniały wstydliwą tajemnicę, że tylko ona jedna w tej sali nie pochodzi z rodziny, którą stać na wydawanie co pół roku czterdziestu funtów na nową parę butów dla dziecka. Próbowала złapać moje spoj - rzenie, ale ja już wiedziałam, że bezpieczniej jest się odzywać jak najmniej, twardo gapiłam się więc w podłogę, trzymałam się z tyłu i czekałam, aż ostatni udęczeni rodzice miną nas w pośpiechu, aby zarejestrować swoje dzieci. Wreszcie nadeszła moja kolej. Nagle znalazłam się twarzą w twarz z nauczycielem, który wyglądał, jakby był w wielkim szoku.

- Dzień dobry, nazywasz się...? - westchnął. - Yyy...

Zamarłam. Nie mogłam wykrztusić słowa. Obok mnie stała Ffion, która, ulokowawszy już Bronwyn w najlepszym możliwym punkcie sali, przysła ją zarejestrować. Jak ja powiem „Molly Chaplin”, kiedy ona tu stoi?

- Przepraszam, jak się nazywasz? Muszę cię zaznaczyć na liście - powtórzył nauczyciel, wpatrując się we mnie. Czulałam, że się trzęsę. Gryzłam paznokcie, starając się ukryć twarz i modliłam się, żeby Ffion nie wciągnęła mnie w rozmowę.

- Ja... Yyy...

Nastała chwila ciszy, jakieś dwie sekundy, może dekada.

- Musisz podać nazwisko - podszeptała czarnoskóra dziewczynka. - No, jak się nazywasz?

- Ja bardzo przepraszam, ale mój samochód blokuje wyjazd - wtrąciła się Ffion. - Mógłby pan tylko zaznaczyć nazwisko Bronwyn Russell, która siedzi w pierwszym rzędzie po lewej?

- Russell... Russell... Bronwyn, tak, mam - odparł nauczyciel, sprawdzwszy listę. - Dziękuję. A zatem do zobaczenia o pierwszej.

I Ffion odeszła. Odwróciłam się, żeby zobaczyć, jak wybiega przez podwójne drzwi, rzucając ostatnie spojrzenie w stronę córki, i w końcu wykrztusiłam:

- Chaplin. Molly Chaplin.

- Ach tak, jest, Molly. Wybierz sobie stolik i spokojnie czekaj na polecenia.

Zdobyłam się na delikatny uśmiech w stronę koleżanki i szepnęłam do niej:

- Dzięki, przepraszam.

- Nie przejmuj się, wszystko będzie dobrze - odpowiedziała również szeptem.

Słyszałam, jak podaje nazwisko - Ruby O'Cośtam - a następnie usadowiono nas obok siebie przy ostatnich wolnych stolikach z tyłu sali. Ruby O'Cośtam posłała mi dzielny uśmiech, a ja nieśmiało się jej odwdzięczyłam.

Rodzice wyszli i pozostawili dzieci same na całe przedpołudnie. Jedynymi dorosłymi na sali były osoby wyznaczone do nadzorowania. No i ja. Jakiś zirytowany nauczyciel wyszedł przed budynek, żeby powiedzieć garstce kręcących się tam jeszcze rodziców, że przez najbliższe trzy godziny nie wolno im podglądać dzieci przez okno ani robić do nich min i gestykulować.

- Tak, w połowie egzaminu przewidziana jest przerwa. Tak, dzieci dostaną soki owocowe. Tak, to znaczy... Droga pani, skąd ja mam, do licha, wiedzieć, czy zawierają pektyny czy nie?

Rozdano nam arkusze z zadaniami i udzielono instrukcji. Skopiowane na ksero testy zalatywały biurkiem i zapchanymi kopiarkami. Panieńskie czasy. Niezwykle skrupulatnie stosowałam się do poleceń i u góry strony starannie i wyraźnie wykaligrafowałam swoje nazwisko. Spojrzałam na nie z dumą i natychmiast pośpiesznie wymazałam imię „Alice” i zamieniłam na „Molly”.

Test na rozumienie tekstu pisanego był bardzo prosty. Był to fragment mówiący o Kolumbie płynącym do Ameryki. Znajdowało się tam na przykład zdanie: „Największym spośród żaglowców była Santa Maria, za którą pozostałe dwa często nie mogły nadażyć”, a później trzeba było odpo

wiedzieć na pytanie: „Ile statków wyruszyło na wyprawę?” To było tak proste, że zaczęłam węszyć podstęp i sprawdzałam, czy na pewno czegoś nie przeoczyłam. Ale wpisałam „trzy” i powstrzymałam się, żeby się nie pochwalić, że wiem także, że wydarzyło się to w 1492 roku, chociaż wikingowie odkryli Amerykę setki lat wcześniej. Skończyłam mniej więcej w połowie wyznaczonego czasu, raz jeszcze wszystko więc sprawdziłam, ale nie znalazłam żadnego błędu.

Test na myślenie abstrakcyjne nie był już tak prosty. Nie można być w stu procentach pewnym odpowiedzi, kiedy się widzi te skomplikowane rzędy abstrakcyjnych figur, kresek i kropek. Jednak przez kilka ostatnich tygodni spędziłam wiele godzin, przerabiając tego typu zagadki. Poznałam rozmaite kruczki i sztuczki, nauczyłam się uzupełniać ciągi i wynajdywać niepasujące elementy. Brnęłam przez to metodycznie z taką cierpliwością i skrupulatnością, na jaką nigdy nie było mnie stać, kiedy miałam jedenaście lat. Czułam się pewnie: za najgorszą z możliwych powierzchownością krył się umysł, który zdobędzie najlepszą ocenę na sali.

Podczas przerwy stałam na uboczu, sącząc napój z papierowego kubka i pogryzając jeden przydziałowy herbatnik. Gdybym miała telefon, zadzwoniłabym do Davida, żeby mu zdać relację, ale wnoszenie komórek na salę było surowo zabronione. Rok czy dwa lata temu zdarzyło się, że jakiegoś chłopaka przyłapano na kontaktowaniu się z matką za pomocą SMS-ów w sprawie co trudniejszych zadań z matematyki. Wszystko wyszło na jaw, kiedy dzieciak sumiennie przepisał, że pierwiastek kwadratowy z 81 wynosi „9 - CU L8R”^{*}.

Bronwyn stała zaledwie parę metrów ode mnie, wciąż rozglądając się w tłumie za Molly. Nagle pomachała w moją stronę - już nawet podniosłam rękę, żeby odmachać, ale się zreflektowałam i podrapałam się w głowę. Ona machała do Kirsty, która w podskokach przebiegła tuż obok mnie, żeby **CU L8R - skrót od 'see you later' - ang. 'do zobaczenia'**.

pogadać z tą, która - jak sądziłam - nadal była tylko jej drugą w kolejności najlepszą przyjaciółką. Przysunęłam się nieco bliżej, żeby podsłuchać, o czym tak zawzięcie rozprawiają. Ile już napisały? Czy zastanawiają się, dlaczego Molly nie przyszła? Czy są świadome, jakie znaczenie ma ten egzamin dla ich przyszłego życia?

- Dostałaś ciastko? - spytała Kirsty.

- Tak, ale słyszałaś? Można wziąć tylko jedno.

- Wiem, ale mnie się udało załapać na takie z cukrem.

- Oooh, kurczę, ja się tak nie bawię, to są moje ulubione. I pomyśleć, że gdybym nie zadała sobie tyle trudu

z tą przebieranką, nigdy nie miałabym okazji usłyszeć tej sekretnej rozmowy.

Patrzyłam, jak rosną, od kiedy Bronwyn jako pierwsze dziecko w naszym gronie świeżo upieczonych mam nauczyła się chodzić, a dziś stoją oto u progu rozpoczęcia nauki w swojej pierwszej poważnej szkole. Oczywiście chciałam, żeby one też się dostały do Chelsea, ale nie kosztem miejsca dla Molly. W głębi duszy wiedziałam jednak, że prawdziwy powód jest inny: chciałam, aby Molly wkroczyła w następny etap życia w towarzystwie najlepszych przyjaciółek, a gdyby jej się nie udało, chciałam, żeby im także powinęła się noga. Kiedyś, gdybym się wykazała podobnym samolubstwem, odczułabym wstyd. Dziwne, że taki egoizm można zaakceptować, kiedy w grę wchodzi dobro własnego dziecka. Widocznie na wojnie, w miłości i przy egzaminach do gimnazjum wszystkie chwytaki są dozwolone.

Gwar w holu powoli ucichł, ponieważ wezwano nas z powrotem do sali na ostatni test. Z matematyki. „Żaden problem - powiedziałam sobie - przerabiałaś to, nie cierpisz na irracjonalny lęk przed liczbami”. W czasie przerwy skorzystałam zresztą z toalety, a poza tym bardzo bym się zdziwiła, gdyby kazano mi stanąć na ławce i podać jakąś liczbę w systemie dwójkowym.

- Macie czterdzieści pięć minut. Możecie odwrócić kartki!

Gdy teraz o tym myślę, nie mogę uwierzyć, że moja matematyczka nigdy w żaden sposób nie przeprosiła mnie za to upokorzenie, którego doznałam w wieku trzynastu lat. Przebiegłam wzrokiem po zadaniach i czułam, że serce mi drży na myśl o tej ostatniej przeszkodzie. Ciągle miałam o to żal, czy zdałabym egzamin końcowy z matematyki, gdyby panna Torrance pozwoliła mi wtedy wyjść do ubikacji?

Pierwsze pytanie wydawało się raczej łatwe: „Którą wartość w liczbie 14 971 reprezentuje 9? Zakreśl właściwą odpowiedź: a) 9, b) 90, c) 900, d) 9000, e) 12”. Zakreśliłam „c”, sprawdziłam jeszcze raz i przeszłam dalej. Następny był wykres słupkowy przedstawiający częstotliwość występowania chłopięcych imion: 125 chłopców na 1000 nosi imię James, 50 Bill (mało prawdopodobne, ale mniejsza z tym), a 25 ma na imię Kevin (biedactwa). O ilu więcej jest Jamesów niż Billów? Wpisałam do rubryki 75 i przez chwilę poczułam wyrzuty sumienia, że daliśmy Jamiemu tak zdumiewająco banalne imię. To przez Davida. W czasie awantury z cyklu „teraz moja kolej wybrać imię dla dziecka” posunął się nawet do stwierdzenia, że największą przysługą, jaką możemy wyświadczyć naszemu synowi, będzie nadanie mu imienia najpopularniejszego w tym roku w Londynie. Wycofał się, kiedy sprawdziliśmy, że był to „Mohammed”.

Zerknęłam na zegarek i zorientowałam się, że przez moje zamyślenie straciłam całe dziesięć minut. Ciekawe, czy panna Torrance jeszcze żyje? I nagle znów ogarnęło mnie to samo, co wtedy - poniżające uczucie porażki, fizyczne i psychiczne upokorzenie, kiedy jedynym moim pragnieniem było umrzeć. Próbowałam się jednak skoncentrować. Trzecie pytanie dotyczyło mnożenia ułamków. Moje przekleństwo, jedyny temat, który mąż-korepetytor przerabiał ze mną tyle razy, że musiałam przełamać psychiczną blokadę. W końcu go opanowałam. Trzeba pomnożyć przez siebie i górną i dolną cyfrę, a więc $T^x T = L$ - Zdecydowanie. Lecz nagle straciłam pewność. Jak brzmiało to pytanie? Jedna czwarta podzielić przez jedną

czwartą? Czy to na pewno będzie jedna szesnasta? Inna możliwość to pomnożyć jedną czwartą przez cztery, co dałoby jeden, ale przecież nie może być tak, że dzieląc, jednocześnie to coś zwiększamy. Co więc robię źle? Przez chwilę wpatrywałam się intensywnie w cyfry na kartce - patrzyłam na nie, ale ich nie widziałam. Potrząsnęłam głową, żeby wyrwać się z tępego odrętwienia i podjęłam cierpliwy, stopniowy dialog z samą sobą.

- Masz więc jedną czwartą, tak? - wyartykułowałam pomału i wyraźnie.
- Jedna czwarta, jedynka nad czwórka. Tak! - Odpowiedziałam z przekonaniem.
- Dobra, i to masz teraz podzielić przez jedną czwartą.
- Podzielić, tak...
- I co ci wyszło?
- Hm...?
- Słuchasz mnie? -Tak?
- Nieprawda. Patrzyłaś w zupełnie inną stronę.
- Ależ słuchałam, naprawdę. O co pytałaś?

Moje szanse na uzyskanie maksymalnej liczby punktów zdawały się ułatwiać, pomyślałam więc, że lepiej pominę na razie to trudne zadanie i wrócę do niego pod koniec. Przewróciłam kartkę. Wyjrzała na mnie cała strona słupków z dzieleniem i mnożeniem ułamków. Ogarnęła mnie fala paniki i próbowałam odpędzić z głowy wszystkie koszmarnie myśli o systemie dwójkowym i staniu na szkolnej ławce. Rozejrzałam się wokół, spodziewając się ujrzeć, że reszta zdających podziela moje oburzenie i poczucie niesprawiedliwości w obliczu tej podstępnej pułapki, ale wszyscy zdawali się odważnie brnąć przez kolejne zadania. Warunkiem przyjęcia do Chelsea było zdanie wszystkich trzech testów z bardzo dobrym wynikiem, ta luka w mojej wiedzy matematycznej mogła się więc okazać rozstrzygająca. Jedno zadanie na pewno umiałabym rozwiązać. *„Jeżeli mamy trzy dziewczynki*

i jedna uzyska 98 %, druga 45 %, a trzecia już ma zaklepane miejsce, bo jej cholerna mamusia załapała się na pracę w szkole, to która będzie miała zrujnowane życie, ponieważ jej tupa matka nie potrafi ogarnąć, na czym polega mnożenie i dzielenie zaszranych ułamków?"

Weź się w garść, Alice! Zastanów się. Jedna czwarta dzielona przez jedną czwartą. Jedna szesnasta. Na pewno. W takim razie ile jest jedna czwarta razy jedna czwarta? Jeden? Nie, jakim cudem... Spojrzałam na następne działanie i jeszcze następne, i kolejne, i poczułam się głupia i oszukana. To nie fair, zaszłam tak daleko, a teraz wszystko zawalę. Jestem złą matką, zawiodłam moje dzieci, bo przez cholerną pannę Torrance nie umiem działać na ułamkach. Jedna samotna łza, która spadła na papier, zamazała kolejne pytanie. Jakie to wszystko niesprawiedliwe. Łzy spływały teraz ciurkiem na kartkę, ale nic mnie to nie obchodziło. Co z tego, że poprzednie dobre odpowiedzi się rozmażą i zamienią w nieczytelne kleksy? W tej chwili to nie miało żadnego znaczenia.

- Proszę o ciszę! - upomniał pilnujący nas nauczyciel, a ja aż podskoczyłam, kiedy zobaczyłam, że zmierza w moim kierunku. Nie zdawałam sobie sprawy, że płakałam na głos. Nauczyciel kucnął przy mnie, a ja intensywnie wpatrywałam się w kawałek podłogi między moimi stopami.

- Spróbuj się opanować, przeszkadzasz innym... - szepnął już nieco cieplejszym tonem. Wyjął z paczki chusteczkę higieniczną i podał mi ją, a ja niezwykle ostrożnie otarłam oczy, żeby nie odpadł mi któryś pryszcz, bo facet pomyśli, że choruję na trąd. Prawdę mówiąc, był cholernie przystojny. No, ale ja byłam mężatką, a przy tym szkaradną, jedenastoletnią uczennicą. Nie, i tak nic by z tego nie wyszło!

- Rozwiąż, ile potrafisz, a resztę zostaw. Nie ma się czym martwić.

Mówi pan, nie ma czym... Jasne, wszystko w porządku, lepiej być nie może! Skinęłam głową, ale starałam się na niego nie patrzeć. Zakrywałam twarz dłońmi i gapiłam się w stół.

- Chcesz, żebyśmy się skontaktowali z twoimi rodzicami? - spytał szeptem.

Z rodzicami? To co, mamy tu jeszcze odbyć seans spirytystyczny? Potrząsnęłam głową.

- Jeżeli pozwolę ci wyjść z sali, nie będziesz mogła wrócić, zdajesz sobie z tego sprawę?

Kiwnęłam głową. Chciałam, żeby sobie już poszedł. Czułam, że dzieci siedzące najbliżej patrzą na mnie, gapią się na tę dziwną dziewczynkę, która pod wpływem najmniejszego stresu potrafiła się rozryczeć jak dzieciuch.

- To co, czujesz się na siłach, żeby kontynuować?

- Tak. Przepraszam - odpowiedziałam niemal bezgłośnie, rozpaczliwie pragnąc, aby przestał skupiać na mnie powszechną uwagę.

Zostałam sama i raz jeszcze spróbowałam cokolwiek zrozumieć z tej strony pełnej słupków Bez skutku. Spojrzałam na Ruby, która pewnym ruchem wypełniała kolejne rubryki. Zauważyła, że patrzę na nią i dziarsko się uśmiechnęła. Odwróciłam wzrok. Później odczekałam jakieś dwie minuty i trzymając twarz skierowaną przed siebie, zaczęłam zezować w lewo, chcąc sprawdzić, czy dam radę odczytać liczby z jej kartki.

Nauczyciele przechadzali się ciężkim krokiem między ławkami, a od czasu do czasu pojedyncze kasznięcia i kichnięcia odbijały się echem po sali. Zdjęłam okulary i potarłam skronie, udając, że boli mnie głowa. Odpowiedzi były wyraźnie widoczne. Pytanie 5: wynik Pytanie 6: wynik . Tam znajdował się zestaw zapasowych kluczy do każdych matematycznych drzwi, których nie byłam w stanie otworzyć. Ruby zerknęła na mnie, a ja o ułamek sekundy za późno uciekłam ze wzrokiem i udawałam, że intensywnie myślę i szukam natchnienia w czymś, co znajdowało się gdzieś ponad jej głową. Wróciła do pisania, ale po chwili znowu podniosła oczy, przyłapując mnie na tym, jak wyciągam szyję, żeby lepiej widzieć. Och, ależ jestem zmęczona! Strasznie zmęczona, spójrz, jak się przeciągam i ziewam! Nie, nie, wcale nie próbowałam podglądać cudzej

pracy, skądże. Ruby miała okazję zobaczyć za ledwie początek szczególnie demonstracyjnego ziewnięcia. Wymownym gestem masowałam mięśnie rąk i pocierałam skronie, a wreszcie z powrotem opuściłam ramiona. Niech to szlag, teraz naprawdę pokpiłam sprawę - zostałam złapana na gorącym uczynku przez jedyną osobę, od której mogłam cokolwiek ściągnąć. Zaraz zasłoni kartkę, żebym nic nie widziała, i już na zawsze stracę szansę podejrzenia odpowiedzi, które tak starannie i pewnie wpisywała. A może jej nie doceniam? Bo kiedy jeszcze jeden, ostatni raz spróbowałam zerknąć w jej stronę, wcale nie starała się zasłonić kartki. Co więcej, strona z zadaniami przesunęła się odrobinę, tak żebym mogła lepiej ją widzieć. „Co za niewiarygodne zachowanie”, pomyślałam. Kiedy zaczęłam gorączkowo przepisywać wyniki, Ruby jeszcze bardziej zbliżyła kartkę w moją stronę i obróciła ją pod zupełnie niewygodnym dla siebie kątem dziewięćdziesięciu stopni. W ogóle na mnie nie patrząc, w sposób subtelny, lecz świadomy pozwalała mi odpisać wszystkie swoje odpowiedzi. Och, kocham cię, Ruby! Dzięki, dzięki, dzięki! Kiedy już miała pewność, że skończyłam pierwszą stronę, przewróciła kartkę, żebym mogła zobaczyć rozwiązania do następnej części. Szybko więc spisałam odpowiedzi do kilku pytań, których nawet nie zdążyłam ruszyć. Ruby zachowywała się przy tym na tyle ostrożnie, że ani razu nie zerknęła w moją stronę, tylko przez cały czas patrzyła spokojnie przed siebie do chwili, aż wyczuła, że mam już wszystko, czego potrzebowałam. W pewnej chwili szybkim ruchem obróciła kartkę, układając ją prosto i nie zmieniając przy tym ułożenia głowy. Zorientowałam się, że zbliża się nauczyciel. Wbiłam wzrok przed siebie i udawałam, że właśnie wpadłam na rozwiązanie, którego tak długo szukałam i teraz muszę je natychmiast zapisać. Nauczyciel obrócił się na pięcie niczym nieświadomy niczego strażnik w obozie jenieckim i rozpoczął długi, powolny marsz w przeciwną stronę. Zanim doszedł do końca, wszystkie puste rubryki w arkuszu miałam już wypełnione.

- Proszę odłożyć długopisy.

Zrobiłam to już kilka minut wcześniej - nie miałam co sprawdzać. Kiedy zebrano testy, pozwolono nam kolejno, rzędami, opuścić salę. Mój rząd wychodził pierwszy. Mijając Ruby, wypowiedziałam bezgłośnie „dziękuję”, a ona odpowiedziała mi delikatnym uśmiechem. I to było wszystko.

Dźwigając się z za stołów, dzieci wyglądały na bardzo zmęczone i wyczerpane. Miały blade twarze i worki pod oczami. Wiele z nich czekają na następne testy, kolejne egzaminy do kolejnych szkół, kolejne wieczory spędzone z korepetytorem po wielogodzinnym odrabianiu lekcji, ćwiczeniu na wiolonczeli i uzupełnianiu zaległych lektur. Gdyby się zastanowić, nie byłam jedynym dorosłym dzieckiem w tej sali. One wszystkie w pewnym sensie już osiągnęły dorosłość. Zakładają krawaty, co rano dojeżdżają na zajęcia, przedzierając się przez londyńskie korki, harują przez czterdzieści osiem godzin w tygodniu - zanim skończą dziesięć lat, są już pełnoetatowymi pracownikami. To współczesny, zakamuflowany odpowiednik wysyłania dzieci do czyszczenia kominów.

Był to ostatni z trzech weekendów, na które zaplanowano egzaminy wstępne do Chelsea College i wśród nauczycieli dało się zauważyć wyraźne uczucie ulgi. Przy stole rejestracyjnym nie było teraz nikogo, w tłumie rozgadanych dzieci i zaaferowanych rodziców udało mi się więc ukraść jeden czysty egzemplarz testów, które właśnie pisałam. Jeśli mamy udawać przed Molly, że będzie zdawała egzamin w domu, niech chociaż będzie prawdziwy.

Skoro David musiał zostać w domu z trójką dzieci na głowie, uznaliśmy, że nie będzie w tym nic dziwnego, jeśli po przyszczą dziewczynkę nikt nie przyjedzie. Czułam jednak, że powinnam grać swoją rolę do momentu, aż przekroczę próg własnego domu, zamiast więc łapać taksówkę, postanowiłam skorzystać z usług komunikacji miejskiej. Czekałam na przystanku dwanaście minut. Po czym złapałam taksówkę.

- No i? Jak ci poszło? - spytał David, gdy wślizgnęłam się przez drzwi, sprawdzwszy uprzednio, czy droga jest wolna.

- Ile jest jedna czwarta podzielić przez jedną czwartą?

- Jeden, a co?

- Dzięki Bogu. Tak właśnie napisała. -Kto?

- No... Ta dziewczynka, którą udawałam. Taki wynik wpisała na teście. Jedna czwarta podzielić przez jedną czwartą równa się jeden.

- No więc jak ci poszło?

- Całkiem nieźle, wydaje mi się - odparłam skromnie. -Ułamki to jedyna rzecz, co do której nie byłam do końca pewna, a dużo ich było, ale w końcu sobie poradziłam... Ogólnie rzecz biorąc, rzekłabym, że poszło mi świetnie...

- I nikt nie podejrzewał, że oszukujesz?

- Oszukuję? - oburzyłam się.

- Hej, przypominam, że masz trzydzieści sześć lat.

- Ach, o to chodzi. Nie, nie, wydaje mi się, że oba egzaminy zdałam śpiewająco.

- Tato, czy to mama przyszła? - dobiegł głos z salonu.

- Cisza! Oglądać mi tam telewizję - skarcił ich ojciec, a ja wskoczyłam na górę pod prysznic. Zdarłam pryszczę, wyszorowałam twarz i patrzyłam, jak moje chwilowe drugie dzieciństwo spływa do kanału. Wiedziałam, że było to zadanie dosyć ekstremalne, ale zrobiłam to pierwszy i ostatni raz - obiecałam sobie, że odtąd moje dzieci będą same odpowiadały za siebie. Nie zamierzałam przechodzić do następnego etapu i przeżywać za Molly całego pobytu w szkole średniej. Czułabym się dziwnie, gdyby po zajęciach netballa zaczęli mnie zapraszać na randki czternastoletni chłopcy. Ubierając się, patrzyłam w lustrze na swoje odbicie. Teraz, gdy plan został zrealizowany, ogarnęło mnie dziwne przygnębienie. Nadal się denerwowałam, czy Molly dostanie się do Chelsea, ale sama miałam poczucie straty. Nagle odebrano mi życiowy cel, który dopiero co odnalazłam. Zajrzałam do

pokoi dzieci i stałam tam, gapiąc się na ich rzeczy. Tyle zabawek, książek i gier i tak niewiele czasu, żeby się tym wszystkim bawić. U Jamiego na szafie leżała piłka do gry w nogę umocowana na elastycznej lince. Nasz ogródek w centrum miasta był za mały, żeby można było normalnie pograć w piłkę, kupiłam więc synowi taką specjalną, która nie odskoczy na więcej niż kilka metrów od miejsca, w którym jest przymocowana do ziemi. Nawet piłkę trzymaliśmy na smyczy.

Zeszłam na dół i zobaczyłam, że David wyłączył telewizor i posadził Molly przy stole w kuchni, żeby skończyła odrabiać lekcje.

- Przecież jestem chora - protestowała.

- Już ci lepiej - oświadczył. - Nie ćwiczyłaś też dziś na skrzypcach, a ty, Jamie, masz jeszcze kilka rzeczy do uzupełnienia w pracy zaliczeniowej.

Miny im zrzedły, kiedy musiały się pogodzić ze smutnym faktem, że praca nie kończy się nawet w weekendy.

- Właściwie nie ma pośpiechu - wtrąciłam ku wyraźnej irytacji mojego męża. - Davidzie, założę się, że potrafiłabym cię pobić na macie.

- Na jakiej macie? O czym ty mówisz?

Chociaż była to jedna z ulubionych zabawek naszych dzieci, żadne z nas jeszcze nigdy nie miało okazji wypróbować maty tanecznej do PlayStation. Teraz jednak pomyślałam, że to może być dla nich niesamowita frajda - ujrzeć własnych rodziców, jak próbują swoich sił.

- Tak! Tak! Mama i tata będą tańczyć! - klasnął w dłonie uradowany Alfie.

- Wiesz o tym, że jeśli odłożymy skrzypce na wieczór, będzie jej się ciężko za nie zabrać - szepnęła David.

- Ach, co tam, jeden dzień. Chodź, będzie śmiesznie.

- Alice... - szepnęła ze złością. - Umawialiśmy się, że będziemy się nawzajem popierać. Powiedziałem im, że muszą się pouczyć. Nie powinnaś podkopywać mojego autorytetu.

Dzieci patrzyły na nas wyczekująco.

- Już wiem. Alfie, Molly poćwicz na skrzypcach, a ty zatańczysz do jej akompaniamentu! Ale przebierz się, synku. Ten kostium Kopciuszka może być trochę niewygodny.

Minęło całe dziesięć dni, zanim dostaliśmy odpowiedź z Chelsea College. Starłam się powstrzymać od zbyt częstego telefonowania do szkoły Piątego dnia nie zadzwoniłam nawet ani razu, bo David zakpił, że jak tak dalej pójdzie, powinnam wpisać ich numer w podręcznej pamięci telefonu. Próżnia informacyjna w mojej głowie szybko wypełniła się wszelkiego rodzaju nonsensami. Może cały czas wiedzieli, co knuję, i trwa to tak długo, bo przygotowują postępowanie sądowe? A co, jeśli Ffion włamała się w nocy do biura i ukradła test Molly? Może na wydziale biologii mają terrarium pełne afrykańskich termi-tów, które uciekły i zeżarły go, zanim został poprawiony? David wyczuł mój niepokój, kiedy pewnego dnia wróciłam z zakupów.

- O, co kupiłaś fajnego w Ryman's?

- A, takie tam...

- Przecież to cała rolka folii bąbelkowej. -No i...?

- To ty już musisz ją specjalnie kupować?

- Pomyślałam, że się przyda. Kto wie, może kiedyś będziemy mieli coś wartościowego do wysłania.

- Jasne... Chyba dzisiaj będę spał w pokoju dla gości. Wreszcie, półtora tygodnia później, wróciwszy do domu

dostrzegłam podejrzaną kopertę, która wystawała spod tony katalogów z ciuchami, ulotek z pizzerii i darmowych lokalnych gazet pełnych doniesień o morderstwach i rozbojach. Nie była ani gruba, ani wytłaczana, jak można by oczekiwać, kiedy się płaci kilkaset funtów za samo przystąpienie do egzaminu, ale za to nadruk historycznej pieczęci Chelsea College („Rok zał. 2001”) pokryto taką ilością nabłyszczanego lakieru, jaką tylko zdołała nanieść maszyna. Moje serce przeszło na wyższy bieg, a w ustach poczułam chłód. A więc to już. Koperta była

zaadresowana na nas oboje. Hm... czy to dobry znak? Zanim ją otwarłam, udało mi się przeczytać kilka pierwszych słów, które widniały pod adresem: „Szanowni Państwo Chaplin, mamy przyjemność poinformować...”

To wszystko, co chciałam wiedzieć. Molly dostała się do szkoły, na której tak nam zależało. Udało się, była bezpieczna, już nigdy nic tak ważnego nie będzie mi spędzać snu z powiek. Nagle opadło ze mnie ogromne napięcie i się rozbeczałam. „W jednym z mieszkań na osiedlu komunalnym znaleziono zwłoki dealera narkotyków” - krzyczał nagłówek lokalnej gazetki, która leżała na wycieraczce. „Na szczęście nie u nas ani nie w Chelsea College”, pomyślałam.

- Boże, to fantastycznie! - powiedział David, który zadał sobie trud przeczytania listu do końca. - Stypendium! Spójrz, dostałaś stypendium!

-Co?!

- Zobacz tutaj... „Celujący wynik z egzaminu wstępnego”, bla, bla, bla, „rada nadzorcza podjęła decyzję”, bla, bla, bla. Oni chcą za nas pokryć wszystkie koszty!

- Stypendium? Co ty mówisz? To znaczy, że nie musimy płacić za naukę Molly? Stypendium! - powtarzałam w kółko. - Boże, w ogóle o tym nie pomyślałam...

- Serio? - spytał David z niedowierzaniem. - A ja od początku miałem na to cichą nadzieję. Nie chciałem o tym mówić, żeby cię bardziej nie stresować, ale i tak ci się udało! Molly się dostała, a my nie musimy płacić.

Weszłam do salonu i zaczęłam wyjątkowo energicznie uklepywać poduszki, zbierać puste pudełka po kasetach wideo i odkładać zabłąkane klocki Lego na ich właściwe miejsce - pod sofą.

- Czego ty tak szukasz? Nie cieszysz się?

- Oczywiście - wzruszyłam ramionami. - Jestem tylko lekko zaskoczona. Nie miałam w planach, hm... defraudacji...

Maurice Edelston BCG
Księgowość karmiczna

Sunrise Books
Cena: 6,99£

Masz debet na koncie? Wydajesz więcej, niż zarabiasz? A może nawet już przestałeś liczyć? Nie mam na myśli pieniędzy. Czy masz pokrycie na swoim „rachunku karmicznym”? Karma to uniwersalna światowa waluta duchowości. To legalny środek płatniczy, którym zapłacisz za swoje miejsce w przyszłym życiu. Jeżeli na tym polu popadniesz w poważne długi, dostaniesz w zamian coś gorszego niż nieuprzejmy monit z banku. Będziesz musiał się odrodzić jako żuk gnojarski. Ale za pomocą programu Lama Uje ledger™, który możesz kupić na stronie <http://www.karma-accountant.com>, nauczysz się, jak księgować każdy swój czyn -jako uznanie czy obciążenie. A dzięki oprogramowaniu księgowemu Dharma Auditing™, które również możesz zamówić on-line, zrozumiesz, że pieniądze nie są ważne, że liczy się energia duchowa, która płynie do twoich bliźnich. Akceptujemy wszystkie ważniejsze karty kredytowe.*

Ledger - ang. 'księga główna', pojęcie z dziedziny księgowości.

David przekonał mnie, że Molly ma takie samo prawo do stypendium, jak każde inne dziecko. Mieliśmy mniej pieniędzy niż Ffion i Philip czy Sarah i William, dlaczego więc to nie nasza córka miałyby otrzymać pomoc w wykształceniu? Przecież jest bardzo inteligentna.

- No tak, prawda - przyznałam. - Może tylko troszkę gorzej radzi sobie na egzaminach.

- Właśnie. I takim uczniom należy dawać szansę.

Siedziałam w gabinecie, porządkując stertę zaległej korespondencji, a konkretnie leżące na samym dnie pisma od organizacji dobroczynnych. Tak się jakoś składa, że zawsze zabierałam się za to na samym końcu. Może poza tą kartką pocztową, którą trzeba było odesłać, żeby zapewnić gwarancję producenta jogurtów. Dziś jednak czułam niejasną potrzebę zrobienia czegoś dla innych.

- Myślisz, że powinniśmy wpłacić jakieś datki dla ofiar tego trzęsienia ziemi w Meksyku?

- Co ci się tak nagle przypomniało? Katastrofa była ze dwa miesiące temu, na pewno już dawno wszystkich odkopali.

- Może nadal potrzebują pieniędzy... Albo to... Trudno się zdecydować, musielibyśmy wysłać i tu, i tu. Jak myślisz: ochrona lasów deszczowych czy schronisko dla osłów?

- Hm, nie mam pojęcia. Wyślij kilka funtów na lasy, ale zapytaj, czy nie mogą trochę odłożyć dla emerytowanych osłów.

Moje kontakty z organizacjami charytatywnymi miały raczej nieregularny charakter. Od czasu do czasu ruszało mnie sumienie i wysyłałam im okup, a oni w zamian przysyłali

jednorazowe długopisy lub drobne monety przyklepione do listów taśmą. Taki list trudniej było wyrzucić do śmieci. Trzeba się było przedtem sporo namęczyć, żeby ją odkleić. Rzadko jednak apele o pomoc wędrowały bezpośrednio do kosza bez obowiązkowej chwili refleksji, kiedy to przynajmniej okazywałam chęć, żeby wysłać czek.

Właśnie zamierzałam zgnieść stos takich listów i wrzucić je do kosza, ale stwierdziłam, że będę miała mniejsze wyrzuty sumienia, jeżeli oddam papier na makulaturę.

- Oczywiście. Chelsea College ma legalnie przyznany status instytucji dobroczynnej - zauważył David. - A my ich wesprzemy, wysyłając tam naszą córkę.

- Choć, jak się okazuje, nie wydając ani pensa.

- No tak, ale to nie jest taka prawdziwa działalność charytatywna. To tylko przykrywka rządu, żeby można było utrzymać w miarę niskie opłaty za naukę.

Jak to dobrze mieć w pobliżu taką osobę z zasadami, taką gwiazdę przewodnią jak mój mąż, która w razie czego potrafi mnie przeprowadzić przez te wszystkie skomplikowane dylematy etyczne.

Mój najgorszy dylemat dotyczył okłamania Molly. Jako rodzice bez przerwy mówimy dzieciom nieprawdę. Powiedziałam raz Alfiemu, że jest bardzo, bardzo mądry, bo umie siusiać do nocniczka, gdy tak naprawdę, jakby się zastanović, to czynność zupełnie naturalna, niewymagająca wysiłku umysłowego. Jamiemu włożyłam pod poduszkę funta i powiedziałam, że to od Wróżki Zębuszki (choć gdy dorośnie, nasz rząd pewnie stwierdzi, że pieniążki od wróżki to była tylko pożyczka i trzeba ją zwrócić w formie podatków). A jednak, mimo że zrobiłam to, mając na względzie przyszłe dobro Molly, to niewinne, białe kłamstewko uwierało mnie znacznie bardziej. Ono po prostu nie było takie białe. Ani nawet kremowe, ecru, albo w kolorze kości słoniowej. W łagodnie pastelowym schemacie kolorystycznym

wszystkich naszych białych kłamstw ten jeden odcień bieli był wyjątkowo krzykliwy.

Daliśmy Molly do rozwiązania test następnego dnia po moim triumfalnym występie na egzaminie.

- To oni pozwalają zdawać w domu? - zapytała, siadając za biurkiem w gabinecie.

- Tylko w wyjątkowych sytuacjach, kochanie. Na przykład, gdy ktoś jest chory.

- Ale przecież wtedy bardzo łatwo można oszukiwać. Rodzice mogą pomagać przy niektórych pytaniach.

David i ja spojrzeliśmy na siebie wstrząśnięci podobną sugestią.

- Tak, to teoretycznie możliwe, ale jaki rodzic by się do czegoś takiego posunął?

- Ffion - szepnęła Molly do siebie, a później szybciotko spojrzała na nas, jakby ta uwaga była co najmniej niegrzeczna.

- Dyrekcja zrobiła dla ciebie specjalny wyjątek - wyjaśnił David. - Nie chcą jednak, żeby ludzie nabrali podejrzeń albo żeby ich o coś oskarżono, prosili więc tylko o jedno: żebyś nie wspominała o tym koleżankom, ich rodzicom ani nikomu innemu.

- Dobra - zaszczebiotała.

- Słuchaj, mówimy poważnie - wtrąciłam, może trochę zbyt ostro. - Pod żadnym pozorem nie wolno ci o tym mówić! Nikomu. Nawet przyjaciółkom czy nauczycielom. To bardzo ważne!

- Dobrze, już dobrze, rozumiem... - powiedziała zniecierpliwiona, a David spojrzał na mnie z niepokojem.

- Przepraszam, kochanie, ale niektórzy rodzice potrafią się dziwnie zachowywać, kiedy im bardzo zależy, aby ich dziecko dostało się do konkretnej szkoły

Nie czuła potrzeby kwestionowania tego stwierdzenia. I to mimo tego, że presja, która na niej ciążyła, znacznie zelżała od czasu, gdy przestałam się martwić o wyniki egza-

minu. Gdy jej szkolni koledzy chodzili coraz bardziej bladzi i rozdrażnieni, budzili się w środku nocy, a jeden z nich nabawił się nawet wyraźnego tiku nerwowego, Molly zachowywała się niemal beztrąsko. Już nie musiałam jej upominać, żeby przestała obgryzać paznokcie u nóg. Również spożywanie posiłków odbywało się w trochę bardziej cywilizowanych warunkach.

Teraz, kiedy w końcu przyszedł czas na zmierzenie się z ostatecznym wyzwaniem, Molly robiła, co mogła, żeby jej egzamin był wielkim wydarzeniem, lecz żadne z jej rodziców nie miało szczególnej ochoty dłużej udawać.

- O nie! Moje ulubione pióro się zepsuło! - oświadczyła dramatycznie, spodziewając się, że w panice rzucimy się jej na pomoc.

- Na dole przy telefonie leży jednorazowy długopis.

- Może być - powiedziała, nie ruszając się z miejsca.

- Ale musisz go sobie sama przynieść, moja droga, ja sortuję pranie...

Gdy minęły przepisowe trzy godziny, ostentacyjnie, na jej oczach, włożyliśmy gotowe testy do koperty. Całość miała powędrować prosto do szkoły i tam zostać poprawiona razem z resztą prac.

- No i? - spytała. -Co?

- Nie chcecie wiedzieć, jak mi poszło?

- Ach tak... No i jak ci poszło?

- Trudny był. Pełno działań na ułamkach. Jestem w tym beznadziejna.

- Jak już raz załapiesz, o co chodzi, to wcale nie jest takie trudne - rzuciłam nonszalancko.

Kiedy wsuwałam arkusze do koperty, dostrzegłam, że Molly zostawiła sporo rubryk pustych, przez co to, że zdobyła stypendium, wydawał się tym większym osiągnięciem. Była szczerze uradowana, kiedy przekazaliśmy jej tę nowinę. Cieszyła ją nie tylko perspektywa, że będzie chodziła

do szkoły, którą wszyscy uważają za najlepszą, ale i to, że poradziła sobie z testem, że wreszcie była w czymś dobra. Nie umiałam zaprzeczać, kiedy wszyscy zgodnie stwierdzili, że Molly to bardzo zdolne dziecko.

Powiadomienie Ffion o przyznaniu Molly stypendium nie odbyło się tak, jak sobie wymarzyłam.

- Czy Bronwyn dostała już wyniki z egzaminu do Chelsea? - zagadnęłam od niechcienia podczas niedzielnego obiadu u niej w domu.

- O tak, tydzień temu przyszedł list. Zdała z wyróżnieniem. Bardzo się cieszymy. No bo wiecie, czego można chcieć więcej?

„Można dostać stypendium” - pomyślałam, ale nie powiedziałam tego głośno. Chociaż byłoby to chyba nieuczciwe z mojej strony, gdybym zataiła przed Ffion wyniki mojej córki, kiedy zapyta mnie o nie za moment.

- Tak, to wielki sukces, choć oczywiście w pełni zasłużony. Bronwyn bardzo się napracowała. Zawsze wiedziałam, że się dostanie, ale człowiek jednak nie przestaje się niepokoić, zgodzisz się ze mną?

- Oj, tak. Ja się na przykład bardzo niepokoiłem o Molly.. -wtrącił William, posyłając mi szelmowski uśmiech. Dokładnie wiedział, co jest grane.

- Wiem, ale to taka mądra dziewczynka...

- Hm... Tak, chyba tak - przyznałam skromnie.

- Nie wiem, czy inteligencję odziedziczyła po mnie, czy po Philipie. Pewnie po obojgu - ciągnęła Ffion. - Dobrze jednak, że Bronwyn miała okazję się przekonać, że jeśli czegoś chce, to ciężką pracą może to osiągnąć.

- To samo zawsze powtarzam Molly - powiedziałam, wymachując wielkim transparentem:

„UWAGA: Zmiana kierunku rozmowy!”.

- Ale też Bronwyn zawsze była nad wiek rozwinięta. To dlatego, że oboje z Philipem kładziemy duży nacisk na jej edukację. Pamiętam, że w jakiejś książce pisali,

że dziecko w wieku dwóch lat powinno już umieć rozpoznawać podstawowe barwy, ale nam to się wydało takie mało ambitne, zrobiliśmy jej więc karty ilustrujące też wszystkie barwy dopełniające, wiecie: turkus, indygo, oliwka, ochra, cyklamen...

- Cyklamen? Ten kwiatek?

- Tak, to nazwa koloru i gatunek kwiatu, ale nie chcieliśmy jej mieszać w głowie i uczyć botaniki, zanim nie skończy pięciu lat.

Molly dostała stypendium w najbardziej obleganej szkole w Londynie, a Ffion potrafiła zasiać w moim sercu niepokój, że moja córka ma już jedenaście lat i wciąż kiepsko się orientuje w odmianach kwiatów doniczkowych.

Obiad okazał się kulinarnym sukcesem. Philip przyrządził trzy dania. Po jedzeniu wszyscy odpoczywaliśmy, a chorwacka opiekunka wyszła z dziećmi do ogrodu zagrać w minitenisa.

Czteroletni Gwilym dostał piłką w twarz i podbiegł do ojca, który relaksował się, puszczając dymka na tarasie.

- Philipie, nie mamy śmietanki do kawy?! - zawołała do niego żona.

- Zaraz zobaczę - odparł, zgniatając niedopałek na podstawce od karmnika. Tyle tam było petów, że wyglądało, jakby wróble kurzyły po dwie paczki dziennie.

- Nie trzeba, Philipie, ja pójdę - powiedziałam, podrywając się od stołu. - Dopiero co wystąłeś się przy kuchni.

Idąc, zastanawiałam się, dlaczego Ffion sama nie może sobie przynieść śmietanki. Gdzieś po drodze zaczęła wykorzystywać założenia feminizmu jako moralne usprawiedliwienie zwykłego lenistwa. Philip co wieczór na ostatnich nogach wtaczał się po pracy do domu i przystępował do gotowania kolacji, zmywania naczyń i sprzątanania zabawek po dzieciach, a później jeszcze przynosił żonie filiżankę kawy i mimo to musiał czuć się winny, że woli przez cały dzień być nieobecny w domu i jak ostatni egoista robić takie rzeczy, jak zarabianie pieniędzy, które ich wszystkich utrzymują. Był

wyzwolony do tego stopnia, że stał się niewolnikiem. Może dlatego nie udało mu się rzucić palenia, ponieważ oznaczałoby to przebywanie każdego wieczoru w jednym budynku z Ffion.

Gdy odnosiłyśmy z Sarah naczynia do kuchni, powiedziałam jej, że Ffion w ogóle nie zapytała, czy Molly dostała się do Chelsea.

- Ach, bo ona już wie o stypendium - odparła Sarah. -Zadzwoiłam do niej, jak tylko mi powiedziałaś. Mam nadzieję, że się nie gniewasz. Pomyślałam, że to wspaniała nowina.

Niewiarygodne - wiedziała o wszystkim i nie potrafiła się przełamać, żeby o tym wspomnieć choćby słowem! Ona ma totalną obsesję na punkcie własnych dzieci. Mam nadzieję, że moje nie wyrosną kiedyś na kogoś takiego.

Tymczasem turniej minitenisa w ogrodzie przybrał formę walki na śmierć i życie. Patrzyłam, jak opiekunka celowo nie trafia w piłkę, żeby dać wygrać córce swojej chlebodawczyni. Ach, to dlatego jej poprzedniczka musiała wracać do Polski. Kirsty już dawno została wyeliminowana z gry. Nie pomagały jej skrzywione miny Sarah i pokrzykiwania w stylu „Och, uważaj... No, gdzie uderzasz?”, ilekroć piłka leciała w kierunku jej córki.

- Bronwyn jest całkiem niezła, nie sądzisz? - spytała Ffion, widząc, że obserwuję je przez okno. Nie wiem dlaczego, ale po prostu nic nie odpowiedziałam. Zmusiłam się do delikatnego uśmiechu i wróciłam do stołu, gdzie tymczasem rozgorzała surrealistyczna dyskusja, z której starałam się coś zrozumieć.

- Wartość samochodu - powiedział David.

- To już mam. Wpisałem po prostu „samochód” - odparł Philip przez szklane drzwi tarasowe.

- Handicap w golfie - kontynuował mój mąż.

- Niezłe, handicap w golfie - powiedział Philip, wymachując papierosem - albo „średnia liczba odbić w bejsbolu” czy coś w tym stylu.

- .Wartość domu lub domów".
- O czym wy, u licha, rozmawiacie? - weszłam im w słowo.
- To nowy program Philipa - wyjaśniła Ffion. - Wreszcie znalazł ten swój pomysł! Pamiętasz ranking, który wam przysłałam? Ten, w którym uwzględniono wszystkie osiągnięcia dzieci?
- Ach tak, zerknęłam raz czy dwa...
- Wszyscy śmiali się więc z Philipa, że chce to rozwinąć, a teraz się okazało, że ma kupca, który planuje z tego zrobić komercyjny program komputerowy. Czy to nie fantastyczne?
- Tyle że już nie będzie dotyczył wyłącznie dzieci, ale także dorosłych! - dodał Philip. - Właśnie wymyślamy z Davidem przykładowe kryteria rankingu dla dorosłych mężczyzn, które później każdy będzie mógł dostosować według uznania.
- Kochanie, znowu wpuszczasz dym...
- Dostosować?
- Na tym to właśnie polega. Klasyfikujesz siebie na podstawie takich kryteriów, które ty uważasz za ważne. Powiedzmy, że Mike Tyson rozmawia ze Stephenem Hawkingiem. Nie poczułby się od razu zerem z tego powodu, że nie wie, jak funkcjonuje wszechświat, ale miałby satysfakcję, wiedząc, że prawdopodobnie pokonałby Hawkinga na ringu.
- Prawdopodobnie. W dziesięciu rundach - rzucił William.
- Każdy mierzy swoją wartość tym, w czym jest dobry. W ten sposób wszyscy lokują się w czołówce własnego rankingu.
- Poza księciem Edwardem. On musiałby się umieścić gdzieś bliżej końca tabeli - dodał William.
- No tak, z wyjątkiem księcia Edwarda. A kiedy już ustalisz kryteria, którymi ty i twoi znajomi będziecie mierzyć swoją wartość, możesz na bieżąco śledzić i modyfikować zestawienie. Jeśli dostaniesz awans albo kolega z pracy kupi

sobie nowy samochód, wpisujesz do komputera odpowiednią wartość i tabela automatycznie się aktualizuje.

- Ta firma jest zachwycona pomysłem - powiedziała Ffion.

- A co z pozycją „zarobki”? - zapytał David. - Chyba że to to samo, co „pozycja zawodowa”?

- Nie, na to chyba trzeba przewidzieć osobną kolumnę... -zamyślił się Philip. - Zwracam ci uwagę, że jeżeli ten projekt wypali, tak jak to oni przewidują, w obu kolumnach będziemy mogli sobie wpisać 100 procent.

- „Wielkość penisa” - rzucił William ku ogólnej ucieście zebranych przy stole.

- Tu mogą być kłopoty z pomiarem, ale przypuszczam, że mogłoby to ożywić niejedno nudne zebranie w biurze.

- No dobrze, a na przykład „uroda żony”? - zaproponował David, uśmiechając się prowokacyjnie w moją stronę. Nastąpiła krótka chwila ciszy, podczas której zauważyłam, że Philip zerka jednym okiem na współmałżonkę.

- Nie. Nie sędzę, żeby to było szczególnie istotne - powiedział i wcale się nie starał nie dmuchać dymem do wnętrza. Ffion tylko troszkę się zjeżyła, jej delikatny wąsik nieznacznie drgnął w popołudniowym słońcu. - Czy to na pewno dobrze wpływa na zdrowie psychiczne, kiedy człowiek bezustannie poddaje się rywalizacji? - odważnie przerwałam krępującą ciszę.

Na odpowiedź nie było czasu. W tym momencie do pokoju wpadła zapłakana ze złości Bronwyn, a za nią mój zaniepokojony syn. Mistrzostwa w minitenisie zakończyły się przykrym incydentem:

Bronwyn właśnie przegrała w finale. - Jamie oszukiwał - szlochała. - Za mocno uderzał piłkę!

- Doprawdy, Bronwyn! - zawołała Ffion. - On jest dwa lata młodszy od ciebie... Musisz się nauczyć przegrywać.

- Ale on to robił specjalnie!

- No, dobrze, już dobrze, ale nie płacz tylko dlatego, że przegrałaś. Może zróbcie trzy mecze finałowe i wtedy wy-

bierzecie najlepszego, co? No, idźcie już. Ale Jamie, staraj się nie uderzać już tak mocno - dodała. Nigdy się nie dowiedziałam, czy ewentualne zwycięstwo Bronwyn w rozgrywkach minitenisa zostało kiedykolwiek uwzględnione w specjalnie opracowanym rankingu.

Okazja poznania innych rodziców dzieci, które dostały się do Chelsea College, nadeszła wcześniej, niż się spodziewałam. Otrzymałam list, w którym zapraszano mnie i Molly na osobistą rozmowę z panią dyrektor. Cudownie. Jaki miły i uroczy list. I jaki świetny pomysł - to właśnie ten typ dodatkowej, niemal duszpasterskiej opieki, która sprawia, że Chelsea College warta jest każdego pensa, które inni im płacą. Do listu dołączono jednak wykaz rzeczy, w które musimy się zaopatrzyć we własnym zakresie: strój sportowy (na lato i na zimę), kij do hokeja, strój gimnastyczny do ćwiczeń na sali, fartuch (stolarstwo), fartuch (technologia żywienia), rakietka do tenisa, maska szermiercza, kij do lacrosse, mały diadem... Ciągnęło się to przez pół kartki. Kiedy David wszystko policzył, wpadł w panikę. Odłożył na bok plany wojenne Jamiego i zaczął wydzwaniać po klientach, mówiąc im, że znajdzie jednak czas, żeby się nimi zająć. Tak więc tylko ja i Molly miałyśmy zaszczyt wspiąć się po okazałych schodach prowadzących do wejścia Chelsea College. Czułyśmy się, jakbyśmy wchodziły do pałacu Buckingham po odbiór tytułu szlacheckiego.

Szkoła wyglądała teraz inaczej niż wtedy, gdy stałam tam zdenerwowana, wpatrując się w wypolerowaną posadzkę. Wydawała się dostojna i majestatyczna. Te pałacowe kolumny i ściany wyłożone boazerią napawały dumą i dawały poczucie, że umieszczając tu dziecko, człowiek automatycznie przesuwa się o szczebel wyżej w hierarchii społecznej. Złapałam się na tym, że, mijając nauczycieli i innych oczekujących rodziców, rozdaje wokół łaskawe uśmiechy „Dzień dobry, tak, zaczynamy od września”, zdawały się mówić, a przechodzący nauczyciele odkłaniali mi się z wahaniem, zastanawiając się, czy może po-

winni nas skądś znać. Skierowano mnie do gabinetu, gdzie miała się odbyć indywidualna rozmowa z panią dyrektor. „To specjalnie ze względu na moją córkę, bo, wiecie państwo, celująco zdała egzamin...”. „Ciekawe, czy się ze sobą zaprzyjaźnimy”, myślałam, gdy mijałam inne osoby kręcące się po korytarzach. Ciekawe, do której podstawówki chodzi córka tej pani. Ciekawe, czy Sarah też ma dzisiaj wyznaczone spotkanie.

I nagle zauważyłam znajomą twarz. W przestronnym korytarzu przed gabinetem dyrektorki spostrzegłam Ruby, tę czarnoskórą dziewczynkę, od której odpisałam zadania z matematyki. Przysiadła nieśmiało na brzegu dużego, niskiego fotela, jak gdyby czuła, że nie pasuje do tego otoczenia. Stopy w błyszczących, plastikowych bucikach spoczywały złączone na podłodze. Obok niej siedziała starsza kobieta - jej babcia, jak sędzę - kurczowo trzymając przed sobą torebkę i rozglądając się dookoła za kimś, z kim mogłaby porozmawiać. Miała na sobie płaszcz z błyszczącymi, złotymi guzikami i duży kapelusz, i z tego powodu wyglądała, jakby się wybierała na ślub. Widząc tę dziewczynkę, poczułam się znowu niepewnie. Zdażyłam już zatrzeć w pamięci wszystkie szczegóły tego, w jaki sposób Molly dostała się do tej szkoły. Mało tego, ostatnio zaczęłam nawet odczuwać rosnącą dumę z naukowego sukcesu córki - fantastyczny wynik z egzaminu przyniósł jej pewną sławę w Spencer House. „Gratuluję zdobycia stypendium!” - powiedziała raz do mnie jej wychowawczyni. Nieco się spłoszyła, kiedy odpowiedziałam ostro: „To nie ja, to Molly..”.

Ruby rzuciła mi przelotne spojrzenie, ale nie zauważyłam na jej twarzy żadnej reakcji, upewniłam się więc, że nie mam się czego bać. Usiadłyśmy z Molly naprzeciwko nich i dziewczynki przez moment przyglądały się sobie nawzajem.

- Przepraszam, czy pani tu pracuje? - zapytała babcia Ruby z akcentem, którego nie umiałam określić.

- Nie, nie. Jestem matką przyszłej uczennicy - odparłam i zaśmiałam się sztucznie. Odwróciłam wzrok. Czułam się nieswojo. Nie chciałam się wdawać w rozmowę.

- Moja wnuczka zdała egzamin wstępny.

- Brawo, gratuluję.

- Dziękuję - szepnęła Ruby i na ułamek sekundy nasze oczy się spotkały, po raz pierwszy od dnia, kiedy dała mi odpisać zadania. Szybko przeniosłam wzrok na jej babcię, uśmiechnęłam się i bąknęłam coś bez znaczenia do Molly. Mimo że wolałabym nie spotkać mej współpracownicy, która przypomniała mi o popełnionym przestępstwie, wiadomość, że Ruby też się dostała, w pewnym sensie mnie rozgrzeszyła. Nikomu nie stała się krzywda.

Na korytarz wpadł chudy, zdenerwowany nauczyciel z naręczem podręczników, które ledwo trzymały się pionu i zaczął szperać w swojej skrytce.

- Przepraszam, czy pan tu pracuje?

Chociaż wyraźnie było widać, że tak, mężczyzna wydawał się osaczony tym pytaniem, jakby nie był pewien, czy udzielenie odpowiedzi nie okaże się błędem. - Yyy... Tak.

- To moja wnuczka, Ruby.

- Ach tak, witaj Ruby. Czekają panie na panią dyrektor?

- Czy ona nie jest wspaniała?

- Tak. Musi pani być z niej bardzo dumna.

- Jest bardzo grzeczna. Zawsze mówi „proszę i „dziękuję”, czyż to nie jest...

- Miło mi to słyszeć.

- To może chodzić do tej szkoły?

Zawahał się, nie bardzo wiedząc, jak zareagować na nowatorską koncepcję systemu rekrutacji zaproponowaną przez starszą panią.

- Hm..., no cóż, wie pani, że szkoła organizuje egzamin wstępny? Musi go najpierw zdać.

Chybotliwy stos książek przyciśniętych do piersi wciąż groził upadkiem i nauczyciel odchyłał się nienaturalnie do tyłu, żeby temu zapobiec.

- Już zdała.

- O, to znakomicie. Zatem do zobaczenia we wrześniu, Ruby. Moje nazwisko Worrall, jestem zastępcą dyrektora.
 - Może więc chodzić do tej szkoły?
 - Skoro zdała egzamin. Powinny pani dostać zawiadomienie. Jestem pewien, że pani dyrektor za chwilę przyjdzie.
 - A czy wnuczka może dostać stypendium?
 - Słucham?
 - Proszę, czy mogą jej państwo przyznać stypendium, żeby mogła chodzić do tej szkoły?
 - Cóż, to zależy od wyników egzaminu. Proszę posłuchać, ja właściwie nie zajmuję się rekrutacją. Jeśli pani chwileczkę zaczeka, możecie porozmawiać w tej sprawie z panią dyrektorem.
 - Wie pan, ona jest bardzo mądra.
 - Nie wątpię.
 - 1 umie grać na flecie.
 - Fantastycznie.
 - To dacie jej stypendium?
 - Hm... widzi pani, to niezupełnie tak się odbywa. Żeby dostać stypendium, trzeba uzyskać bardzo wysoki wynik z egzaminu, a gdyby tak było, zostałaby pani o tym powiadomiona.
 - Bardzo dobrze radzi sobie z Internetem. Trenuje co wieczór. Niech pan spojrzy, czy nie jest cudowna? - Może jednak omówi to pani z panią dyrektorem, za momentik będzie wolna.
 - Proszę, niech mi pan powie, panie Worrall, czy to ma związek z tym, ile kto ma pieniędzy?
 - Yyy, nie... To zależy od tego, jak zdolne jest dziecko.
 - Ruby jest zdolna. Potrafi wysyłać e-maile i w ogóle, prawda, kochanie? Ale jej matka nie ma pieniędzy Pracuje całymi dniami na trzech etatach, ale wszystko idzie na dzieci.
- Rozmowa zeszła na niewygodny temat - temat pieniędzy, którym pan Worrall nie chciał zaśmieszać swojego wyobrażonego świata szczęśliwej i odnoszącej sukcesy szkoły,

gdzie opłaty za naukę są tylko ubocznym szczegółem, o którym wie każdy, ale woli o nim nie rozmawiać. Taki wstydlivy fakt, jak konieczność chodzenia do toalety czy życie seksualne własnych rodziców.

- Hm... cóż, ja naprawdę... Hm... jak mówiłem, jestem tylko jednym z zastępców i uczę tutaj angielskiego. Proszę usiąść, a pani dyrektor, jak tylko będzie wolna, na pewno z przyjemnością wyjaśni, jak to wszystko funkcjonuje.

- Ile by to kosztowało, jeśli Ruby nie dostanie stypendium?

- Wszystko znajdzie pani w folderze. O, zwykle leży kilka na stole...

Przez cały ten czas Ruby przyglądała się nauczycielowi, jak gdyby próbowała coś wyczytać z jego twarzy. Marszczyła czoło, starając się zrozumieć jego zmieszanie. Gdy pan Worrall uciekł, babcia Ruby skierowała swoją uwagę na mnie.

- Przepraszam panią, może pani wie, ile trzeba zapłacić, żeby dziecko mogło chodzić do tej szkoły?

- Hm... aktualnie jest to około trzech i pół tysiąca funtów za semestr.

- O mój Boże! To mnóstwo pieniędzy.

- Owszem, dużo.

- Nie mamy trzech i pół tysiąca... Boże, to ile to razem będzie, zanim Ruby pójdzie do Cambridge?

- Jeśli zostanie tu siedem lat, hm... to będzie trzy razy trzy i pół tysiąca razy siedem, czyli... Yyy...

- Siedemdziesiąt trzy i pół tysiąca - powiedziała cicho Ruby.

- Widzi pani, jaka ona mądra? Tak po prostu! Ciekawe, czy te dzieci, które dostały stypendium, potrafią tak szybko liczyć w głowie. Chciałabym to zobaczyć.

Czułam na sobie świdrujący wzrok Molly „Nawet nie próbuj tego proponować”, mówiło milczące, wściekłe spojrzenie.

- Ile mówiłaś, Ruby?

- Siedemdziesiąt trzy tysiące pięćset funtów.

- Nie ma mowy, żebym zebrała tyle pieniędzy.

- Prawda? Czysty obłąd. Myślą, że co, mamy sprzedać dom, żeby zapłacić za naukę dziecka?

- My nie mamy własnego domu.

Czułam, jak twarz oblewa mi gorący rumieniec wstydu. Molly w końcu wyszeptała pierwsze słowa, odkąd tam usiadłyśmy.

- Mamo, przymknij się.

- Ach, no, cóż, to trochę komplikuje sprawę.

- Siedemdziesiąt tysięcy na każde dziecko! W życiu nie spotkałam kogoś, kto by miał tyle oszczędności. -A później zaśmiała się lekko i dodała: - Poza panią, jak | sądzę!

Nie chciałam tego powiedzieć, ale alternatywa wydawała się gorsza.

- Nie, prawdę mówiąc my też nie mamy tylu pieniędzy. Córce udało się dostać stypendium.

- Mamo, przymknij się.

- Naprawdę? Mój Boże, musisz być bardzo zdolna!

Molly zdobyła się na delikatny uśmiech, a później zapytała mnie, jak długo będziemy jeszcze czekać.

Jakby na zawołanie z gabinetu wyszła dyrektorka, a babcia Ruby wstała i powiedziała:

- Dzień dobry, byliśmy z panią umówione. Moje nazwisko Osafo, a to jest moja wnuczka, Ruby

- Witaj, Ruby - odpowiedziała pani dyrektor. Była młodsza, niż sądziłam. Roztaczała wokół siebie aurę przyjaznej nowoczesności (w przeciwieństwie do otoczenia).

Pani Osafo gestem nakazała wnuczce wstać i pokazała na nią, żeby zwrócić uwagę dyrektorki.

- Czy nie jest śliczna?

- Owszem. Z pewnością jest pani z niej bardzo dumna.

- Jest bardzo grzeczna. I umie grać na flecie. Mamy go ze sobą, chce pani posłuchać?

- Innym razem - odparła, prowadząc je do gabinetu. Zamykając drzwi, posłała mi krótki uśmiech.

Pięć minut później drzwi otwały się ponownie i usłyszałam, jak ktoś z dużą wprawą odgrywa na flecie końcowe nuty motywu przewodniego z *East Enders*.

- Bardzo ładnie, Ruby. Dziękuję, że przysłałaś. Życzę powodzenia w innej szkole.

Starsza pani wyszła z godnie uniesioną głową, ale nie umiała ukryć rozczarowania.

- Trzeba próbować, co? - zwróciła się bezpośrednio do mnie, a później oddaliła się korytarzem, a za nią Ruby ze spuszczoną głową.

Wnętrze gabinetu dyrektorki okazało się Świątynią Sukcesu. Na półce stały srebrne puchary, na biurku tabliczki, na ścianach oprawione wycinki z gazet ze zdjęciami dzieci prezentujących swoje projekty naukowe. Całość uzupełniała seria zbiorowych fotografii przedstawiających setki szczęśliwych, uśmiechniętych uczniów. Wszystkie miały tę szczególną, zdrową, rumianą cerę, która jest wynikiem stosowanej od pokoleń właściwej diety i zimowych wakacji spędzanych na nartach.

- Coś podobnego - powiedziała dyrektorka, zamykając za sobą drzwi. - Jeszcze się nie spotkałam, żeby ktoś ubiegał się o miejsce w tej szkole na podstawie prywatnego recitalu fletowego!

- To musi być dla pani bardzo trudne. Podejrzewam, że wołałaby pani, aby wszyscy chętni mogli dostać stypendium.

- Ta dziewczynka, prawdę mówiąc, była bardzo blisko. Uzyskała sto procent z matematyki, ale ocenę obniżyło kilka błędów w teście z angielskiego... Wielka szkoda. Bardzo byśmy się cieszyli, gdyby została naszą uczennicą.

Stałam niepewnie, bojąc się usiąść, zanim ktoś mi tego nie zaproponuje. Ostatni raz znalazłam się w gabinecie dyrektora, kiedy w szkole napisałam sobie długopisem na ręce „Duran Duran”.

- A tak w ogóle nazywam się Reynolds, a ty pewnie jesteś... Molly Chaplin! Ach tak, jedna z naszych nowych stypendystek! Gratuluję wspaniale zdanego egzaminu!

- Dziękuję - odpowiedziała Molly.
 - Byłaś zaskoczona, że tak dobrze ci poszło?
 - No tak, zwłaszcza, że byłam chora i musiałam pisać w domu i w ogóle...
 - Ależ nie, kochanie, to był tylko próbny egzamin, coś musiałaś popłatać! - Skarciłam ją tonem ostrzejszym, niż należało. - Nie, nie byliśmy zbytnio zaskoczone, bo Molly zawsze była bardzo inteligentną dziewczynką i... Tak jak mówię, zawsze była inteligentna, wcale nas to więc nie zdziwiło, robiłyśmy kilka prób generalnych w domu i bardzo dobrze jej szło, ale to były próbne testy, no i oceny za każdym razem miała wysokie, tak że jest fantastycznie i szalenie się cieszymy, że tu jesteśmy! Molly wybałuszyła na mnie oczy, a ja jak najdelikatniej, prawie niezauważalnie, potrząsnęłam głową w nadziei, że siła mojego wzroku ostrzeże ją, aby więcej nie próbowała się odzywać.
 - Równe sto procent ze wszystkich trzech testów. Nieczęsto zdarza się taki wynik. Mam nadzieję, że nie obniżysz lotów, Molly?
- Spojrzałam wyczekująco na córkę, pragnąc, żeby potwierdziła, a ona tylko nerwowo pokręciła głową. Dalej rozmowa toczyła się już gładko.
- Masz jakieś hobby, Molly?
 - O, tak, Molly interesuje się wieloma rzeczami, prawda, kochanie? Gra na skrzypcach, lubi rysować i pływać, chodzi też na balet i uwielbia czytać książki. Razem z koleżankami założyły nawet własny klub dyskusyjny.
 - A czy dużo w życiu podróżowałaś?
 - O, tak, zwiedziła pół świata, prawda, kochanie? Francja, Włochy, Ameryka, Kenia, hm... Center Parc...
- Rozpaczliwie pragnęłam polubić panią Reynolds i nie rozczarowałam się. Jej ciepła powierzchowność i zainteresowanie okazywane mojej córce napełniło mnie radością i optymizmem; była bardziej otwarta, życzliwa i swobodna w zachowaniu, niż pragnęłabym w najśmielszych oczekiwaniach.

Po rozmowach wstępnych do Spencer House dyrektor zawsze odprowadzał potencjalnych rodziców na parking, żeby zobaczyć, czym jeżdżą. Tutaj nie miałam poczucia, że ktoś nas ocenia czy klasyfikuje - panią Reynolds, jak sama zastrzegła, interesują wyłącznie dzieci, nie stan konta ani pozycja społeczna ich rodziny. Ona nigdy nie przysłałaby do domu napuszonego listu z prośbą, żeby matki starały się nie przyjeżdżać po dzieci ubrane w dzinsy. Nie, żebym się wtedy specjalnie przejęła tym listem. Zresztą i tak w tamtych dzinsach wyglądałam niekorzystnie.

Kiedy wyszliśmy, na zewnątrz padał deszcz, planowany spacer po terenach szkoły odłożyliśmy więc na kiedy indziej. Gdy Molly przeskakiwała kałuże na parkingu, zapytałam ją, co sądzi o swojej nowej szkole.

- Mmm... - kiwnęła głową, bardzo pragnąc udzielić mi takiej odpowiedzi, jakiej oczekuję. Ale kiedy czekała, aż otworzę samochód, wyczułam, że coś ją gryzie.

- Mamusiu, dali mi stypendium, prawda? Ale jak mogłam dostać po sto procent w każdym teście, skoro nie odpowiedziałam na wszystkie pytania?

Strasznie się mocowałam z kluczami, żeby znaleźć ten właściwy.

- Wiesz, może przewidzieli pewien margines błędu. Albo zaokrąglili wynik w górę. Tak, na pewno zaokrąglili. - W końcu dotarło do mnie, że kluczem od domu raczej nie otworzę wozu. - Chociaż, jak już mówiłam, musisz pamiętać, że nie wolno ci więcej rozmawiać na temat egzaminu. Przecież nie chcemy, żeby jakiś zazdrosny rodzic zakwestionował twoją ocenę, prawda?

W tym momencie niechcący uruchomiłam alarm. Zawyła syrena i zaczęły migać wszystkie światła.

Wpadłam w panikę i poczułam się jak idiotka.

Kiedy wsiadałyśmy do naszego sanktuarium, deszcz zamienił się w ulewę. Włączyłam ogrzewanie na maksimum, a wycieraczki rozpoczęły swoją nieustającą, rytmiczną grę

w berka - „mam cię, gonisz, mam cię, gonisz... i tak dalej”. Ruszyłam moim miejskim traktorem sprzed szkoły i skręciłam na szosę. Deszcz padał tak gęsty, że aż zamrugały latarnie, zdziwione tak nagłą ciemnością w środku dnia. W oddali spostrzegłam dwie zamazane postacie stojące przy drodze i schowane pod jednym zdezelowanym parasolem. Gdy się zbliżyłam, zobaczyłam przez zaparowane szyby, że to Ruby i jej babcia wciąż czekają na autobus. Musiały tam stać dobre dwadzieścia minut. Mijając je, odbiłam trochę od krawężnika, żeby ich nie ochlapać, ale wzrok miałam cały czas skierowany przed siebie. Nie widziałam, czy na mnie patrzyły, czy nie. Przełączyłam wycieraczki na szybszy bieg. Potem zerknęłam w lusterko: dwie postacie w deszczu zaczęły się kurczyć i znikać w oddali. Zastanawiałam się, do jakiej szkoły trafi teraz ta dziewczynka, co zrobi ze swoim dalszym życiem, dokąd za chwilę zabierze ją autobus? I nagle nacisnęłam hamulec.

- Co robisz, mamo?

Powoli zawróciłam samochód, podjechałam do nich, odsunęłam elektryczną szybę i zapytałam:

- Przepraszam, jadę tą samą trasą co autobus. Może podwieźć?

Medytacja w ruchu!

Ajurwedyjskie kasety audio dla zapracowanych.

Czyta Yogi Shree Deva Prem (wstęp: Carol Vorderman)

Sunrise Audio

Cena: 24,99 £

We współczesnym, zagonionym świecie niełatwo jest znaleźć chwilę, aby osiągnąć wewnętrzny spokój i harmonię za pomocą starodawnych technik medytacji transcendentalnej. Do dziś, aby zgłębić prawdę zen, należało nieraz poświęcić całe życie, ale dzięki naszym kasetom możesz doświadczyć Absolutu w ciągu zaledwie kilku godzin, a wszystko to bez zakłócania napiętego planu dnia! Nieważne, czy jesteś zajęta prasowaniem, uprawiasz jogging w parku, czy po prostu jedziesz na zakupy do supermarketu, nasze ćwiczenia wedyjskie pozwolą ci szybko i skutecznie przenieść się na wyższy poziom świadomości. A kiedy z listy spraw do załatwienia skreślisz już pozycję „Osiągnąć całkowitą harmonię wewnętrzną”, będziesz mogła spokojnie stawić czoła 101 innym rzeczom, które masz do zrobienia każdego dnia.

Uwaga: Zwrócono nam uwagę, że na kasecie nr 3 Yogi Shree zachęca, aby zamknąć oczy i skoncentrować się na świadomym istnieniu w danej chwili. Jeżeli słuchasz taśmy prowadząc samochód, zalecamy wykonywanie tego ćwiczenia z otwartymi oczami.

8

Okazało się, że Ruby i jej babcia mieszkają jakieś pół kilometra od naszej ulicy.

- O, my też mieszkamy w Clapham, prawda, Molly? - powiedziałam, usłyszawszy, dokąd mam jechać.

- Naprawdę? Zna pani osiedle Wilberforce?

- Tak... - skłamałam. Nazwa obita mi się o uszy, ale nie potrafiłam jej umiejscowić. Tamtejsze ulice nie figurowały na mapie zawartej w moim umyśle; wyobrażałam sobie te okolice jako pasmo wzgórz opatrzone napisem „Uwaga, smoki”.

- Mieszkamy w Gisbourne House.

- Ach tak. Cudownie. - I nie wiedząc, co powiedzieć dalej, palnęłam: - Macie stamtąd ładny widok? Cichy głosik w głowie podpowiadał mi: „Alice - przymknij się”, ale został zagłuszony przez donośniej szony głos mojej córki:

- Mamo, przymknij się.

- Nie, nasz blok ma tylko dwa piętra, okna wychodzą na Thornton House.

- Ach, tam... - odparłam, jakby mi to cokolwiek pomogło.

- A pani gdzie mieszka?

- Oaken Avenue.

- O, to bardzo ładna ulica. Czyli córka może wskoczyć w autobus sto trzydzieści siedem i dojedzie prosto do Chelsea College!

- Owszem, chociaż szkoła przewidziała specjalny autobus.

- Czytałam o tym w folderze! - huknęła śmiechem babcia Ruby. - Kto by płacił siedemset funtów rocznie za prywatny

autobus, skoro sto trzydzieści siedem dowozi pod same drzwi za jedyne czterdzieści pensów?

- Prawda? - zaśmiałam się, dziwiąc, jacy to ludzie są głupi. „Bo tak może jest bezpieczniej - pomyślałam - bo przeraża nas perspektywa wypuszczenia dziecka samotnie na szaleńczą przejażdżkę komunikacją miejską”. Oczywiście i prywatny autobus nie daje całkowitej pewności. Znałam pewną matkę, która pozwoliła synowi nim dojeżdżać, a potem całą drogę ścigała go na rowerze, żeby się przekonać, czy dotarł bezpiecznie.

- Tak, Molly chyba będzie korzystać z autobusu sto trzydzieści siedem - bąknęłam.

Czekając na zmianę świateł przy Chelsea Bridge, ucziłam minutą ciszy moją prawdomówność.

- Ma pani bardzo ładny samochód.

- Dziękuję. A państwo... Macie samochód? -Nie.

- I bardzo słusznie. To znaczy, one strasznie zanieczyszczają środowisko, nie uważa pani?

- Matka Ruby miała kiedyś rovera metro, ale zepsuł się zupełnie.

- Och, przykro mi...

Byłam wstrząśnięta, jak bardzo niezręcznie czuję się w tej sytuacji, ile nerwów mnie kosztuje, żeby prowadzić zwykłą, kurtuazyjną pogawędkę ze starszą, czarnoskórą kobietą. Mimo że mieszkałam w południowym Londynie, nie znałam żadnych Murzynów. Oczywiście czasami człowiekowi przyjdzie zamienić parę słów ze starszą, elegancko ubraną, czarnoskórą kobietą, ale ponieważ babcia Ruby nie usiłowała mi wcisnąć „Strażnicy”, nie bardzo wiedziałam, jak na nią reagować.

- Wychowywała się pani w południowym Londynie? -zapytałam w końcu. Stwierdziłam, że to zabrzmi lepiej niż „Skąd pani pochodzi?”.

- Nie. Pochodzę z Accry

- Aha - kiwnęłam głową. Słyszałam tę nazwę, ale nie wiem, gdzie to jest. - Ja i mąż spędziliśmy miesiąc miodowy w St. Lucia.

- Co pani powie? Accra jest stolicą Ghany To w zachodniej Afryce.

- No tak, oczywiście, ale pani tak mi się jakoś skojarzyła z St. Lucia, bo... Bo tam jest tak słonecznie. Zupełnie jak w Afryce.

Moja twarz zmieniła kolor na czerwony, a światło na sygnalizatorze na żółty. Włączyłam odtwarzacz w nadziei, że dźwięki muzyki pop przełamia krepującą ciszę.

„Tylko przez sharmathę możesz otworzyć się na prawdę zen...”

- Och, to nie ta kasetka. Zobaczmy, co my tu mamy... Avril Lavigne, Dido... O, świetnie: *Największe przeboje Motown... Ooo, baby love! My baby love...*

- Mamo, musisz śpiewać? Czemu się wreszcie nie przymkniesz? - warknęła Molly.

- *Ooo, miss kissingyou...* - nuciłam. - Uwielbiamy Motown, prawda, Molly? I soul. Mam tu gdzieś Jamesa Browna... W ogóle lubię czarną muzykę: Motown, soul, reggae... Tylko nie rap, rapu nie lubię, ale nie dlatego, że jest czarny, bo nie lubię też Eminema, a on jest biały, prawda?

- Mamo, głucha jesteś? Zamknij się!

W lusterku dostrzegłam wyraz osłupienia na twarzy Ruby, spowodowany zachowaniem mojej córki. Przez chwilę zrobiło mi się wstyd za tę nielegalnie nabytą, zbyt pewność siebie Molly.

Gdy zbliżyliśmy się do Clapham, zaczęłam żałować, że tak bezmyślnie zapewniłam, że wiem, gdzie jest ich osiedle.

- To jak najwygodniej dojechać do waszego bloku?

- Kiedy wjedzie pani w główną drogę dojazdową, to będzie po lewej - odparła babcia Ruby.

- Aha, rozumiem... Proszę mi jeszcze przypomnieć, która to ulica prowadzi do osiedla Wilberforce?

- Wilberforce..
- No tak, oczywiście, Wilberforce... Która będzie... Tu zaraz na lewo, tak?
- Trzecia w prawo.
- No jasne, trzecia w prawo...

Osiedle bloków komunalnych mogłoby równie dobrze znajdować się na innej planecie. Tyle tylko, że gdyby zjawił się tam kapitan Kirk i wyjął swój komunikator, pewnie zaraz zostałby napadnięty przez jakiegoś zakapturzonego piętnastolatka. „Zajebista komora! Można esemesować, wysyłać zdjęcia i teleportować się za pomocą antymaterii!” Zajechałyśmy pod blok. Powojenna, funkcjonalna forma stanowiąca połączenie betonu i klocków Lego. A architekci chyba doszli do wniosku, że pierwszą rzeczą, jaka ma się rzucać w oczy, powinny być wielkie, metalowe kubły na śmieci. Wszystkie trawniki były zupełnie zdeptane, a do ogrodzenia ktoś, nie wiadomo po co, przywiązał nagi szkielet starego roweru. Gówniarze, którzy zapragnęli być sławni, uwiecznili sprayem na bramie swoje imiona, ale napisy były zupełnie nieczytelne, nie wiem więc, jaki miało to sens. Deszcz nieco zelżał, ale mimo to postarałam się podjechać jak najbliżej wejścia.

- Bardzo dziękujemy za podwiezienie.
- Tak, dziękujemy, że się pani zatrzymała - dodała Ruby. Pociągnęła za klamkę, ale ja jeszcze nie odblokowałam zamków.

Zaciągnęłam ręczny hamulec.

- To jak pani myśli, do jakiej szkoły pójdzie teraz Ruby?
- Nie wiem, ma jeszcze jeden egzamin, bo będzie się starała o stypendium w szkole dla dziewcząt w Barnes. U nich egzaminy są później.

Pani Osafo nie używała slangu ani nie mówiła z akcentem, jak większość rdzennej populacji południowego Londynu. Ona mówiła zdecydowanie poprawną angielszczyzną.

- Świetnie, u Molly w szkole jest kilka dziewczynek, które też się tam wybierają, prawda, kochanie? - Molly gniewnie kiw-

nęła głową, ale z tylnych siedzeń nie było tego widać. - A jeśli tam jej się nie powiedzie, co wtedy państwo planujecie?

- Właśnie, może pani mi powie, co sądzi o Battersea Comprehensive? - spytała pani Osafo.

- Broń Boże, tylko nie to! - wykrzyknęłam. - To znaczy, żadna z koleżanek Molly by tam nie poszła, dla nas jest to więc zupełnie nieodpowiednie miejsce.

- Dyrektor wydaje się miły. No i podoba mi się ta ich nowa pracownia plastyczna.

- Prawdę mówiąc, osobiście tam nie byłam, ale wie pani, słyszy się to i owo o różnych szkołach i akurat tej nigdy nawet nie brałyśmy pod uwagę.

- Jej matka mówi, że Ruby pewnie pójdzie do Battersea. Bez stypendium nie stać nas na prywatną szkołę. Ale z Chelsea i Barnes więcej dzieci dostaje się potem do Cambridge, gdzie Ruby zamierza studiować.

- Ach, wybierasz się więc do Cambridge? - uśmiechnęłam się do niej.

- Tak - odpowiedziała obojętnie.

- A co takiego masz zamiar studiować? - zachichotałam.

- Matematykę.

- Uhm, rozumiem.

Ona mówiła śmiertelnie poważnie. Jedenaście lat. Moja córka marzy, żeby zostać gwiazdą pop.

W tym momencie ogarnęło mnie przygnębienie na myśl o tym, jak nikłe ma szanse, żeby jej ewidentny potencjał został kiedykolwiek należycie wykorzystany. Ona w życiu nie dostanie stypendium, jeśli nie weźmie serii indywidualnych, intensywnych lekcji u jednego z prywatnych korepetytorów, którzy się specjalizują w przygotowywaniu dzieci do takich egzaminów. Sama to przeszłam, wiem, jakie są wymagania i wiem, jakie przeszkody trzeba pokonać. Wyłączyłam silnik.

- Te prywatne lekcje są takie drogie, prawda? Czy Ruby bierze może jakieś korepetycje? - zagadnęłam nieśmiało.

- Pomagam jej przy odrabianiu lekcji... Zawsze stara się robić więcej, niż zadali.
- Aha, a testy próbne? Rozwiązywała kiedyś coś takiego?
- Jakie testy, nie rozumiem?
- Chodzi o to, żeby ćwiczyć na gotowych testach, wtedy można się zorientować, co trzeba ewentualnie poprawić przed właściwym egzaminem.
- Ach tak, w szkole robią im różne sprawdziany, z arytmetyki, ortografii. Ruby zawsze dostaje najlepsze stopnie.

Ta kobieta nie miała pojęcia, z kim się mierzy. Z rodzicami, którzy, gdyby tylko dysponowali odpowiednią technologią, załatwiliby prywatne lekcje swoim dzieciom, kiedy jeszcze są w brzuchu. Z dziećmi, które ostatnie sześć lat spędziły w szkole, której głównym zadaniem jest przygotować je tak, aby dostały się potem do najlepszych szkół prywatnych. Z rodzicami, którzy dysponują takimi pieniędzmi i czasem, że mogą sprawić, aby szczyt fizycznych i umysłowych możliwości ich pociech przypadł dokładnie na dzień Wielkich Igrzysk Egzaminacyjnych. Zapatrzyłam się przed siebie. Na jednym z balkonów na parterze krążył niespokojnie młody wilczur.

- Akurat zostało mi w domu kilka egzemplarzy takich testów, my już ich nie będziemy potrzebować. Jeśli pani chce, mogę je odstąpić...
- Och, to bardzo miło z pani strony, prawda, Ruby?
- Hm... w takim razie je podrzucę - wypaliłam bezmyślnie.
- Mieszkamy pod numerem dwadzieścia trzy Wilczur zawył przeciągle, nie wiadomo dlaczego. I tak oto dobrowolnie zgodziłam się powrócić do obcej krainy, jaką było osiedle Wilberforce. Uznałam, że nie warto o tym wspominać Davidowi, zwłaszcza że był zajęty czymś innym: bezskutecznie usiłował namówić dzieci, żeby poszły zagrać w piłkę w ogrodzie, a Alfiego, żeby założył swoją nową koszulkę Arsenalu.

- Nie, synku, sędzia nie pozwoliłby ci grać w stroju Pocahontas.

Po prostu wpadnę na chwilę i podrzucę pani Osafo te testy. Wielka mi rzecz. Wychodząc, spojrzałam w lustro. A potem zdjęłam płaszcz od Nicole Fahri i zamieniłam na starą wiatrówkę, którą zakładałam, gdy jeździliśmy na wieś zbierać jeżyny.

Szłam wzdłuż Oaken Avenue i nagle uderzył mnie rozmiar bogactwa wystawionego na pokaz. Każdy samochód przy mojej ulicy musiał kosztować ponad dwadzieścia tysięcy funtów, a wiele rodzin ma po dwa. Potężne limuzyny odbywają nocą gody i po kilku tygodniach wyrasta między nimi małe sportowe bmw. Wszystkie domy to trzypiętrowe, wiktoriańskie szeregowce, wyremontowane za ciężkie pieniądze i wyposażone z tyłu w dobudówki i niepasujące do reszty, jakby doklejone oranżerie. Mimo tej całej przestrzeni i poniesionych kosztów większość rodzin spędza całe dnie w ciasnym pokoiku. Słabo oświetlonym, podziemnym pomieszczeniu z kuchnią, które pierwotnie było przeznaczone dla służby. Mogą mieć najpiękniejszą, najdroższą i najlepiej wyposażoną kuchnię, a za oknem widzą tylko mokre schody, które cały rok pokryte są miejskim potpourri z zeschniętych liści, nasion klonu i porzuconych opakowań po hamburgerach. W oknach są kraty, co wygląda na przewrotny sposób rozwiązania problemu przestępczości. To tak, jak gdybyśmy wszyscy naraz stwierdzili, że nigdy nie uda nam się wsadzić kryminalistów za kratki, wydajemy więc mnóstwo pieniędzy, żeby stworzyć własne prywatne więzienia, w których możemy się zamknąć od środka. Na schodach stały niczym niezabezpieczone donice z terakoty, które podjęły ryzyko wydostania się poza strefę bezpieczeństwa. Uważa się powszechnie, że to dzieciaki z osiedli komunalnych kradną skrzynki z kwiatami i wieńce bożonarodzeniowe, ale nie jestem tego taka pewna. Trudno mi sobie wyobrazić nastolatka, który wkrada się do pubu, taszcząc starannie przystrzyżone drzewko laurowe w wiel-

kiej, ceramicznej donicy, i usiłuje je opylić za piąta. „Nic z tego, bracie, liście laurowe są do kitu, trzeba je potem wyławiać z zupy”.

W ciągu kilku minut znalazłam się w samym środku ulicy Wilberforce i już było widać, że parkujące tu samochody są starsze i bardziej zaniedbane, gdzieniegdzie próbując się rozweselić dowcipną nalepką przyklejoną na zderzaku: „Samochód służbowy mafii - łapy przy sobie!”. Chyba że to rzeczywiście samochód mafii, a ludzie dzięki temu wiedzą, że mają nie wjeżdżać mu w tyłek na światłach. Muszę przyznać, że czułam się lekko niedouczone, jeśli chodzi o styl życia londyńskiej klasy robotniczej. Podejrzewam, że trochę się zmieniło od czasów, gdy wszyscy ubierali się jak Pearly Kings* i chodzili, nucąc przeboje z musicalu *Me and My Girl*,

A teraz sama znalazłam się w tej okolicy. Nie istniały tutaj słupy graniczne ani żadne punkty kontrolne, przy których strażnik wypytywałby mnie, w jakim celu udaję się do strefy proletariackiej. Czy mądrze postępuję, ryzykując wizytę bez przewodnika? Może powinnam zabrać ze sobą tłumacza? Doszłam jednak do wniosku, że tutejsi mieszkańcy na pewno są przyzwyczajeni, że od czasu do czasu na ich teren zabłąka się jakiś przedstawiciel klasy średniej, chociaż ja nie przyszłam ich agitować przed wyborami ani nie kręcę wstrząsającego dokumentu dla Channel 4. Osiedle Wilberforce sprawiało wrażenie, jakby specjalnie wybrano je na siedzibę Kongresu Znudzonych Nastolatków: grupa chłopców, niektórzy zaledwie w wieku moich dzieci, kręciła się beczynn timer w pobliżu bramy, ledwo znajdując w sobie na tyle entuzjazmu, żeby się do siebie odzywać. Jeden z nich miał wygolone na głowie duże logo Nike. Nie wyobrażam sobie, żeby moje dziecko wyszło z salonu z taką fryzurą.

Ludziom z naszych

Pearly Kings (i Queens) - rodzaj stowarzyszenia (założonego w XIX wieku w środowisku kramarzy i kupców), którego członkowie na specjalne okazje zakładają kostiumy wyszywane guzikami z masy perłowej.

sfer nie przystoi obnosić się z uwielbieniem dla marki Nike. Mamy zbyt wyrafinowane gusta. Jamie mógłby na przykład wygolić sobie na głowie logo John Lewis.

Chłopcy postanowili nie zwracać na mnie uwagi i kiedy już byłam w bezpiecznej odległości od nich, poczułam, że ciągle mam naprężone mięśnie, a serce bije mi szybciej. Kopertę z testami przyciskałam mocno do piersi, jak gdybym się bała, że ci chłopcy mnie obrabują, gdy tylko się dowiedzą, co tam mam. „Co tam iPody i komórki najnowszej generacji - ona ma testy do gimnazjum!” Stojąc przed wielką, metalową bramą Gisbourne House, nacisnęłam guzik przy numerze 23, ale w głośniku nikt się nie odezwał. Za to rozległo się głośnie, charczące brzęczenie i drzwi bez trudu ustąpiły. Nieśmiało weszłam do środka, usłyszałam, jak brama zamyka się za mną ze szczękiem, i poczułam mieszaninę woni cementu i gotowanej kapusty. Stwierdziłam, że daruję sobie potencjalnie klaustrofobiczne wrażenia w windzie i ruszyłam na górę po betonowych schodach. Każdy mój krok odbijał się echem. Na trzecim piętrze znalazłam tabliczkę, która kierowała mnie pod właściwy numer i wyszłam na zewnętrzną galerię prowadzącą do poszczególnych mieszkań. Na jednych drzwiach wisiała błyszcząca nalepka, na której napisane było coś po arabsku, na innych całą szerokość zajmował duży metalowy szyld. Wreszcie dotarłam do drzwi oznaczonych numerem 23 i przystanąłam.

Mogłabym wrzucić kopertę przez szczelinę na listy i po prostu uciec, ale w ten sposób nigdy bym się nie dowiedziała, co się stało z Ruby. I właśnie wtedy do mnie dotarło, że nie przyszłam tu tylko po to, żeby podrzucić testy. Musiałam mieć pewność, że Ruby je przerobi. Czułam potrzebę, żeby z nią usiąść i przeanalizować zadanie po zadaniu, wskazać ewentualne pułapki oraz zdradzić sekrety i techniki, których sama się nauczyłam. Chciałam ją wyposażyć w odpowiednie narzędzia, żeby umiała później radzić sobie samodzielnie. Jak w tym powiedzeniu - daj człowiekowi rybę,

a nie będzie głodny przez jeden dzień, ale daj mu wędkę - cóż, wtedy skazujesz go na wysiadywanie co weekend nad stawem w Clapham Common ze śmiertelnie znudzoną miną.

Moja własna córka w ciągu ostatniego roku zaczęła okazywać coraz większą wrogość w stosunku do mnie. Automatycznie odrzucała matczyne rady oraz wszelkie przyjazne gesty i próby pomocy

Natomiast tutaj było dziecko, któremu naprawdę mogłam pomóc, które doceniłoby to, co mam do zaoferowania. To tak, jak z tymi listami z apelami o wsparcie dla krajów Trzeciego Świata, które codziennie znajduję w skrzynce: „Zasponsoruj dziecko w Afryce”. „A ja zaspon-soruję dziecko z dzielnicy domów komunalnych”, pomyślałam i zaraz się zaczerwieniłam z powodu własnej pychy.

„Poświęcając zaledwie kilka minut w tygodniu, możesz odmienić ich los: pomóc zdobyć podstawowe wykształcenie, wyposażyć w narzędzia, dzięki którym samodzielnie poradzą sobie w życiu, i może jeszcze poprosić, aby nie jadły hamburgerów, kiedy siedzą obok ciebie w metrze”.

Trzykrotnie zastukałam kołatką i nasłuchiwałam zbliżających się kroków. Zdziwiłam się, kiedy drzwi otworzył mi starszy, czarnoskóry mężczyzna ze skrętem w ustach.

- Tak? - spytał ponurym głosem.

- Dzień dobry, zastałam panią Osafo? Przyniosłam testy, które obiecałam Ruby.

- Constance! Ktoś do ciebie...

Z ciemności wyłoniła się pani Osafo. W domowym stroju wyglądała bardziej staro, mimo że na rękach trzymała niemowlę, białego chłopczyka.

- Dzień dobry, to ja - uśmiechnęłam się. - Przyniosłam testy dla Ruby.

- Dziękuję bardzo - odpowiedziała, odbierając kopertę. - To miło, że chciało się pani fatygować.

Wahałam się, nie wiedząc, co robić.

- Hm... cóż. Tak sobie pomyślałam, że mogą się przydać.

- Jestem pani bardzo wdzięczna.

- Śliczny maluszek.

- Prawda?

- To pani?

Nie wiem, jak mogłam zadać tak głupie pytanie. Oczywiście, że nie jej, przecież jest czarna i ma co najmniej sześćdziesiąt lat.

- Nie, opiekuję się dzieckiem sąsiadki - odparła z łagodnym uśmiechem.

- Ach tak. Cóż, mam nadzieję, że Ruby nie będzie miała problemów ze zrozumieniem zadań. Czy ona... Hm... jest teraz w domu?

- Uczy się obsługiwać Internet - odpowiedziała pani Osafo z niejaką dumą w głosie.

- Rozumiem.

Niemowle ssało smoczek i wpatrywało się we mnie. Miało taki wyraz twarzy, jakby nieustannie dziwiło się światu.

- Bo wie pani, gdyby coś, to ja mogłabym jej objaśnić konstrukcję tego typu testów.

Pani Osafo się uśmiechnęła, a ja w swej paranoi odebrałam to, jakby chciała mi dać do zrozumienia, że coś wie.

- To bardzo miło z pani strony, proszę do środka. Ruby! Wyłącz komputer, ktoś do ciebie!

Mieszkanie Ruby było, jak by to określił agent nieruchomości, „umiarkowanie przestronne” -

„Prawdziwa perełka: mieszkanie w cieszącej się coraz większą popularnością dzielnicy Wilberforce, składające się z trzech sypialni, salonu - nie, zaraz, jedną sypialnię przeznaczono na salon - kuchni, pokoju telewizyjnego - hm... właściwie to kuchnia pełni tę funkcję -łazienki i balkonu rozmiarów gołębnika”.

Ruby grzecznie przywitała się ze mną, a babcia wyjaśniła jej, w jakim celu przyszłam. Byłam podekscytowana, że mam możliwość tyle zaoferować temu dziecku, ona była jak gąbka, która gorliwie wchłonie całą wiedzę, jaką mogę jej przekazać. Była moim własnym, małym Pigmalionem, tyle że w tej wersji... Właściwie to nigdy nie oglądałam ani

nie czytałam *Pigmaliona*, ale wiem, że napisał to George Bernard Shaw i że na jego podstawie nakręcono musical *My Fair Lady*, w którym główne role grali Audrey Hepburn i Rex Harrison, i tyle wystarczy, żeby sobie poradzić, gdyby taki temat pojawił się nagle na eleganckim przyjęciu. Aha, i jeszcze George Bernard Shaw nosił długą brodę. Ha, to kolejna rzecz z dziedziny literatury angielskiej, o której założę się, że Ruby nie wie. Doprawdy, mam jej tyle do powiedzenia, że nie wiem, od czego zacząć.

Tym razem rozmawiając z panią Osafo nie byłam tak zdenerwowana jak wtedy w samochodzie. Zagadnęłam ją, czy udało jej się już odwiedzić rodzinną Ghanę i czy była kiedykolwiek w którymś z sąsiednich krajów, jak Wybrzeże Kości Słoniowej na zachodzie, Togo na wschodzie, czy Burkina Faso na północy (nie wiem, czy dobrze wymówiłam tę nazwę, w atlasie Jamiego nie było żadnych wskazówek). Chciałam się dowiedzieć, gdzie Ruby zwykle odrabia lekcje.

- Czy ma swoje biurko albo coś takiego? - spytałam, zaglądając z nadzieją w głąb przedpokoju.

- Nie, biurka nie ma. Może pani usiąść tutaj, później nakryję do stołu - odpowiedziała pani Osafo i wskazała na malutki kuchenny stół, przy którym siedział dziadek Ruby i w oparach tytoniu „Golden Virginia” oglądał w telewizji transmisję meczu.

- Hm... A nie lepiej, gdybyśmy usiadły gdzieś w salonie?

- W salonie? Nie bardzo. Przeszkadza pani telewizor?

- Cóż, Ruby może być trudniej się skupić...

- Rozumiem. Lloyd! Wyłącz ten telewizor

A Lloyd, nie odwracając się, sięgnął po pilota i bardzo powoli ściszył głos w odbiorniku, który był stanowczo za duży, żeby stać pewnie na wątej szafce kuchennej. Wyglądał na dosyć drogi model. Pomyślałam o tym z wyrzutem, jak gdyby oni nie mieli prawa mieć tak samo dobrego telewizora jak my.

Ruby wspięła się na taboret, usiadła i czekała. Była wzorem posłuszeństwa, grzeczności i dobrego wychowania, niczym kopia postaci z angielskich filmów z lat pięćdziesiątych, w których wszystkie

dzieci z wyższych sfer nosiły śnieżnobiałe, odprasowane ubranka i odzywały się tylko wtedy, gdy je pytano.

- Ruby Pomyślałam sobie, że skoro ci obiecałam podrzucić testy, to może od razu wskażę ci pewne pułapki, na które musisz uważać - zaczęłam.

- Słyszałaś? - wtrąciła się babcia. - Musisz uważać na pułapki!

Odwróciłam się i wątlym uśmiechem podziękowałam za tę nieproszoną pomoc.

- Pierwsza sprawa: kiedy zdawałaś egzamin do Chelsea, czy był test, w którym czułaś się słabsza niż w pozostałych?

- Matematyka poszła mi chyba dobrze. Postanowiłam jej uwierzyć na słowo, zwłaszcza odkąd usłyszałam od dyrektorki, że dostała z tego testu równe sto procent.

- Świetnie. A zadania logiczne? Jak myślisz, jak ci poszło?

- Dobrze. Ja lubię takie zagadki.

- Tak, to są w pewnym sensie zagadki, ale czasem autorzy próbują wyprowadzić cię w pole, dając fałszywe wskazówki. Trzeba bardzo uważać.

- Spalony! - wykrzyknął dziadek Ruby. - I to o dobry metr!

Ruby na chwilę podniosła wzrok, a ja kontynuowałam, wskazując stosowny przykład.

- Zobacz, w tym zestawie obrazków mamy figury geometryczne wpisane w inne figury i na pierwszy rzut oka myślisz, że wszystkie to są koła z wyjątkiem ostatniego, ten więc, który nie pasuje do reszty, to musi być kwadrat, prawda?

- Słuchasz, Ruby? - przerwała pani Osafo. - Kwadrat nie pasuje.

- Nie, nie, nie! Nie kwadrat! - sprostowałam czym prędzej. - Właśnie mówię, że to tylko tak wygląda...

- Słyszałaś? To nie kwadrat.

- To był faul, nie ma co gadać.
- A twoim zdaniem, Ruby, który obrazek nie pasuje do reszty?
- Drugi. Odpowiedź „b”.
- Świetnie. Zuch dziewczynka. A dlaczego? Ruby spojrzała na mnie jak na idiotkę.
- Bo pani wpisała literkę „b”.

Westchnęłam, a tymczasem komentator w telewizji rozkręcał się coraz bardziej.

- Dobrze zgadła? - spytała dumna babcia.

- Tak, ale...

- Brawo, Ruby! Słyszałeś, Lloyd? Dobrze zgadła!

- Brawo, Ruby. Strzelaj! Strzelaj! - krzyknął dziadek w stronę telewizora.

Nagle jedna z drużyn zdobyła bramkę i Lloyd wydarł się tak głośno, że niemowlę zaczęło płakać i pani Osafo przekazała je wnuczce, a sama poszła podgrzać mleko. Ruby stała na środku kuchni z wprawą kołysząc dziecko, a ja zupełnie nie wiedziałam, co robić.

- Sama więc widzisz, Ruby, że pierwsza myśl nie zawsze okazuje się trafna - powiedziałam, przekrzykując wrzawę. A Ruby w odpowiedzi skinęła głową, lecz obie czułyśmy, że nie da się zignorować powtórki akcji na ogromnym ekranie, który dominował w pomieszczeniu.

Pierwsza myśl z pewnością nigdy nie okazuje się trafna. Sądziłam, że to będzie takie proste. Przyjdę do Ruby, posiedzę z nią przy biurku i wszystko wytłumaczę, zostawię jej kilka testów do zrobienia i może za parę dni wpadnę, żeby sprawdzić, jak jej poszło. Ale odpowiedź przestała być dla mnie oczywista, im bliżej się jej przyglądałam, tym zagadka stawała się trudniejsza. Objaśniłam Ruby jeszcze parę zadań przy ciągłych komentarzach babci („Brawo, Ruby! Mądra dziewczynka” - mówiła. „Tak, to była naprawdę świetna robota” - dorzucił komentator John Motson), zostawiłam testy i poprosiłam Ruby, żeby spróbowała do nich wrócić, gdy znajdzie trochę więcej czasu. Jak mogłam być tak głupia i sądzić, że przyjdę tam i zdołam odtworzyć te cenne chwile wspólnej nauki z moją własną córką? Myślałam, że mogę oddać komuś swój czas, tak jak oddawałam stare ubrania do sklepu

charytatywnego, oczekując podziękowań i ewentualnie kilku miłych słów na temat mojego gustu w kwestii szali z kaszmiru. Ale gdy wracałam do swojego wygodnego domu, dotarła do mnie prosta prawda - jeśli ktoś tu się musi doksztalić, to na pewno ja.

Nie miałam pojęcia, w jakich warunkach żyje większość ludzi, jakie przeszkody muszą pokonywać i jak mało mają pieniędzy. Wydawało mi się, że nam jest ciężko, bo porównywałam się do Ffion i Sarah. Tymczasem w pojęciu Ffion biedny człowiek to ten, który kupuje dla swojej au pair używany samochód. A stres jest wtedy, gdy trzeba zwolnić osobistego trenera jedenastoletniej córki. A ja sądziłam, że życie jest brutalne, bo nie mogę nigdzie dostać dla Carmen (naszej gospodyni) odpowiednich worków do odkurzacza. Co ma powiedzieć mama Ruby, która musi zostawiać dziecko pod opieką własnej matki i jako jedyna żywicielka trzypokoleniowej rodziny zarabiać na utrzymanie w kilku różnych miejscach, żeby tylko jej dzieci miały wszystko, czego potrzebują? Co sobie myśli, patrząc wieczorem na zegarek i żałując, że zamiast być teraz w domu i układać je do snu, musi siedzieć w pracy, gdzie zarobi te parę dodatkowych funtów, aby mogły być tak samo dobrze ubrane jak inne? Ruby garnie się do nauki, ale nie ma na to ani miejsca, ani warunków, a tymczasem kilkaset metrów dalej, w naszym domu, są specjalnie w tym celu przygotowane pomieszczenia, które świecą pustką.

Oprócz gabinetu Davida, który pełnił też funkcję domowego biura oraz centrum dowodzenia sił sprzymierzonych w Normandii, każde z naszych dzieci miało do dyspozycji własny pokój z własnym biurkiem, na którym czekały świeżo zatemperowane ołówki i nowiutkie zeszyty. Ich pracownie to były świątynie, miejsca darzone czcią i szacunkiem. W ta-

jemniczy sposób pojawiały się tam szklanki z mlekiem, a gdy dzieci próbowały się skupić, dorośli zaczynali mówić do siebie szeptem - wszystko w imię wszechpotężnego boga Nauki.

Ten kontrast szczególnie zakłuł mnie w oczy wieczorem, gdy usiadłam z Molly, żeby jej pomóc odrobić zadanie z matematyki. Warunki były idealne, lecz sama myśl o jakimkolwiek wysiłku umysłowym wywoływała u uczennicy ciężkie westchnienia. Molly opadła bezwładnie na krzesło niczym szmaciana marionetka, a gdy zamglonym wzrokiem wpatrywała się w kartkę, jej głowa nagle zrobiła się tak ciężka, że musiała użyć łokcia, żeby ją podeprzeć.

- Są dzieci, które wiele by dały, żeby mieć tyle czasu na naukę.

- Gdzie? W Afryce? - rzuciła lekceważąco.

- Nie, znam takie w Clapham.

- Jasne... -l nagle poderwała się z krzesła.

- Dokąd idziesz? Siadaj!

- Do łazienki, a gdzie myślałaś? Już nawet wysikać się nie można?!

- Nie, zrób jeszcze jedno zadanie, a później możesz iść... „Mama Jane kupuje nową sukienkę, którą przeceniono o połowę. Pierwotna cena wynosiła 9,50 £. Ile reszty dostanie Jane, jeśli zapłaci dwudziestofuntowym banknotem?” No, jakie dwa działania trzeba tu wykonać?

Ale ciało Molly zginało się wpół w wielkiej udreće. W ciągu zaledwie kilku sekund jakaś dziwna i gwałtowna wewnętrzna powódź wypełniła jej pęcherz litrami moczu i teraz tylko kiwając się w przód i tył oraz ściskając brzuch, Molly mogła zapobiec zmoczeniu majtek i nowego fotela Davida.

- Leć, tylko szybko!

Pięć minut później zapukałam do drzwi ubikacji.

- Co jest? Myślałam, że chciałaś tylko siusiu.

- Nie, to drugie też.

Przynajmniej jeśli kiedyś w życiu dopadnie ją zatwardzenie, będzie miała gotowe lekarstwo. „Czy twoje dziecko ma problemy z wypróżnieniem? Zaaplikuj mu powtórkę z matematyki, skuteczny

środek przeczyszczający, który zatrzyma je w toalecie na wiele godzin". Molly chwilowo była górą w tej wojnie psychologicznej, ale nie mogłam dopuścić, żeby wymigiwała się od lekcji, zwlekając z załatwieniem potrzeby fizjologicznej.

- Molly! - krzyknęłam przez drzwi. - Ile jest siedem razy dziewięć?

- Co? - usłyszałam stłumioną odpowiedź.

- Możemy w tym czasie powtórzyć tabliczkę mnożenia. Ile jest siedem razy dziewięć?

- Siedzę na muszli.

- Wiem, ale tak łatwo się nie wykręcisz. Siedem razy dziewięć to...

- Co ty robisz? - spytał David, który pojawił się na schodach.

- O, cześć, powtarzamy matkę.

- A nie można z tym zaczekać, aż ona wyjdzie?

- Nie, bo w ten sposób ona nigdy nie wyjdzie. No, Molly, powinnaś to umieć. Siedem razy dziewięć równa się. Ile to właściwie jest, Davidzie?

- Sześćdziesiąt trzy.

- Słyszysz? Siedem razy dziewięć to sześćdziesiąt trzy A teraz powtórz, ile jest siedem razy dziewięć?
Cisza.

- Molly! - zawołał David, czując się w obowiązku stanąć w tej próbie sił po mojej stronie. - Molly! - powtórzył, waląc w drzwi. - Powiedz „sześćdziesiąt trzy”, kiedy matka prosi.

- Sześćdziesiąt trzy - wymamrotał zza drzwi zmęczony głos.

- Dobrze... - powiedziałam, udając przed sobą, że odniosłam coś w rodzaju zwycięstwa. - Chyba na dzisiaj wystarczy

W przeciwieństwie do swojej siostry, Jamie aż kipiał entuzjazmem, odkąd pozwolono mu samodzielnie dokończyć pracę na lekcję historii. Godzinami rysował czołgi, przyklejał zdję-

cia i umieszczał opisy z taką pieczołowitością i starannością, że z jednej strony ust dorobił się zajadów od ciągłego wysuwania języka. A jednak, mimo że poświęcił na to tyle czasu, dla jego nadąsanego, odrzuconego ojca projekt wciąż nie był dość doskonały. Kilka dni później David wszedł do kuchni i rzucił na stół gruby zeszyt. Z jego zachowania jasno wynikało, że moja interwencja zrujnowała jego ukochane przedsięwzięcie pod nazwą *Historia II wojny światowej*.

- Zrobiłem, jak chciałaś. Dałem Jamiemu wolną rękę. -1 dobrze. Dzielny chłopczyk, tak bardzo się starał... Praca była przepięknie ilustrowana zdjęciami z Internetu, które Jamie powklejał i starannie opisał kolorowymi flamastrami.

- Ale on tego nie może tak oddać - powiedział wzburzony David.

-Och , nie bądź taki zaborczy. Wiem, że ty byś to pewnie zrobił inaczej, ale musimy się nauczyć pozwalać dzieciom na samodzielność.

- To się do niczego nie nadaje.

- Słuchaj, może w twoich fachowych oczach nie wygląda to doskonale, ale to miał być jego obraz wojny, nie twój.

David uniósł brwi.

- Niemcy wygrali. -Co?

- W pracy Jamiego, tej, którą za twoją namową pozwoliłem mu skończyć samodzielnie, drugą wojnę światową wygrali Niemcy.

Nie jestem tak mocna z historii jak David, ale jeden szczegół utkwił mi w pamięci, mianowicie to, że armia niemiecka z całą pewnością znalazła się po stronie przegranych.

- Jakim cudem?

- Nie wiem, może w rzutach karnych? Zobacz na podpis pod ostatnim zdjęciem: *Ludność niemiecka świętuje swoje zwycięstwo na wojnie*.

- Och, jak on ładnie pisze! Kochany chłopczyk...

- Ale chyba nie o to tu chodzi, prawda? Kiedy admirał Dönitz w maju tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego podpisywał bezwarunkową kapitulację, nie stała nad nim mamusia i nie mówiła: „Trudno, przegraliśmy, ale spójrzcie, jakie mój syn ma ładne pismo...”.
- Przeglądałam strony ze starannie wklejonymi mapkami i zdjęciami i poczułam, jak wzbiera we mnie duma.
- Ci Niemcy wyglądają na szczęśliwych, czyżby Gôring im nakłamał?
- To zdjęcie przedstawia tłum berlińczyków, którzy świętują upadek Francji. To było pięć lat wcześniej.
- Ojej, napisał „świętuje swoje zwycięstwo”, zamiast „świętuje zwycięstwo”, różnica jednego słowa. To nie ma znaczenia.
- Co? Nie ma znaczenia, że według naszego syna drugą wojnę wygrały Niemcy? Możesz mnie nazywać pedantem, ale, moim zdaniem, to dosyć ważny szczegół. No wiesz, historycy spierają się co do niektórych kwestii, ale wszystkie źródła, jakie czytałem, są zgodne co do tego jednego szczegółu historycznego. Niech pomyślę... A. J. P Taylor, Alan Bullock, Richard Holmes, Simon Schama? Nie, nie przypominam sobie, żeby choć jeden z historyków przedstawił Niemców jako triumfatorów.
- Wiem, ale Jamie tak się napracował i na pewno jest z tego dumny. Jak on się będzie czuł, kiedy mu powiesz: „To, co zrobiłeś, nadaje się do kosza, zacznij wszystko od nowa”.
- Zaraz, zaraz. Chcesz powiedzieć, że aby nie urazić uczuć naszego dziewięcioletniego syna, mamy pozwolić Hitlerowi wygrać? Żeby cała Europa nie wiadomo na jak długo musiała się podporządkować brutalnej, ludobójczej dyktaturze, bo nasz mały synek nie może znieść kilku słów krytyki od własnych rodziców?
- To tylko jeden błąd - powiedziałam. - Nie mały, przyznaję.
- Nie tylko jeden. Spójrz... - David przerzucił kilka stron. - „Niemcy okupują Rumunię”: zgadza się. „Niemcy napadają na Bułgarię”: dobrze. „Niemcy napadają na Narnię”: źle.

- Narnię?
 - Owszem. W pracy Jamiego Narnia znalazła się na liście krajów podbitych przez Wehrmacht.
 - Kurczę, sama umieściłabym Białą Czarownicę po stronie faszystów. A opisał, jak wyglądała ta inwazja? Bo wiesz, musiało im być trochę ciasno, jak przechodzili przez szafę.
 - On tego nie może oddać w szkole.
 - Będzie widać, że zrobił to sam.
 - Tak? W takim razie pójdźmy na całość. Niech wygra Wietnam, co? Po tym, jak Rommel z oddziałem jelonków pokonują Hermionę Granger, żeby zdobyć ważny przyczółek na wschód od chatki Puchatka.
 - Ta praca nie jest taka zła.
 - Wstyd mi za niego.
 - Cóż, w pewnym sensie to również sprawdzian dla rodziców. Czy jesteś w stanie znieść, że twoje dziecko odda w szkole pracę pełną błędów, ale samodzielną, czy raczej poprawisz ją i udasz, że to jego dzieło?
- David był co najmniej tak zaskoczony, jak gdybym pozwoliła dzieciom iść spać bez wyczyszczenia zębów nitką.
- Czyli pomagając Jamiemu, posunąłem się za daleko, a pójście za Molly na egzamin uważasz za zwykłe wsparcie rodzicielskie, tak?
 - To był jednorazowy wypadek.
 - Nie. Kiedy Molly miała przygotować pracę na temat zagrożonych gatunków, napisałaś ją za nią od początku do końca, a później przekupiłaś ją jajkami-niespodziankami, żeby wszystko przepisała swoim charakterem pisma.
 - Nieprawda.
 - Prawda. A potem poprosiłaś tego majstra, który nam montował szafki kuchenne, żeby poskładał dołączone do jajek zabawki. Dlaczego nagle jesteś przeciwna, żebym tak samo pomógł Jamiemu?

- Bo kiedyś nas zabraknie i nie będzie komu składać zabawek.
 - Albo zatrudniać fachowców, żeby to za nich robili.
 - Nieważne. Kiedyś w końcu będą musiały zacząć same składać swoje zabawki z jajek-niespodzianek.
 - Albo komuś za to zapłacą.
 - Ja mu nie płaciłam.
 - Owszem, zapłaciłaś. Pracował za stawkę godzinową... Nawet ponaklejał nalepki. To już Molly mogła zrobić sama.
 - O tym właśnie mówię. Nie możemy ich wiecznie wyręczać. Uświadomiłam to sobie, siedząc w sali egzaminacyjnej. Czy można się dziwić, że Molly tak niechętnie podejmuje jakikolwiek wysiłek, skoro wciąż przeprowadzamy ją za rączkę przez wszystkie przeszkody i mówimy jej, jaka jest mądra, bo potrafiła wpisać dobrą odpowiedź, którą właśnie jej podyktowaliśmy? Czy to samo chcemy zrobić Jamiemu? David chciał coś odpowiedzieć, ale brakło mu słów. Wiedział, że mam rację, a ja wykorzystałam okazję.
 - Co jest lepsze dla twojego syna: praca pełna błędów, którą on napisał, czy idealna praca, którą ty napisałaś? Zawahał się i spojrzał w bok, możliwe, że na swój zestaw kaset wideo *II wojna światowa*.
 - A więc pozwalamy wygrać Niemcom?
 - Tak, niech wygrają Niemcy.
- Pokręcił się niespokojnie i w końcu mruknął:
- Dobra. Ale jeśli kiedyś będzie miał za zadanie napisać pracę o Pucharze Świata, nie dopuszczę, żeby w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym też wygrali.
- Żarliwy zapał Jamiego sprawił, że jeszcze bardziej wzrosła moja determinacja, aby zmusić Molly do wzięcia się do nauki jak inne dzieci. Zawarliśmy umowę. Powiedziałam jej, że może zaprosić na niedzielę jedną z koleżanek, gdy chłopcy pojedą zwiedzać kwaterę główną Churchilla, ale pod warunkiem, że przynajmniej pół godziny poświęcą na wspólną naukę. Przystała na to z ochotą.
- Mogę zaprosić Bronwyn? - spytała podniecona.

- Hm... Zdaje się, że oni wyjeżdżają na weekend do swojego domu na wsi.
- Aha. A Kirsty?
- Nie jestem pewna, jakie mają plany... Wiem. Co byś powiedziała, gdybyśmy zaprosiły tę dziewczynkę, którą podwoziłyśmy z Chelsea?

Zdezorientowana Molly zmarszczyła swój zadarty nose.

- Ale... Ja jej nie znam.
- Wydaje się sympatyczna, prawda? No i mieszka niedaleko.
- Ale... Nie mamy do niej telefonu ani nic.
- Już sprawdziłam w książce. Osafo, Gisbourne House dwadzieścia trzy.

Zaskoczyło mnie, ilu jest ludzi o tym nazwisku.

Miałam wrażenie, że to idealny układ. Zasugeruję państwu Osafo, żeby pozwolili Ruby przyjść pobawić się z Molly, a ja przy okazji będę mogła przejrzeć z nią parę testów, które wcześniej specjalnie kupię w księgarni. Ruby będzie miała spokój i miejsce do nauki, którego brakuje jej w domu, a Molly zobaczy, co to znaczy naprawdę siedzieć nad książkami. A poza wszystkim - to najmiłsze i najmniej zmanierowane dziecko, jakie od dłuższego czasu spotkałam. Przyjemnie będzie dla odmiany podać lunch jedenastolatce, która nie jest na miesięcznej diecie bezwęglowodanowej.

- Ja dziękuję za ziemniaki - powiedziała ostatnio Bronwyn, kiedy była u nas na obiedzie. - Od razu lądują mi w biodrach.

W niedzielny poranek zadzwonił dzwonek u drzwi, a ja starałam się odpowiednio nastawić Molly w związku z nadchodzącą perspektywą spędzenia kilku godzin z Ruby. Wcześniej miałam nadzieję, że może poznam przy okazji jej matkę, ale za mleczną szybą naszych drzwi majaczyła jakaś rośła sylwetka. Albo babcia przyprowadziła wnuczkę, niosąc ją na barana, albo stał tam ktoś inny.

Przyznam, że na widok olbrzymiego brata Ruby, który pojawił się w progu mojego

domu, lekko się cofnęłam. Widziałam kiedyś jego zdjęcie u nich w mieszkaniu, ale ono nie oddawało gigantycznego wzrostu tego chłopaka. Miał ze dwa metry albo i więcej, choć jego chude ciało zdawało się wstydzic tego, jak jest wysokie. Stał zgarbiony, z opuszczoną głową, schowany pod bluzą z kapturem.

- Przyprowadziłem Ruby - bąknął, a młodsza siostrzyczka uśmiechnęła się nieśmiało z wysokości mniej więcej jego pasa.

- Dziękuję. Przekaż babci, że po lunchu ją odwiozę.

Wymamrotał jakieś słowo, które miało oznaczać, że przyjął to do wiadomości, a ja w tym momencie uświadomiłam sobie, że skądś go znam. Był jednym z tych dwóch chłopaków na ulicy, którzy - jak sobie ubzdurałam - chcieli mnie napaść, kiedy po zmroku wybrałam się sama do wypożyczalni wideo. A teraz stał w drzwiach mojego domu, odzywając się półsłówkami, przestępując z nogi na nogę i unikając mojego wzroku - to ja go onieśmiałam.

- Na razie, Ruby. Bądź grzeczna - powiedział i odszedł. Przestał więc być „wyrastkiem nr 2”, a stał się „Kofim,

bratem Ruby”. Uzyskał tożsamość i miejsce we wszechświecie. Miał siedemnaście lat i studiował w Lambeth College z przyjacielem Aubreyem z Norbury. Miał dwa metry dwa centymetry wzrostu i sypiał na dolnym pośłaniu piętrowego łóżka, które dzielił z siostrą. Jak mi zdradziła, było dla niego za krótkie i nogi mu wystawały. Im więcej ujawniała szczegółów na temat brata, tym mniej groźny mi się wydawał. To dlatego we *Władcy Pierścieni* nie mamy okazji bliżej poznać orków. Budzą trwogę tylko wtedy, gdy są anonimowi. Przestaliby być straszni, gdyby nagle jeden się odwrócił do kamery i powiedział: „Cześć, jestem Malcolm, uwielbiam robić makramy i mam fioła na punkcie musicali Lloyd Webbera”.

Odetchnęłam z ulgą, widząc, jak miło i serdecznie Molly przyjęła Ruby, mimo że wcześniej zapobiegawczo uprzedziłam ją, że ma być dla niej miła i serdeczna. Oczywiście musiał

nastąpić obowiązkowy etap wzajemnego skrepowania, które chyba sama pogłębiałam, stercząc im nad głową i trajkocząc: „Molly, może pokażesz Ruby swój pokój” albo: „Molly, może pokażesz Ruby swój domek dla lalek”.

- Jasne, domek dla lalek... Czy ja mam sześć lat?

Zrobiło mi się smutno, że moja jedyna córka już wyrosła ze swojego domku dla lalek. Kupiliśmy go z Davidem, kiedy była jeszcze malutka. Znaleźliśmy taki, który możliwie najbardziej przypominał okazałe wiktoriańskie domy przy Oaken Avenue. Z tą różnicą, że jego mieszkańcy nie uciekali co weekend do swoich małych domów dla lalek na wsi.

Nie minęło dużo czasu, a obie dziewczynki skakały w naj -lepsze po macie tanecznej, znajdując jakąś głębszą formę porozumienia za pomocą starego, dobrego Sony PlayStation, przy którym znikają wszelkie różnice społeczne. Molly zarzekała się, że korzystają z maty na zmianę, ale ilekroć wchodziłam do salonu, wyglądało na to, że znów przypada kolej mojej córki. Nigdy nie miała okazji bawić się z kimś, kto byłby tak zgodny, każda jej propozycja spotykała się z akceptacją, nie było kłótni, która gra ma być następna ani kto zwyciężył w poprzedniej. Molly wybierała grę, a następnie ją wygrywała. A potem posłuchałam, jak rozmawiają o szkołach, do których pójda od września. Molly pochwaliła się Ruby, że dostała stypendium w Chelsea College, a Ruby, że też próbowała, ale widocznie nie jest dość zdolna. Zdaje się więc, że i na tym polu zwycięstwo przypadło Molly

Postanowiłam dać im mniej więcej godzinę, a później, po lunchu, posiedzę trochę z Ruby i pomogę jej przygotować się do jeszcze jednej, ostatniej próby dostania się do porządnej szkoły. Miałam rację, kiedy podejrzewałam, że i Molly może się czegoś nauczyć od Ruby. W ciągu tego przedpołudnia kilka razy słyszałam, jak dziewczynka mówiła: „Nie wiesz, co to jest «zajawka»”? albo: „Nie wiesz, co to znaczy «łapać klimę»”? Ruby z apetytem zjadła cały lunch, a Molly jakoś mniej niż zwykle była skłonna demonstrować gesty na-

śladujące wymiotowanie i każdy przeżuwany w męczarniach kęs pospiesznie popijać litrami wody, żeby spłukać wstrętny smak. A później - nie do wiary - usiadła i w ciszy odrabiała zadanie z francuskiego, gdy ja po drugiej stronie kuchennego stołu przerabiałam testy z Ruby. Bardzo garnęła się do nauki, a ja czułam satysfakcję, mogąc pracować z dzieckiem, które mnie słucha i niemal w oczach robi postępy. Kiedy ją odwoziłam do domu, miałam poczucie, że to był bardzo udany dzień. Wszystko poszło doskonale, a ja dzięki temu poczułam się zrehabilitowana i nawet, muszę przyznać, nieco dumna z siebie. Ruby patrzyła na mnie z takim zadziwieniem i ciekawością w oczach, jakby pytała: „Dlaczego pani tak bardzo chce mi pomóc? Czemu jest pani dla mnie taka miła?”. Tak przynajmniej mi się wydawało.

- Mądre z niej dziecko, co? - powiedziała z dumą babcia, gdy pomagała jej zdjąć płaszczyk.
- O tak - przytaknęłam z radością. - Bardzo mądre.

David Zinkin

Żywienie w alergii mózgu.

**Czy pszenica i produkty mleczne
obniżają IQ twojego dziecka?**

Sunrise Books

Cena: 6,99£

Wielu rodziców niepokoją coraz częstsze reakcje alergiczne spowodowane naszą zachodnią dietą bogatą w gluten. Uczulenie na produkty pszenne, nabiał, orzechy i skorupiaki może wywoływać bardzo widoczne objawy - wysypkę, obrzęki czy świszczący oddech. Znacznie trudniej rozpoznać to, co dietetycy określają mianem „alergii mózgu”. Są to reakcje chemiczne zachodzące w mózgu, które mogą uniemożliwić twojemu dziecku wykorzystanie w pełni jego potencjału intelektualnego. Często jedynymi objawami są zmiany w zachowaniu. Może zdarzyło ci się ukarać dziecko, bo było niegrzeczne, a tymczasem wina leży po twojej stronie, ponieważ karmisz je orzechami lub pomidorami. Spróbuj przeprowadzić ten prosty test, a dowiesz się, czy twojemu dziecku przyda się zmiana diety:

- **Dziecko wrogo odnosi się do rodzeństwa.** To klasyczny objaw uczulenia na pszenicę. Zaprześć podawania chleba, makaronów, płatków śniadaniowych i innych produktów z mąki pszennej.
- **Dziecko niechętnie zasiada do odrabiania lekcji.** Mózg twojego dziecka może nie tolerować laktozy. Usuń z diety mleko, ser, masło i jogurt.
- **Dziecko często przeziębiamy się zimą.** Twoje dziecko może mieć uczulenie na konserwanty. Zaprześć podawania mu gotowych dań, konserw, żywności paczkowanej i mrożonej.
- **Dziecko jest blade, zmęczone i oswiałe.** Niczym nie zastąpiłeś produktów, które usunąłeś z diety dziecka.

9

To był pierwszy naprawdę upalny weekend lata, kiedy to miliony londyńczyków spontanicznie wylęgają z domów kierowane jakimś wrodzonym instynktem migracyjnym, który każe im wszystkim wskakiwać do land roverów i wyruszać na łono natury w poszukiwaniu bujnej zieleni, która znajduje się za parkingiem centrum ogrodniczego. Babcia Ruby zaprosiła do siebie Molly, a ponieważ David z chłopcami pojechali obejrzeć inscenizację bombardowania Drezna zorganizowaną przez Towarzystwo Miłośników Rekonstrukcji Historycznych (czy jakoś tak), ja znalazłam się sama w długim korku aut razem z innymi „uciekiniernami”, powiększając stężenie tlenu węgla w powietrzu i przyczyniając się do jeszcze większego ocieplenia miasta.

„Ta nowa przyjaźń dobrze wpływa na moją córkę”, myślałam, przyglądając się kosmopolitycznej mieszance południo-wolondyńskich przechodniów. Ruby jest zawsze bardzo miła i grzeczna, a to, że jej rodzina pochodzi z Ghany, daje dodatkową okazję, aby trochę otworzyć oczy Molly na afrykańską kulturę. Zabrałam je więc ostatnio do kina na *Króla Lwa*. Ruby jest pod wieloma względami bardzo dojrzała, ale w przeciwieństwie do innych koleżanek Molly nie ma w tym nic sztucznego. Jest naturalna i dobrze się czuje we własnym ciele. Bierze życie takim, jakie jest, i nie wydaje się rozgoryczona, że nie dostaje na Gwiazdkę kucyka.

Udało nam się wspólnie osiągnąć spore postępy w angielskim i w rozwiązywaniu zadań logicznych. Uzyskiwała wyniki, które kwalifikowałyby ją do stypendium, była więc raczej dobrze przygotowana do egzaminu w Barnes. Ruby

często przychodziła do nas sama, piechotą, ale zawsze, gdy nadchodziła pora powrotu, czułam, że powinnam ją odwiedzić. Dziadek Ruby pozostawał niezaangażowany w sprawę, ale jej babcię i brata zdołałam poznać dosyć dobrze. Kofi był chłopcem nieco skrytym, który wstydził się swojego wzrostu. Odniosłam wrażenie, że i on chowa w sobie ogromny potencjał i mógłby daleko zajść, gdyby tylko odpowiednio nim pokierować. Przyszedł mi nawet do głowy pewien pomysł. Popytałam tu i ówdzie, a później radośnie obwieściłam mu jego nowy sposób na życie: „Kofi, rozmawiałam z osobą, która prowadzi półprofesjonalną drużynę koszykówki, i ona bardzo chętnie widziałaby cię na próbnym treningu”. Nie był nawet w połowie tak zachwycony moim pomysłem, jak bym tego oczekiwała. Nie wiem, czy w ogóle tam zadzwonił.

Korek posuwał się do przodu w ślimaczym tempie, a między emerytami idącymi po chodniku przemykali z dużą szybkością kilkunastoletni chłopcy na BMX-ach, zachowując tylko tyle ostrożności, na ile pozwala jazda z poderwanym przednim kołem i niebezpieczne zeskoki z chodnika na jezdnię lub na przejście dla pieszych. Wszyscy przechodnie i kierowcy posłusznie ustępowali drogi tym nowym pojazdom uprzywilejowanym: nastolatkom na rowerach z jednym kołem w powietrzu. Czerwone światło kazało mi się zatrzymać, a natarczywy dźwięk wydobywający się z sygnalizatora popędzał przechodniów na drugą stronę ulicy. Zerkając jednym okiem na rzekę ludzi przelewającą mi się przed szybą, przełączałam w radiu zaprogramowane stacje, szukając takiej, która akurat nadawałaby *Mr Blue Sky*. Coś kazało mi jednak podnieść wzrok. Nagle w zamazanym tłumie jedną twarz dostrzegłam szczególnie ostro. Wprost przede mną maszerowała przez jezdnię moja córka. Nie siedziała z tyłu przypięta pasami, wysłuchując moich uwag, lecz szła swobodnie ulicami wielkiego miasta w słoneczny, letni dzień. W ręku trzymała koktajl mleczny z McDonalda i zawzięcie rozprawiała o czymś z Ruby i dwiema innymi dziewczynkami. Weszły na chodnik i skierowały się w stronę Woolworthsa. Rozejrzałam się dookoła, spodziewając się zobaczyć gdzieś babcię Ruby, podążającą kilka kroków za nimi, ale jeżeli dziewczynki nie znajdowały się pod opieką tego żebraka leżącego przy bankomacie, nie widziałam w pobliżu żadnych dorosłych osób, które wyglądałyby na

ich opiekunów. Żadnej niani trzymającej je za ręce ani zdenerwowanych nauczycieli, kierujących je w stronę szkolnego autobusu. Tylko cztery spacerujące swobodnie jedenastolatki. Pozostałe dziewczynki musiały być koleżankami Ruby, ponieważ na pewno nie chodziły do tej samej szkoły co Molly. Myślę, że zapamiętałabym dziewczynkę z kilkoma kolczykami w uszach, ubraną w puchową kurtkę z napisem „Florida 'Gators". Molly pociągnęła łyk koktajlu i poczęstowała się chipsami, które podsunęła jej jedna z dziewcząt. Usiłowałam odsunąć szybę, żeby do niej zawołać, ale nacisnęłam nie ten guzik i otwarło się okno z drugiej strony, a później stojący za mną kierowca zatrąbił zniecierpliwiony, ponieważ już ponad półtorej sekundy paliło się żółte światło. Gorączkowo zaczęłam szukać miejsca, żeby zaparkować i uwolnić ją z tej niebezpiecznej sytuacji, ale z lewego pasa wyjeżdżały autobusy, a w bocznych ulicach po obu stronach stały znaki zakazu wjazdu. Zostałam więc porwana przez strumień pojazdów i tylko patrzyłam w lusterku na coraz mniejszą głowę Molly. Nagle zauważyłam, że furgonetka z lawetą odholowuje źle zaparkowany samochód, szybko więc skorzystałam z kawałka wolnego miejsca i zmieniłam pas. Zygzakiem dotarłam do krawężnika, przy okazji unikając o włos potencjalnie śmiertelnej i szczególnie nieapetycznej wizualnie kraksy z dostawcą pizzy, który pędził na skuterze między wlokącymi się samochodami. Kiedy jednak dotarłam w to miejsce, gdzie ostatni raz widziałam Molly, już jej nigdzie nie było. Za mną znajdował się punkt bukmacherski -może weszły tam i teraz wyciągają od Molly kieszonkowe, żeby obstawić wyścigi psów w Catford? Kilka metrów dalej był lombard - może właśnie właściciel wręcza im 50 pensów

za plecioną bransoletkę Molly? A ten pub obok? Może jak postoję tu do zamknięcia, natknę się na moją jedenastoletnią córkę z butelką „Bacardi Breezera” w ręku, wyruszającą chwiejnym krokiem na poszukiwania baru z kebabami?

I wtedy je zobaczyłam. Obce dziecko, które kiedyś było moją córką, wyprowadzał z Woolworthsa umundurowany pracownik ochrony, ponieważ weszło na teren sklepu z jedzeniem. Dziewczynki, chichocząc, wybiegły na chodnik, a jedna z nich rzuciła w Molly kawałkiem bułki z hamburgera. Molly się roześmiała i w odpowiedzi rzuciła w tamtą chipsem. I nagle mina jej zrzęda, gdyż ujrzała dziki wzrok swojej matki zmierzającej w jej stronę.

- Zdajesz sobie sprawę, że twój mózg może być uczulony na pszenicę?

-Co?

- Nie możesz po prostu wydłubać sałaty? Witaj, Ruby.. Czy babcia wie, że chodzicie same po mieście?

-Tak.

Cisza. Chciałam jak najszybciej zabrać stamtąd Molly, odwieźć ją do domu, gdzie za naszą elektrycznie zamykaną bramą będzie bezpieczna od samochodów, złodziei i glutenu, ale zrozumiałam, że nie mogę jej tak po prostu zaciągnąć do samochodu na oczach tych wszystkich dziewcząt.

- Mam świetny pomysł. Taki piękny dziś dzień, może zabiorę was do parku Battersea, co?

Dwie dziewczynki, których wcześniej nie widziałam na oczy, spojrzały niepewnie po sobie.

- Możemy pójść do dziecięcego zoo, pojeździłybyście na zmianę na kucyku. Ja stawiam.

- Nie wolno nam wsiadać do samochodów należących do obcych.

- Ale ja nie jestem obca, jestem mamą Molly, prawda, Molly?

- Nie - odparła, a później sama sobie zaprzeczyła, dodając: - Mamo, idź już.

- Wcale nie musimy odwiedzać zoo, jak chcecie, możecie sobie popływać rowerem wodnym. Ja stawiam. I kupię wam lody, to wprawdzie jest nabiał, ale nie szkodzi. I ciasteczka czekoladowe, to też jest nabiał i w dodatku mąka pszenna, ale niech tam. A więc widzicie, pełny luz. To co?

Dwie dziewczynki, które wcześniej nie widziały mnie na oczy, spuściły głowy i wpatrywały się w ziemię.

- Nie wolno nam zabierać się samochodem z nieznanymi.

- Ale przecież już mnie znacie. Chyba się mnie nie boicie?

- A powinny - mruknęła Molly.

W końcu powiedziałam, że skoro nie chcą jechać do parku, to powinny lepiej wrócić do mieszkania Ruby, bo jej babcia na pewno się niepokoi. Dziewczynki niechętnie się odwróciły i podreptały w stronę osiedla Wilberforce. Gdy szły chodnikiem, ja jechałam jakieś dwadzieścia metrów za nimi w tempie spacerowym, a pozostali kierowcy trąbili na mnie i błyskali światłami, po czym z wściekłością mnie wyprzedzali.

Kiedy pojechałam odebrać Molly, wciąż nie wiedziałam, czy zwrócić uwagę babci Ruby. Odważnie przemaszerowałam przez osiedle, kłaniając się rodzinie, która mieszkała po sąsiedzku i zastanawiając się, jak dobrać właściwe słowa, żeby opisać lęk, który czułam w związku z tym, że mojej córce pozwolono samej chodzić po ruchliwych ulicach wielkiego miasta. Z bloku Ruby wychodził akurat wysoki rastafarianin i przytrzymał dla mnie drzwi. Ruby pokazywała mi go kiedyś, pracuje w jej szkole i uczy najmłodsze klasy. Powiem tak: „Chodzi o to, że... W mieście jest pełno obcych ludzi... A z Ruby jest troszkę inaczej, bo... Hm... wygląda na to, że ona połowę z nich zna”. Musiałam jej po prostu wytłumaczyć, że nie miałam zamiaru zezwalać Molly na samodzielne spacerowanie, dopóki nie osiągnie takiego wieku, kiedy ja już będę na to całkowicie przygotowana. Czyli, powiedzmy, gdzieś około czterdziestki.

Pani Osafo zaprosiła mnie na herbatę, którą przez grzeczność wypiałam, choć było w niej chyba jednaście kostek cukru. Dziewczynki w tym czasie sęczyły kolorowy napój, który wyglądał na jeszcze słodszy. Prowadziłam wymuszoną rozmowę, siedząc na krawędzi krzesła.

- Jak tam postępy Ruby z Internetem? - spytałam, nie chcąc, by to zabrzmiało, jakbym się niej naśmiewała.

- Komputer nam się zepsuł.

- Och, co za pech.

- Nie, to nasza wina. Nie zabezpieczyliśmy go przed wirusami.

Pani Osafo powiedziała, że jest jej głupio, że zapomniała o urodzinach Molly, a ja z miejsca machnęłam na to ręką. Ona zaczęła jednak przepraszać, że nie kupiła jej prezentu „po tym wszystkim, co pani zrobiła dla Ruby”.

- Ale za to teraz coś dla niej mam... - powiedziała i wyszła do pokoju, a ja zaczęłam się odruchowo krygować: „Ależ doprawdy, nie trzeba...”.

Rozejrzałam się po kuchni. Opakowania po żywności pochodziły z Lidia, supermarketu dla ludzi, dla których liczy się tylko niska cena. Na tablicy korkowej wisiały powycinane kupony uprawniające okaziciela do rabatu w wysokości 10 pensów przy zakupie następnej butelki płynu do mycia naczyń. Pani Osafo wróciła, ale gdy tym razem powtarzałam: „Ależ, nie trzeba było...”, naprawdę mówiłam szczerze. Ona bowiem wprowadziła do kuchni nowiutki, lśniący rower w kolorze purpury, z dzwonkiem, bidonem na wodę i szprychami, które połyskiwały w promieniach słońca wpadających przez okno.

- Mój Boże, nie możemy tego przyjąć... - powtarzałam. Molly opadła szczeka. Była zachwycona, lecz jednocześnie zdumiona skalą tego prezentu.

- Ojej, super! - zawołała. - Dzięki!

Nie wiedziałam, co powiedzieć. To był tak przesadnie

i niestosownie hojny gest, że się zastanawiałam, czy nie odmówić, zaproponować, że zapłacę połowę ceny albo sama nie wiem co.

- Wspominała pani, że Molly nie ma roweru - pani Osafo przerwała pełną konsternacji ciszę.

- Tak, ale mam nadzieję, że pani tego nie odebrała jako sugestię. To bardzo hojny gest z pani strony, czuję się skrępowana - omal nie dodałam: „Poza tym, pani na to nie stać”, ale w porę ugryzłam się w język.

- Proszę to potraktować jako podziękowania od Ruby - wyjaśniła i ja również podziękowałam Ruby, ale ona nic nie odpowiedziała. Szczerze mówiąc, była nie mniej zaskoczona ode mnie.

- Wiedziałaś, że babcia coś takiego planuje?

- Widziałam rower schowany na balkonie, ale nie wiedziałam, że to dla Molly.

Molly wspięła się na siodelko. Widok był dość komiczny -moja córka siedząca na rowerze w tej ciasnej kuchni, a po obu stronach majtające w powietrzu pulchne nóżki. Ona chyba rzeczywiście ma nadwagę. Kłopot w tym, że w naszym domu zawsze jakoś brakowało czasu na sport - trzeba było upchnąć tyle innych zajęć. Nie znaleźliśmy jeszcze takiego korepetytora z matematyki, który byłby gotów pływać za dziećmi w basenie i objaśniać im macierze, podczas gdy one doskonaliłyby styl klasyczny.

- Jamie padnie z zazdrości, że ja mam rower, a on nie -powiedziała Molly.

- Kochanie, nie można tak na to patrzeć - odparłam, spoglądając z przestraczem na uśmiechniętą babcie Ruby. -Wiesz co, może w drodze powrotnej wstąpimy do sklepu i też mu kupimy - dodałam szybko, myśląc, że jeśli tego nie zrobię, pani Osafo z samego rana zjawi się u nas z nowiutkim chłopięcym rowerkiem i może nawet harleyem davidsonem dla Davida.

- Wie pani co, właśnie sobie przypomniałam - powiedziałam, dziękując jej po raz setny. - U nas w domu stoi nie-

używany komputer. Jeśli pani chce, mogę go przynieść dla Ruby.

- Och nie, pani już i tak za dużo dla nas zrobiła...

- To mój stary laptop, leży w szufladzie i się marnuje. Ruby będzie mogła znowu korzystać z Internetu.

Kiedy wkładałyśmy rower do bagażnika, zastanawiałam się, czy powinnam im była pozwolić spłacać dług, który w ich mniemaniu wobec mnie zaciągnęły, zamiast go przebijać, oferując im jeszcze droższy prezent. Może trzeba było pozwolić pani Osafo choć raz poczuć się najbogatszą kobietą na świecie. A jeśli ten rower był od matki Ruby? Jakies wyrzuty sumienia? Zapłata za czas, który spędziłam z jej córką? Kiedy jechałam po Molly, miałam cichą nadzieję, że może tego dnia wreszcie ją poznam, ale znów się rozczarowałam. Wydobyłam od nich informację, że co rano sprząta w piekarni, a potem pracuje jako kelnerka w ekskluzywnym londyńskim hotelu, często do późnych godzin nocnych, kiedy jej dzieci już śpią. „Jeden z najlepszych hoteli w Londynie” - powiedziała kiedyś z dumą Ruby, jak gdyby to był zaszczyt zarabiać najniższą pensję w tak wystawnym otoczeniu. Muszę przyznać, że przez chwilę nawet zaczęłam zazdrościć tego prostego, uczciwego życia, jakie wiodła mama Ruby. Martwisz się tylko o jedno: jak tu zarobić na utrzymanie rodziny Co za luksus, kiedy trzeba codziennie w pocie czoła walczyć o byt i nie ma czasu na wszystkie inne bzdury, które zaśmiecają głowę. Oczywiście w chwilach, gdy do głosu dochodził rozsądek, wiedziałam, że to nonsens, ale czasami wyobrażałam sobie, jak ciułam każdy grosz, żeby kupić dzieciom mundurki do szkoły czy prezenty na Gwiazdkę, i miałam wrażenie, że nie starczałoby mi energii na zamartwianie się, czy niezdarność mojego czteroletniego syna jest spowodowana alergią na płatki czekoladowe. Czy jako rodzice zostaliśmy tak zaprogramowani, żeby wiecznie lękać się i martwić bez względu na sytuację? Być może ewolucja przystosowała nas do tego, abyśmy chronili nasze dzieci na przykład przed stadami wilków, które mogłyby je porwać z jaskini. A ponieważ w Clapham już dawno wilków nie ma, nie sypiamy po nocach, zadręczając się w tym samym stopniu, że nasze dziecko dostało w szkolnych jasełkach tylko rolę drugiego osiołka. My i nasi znajomi poświęcamy tyle czasu na troskę o

bezpieczeństwo dzieci, że usunęliśmy z domów wszystko, co tylko mogłoby stanowić zagrożenie. Aż dziw, że nie pukają do naszych drzwi starsi panowie z pytaniem: „Macie państwo jakieś noże do stępienia?”.

Cóż, dzisiaj nie miałam na to wpływu - moja córka wędrowała ulicami wielkiego miasta bez opieki dorosłych i widziałam, że ta wyprawa napełniła ją bezgraniczną dumą. Wtedy właśnie postanowiłam, że dam jej trochę więcej swobody, zanim pójdzie do nowej szkoły. David zgodził się, że powinniśmy pozwolić jej chodzić w weekendy do Kirsty piechotą, pod warunkiem jednak, że zadzwoni, gdy tylko dotrze na miejsce.

- Tak - dumął głośno mój mąż, leżąc w łóżku, gdy właśnie zapadałam w sen. - No bo co jej się właściwie może stać?

Zostawiwszy mnie z tym pytaniem, zasnął. Dołączyłam do niego trzy godziny i dwa arkusze folii bąbelkowej później.

Gdy matka Ruby nie widywała swoich dzieci dlatego, że musiała zarabiać pieniądze na ich utrzymanie, mama Kirsty właśnie przystała na znaczne obniżenie zarobków, żeby tylko być blisko swojej córki przez następne siedem lat. Sarah rozpoczęła niedawno pracę w Chelsea College, ale miałam wrażenie, że pojawiły się już pierwsze rozczarowania. Jako pomoc biurowa Sarah miała pracować w szkolnym sekretariacie, a jej się chyba wydawało, że będzie mogła wziąć laptop i przesiadywać na lekcjach razem z córką. Tymczasem oni nie mieli zamiaru pozwalać jej pilnować Kirsty na przerwach ani pomagać jej w wybieraniu potraw w stołówce. W ogóle chyba nie rozumieli, po co ona tam pracuje. Mieli za to zupełnie odmienny pogląd na temat obowiązków zawodowych

pomocy biurowej: okazuje się Sarah miała w jakiś sposób „pomagać w biurze”.

- Nie zgadniecie - oznajmiła pewnej soboty, gdy przyjechała do nas odebrać Kirsty. - Załatwiłam dla wszystkich wejściówki na przedstawienie wystawiane przez uczniów Chelsea.

- Och, to świetny pomysł - powiedziała Ffion. - No tak! Ty teraz możesz mieć bilety za darmo! Mamy szczęście, że tam pracujesz. Będziesz nam mogła opowiedzieć o szkole, dopilnować, żeby dziewczynki były w tej samej klasie i załatwiać nam darmowe bilety...

Wpadła w tak entuzjastyczny ton, że Sarah najwyraźniej uznała, że wyszłaby na skąpiradło, gdyby teraz zwróciła uwagę, że te bilety jednak nie były za darmo. W tym roku Chelsea wystawiała *Piratów z Penzance*. To wzruszająca operetka Gilberta i Sullivana, której akcja toczy się w Kornwalii i opowiada o wymuszeniach, kradzieżach i zrewidowanych opłatach za parking dla turystów przy zamku Tintagel. W następną środę wyruszyliśmy więc całym konwojem na drugą stronę Tamizy i ujrzeliśmy tłumne zgromadzenie plemienia, do którego nasze rodziny miały niebawem przystąpić. David był kompletnie niestosownie ubrany. Nie wiem, czy on w ogóle ma w szafie jakieś sztruksy w kolorze musztardowym.

Przestępcy lubią wracać na miejsce zbrodni. Niektórzy pod osłoną nocy, żeby zatrzeć ślady, inni udając przypadkowych przechodniów, żeby tylko się przekonać, czy to się naprawdę zdarzyło. Jednak niewielu robi to z taką zuchwałością, jaką wykazałam się ja, kiedy ponownie znalazłam się w holu Chelsea College. Co więcej, przyprowadziłam ze sobą ofiarę przestępstwa, bowiem Sarah zaproponowała jeden wolny bilet Ruby. Przy mnie i bez porozumienia ze mną spytała ją, czy ma ochotę pojechać z nami na spektakl, bo koleżanka Kirsty, Eliza, nie może, ponieważ na środy przełożyli jej kurs japońskiego.

- Och, to cię pewnie nie zaciekawia, Ruby, skoro i tak nie idziesz do Chelsea? - wtrąciłam.
- Bardzo chętnie, dziękuję! - odparła z radością. Byłam już w Chelsea od czasu egzaminu, ale tym razem
- mieliśmy się znaleźć w tej samej sali. Kiedy zajmowaliśmy krzesła w ogromnym pomieszczeniu, pomyślałam, że lepiej się powstrzymać i nie zwracać na ten fakt uwagi.
- To ta sala, gdzie pisaliśmy egzamin! - obwieściła zniecierpliwiona Bronwyn.
- A, tak, ja siedziałam tutaj... - powiedziała Kirsty
- Ja siedziałam z tyłu - dodała Ruby.
- A ty Molly, gdzie siedziałaś?
- Yyy... Ja... Nie zdawałam tutaj...
- Ty, kochanie, pisałaś testy gdzie indziej, prawda? - przerwałam. - Nie w tej sali, tylko w innej i w innym terminie niż wszystkie koleżanki. Mam nadzieję, że zaraz się zaczniesz. Trochę się grzebię, nie? Nie mogę się doczekać. Widziałyście wcześniej cokolwiek Gilberta i Sullivana? To taka lepsza wersja opery, jestem bardzo podekscytowana, a wy?
- Dziewczynki grzecznie poczekały, aż skończę, po czym wróciły do rozmowy.
- Moim zdaniem ten egzamin to była pestka - powiedziała Bronwyn.
- A ja myślę, że matematyka była bardzo trudna - zwierzyła się Kirsty
- Jak pisałam test z matematyki... - zaczęła Ruby, ale nagle zrezygnowała. - A, nieważne...
- To co?
- Jak pisałam test z matematyki... To dziewczynka, która siedziała obok, odpisała ode mnie wszystkie rozwiązania! - Serio? I co, złapali ją?
- Nie. Ja specjalnie dałam jej odpisać.
- Mamo! Mamo! - zawołała Bronwyn. - Ruby mówi, że na egzaminie specjalnie dała komuś odpisać zadania!
- Dlaczego to zrobiłaś, dziecko?

- Bo ona była taka smutna i przestraszona.

Bardzo pilnie studiowałam program. A potem odwróciłam go właściwą stroną do góry

- Cóż, zapewne chciałaś być miła, ale doprawdy nie powinnaś tego robić - ciągnęła Ffion. - Ta osoba dopuściła się oszustwa. Kiedy ją spotkasz, musisz ją nam pokazać.

To trwało tylko ułamek sekundy, ale jestem pewna, że po tych słowach Ruby zerknęła w moją stronę. A potem rozległa się uwertura.

Staralam się z całych sił skupić wyłącznie na przedstawieniu. Historia opowiada o chłopcu, który uczy się, jak zostać piratem. Pochodzi z wyższych sfer i ciekawie było patrzeć, jak młody aktor postanowił to podkreślić, przez cały czas udając przesadnie wytworny akcent. Wokalnie był znakomity, śpiewał niczym cherubin z anielskiego chóru, który zniecka może stać się gwiazdą, nagrywając jakiś bożonarodzeniowy hit. Z notki zawartej w elegancko wydany programie wynikało, że występuje on w jakimś słynnym chórze, o którym powinniśmy byli słyszeć, i że ma już za sobą profesjonalne koncerty w Wiedniu, Paryżu i Bracknell (ja bym sobie darowała to Bracknell). Były tam też podziękowania dla rodziców właścicieli butików za wypożyczenie kostiumów. Były zdjęcia dzieci grających główne role, wykonane przez bardzo znanego fotografa mody, ojca jednej z aktorek. Cały program niezmiernie przypominał te, które rozdawane są w teatrach na West Endzie. W każdym najdrobniejszym szczególe, łącznie z tym, że kosztował pięć funtów. Całość była elegancka i profesjonalnie przygotowana. „W krainę oszustwa uciekamy, gdzie my, piraci, dobrze mamy..” - śpiewał Król Piratów. Czy nie za wiele wyczytałam z tego spojrzenia Ruby? A może ona wie?

Wiedziała od dnia, gdy podjechałam po nią na przystanek?

W przerwie obserwowałam Ruby, próbując odgadnąć jej myśli. Ona rozglądała się wokół i patrzyła w osłupieniu na tych wszystkich ludzi sączących wino na tyłach sali, na szczupłe, opalone kobiety w bluzkach od Moschino oraz na mężczyzn, dla których pojęcie „wyluzować się” znaczy zdjąć krawat i założyć apaszkę.

- Wszystko w porządku, Ruby?

- Tak. Czy wszyscy, którzy chodzą do Chelsea College, są bogaci?

Kiedyś odruchowo starałabym się wykręcić od odpowiedzi na tak krępujące pytanie, ale ponieważ miałam okazję widzieć i komunalne mieszkanie Ruby, i dwa ogromne domy Ffion, ciężko mi było porównywać obie te rodziny.

- Cóż, raczej tak. Można powiedzieć, że właściwie wszyscy są bogatsi niż... Niż rodziny na osiedlu Wilberforce.

- Więc pani też jest bogata? - zapytała, jakby chodziło o mój znak zodiaku. Jako Angielka i przedstawicielka klasy średniej nie lubiałam oczywiście poruszać tematu pieniędzy Kiedy nasz księgowy pytał, ile zarobiliśmy w poprzednim roku podatkowym, wzruszyłam ramionami: „Wie pan, jakoś wiążemy koniec z końcem...”. Ale Ruby należała się szczerą odpowiedź.

- Wcześniej bym tak o sobie nie powiedziała, ale myślę, że tak, jesteśmy bogaci.

- Wcześniej? To znaczy kiedy? - wtrąciła się moja córka.

- Słucham?

- Mówisz, że wcześniej byś tak nie powiedziała... To co się stało?

- Czegoś się nauczyłam.

Dziewczynki poszły kupić sobie coś do picia, a Ffion, widząc, że Ruby podąża za nimi, uśmiechnęła się z aprobatą. Byłam niezmiernie ciekawa, jak ona na nią zareaguje. To nie przypadek, że nigdy się wcześniej nie spotkały.

- Uważam, że to cudowne, co robisz dla tego dziecka. Jesteś aniołem, Alice, naprawdę. Każdy powinien od czasu do czasu zrobić coś dla celów dobroczynnych. Bronwyn za-sponsorowała osiołka, prawda, Philipie?

- To niezupełnie działalność dobroczynna. Ja tylko staram się jej pomóc wykorzystać potencjał, który w sobie nosi.

- To bardzo szlachetne, ale myślę, że jednak lepiej się stało, że się tu nie dostała, hm...? Nie sądzisz? - powiedziała rozglądając się na boki. - Ona by tu nie pasowała.

Podążyłam za jej wzrokiem. Niedaleko Sarah próbowała wcisnąć się w krąg otaczający panią dyrektor, ale nikt się nie kwapił, żeby jej zrobić miejsce.

- Nie rozumiem, jest tak samo zdolna jak inne dzieci...

- Ale chyba nie możemy udawać, że się od nas nie różni, prawda? Przecież musiało ci przyjść do głowy, że jej matka może być, no wiesz - ściszyła głos - prostytutką?

- JEJ MATKA NIE JEST ŻADNĄ PROSTYTUTKĄ! Powiedziałam to tak głośno, że kilkoro rodziców się obejrzało. Posłałam im czarujący uśmiech.

- Zastanów się, Alice - szepnęła Ffion. - Sama mówiłaś, że pracuje wieczorami, a przecież nie wiemy, kim jest ojciec Ruby, prawda? Hm...?

- Postanowiłam sobie, że nigdy ją o to nie zapytam. Poza tym wiele dzieci nie ma ojca, to jeszcze nic nie znaczy. Posłuchaj, biorąc pod uwagę, ile czasu jej matka spędza w pracy, to gdyby była prostytutką, byłaby już dawno milionerką.

- Chyba że ma kosztowne nałogi - rzucił Philip, sprawdzając plaster antynikotynowy na ramieniu. Jego żona skomentowała tę uwagę smutnym skinieniem głowy

- Marihuana...

- Heroina...

- Crack...

- ONA NIE JEST ŻADNĄ NARKOMANKĄ! - wykrzyknęłam i rodzice znów obejrzelili się na mnie. - Nie wierzę własnym uszom. To bardzo porządna rodzina. Chodzą do kościoła, ciężko pracują, tyle że są trochę inni niż my, to wszystko.

Dziewczynki wróciły z napojami i każda dodatkowo miała w ręku kubek lodów.

- Lody też? Dałam ci tylko funta - powiedziała Ffion.

- Ruby za wszystko zapłaciła. Jej mama dała jej dziesięć funtów, żeby nam coś kupiła. Ffion spojrzała na mnie, unosząc wymownie brwi. Więcej dowodów nie potrzebowała. Wiedziałam, że nie ma racji. To nawet było w pewnym sensie wyzwajające doświadczenie, ponieważ od lat byłam tak zahukana i niepewna tylu rzeczy, że pozwalałam, aby ta absolutna pewność siebie Ffion była dla mnie drogowskazem. Teraz, gdy nabrałam przekonania, że myli się co tej jednej kwestii, pojawiły się wątpliwości, czy nie wprowadzała mnie w błąd także i w innych. Przeświadczenie Ffion o własnej nieomyślności było dla mnie jak skała, której można się przytrzymać, gdy chce się przetrwać tę nawałnicę, jaką jest bycie rodzicem. Ale okazało się, że podobnie jak żeglarz rozbitek w książeczce Alfiego, wcale nie trzymałam się skały, lecz wieloryba. Wielkiego, tłustego zabójcy, który ma problem z nadmiernym owłosieniem.
- Od jakiegoś czasu nosiłam się z zamiarem wypisania Molly z zajęć szermierki, na które z powodu mojej zazdrości chodziła z Bronwyn co czwartek, ale nigdy nie miałam dość odwagi, żeby to powiedzieć jej matce. Teraz po prostu to oznajmię, powiem jej, że Molly nie ma czasu chodzić na treningi.
- A co, ma za dużo innych zajęć, tak? - spytała Ffion, gdy w końcu wyrzuciłam to z siebie. Działo się to w następny weekend. Jak zwykle wszyscy siedzieliśmy u nas w kuchni, tyle że tym razem ze zdumieniem zauważyłam, że przy nalewaniu kawy drżały mi ręce, bo wiedziałam, że za chwilę będę musiała przeciwstawić się Ffion.
- Co będzie robić zamiast tego?
- Hm... Nie wiem, myślałam, że może... Nic. -Nic?
- Tak. We czwartki między czwartą a piątą wpisuję „czas wolny”. Posiedzi w domu i, no, nie wiem, pobawi się w coś?

- Pobawi? Te dzieci nic innego nie robią, tylko się bawią. Nie, Bronwyn, jeżeli Molly licytuje kiery, ty też musisz położyć kiery

Sarah odważnie próbowała zmienić temat.

- Nadal nie palisz, Philipie?

- Już cztery tygodnie! - odparł z dumą. - I zszedłem do czterdziestu plastrów dziennie! - Uśmiechnął się szeroko i pokazał nam mały kwadracik na ramieniu.

- Uważam, że i tak powinienes wychodzić na taras - rzucił William.

Bronwyn zabrała ze stołu kartę, którą przed chwilą położyła, i zamieniła ją na dwójkę kier.

- Nie, Kirsty! W brydżu kontraktowym gracze dokładają karty zgodnie z ruchem wskazówek zegara!

- Wiem, że im się udało, bo mają tyle możliwości - kontynuowałam. - Wierzę też, że szermierka może sprawić dużo frajdy, ale nie wtedy, gdy jest wciśnięta między korki z matematyki a zajęcia na basenie...

- Pływanie jest bardzo przyjemne. I jazda konna, i balet, i tenis, i kółko teatralne, i szermierka, i pianino, świetna zabawa, co, Bronwyn? Hm...? Lubisz to, skarbie, prawda?

Jej córka uniosła podkrążone oczy znad stolika, gdzie ją posadzono, żeby się uczyła grać w brydża.

- Tak - przytaknęła posłusznie, a potem znów pochyliła zmarszczone czoło nad kartami.

Ja nie mam nic przeciwko tym wszystkim zajęciom - jeżeli czyjaś pasją jest tenis czy szermierka, to proszę bardzo, ale nie można instalować w komputerze zbyt wielu programów, bo stanie się on bezużyteczny.

- Sama nie wiem... - mruknęłam. - Mam wrażenie, że kiedy Molly przestała się uczyć po nocach, biegnąc wcześniej z jednej lekcji na drugą, nagle stała się jakby szczęśliwsza.

- No cóż, bomba. Założę się, że będzie równie szczęśliwa, oglądając w telewizji, jak inne dziewczynki zdobywają dla

Chelsea College złoty medal w szermierce. Ale egzaminy nie zdadzą się same, prawda? Nauka to nie zabawa. Żeby się dostać na najlepsze uniwersytety, dzieci muszą mieć doskonale stopnie. W domu mają mnóstwo czasu na zabawę. Nie, nie, nie! Bronwyn, nie kładź czwórki trefl, skoro Molly już wylicytowała kiery. Na miłość boską, skup się, dziecko!

Sarah z niepokojem patrzyła na rosnącą irytację Ffion.

- Na pewno nie będą mieli nic przeciwko temu, żeby Molly przychodziła raz na dwa tygodnie.

- Dzięki, Sarah, ale wolałabym jednak, żeby ona w ogóle tam nie chodziła.

- Nie zawsze najważniejsze jest to, czego my byśmy chcieli - powiedziała Ffion. Z ust Williama wydobył się stłumiony śmiech, który natychmiast zamienił się w udawany kaszel. - Nasze dzieci są ludźmi, osobnymi istotami, a nie tylko przedłużeniem naszego ego - dodała, podnosząc ze stołu kartę, którą właśnie położyła jej córka i wyciągając jej z ręki lepszą.

Kompromis zaproponowany przez Sarah uświadomił mi, jak bardzo Ffion zawładnęła naszym życiem. Kilka miesięcy temu przystałabym na wszystko, żeby tylko jej nie zdenerwować, ale teraz byłam gotowa zrobić to, co uważałam za najlepsze dla moich dzieci. Nie zamierzałam dłużej pozwalać, żeby ta jej agresywna obsesja na punkcie wychowania miała wpływ na moją rodzinę. Kiedy o tym myślałam, Ffion nachyliła się nad moją zdenerwowaną córką, żeby zobaczyć, którą kartą zagra.

- Zbieram dziewiątki - szepnęła Molly, a Ffion w geście rozpaczy przyłożyła palce do skroni.

- Mówiłam wam na samym początku, że nie zbiera się kart do figury

- Możemy wyjść i zagrać w ogrodzie? - spytała Bronwyn.

- Wiesz co, ja wcale nie muszę tego robić - prychnęła Ffion. - Inne matki nawet by sobie głowy nie zawracały Lepiej

się więc zastanów. Chcesz pójść do gimnazjum, nie umiejąc grać w brydża kontraktowego? Naprawdę tego chcesz?

Dzieci w milczeniu patrzyły na Ffion i bardzo starały się sobie wyobrazić, cóż to byłoby za potworne upośledzenie społeczne. Molly nieśmiało wybrała kartę i położyła na stole, jednocześnie z lękiem zerkając na Ffion w oczekiwaniu jakiejś reakcji.

- Sprawdzam! - krzyknęła Kirsty, a jej mama zaczęła się śmiać, jakby to miał być żart, choć całkiem możliwe, że nie był. Ffion była niebezpiecznie bliska całkowitej utraty cierpliwości. Zawzięła się, żeby nauczyć dzieci grać w brydża kontraktowego i teraz kazała im przenieść się do pokoju obok i rozegrać kilka partii samodzielnie. Jamie nie chciał grać z dziewczynkami.

- Musisz. Tłumaczyłam ci przecież, że w brydża nie da się grać we trójkę. Chyba mnie nie słuchałeś. Kawa smakowała jakby bardziej gorzko niż zwykle, ale atmosfera nieco się rozluźniła, kiedy Ffion i Philip mieli wreszcie okazję pochwalić się postęпами w pracach nad programem do tworzenia osobistych rankingów.

- A co z takim kryterium jak skromność? - spytał William. - Czy za to można sobie wpisać dużo punktów?

Ffion odrzekła, że czemu nie, a William posłał mi najdelikatniejszy z możliwych, konspiracyjny uśmiech. Nagle do kuchni wszedł Alfie, spełniwszy wcześniej osobistą prośbę ojca, żeby nie paradował w damskich ciuchach na oczach gości. Tym razem miał na sobie kostium Spidermana, wzoru męskości, który napęłniłby dumą każdego tatusia.

- Patrzcie, Spiderman ma cycki! - ogłosił nasz syn, dumnie wypinając dwie pomarańcze, które włożył pod spód.

Spodziewaliśmy się, że członkowie Młodzieżowego Klubu Brydżowego z Oaken Avenue wrócą po dziesięciu minutach, ogłaszając, że się znudzili, ale wyglądało na to, że bez deprymującej obecności rodziców gra ich naprawdę wciągnęła. Minęło pół godziny, a oni wciąż tam siedzieli.

W pewnej chwili zaproponowałam, że pójdę i sprawdzę, co z nimi, ale Ffion powiedziała, żeby zostawić dzieci w spokoju, a Sarah się z nią zgodziła. Nie pozostało mi więc nic innego, jak usiąść z powrotem. Gdy Ffion w końcu uznała, że rozegrali wystarczająco dużo partii, poszliśmy im objaśnić system zapisu. Byłam pierwszą osobą, która wchodząc do salonu ujrzała obraz totalnego, nabożnego skupienia. Cała czwórka zebrała się wokół telewizora i patrzyła, jak Molly i Bronwyn machają rękami przed ekranem grając na PlayStation w *Wishy-Washy*.

Dzieciaki były tak pochłonięte „myciem okien”, że żadne się nawet nie odwróciło. Bronwyn wymachiwała rękami do miniaturowej kamery leżącej na telewizorze i obserwowała siebie na ekranie, energicznie ścierając wirtualne mydliny. Z głośników dobiegała zniekształcona przeróbka *When I'm Cleaning Windows*.

- Ptasia kupa! - wykrzyknęły radosnym chórem dzieci, kiedy na ekranie pojawiła się biała plama.

Właśnie wtedy Molly podniosła wzrok i zobaczyła, jak stoimy przerażeni w drzwiach.

- Mamusiu, pobiłam Bronwyn w *Wishy-Washy*. Zanim skończyła wypowiadać to zdanie, już wyczuła, że chyba nie w tym rzecz.

- Bronwyn, co ty wyprawiasz, u licha?

- To Molly włączyła - poskarżyła się piskliwym głosem Bronwyn.

Zgodnie z moim scenariuszem, teraz powinna się odezwać matka tego dziecka, mówiąc: „Trzeba było powiedzieć, że nie masz ochoty” albo: „Nie zrzucaj winy na Molly, do tanga trzeba dwojga”, ale ku mojemu zdumieniu usłyszałam, jak Ffion skierowuje swoją wściekłość na moją córkę:

- Molly, przeproś Bronwyn, że kazałaś jej grać na PlayStation.

Gra polegająca na wirtualnym myciu okien.

- Przepraszam, Bronwyn.
- Nie patrz na mnie, patrz na nią.
- Przepraszam, Bronwyn.

Później kilka razy odgrywałam tę scenę w mojej głowie i zawsze kończyła się ona moimi słowami: „Chwileczkę, Ffion, pozwolisz, że sama będę strofować własne dzieci”. Ze wstydem muszę jednak przyznać, że byłam w takim szoku, a rozgoryczenie Ffion było tak przekonujące, że znowu dałam się nabrać.

- Tak, Molly, postąpiłaś bardzo źle - przyznałam. - Ffion tak się stara, żeby was nauczyć grać brydża, a wy sobie tak po prostu trwonicie szansę, jaką wam dajemy. Są w Afryce dzieci, które marzą o tym, żeby stworzyć mały klub brydżowy, a nawet nie mają kart.

Nie wiedziałam, co mówię, plotłam jakieś bzdury, ale trzeba było zachować pozory. Pozostali rodzice pokiwali głowami, jak gdyby to był niezwykle istotny argument. Zerknęłam na Sarah, a ona spojrzała z ogromnym wyrzutem na córkę, chociaż miałam wrażenie, że Williamowi ta cała sytuacja wydała się dość zabawna. W głębi duszy podejrzewałam, że gdyby Molly nie pobiła Bronwyn w grze PlayStation, jej matka nie miałaby aż takich pretensji. Przypuszczam, że w tej konkretnej grze jej córka nie ma aż takiej wprawy, jak moje dzieci. Gdyby Bronwyn próbowała w to zagrać u siebie, Ffion zapewne wezwałaby chorwacką opiekunkę, żeby umyła za nią te wirtualne okna.

- Jestem bardzo rozczarowana - ciągnęła Ffion, a dzieci spuściły głowy ze wstydu. W tle nadal rozlegało się wesołe brzdąkanie ukulele, motyw przewodni gry - Myślałam, że jesteś mądrzejsza, Molly, zawiodłam się na tobie.

Znowu to powiedziała. Ffion użyła imienia mojej córki o jeden raz za dużo i nagle balon pękł.

- Chwileczkę, Ffion. To nie tylko wina Molly. Wszyscy w to grali. Ja już ją upomniałam. Czemu ty teraz nie powiesz paru słów swojej córce?

- Bo Bronwyn bardzo chce się nauczyć grać, miała nadzieję wstąpić do klubu brydżowego w Chelsea College, ale to się jej nie uda, jeżeli twoja córka będzie ją od tego odciągała i włączała jakieś *Splishy-Splashy*.

- *Wishy-Washy*- poprawiła ją Molly, co chyba nie było najmądrzejszym posunięciem.

- MILCZ, MOLLY! - wrzasnęła Ffion. - Już dość dzisiaj narozrabiałaś!

- NIE WAŻ SIĘ KRZYCZEĆ NA MOJĄ CÓRKĘ! - wybuchnęłam nagle. - Ja ją będę opieprzać, nie ty!

- Musisz jednak przyznać... - zaczął Philip swoim najbardziej przymilnym głosem.

- Nie, niczego nie muszę przyznawać. To mój dom i moje dziecko, i nie pozwolę, żebyście ją za wszystko obwiniali.

Moja złość zaszokowała wszystkich, włącznie ze mną. Zadziałał jakiś pierwotny instynkt i właśnie zrywałam odwieczne porozumienie, na mocy którego dorośli zobowiązali się zawsze prezentować jednolity front w stosunku do nieposłusznych dzieci.

- Czemu, do cholery, nie porozmawiasz ze swoim własnym zakichanym dzieckiem, zamiast czepiać się cudzych? Może wreszcie spojrzysz prawdzie w oczy i zrozumiesz, że twoja córka nie jest jedynym idealnym dzieckiem na świecie?

- Ale to nie Bronwyn włączyła Game Cube!

Jeśli nawet Molly zamierzała jej w tej chwili zwrócić uwagę, że to było PlayStation, to zrezygnowała. Dzieci gapiły się na nas z otwartymi ustami.

- I to nie Bronwyn zaczęła grać w gry komputerowe, nie zwałaj więc na mnie winy za niedojrzałość intelektualną Molly!

- Niedojrzałość intelektualną? Co ty mi tu pieprzysz? Myślisz, że twoja córeczka jest tak cholernie mądra, bo wygrała w rankingu, który stworzyła jej matka?! Ale jaja, co za niespodzianka!

- Proszę cię, żebyś nie przeklinała przy Bronwyn - powiedziała Ffion. Mój język wprowadził dzieci w jeszcze większe

osłupienie. Ich twarze zdradzały zaintrygowanie, które szybko ustępowało miejsca głębokiemu zażenowaniu.

- Przykro mi, że tak cię złości, że Bronwyn osiąga większe sukcesy niż Molly - ciągnęła. - Może tak się właśnie dzieje, kiedy się człowiek zadaje z kolorowymi bachorami z osiedli komunalnych. Nie obchodzi mnie, że marnujesz potencjał swojej córki, ale nie dopuszczę do tego, aby ucierpiało na tym moje dziecko.

- Co ty wygadujesz? To była tylko pieprzona gra!

- Wybacz, ale Molly ciągnie Bronwyn w dół w sensie intelektualnym, a ja nie mogę na to pozwolić.

- Co takiego!?

- Twoja córka ogranicza rozwój intelektualny mojego dziecka. Nie sądzę, żeby ta przyjaźń wychodziła Bronwyn na korzyść.

Nagle moja wściekłość przekroczyła pewną granicę i poczułam, jak ogarnia mnie błogi spokój, który wziął się stąd, że przestałam się czymkolwiek przejmować. Po chwili milczenia zmierzyłam ją wzrokiem z góry na dół i powiedziałam:

- Wiesz co, Ffion? Odpierdol się wreszcie, co? Znajdź sobie do roboty coś bardziej sensownego, na przykład zgól te ohydne wąsy, ty wielki tłusty morsie.

Zapadła pełna napięcia cisza. Wszyscy zbaranieli. A potem odezwał się William:

- Kto ma ochotę pograć w *Wishy-Washy*?

- Zamknij się! - skarciła go Sarah, ale Ffion już nie było. Nie zdążyliśmy nawet ustalić daty następnej lekcji brydża. A przez okno spostrzegłam, że Philip stoi przy samochodzie i powoli, z lubością zaciąga się papierosem.

Dr Henry Bagge
Czy kryształy mogą uleczyć raka?

Sunrise Books
Cena: 6,99£

nie

Tam nie było co prawda napisane „Nie”, ale stwierdziłam, że potrafię wyrobić sobie własną opinię bez konieczności czytania dwustu stron czegoś, co David nazwał „wydumanym, pseudonaukowym bredzeniem”. Nie wiem, czy czułabym się pewnie, gdyby któreś z moich dzieci trafiło do szpitala, a lekarz powiedziałby: „Właśnie czytałem niesamowitą książkę na temat leczenia za pomocą kryształów, zamiast więc podać mu tradycyjny lek na zapalenie płuc, pomyślałem, że położymy mu na czole agat, bo to jest kamień zodiakalny Skorpiona, ale że się urodził na granicy Strzelca, warto wypróbować również działanie topazów”. Zawsze mi się wydawało, że jestem osobą dość liberalną i otwartą, która chętnie poznaje nowe koncepcje z dziedziny medycyny alternatywnej, spirytualizmu i astrologii, ale chyba straciłam wiarę.

Zdjęłam z półki *Czy kryształy mogą uleczyć raka?*, i rzuciłam na stos książek, które zamierzałam oddać do punktu Oxfamu*. Później zreflektowałam się jednak, że dawanie im *Szczupli żyją dłużej* byoby lekkim nietaktem. Ale za to dostaną: *Jogę dla niemowląt* *Cykle księżycy a menstruacja - poradnik świadomej kobiety* oraz *Jak przechrzyć kalendarz: sterowana antykoncepcja i planowe cięcia cesarskie pomogą wybrać najlepszy znak zodiaku dla twojego dziecka*. Pozbyłam się również *Homeopatii dla kotów* i jeszcze jednej książki, której autor zaleca, aby przy wyborze przedmiotów naturalnych dziecka korzystać z kart tarota. Widząc rosnącą stertę, pomyślałam, że w tych wszystkich pseudobi-

Oxfam - założona w Wielkiej Brytanii międzynarodowa organizacja humanitarna, która zajmuje się między innymi walką z głodem na świecie.

bliach i poradnikach typu „pomóż sam sobie” jest jakiś element dekadencji i narcyzmu. Ciekawe, że nie istnieje rynek dla poradników, które uczą, jak pomóc innym.

Ruby nie udało się dostać do szkoły dla dziewcząt w Barnes. Mimo ścisłego przestrzegania programu sesji naukowych odbywających się u nas w domu, mimo licznych próbnych testów pisanych w gabinecie Davida, w czasie których on, naburmuszony, musiał siedzieć w kuchni, moje przybrane genialne dziecko nie zdołało uzyskać odpowiedniej liczby punktów. Nie dlatego, że nie dawałam jej wyciągu z pokrzywy czy echinacei. Jej babcia zadzwoniła do mnie, dziękując mi za wszystko, i powiedziała, że Ruby pójdzie jednak razem z koleżankami do Battersea. Nie chciała za długo rozmawiać. Gdy spytałam, jak poszło na wstępnej rozmowie z dyrektorem, bąknęła coś, że nie zdążyły na spotkanie, bo uciekł im autobus. Dosłyszałam w jej głosie skrepowanie, jak gdyby czuła się głupio, że śmiała żywić tak duże aspiracje społeczne w stosunku do swojej wnuczki. Ja natomiast miałam poczucie porażki, jakby to na mnie ciążyła cała odpowiedzialność za los Ruby. Jej brat, Kofi, przyszedł oddać mi testy, których w ogóle nie chciałam z powrotem.

- Ależ on jest wysoki - powiedział David. - Wiesz, co myślę? Ktoś go powinien skontaktować z zawodową drużyną koszykówki.

Sarah z radością przystała na propozycję, żebyśmy zabrały dziewczynki i wspólnie poszły kupić dla nich mundurki do Chelsea College. Kirsty wygadała się, że to już będzie jej drugi komplet, ponieważ wcześniej były na zakupach z Ffion i Bronwyn (Ffion i ja nie kontaktowałyśmy się ze sobą, odkąd napomknęłam o jej uderzającym podobieństwie do wielkiego morskiego ssaka z wąsami). Kilka dni później, gdy dzieci były w szkole, a David na spotkaniu z klientem, usiadłam sobie w fotelu i zabrałam się za przyszywanie do szkolnej bluzy Molly naszywek z nazwiskiem. Ponieważ nasze nazwisko nie jest trójczłonowe, zostało na nich jeszcze sporo miejsca. Ciągle jednak nie mogłam przestać myśleć o Ruby. Ona nigdy nie założy takiej bluzy. Wyobrażałam sobie, jak w kompletnym mundurku maszeruje u boku Molly po schodach Chelsea College. I nagle przeszły mnie ciarki, gdy sobie przypomniałam, że moja córka będzie się przyjaźnić z Bronwyn przez najbliższe siedem lat.

Z zamyślenia wyrwał mnie widok samochodu policyjnego, który zatrzymał się przy naszej ulicy. Czyżby ktoś z Oaken Avenue popełnił przestępstwo? Dosypywał białej mąki do automatu do pieczenia chleba? Lecz nagle zwykła ciekawość ustąpiła miejsca panice, kiedy zauważyłam, że umundurowany policjant zmierza w kierunku naszego podjazdu. W moim mózgu błyskawicznie przystąpił do akcji jakiś oddział szybkiego reagowania - puls na maksimum, adrenalina w gotowości, ruchy rąk ustawione na średni stopień drżenia. Powtarzałam sobie, że muszę zachować spokój, nie wolno mi okazywać paniki. Będę całkowicie opanowana. I wskoczyłam za sofę. Przyłgnęłam do wykładziny, czując, jak łomocze mi serce, i wpatrywałam się w ciemną przestrzeń pod siedzeniem. Policja przyszła po mnie, wszystkiego się dowiedzieli, jestem skończona. Ale przynajmniej znalazłam brakującego krasnoludka, który zapodział się Alfiemu, kiedy ostatnio bawił się swoim domkiem Królowny Śnieżki. Choć jeden pozytywny akcent.

Na dźwięk dzwonka u drzwi podskoczyłam, choć przecież się go spodziewałam. Po co ja instalowałam elektrycznie zamykane ogrodzenie, skoro i tak zostawiam je w dzień otwarte? Policja ostrzegała nas przed niepożądanymi osobami, które mogą zapukać do naszych drzwi i okazuje się, że miała rację. Pozostałam w ukryciu. Postanowiłam nie reagować, może policjant w końcu sobie pójdzie. Tak, to zdecydowanie najlepszy i niezawodny sposób na rozwiązanie tego problemu. Zauważyłam, że wykładzina w miejscu, na którym klęczałam, jest znacznie mniej wydeptana niż na środku pokoju. Jeszcze minuta, dwie, i policjant sobie pójdzie. Dzwonek zadzwieczał ponownie. - Ja otworzę! - zawołała Carmen i usłyszałam, jak biegnie do drzwi.

Od kiedy to Carmen otwiera za nas drzwi? Prasowanie, odkurzanie, od czasu do czasu przetarcie mebli - taka była umowa. Nie wspominałam nic o przekazywaniu mnie w ręce funkcjonariuszy policji.

- Pani Chaplin, ktoś do pani - powiedziała Carmen, zapraszając policjanta do salonu. W jej głosie było słychać coś więcej niż zaniepokojenie.

- Yyy... Dzień dobry - uśmiechnęłam się, wystawiając głowę zza kanapy. - Właśnie zbierałam paprochy z wykładziny. Carmen, nie zapomnij porządnie odkurzyć za sofą, jak będziesz sprzątała ten pokój!

- Dobrze.

- A teraz może zajmij się sypialnią na górze - dodałam z naciskiem. Podniosłam się z kolan i wrzuciłam do kosza na papiery mikroskopijną drobinę kurzu.

- Dobrze - odparła i wyszła z salonu, a ja tymczasem usilnie próbowałam przyjąć jak najbardziej naturalną pozycję stojącą.

- Alice Chaplin?

- Tak - odpowiedziałam, sztywniejąc. Byłam pewna, że to koniec.

- Witaj, Alice, jestem Mike.

Och, cóż za poufałość! Mimo że przyszedł mnie zaciągnąć do ciupy i prawdopodobnie biciem wymusić przyznanie się do winy, miło jednak usłyszeć, że w wyniku jakiejś kosztownej konsultacji PR policja zaleca funkcjonariuszom, aby przed aresztowaniem przechodzili z podejrzanym na ty. Jestem pewna, że kiedy kat zakładał pętlę na szyję Ruth Ellis, znacznie poprawiłby jej humor, gdyby się przedstawił: „Cześć, Ruth, jestem Albert, będę dziś twoim katem”.

- Witaj, yyy.. Mike - wymamrotałam.

Wisząca na klapie jego munduru krótkofalówka odezwała się na częstotliwości zarezerwowanej wyłącznie dla trzasków i niezrozumiałych strzępów zdań.

- A więc, Alice, czy wiesz, dlaczego tu jestem?

- Hm... Sąsiedzi zgłosili jakieś problemy?

- Mówi ci coś nazwisko Ruby Osafo?
- Osafo... Osafo... - powtarzałam w nadziei, że coś mi zaświta w głowie. - Ach tak, przypominam sobie.
- Właśnie wracam z mieszkania tej rodziny. Twierdzą, że padli ofiarą przestępstwa - i spojrzeli na mnie, znacząco unosząc brwi. To wtedy uznałam, że na pewno już po mnie. Kiedy trafiłam do sądu za ten incydent z kukłą, to nie było dla mnie aż takie straszne, bo w głębi duszy wcale nie czułam wstydu.
- Naprawdę? „Przestępstwo” to bardzo mocne słowo - powiedziałam lekko załamującym się głosem. Miałam świadomość, że unikam jego wzroku. Bałam się też, że nie wypadnę zbyt przekonująco jako przypadkowa znajoma państwa Osafo, jeżeli za chwilę zwymiotuję na tę nieodkurzoną wykładzinę.
- Tak, ale obawiam się, że sprawa jest znacznie poważniejsza, niż się pozornie wydaje. Możemy mieć do czynienia z oszustwem, Alice.
- Nazbyt częste używanie mojego imienia nie było w ogóle oznaką sympatii - to była subtelna forma policyjnej brutalności, stosowana po to, żeby przesłuchiwany się zdenerwował i w chwili wzburzenia mimowolnie ujawnił obciążające go informacje.
- Oszustwo? - chciało mi się płakać, ale musiałam być silna. - Ale chyba wolno mi się skontaktować z adwokatem?
- To, co mówisz, nie ma większego sensu, Alice. Opadłam na fotel.
- Oszustwo? A jaka jest kara za oszustwo? Grzywna, a może wyrok w zawieszeniu?
- O nie, to bardzo poważne przestępstwo. Najczęściej trafia się do więzienia. Muszę ci zadać kilka pytań, jeśli pozwolisz...
- „Mogłabym teraz uciec”, pomyślałam. Życie na wygnaniu, zamieszkać na dziko w parku Richmond, wykopać sobie zie-

miankę i żywić się dziczyzną oraz surowym mięsem królika, a tylko od czasu do czasu wpadać do centrum handlowego przy korcie centralnym w Wimbledonie po niezbędne przybory toaletowe i belgijskie czekoladki.

- Czy w ciągu kilku ostatnich tygodni przekazywałaś państwu Osafo jakieś wartościowe przedmioty?

- Hm...? - Odsunęłam ręce od twarzy i uniosłam głowę. -Owszem, mój stary komputer.

- Ach tak. - Wyglądał na niezwykle rozczarowanego. -A co to był za komputer?

- Taki nieduży, szary Sony „Vaio”, nigdy nie wiem, jak się to wymawia.

- Tak też zeznali. I jesteś gotowa potwierdzić to na piśmie?

- Nie rozumiem. Co to ma wspólnego...

- Został skradziony. -Co?

- Twój laptop. Państwo Osafo zgłosili jego kradzież.

- Chwała Bogu.

- Słucham?

- Chwała Bogu, co za ulga! - Niemal się roześmiałam. -A ja myślałam, że... Nieważne. Myślałam, że stało się coś gorszego. Przyszedłeś więc tu tylko po to, żeby zapytać, czy dałam im laptop, tak?

- Musiałem to sprawdzić. Wiesz, dla nich to pestka sfingować włamanie, a później twierdzić, że ukradli im drogi komputer. A kiedy nie potrafili okazać żadnego dowodu zakupu, pomyślałem, że próbują wyłudzić odszkodowanie od firmy ubezpieczeniowej.

Ruchem głowy wskazał na okno.

- Czy to nie przy tej ulicy złapali tę wariatkę, która wymachiwała kukłą Tonyego Blaira? Pewnie jedna z tych anty-globalistek, wiesz, anarchistka czy coś...

- Poważnie? Nie słyszałam. Mówisz więc, że państwo Osafo padli ofiarą przestępstwa?

- Może tak, może nie.
- Biedna Ruby. Dopiero co dałam jej ten komputer w prezencie. To było jakieś duże włamanie?
- No cóż, Alice, w tamtej okolicy włamania nie są rzadkością. Tam każdy okrada każdego. Pewnie w końcu wszystko się wyrównuje, Alice.
- Prawdę mówiąc, wolałabym, żebyś się do mnie zwracał per „pani Chaplin”, dobrze? Nie chcę się wydać zarozumiała, ale ja cię właściwie nie znam, a nie bardzo mi odpowiada ta familiarność w kalifornijskim stylu.
- Rozumiem. Jak pani sobie życzy, pani Chaplin.
- A najlepiej w ogóle nie używaj mojego nazwiska, co? Mógłbyś? Wystarczy samo „jak pani sobie życzy”.
- Jak pani sobie życzy.
- Dziękuję... Mike.

Pół godziny później zjawiłam się w mieszkaniu państwa Osafo z bukietem lekko przywędłych goździków i zastałam tam dziadka Ruby, usiłującego załatać dziurę w lichych drzwiach kawałkiem źle dopasowanej sklejki. Powiedział, że przyciąłby ją na wymiar, ale mu ukradli skrzynkę z narzędziami. Drzwi wyważono kopniakiem już trzeci raz w ciągu ostatnich dwóch lat. Skradziono również telewizor, który stał w kuchni, zepsuty komputer, przenośny odtwarzacz CD i oczywiście mój laptop. Wszystkie szuflady były opróżnione, materace wyciągnięte z łóżek, książki i ubrania leżały porozrzucone na podłodze. Panią Osafo zawsze charakteryzował filozoficzny stoicyzm, ale dziś wyglądała na kompletnie załamana. Opadła zrezygnowana na krzesło w samym środku pobjowiska.

- Dlaczego ludzie muszą okradać właśnie nas? - spytała, patrząc na mnie. - Nic nie mamy, a oni i tak przychodzą i nas okradają!

Ileż ja w życiu straciłam energii na ciągły strach, że padnę ofiarą przestępstwa. Tymczasem to nie ludzie tacy jak my -ludzie, którzy mają w domach alarmy, fotokomórki i elek-

tryczne ogrodzenia - są nękani nieustannymi włamaniami. My mamy na to za dużo pieniędzy.

- Mam tego dosyć... - powtarzała pani Osafo. - Szczerze dosyć.

- Może policja znajdzie złodzieja i odzyskacie swoje rzeczy? - wtrąciłam nieśmiało.

- Może - odparła. - Policjant powiedział, że rozejrzy się w okolicy.

- No widzi pani.

- Ale po co przyszedł do was?

- Chciał się dowiedzieć... Jaka była wartość skradzionego laptopa.

Zdziwiłam się na widok Ruby, która stanęła w drzwiach z małą reklamówką z zakupami. Wyjęła z niej tabliczkę czekolady i wsunęła ją babci w dłoń. Ta przyciągnęła wnuczkę do siebie, a z przymkniętych oczu pociekły jej łzy.

- Dobrze z ciebie dziecko, Ruby, bardzo dobre. Czułam się jak intruz, będąc świadkiem tej bardzo intymnej chwili.

- Specjalnie przyszedłaś ze szkoły, Ruby?

- Nie, miałam dzisiaj wolne - odpowiedziała, wstając. - Babcia zabiera mnie na dni otwarte do mojej nowej szkoły.

- Chyba nic z tego nie będzie, dziecko - westchnęła pani Osafo. - Muszę to wszystko najpierw ogarnąć. Ruby posmutniała. W przedpokoju dziadek cisnął o ziemię kawałkiem sklejki i wyrzucił z siebie kilka przekleństw w języku - teraz już wiedziałam - ashanti.

- Może ja ją zawiozę? - zaproponowałam.

- Och, nie. Pani już tyle dla niej zrobiła...

- Ależ to będzie czysta przyjemność. Co ty na to, Ruby, jedziemy?

-Tak!

- Spotkało państwa coś bardzo przykrego. Chociaż w ten sposób mogę jakoś pomóc.

Ruby była dumna, że może podróżować na przednim siedzeniu naszego ogromnego samochodu, i po drodze zupełnie niepotrzebnie pozdrawiała z daleka różnych znajomych z okolicy. Bardzo jej się podobało, że może być moją przewodniczką. Po tylu miesiącach, kiedy byłam dla niej mentorką, teraz role się odwróciły.

- Byłaś już tam wcześniej, Ruby? - zapytałam.

- Tak, wiele razy, bo mój brat tam chodził. Za tym warsztatem musi pani skrócić w lewo.

- Wstyd przyznać, ale mieszkam w tej dzielnicy tyle lat, a nie mam pojęcia, gdzie jest gimnazjum w Battersea. To nie tak jak z Chelsea College, którą musisz mijać za każdym razem, gdy jedziesz na King's Road.

Skrzywiłam się w środku na tak bezmyślną wzmiankę o szkole, do której Ruby nie udało się dostać. Czułam na sobie jej wzrok.

- Czy pani była pewna, że Molly zda egzamin do Chelsea?

- No wiesz, trzymałam kciuki! - Zapaliło się czerwone światło i zahamowałam trochę za ostro.

- Musiało pani na tym bardzo zależeć - ciągnęła. - Za skrzyżowaniem w prawo.

- Hm... no tak, ale przecież jest tyle innych dobrych szkół.

- Nie w lewo! W prawo!

- Ach tak, przepraszam. - Gwałtownie skręciłam kierownicą i w tym momencie z tyłu za nami rozległ się dzwonek od roweru i poleciały przekleństwa. - O czym to ja mówiłam? Aha, no więc... Bardzo się z tego cieszę i jestem pewna, że ty i Molly nadal będziecie się ze sobą przyjaźnić.

- Bała się pani, że Molly może nie zdać?

- Na miłość boską, Ruby, ależ ty jesteś dzisiaj ciekawska. Oczywiście, każda matka się boi, to naturalne. O, spójrz na ten billboard, jaki śmieszny piesek!

- Ale... Czy zrobiłaby pani wszystko, wszystko, wszystko, żeby tylko Molly się dostała?

Spojrzałam na nią.

- Teraz kawałek pojedziemy prosto - dodała.

- Hm... nie. Zdawałam sobie sprawę, że są inne szkoły. Ale bardzo nam zależało, żeby poszła tam, gdzie jej koleżanki. Tak samo jak ty Czy to już niedaleko?

- Tak, tu zaraz na lewo. Ale musiała się pani cieszyć, kiedy dostała stypendium, prawda?

- Wiesz, ona zawsze była bardzo zdolna, tylko troszkę gorzej idzie jej na egzaminach. Ma trochę kłopotów z matematyką, ale to chyba odziedziczyła po mnie. Ja jestem w tym beznadziejna.

- Wiem - powiedziała Ruby. Dotarliśmy na miejsce.

Pierwsze wrażenie, jakie odniosłam, to niesamowita różnorodność. Na boisku ujrzałam barwną mieszankę dzieci: obdartusy i eleganci, dzieci czarne i białe, wysokie i niskie, Hindusi rozmawiający z Chińczykami, dzieci, które, sądząc po symbolice na czapkach i plecakach, czciły całą plejadę bóstw od Adidasa po Nike. Do szkoły weszliśmy w małych grupkach, oprowadzani przez kilkoro uczniów starszych klas, których zadaniem było odpowiadać na pytania nieśmiałym i niewyraźnym mamrotaniem.

- Od kiedy działa nowa pracownia plastyczna?

- Hm, nmemn...

- Naprawdę? To fascynujące...

- Jest ładniejsza niż ta w Chelsea College, prawda, Ruby?

W ogóle nie przesadzałam. Nawet prace uczniów wywieszane na ścianach były o wiele ciekawsze.

Tutaj nie wszystkie autoportrety były namalowane w tych samych kolorach.

Szczerze mówiąc, Battersea Comprehensive prezentowała się lepiej, niż sądziłam. Była tam świetlica, w której jakaś dziewczyna czytała *Ulisses* i wyglądało na to, że ma za sobą już dobre dwadzieścia stron. To znacznie dalej, niż mnie kiedykolwiek udało się zejść. Stały tam stanowiska komputerowe, przy których uczniowie tworzyli własne strony internetowe i nikt nie krzychał: „Davidzie! Znowu mi wszystko zniknęło z ekranu!”. Wnioskując z tego, co mówiły inne matki ze szkoły Molly,

wyobrażałam sobie Battersea jako zagrodę pełną rozwydrzonych małolatów, gdzie korytarze pokryte są graffiti, a wyrostki w bluzach z kapturami sprzedają pierwszoklasistom butapren. Rodzice ze Spencer House panicznie bali się uczniów tej szkoły, chociaż nigdy tu nie byli. Strach zawsze wynika z niewiedzy. No, chyba że się dzieli mieszkanie z tym amerykańskim seryjnym mordercą, który zjadał swoje ofiary -wówczas sprawa pewnie wygląda inaczej. „Nie, nie, ja bardzo dobrze znam Jeffreya. Lodówka jest pusta, a on zasugerował, żebym się dzisiaj wcześniej położył spać. Mój strach wynika z dogłębnej i praktycznej znajomości zwyczajów żywieniowych mojego współlokatora”.

W ramach zwiedzania pozwolono nam zerknąć na toczące się lekcje, w kilka osób wślizgnęliśmy się więc do klasy, w której dzieci akurat uczyły się francuskiego. To było coś niesamowitego - ten chłopak miał nie więcej niż trzynaście lat, a czytał płynnie i z idealnym akcentem. Ciekawe, czy w Chelsea College Molly też nauczy się tak dobrze mówić po francusku?

- Dziękuję, Jean Pierre - powiedziała nauczycielka i chłopiec usiadł.

Muszę wyznać, że kiedy zobaczyłam, jak inni rodzice co chwilę machają do siebie i wdają w przyjacielskie pogawędki, poczułam lekką zazdrość. Ruby po drodze także kłaniała się wielu osobom.

- Kto to? - zapytałam, gdy pierwszy raz pomachała do starszej, białej kobiety, która stała z rodziną po drugiej stronie boiska.

- To Vera. A, no jasne.

- Ale ja pytam, skąd ją znasz?

- Pomagała kiedyś w drużynie zuchów.

- A to kto? - spytałam, usłyszawszy „dzień dobry” od mijającej nas matki z córką. - Ktoś od ciebie ze szkoły?

- Nie. Z kościoła.
- A kim jest tamta pani?
- Hm... nie pamiętam, skąd ją znam. Mieszka w Clap-ham.

Właśnie się dowiadywałam, że moją okolicę zamieszkuje złożona społeczność lokalna. Jak w gigantycznym diagramie Venna: rodzice ze szkoły Ruby znali się z rodzicami z Battersea. Znali się również z kościoła, spotykali w lokalnych instytucjach dobroczynnych i klubach młodzieżowych. Istniały też dalsze powiązania: kręgi znajomych opiekujących się nawzajem swoimi dziećmi i wyprowadzających psy w parku Clapham, uczestnicy kursów wieczorowych w Lambeth College i stali bywalcy miejscowych pubów. Ci z kolei mieli znajomości wśród osób zaangażowanych w lokalną działalność polityczną, których sąsiedzi prowadzą dziecięce drużyny futbolowe w parku Battersea, a wcześniej dzielili mieszkanie z kobietą, która dowoziła jedzenie dla starszej pani, która kiedyś przeprowadzała dzieci przez jezdnię pod szkołą Ruby. Ich światy nakładały się na siebie i krzyżowały. Wszyscy znali wszystkich i teraz witali się ze sobą, i zagadywali, a ja zrozumiałam, że nie mieszczę się w tym diagramie. Moje życie nie przeplatało się z życiem żadnej z tych osób. Wraz z rodziną i znajomymi stanowiliśmy własny, ściśle odizolowany i dobrze zabezpieczony krąg, który funkcjonował gdzieś na marginesie.

Widać było też wyraźnie, że do tej szkoły nie trafiają wyłącznie przeciętni ludzie z ulicy. Nie była wcale anonimowa. Używając skomplikowanej metody statystycznej, która polegała na policzeniu chłopców z fryzurkami jak aniołki oraz wyrostków z głowami ogolonymi na zero, doszłam do wniosku, że dzieci z klasy średniej stanowią tu mniejszość, podobnie chyba jak w całej populacji. Ta mieszanka społeczna była jednak na tyle duża, że to, że wszyscy tak świetnie się ze sobą dogadują, napawało optymizmem. Bo choć było to najbardziej hałaśliwe, gwarne i zatłoczone miejsce, jakie można sobie wyobrazić, w jego atmosferze było coś, co sprawiało, że człowiek się czuł, jakby po wielu, wielu latach biegania w miejscu pozwolono mu wreszcie położyć się w wannie i wziąć gorącą, relaksującą kąpiel. Zauważyłam też, że zarówno rodzice, jak i dzieci w znacznie mniejszym stopniu są

ogarnięci tą nerwowością i gorączkowym napięciem. Zupełnie, jakby to miejsce mówiło do mnie: „Już dobrze, Alice, wszystko w porządku. Możesz się odprężyć”. Złapałam się na tym, że popędzając Ruby, biegnę do drzwi, żeby być pierwsza na spotkaniu z dyrektorem, ale zaraz się zorientowałam, że kobieta obok mnie wcale nas nie goni. Mało tego, przytrzymała nam drzwi mówiąc:

- Proszę, pani pierwsza.

- Przepraszam, bardzo dziękuję, przepraszam.

Było mi wstyd. Ffion w życiu nie przytrzymałaby mi drzwi. Ona by przyniosła ze sobą bosak, żeby odciągać za szyję dzieci pozostałych rodziców.

Gdy weszliśmy do auli, na scenie akurat śpiewał chór. Odruchowo miało się ochotę jak najszybciej podejść na paluszkach do najbliższego krzesła, żeby im tylko nie przeszkadzać. Pozostali rodzice robili to samo, przemykali między krzesłami zgięci w pół, aby nikomu nie zasłaniać widoku, a później machali do przyjaciół w tłumie, dumnie pokazując na znajome dzieci w chórze. Ruby jak zahipnotyzowana patrzyła na uczniów starszych klas kołyszących się lekko w takt piosenki, którą wyśpiewywali ze sceny, niezupełnie w idealnej harmonii, co nadawało jednak całości dodatkowego uroku. Kiedy aula wypełniła się po brzegi i drzwi zostały zamknięte, sądziłam, że skończą śpiewać, ale teraz, gdy wszystkie oczy zwrócone były w ich stronę, nauczyciel muzyki skinął głową na pianistę i poprowadził jeszcze jeden, ostatni utwór.

Kiedy chłopak akompaniujący na pianinie zagrał pierwsze takty *Bridge Over Troubled Water*, nie mogłam się powstrzymać i uśmiechnęłam się pod nosem. Stary wyciskacz łez z lat siedemdziesiątych, wykonany teraz specjalnie po to, żeby trafić

do serc zebranych tu dorosłych. Miałam kiedyś tę płytę, gdy byłam jeszcze naiwną studentką, ale gdzieś w wieku dwudziestu kilku lat musiałam widocznie uznać, że jest trochę zbyt sentymentalna, bo od tego czasu jej nie słuchałam. Przybrałam dobrotliwy uśmiech, żeby ukryć cynizm, z jakim - z racji upływu lat - odnosiłam się do tej piosenki. Dzieci zaczęły śpiewać. Najpierw cicho, ale z delikatnością, która zapowiadała, że za chwilę z ich gardeł wyzwoli się prawdziwie potężna siła wokalna. W miarę jak utwór się rozwijał, władza chóru nad coraz bardziej oczarowaną publicznością stawała się niemal namacalna. Czułam rosnący ucisk w gardle, kiedy czysta emocjonalna siła bijąca od tych wspaniałych dzieciaków nawiązała kontakt z jakąś dawno utraconą częścią mojego własnego życia. Dyrektor jeszcze nie powiedział ani słowa, a ja już dałam się uwieść. Żeby użyć języka marketingowego, był to najbardziej przekonujący argument, jaki można wysunąć, jeśli się chce kogoś namówić, żeby zapisał dziecko do tej szkoły. Zgoda, Battersea ma mniejszy niż Chelsea College odsetek uczniów, którzy później dostają się na najlepsze uczelnie. Może te dzieci nie wyglądają na geniuszy ani nie wygrywają przez dwa lata z rzędu Ogólnokrajowego Turnieju Debat Parlamentarnych, ale posłuchajcie tylko tego poruszającego *crescendo*: jak ktokolwiek z tu obecnych, doświadczywszy pasji zawartej w tej dramatycznej kulminacji, nie zechciałby z miejsca podpisać wszystkiego, co mu podsuną pod nos? Prosimy, pozwólcie nam przysłać tu nasze dzieci, nie będziemy nawet sprawdzać rankingów, nie musimy zaglądać do raportu Ministerstwa Edukacji, przekonał nas ten syreni śpiew. Nie ma krótszej drogi do serca matki czy ojca niż śpiew dziecka, a jeśli jest ich cały chór i w dodatku wykonuje piosenkę z ich własnego dzieciństwa - cóż, więcej nie trzeba: całkowita i bezwarunkowa kapitulacja.

- Czemu pani się śmieje? - spytała Ruby.

- Ja się nie śmieję, skarbie, ja płacę.

Gdy skończyli, podniosła się burza oklasków i prawie wszyscy wstali z miejsc, więc kiedy na scenie pojawił się

dyrektor, żeby wygłosić kilka zdań o szkole, mógł powiedzieć cokolwiek - na przykład, że zaraz na początku semestru zamierza przekazać wszystkie dzieci na eksperymenty medyczne - ludzie by się zgodzili i przyznali, że to fantastyczny pomysł. Ale on podziękował chórzystom i uprzejmie poprosił, aby zeszli ze sceny. Opuszczali ją w idealnym porządku, rzędami, zadowoleni i dumni ze wspólnego osiągnięcia. Roześmiali się radośnie, gdy od nowa zaczęliśmy im bić brawo. A później dyrektor wygłosił mowę, która była zupełnie inna od wszystkich, jakie słyszałam, odkąd zaczęłam się martwić wyborem szkoły dla Molly, czyli gdzieś na początku jej podstawówki.

Nie przytaczał wyników egzaminów, nie chwalił się nagrodami ani osiągnięciami sportowymi, ale więcej niż raz użył słowa „szczęśliwy”. Mówił o dzieciach, które są „zrównoważone”, „myślące”, „współczujące”, o dzieciach, które „odkrywają to, co najbardziej kochają robić” i „uczą się wzajemnego szacunku do siebie”. Było to tak, jakby ktoś przemawiał w nieznanym języku, a dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że od dawna biegle się nim posługuję. Nie wszystko jednak było takie różowe i optymistyczne. Dyrektor z powagą wypowiadał się o problemie przemocy wśród uczniów, która, jego zdaniem, jest największą przeszkodą w tym, aby dziecko mogło się czuć szczęśliwe w szkole. A kiedy usłyszałam, z jaką determinacją zapewniał, że żadną miarą nie zamierza tego tolerować, miałam ochotę wstać i krzyknąć: „Tak! Tak! Tak! Brawo!”. To, co mówił, było jednocześnie inspirujące, zabawne, poruszające i szczerze. Gdy przyszła pora na zadawanie pytań, mnie nasuwało się tylko jedno: „Czy mógłby pan zostać przywódcą jakiejś partii politycznej, żebym mogła na pana zagłosować i żeby został pan premierem?”.

Gimnazjum w Battersea zyskało złą reputację jeszcze w latach osiemdziesiątych, kiedy było stale niedofinansowane, ale okazało się, że problem rozpaczliwego braku funduszy można rozwiązać bardzo łatwo: pakując tam grube

pieniądze. Nauczyciel angielskiego, z którym na ten temat rozmawiałam, z wyraźną dumą opowiadał mi o nowej sieci intranetowej, klasach komputerowych oraz tablicach interaktywnych, a ja próbowałam udawać, że wiem, o czym mówi. Wyjaśniłam mu, że Ruby jest tylko koleżanką mojej córki, moje dziecko akurat nie wybiera się do tej szkoły.

- Udało jej się dostać do Chelsea College. Wie pan, to bardzo mądra dziewczynka, stwierdziliśmy więc, że powinna pójść do prywatnej... - tłumaczyłam się przeproszającym tonem.

- Mmm... - przytaknął. - Tymczasem moje dzieci są bardzo głupie i dlatego żona i ja stwierdziliśmy, że musimy zaufać państwowemu systemowi edukacji.

- Ależ nie, nie to miałam na myśli, jestem pewna, że tutaj też chodzą bardzo mądre dzieci... - Czułam, jak się czerwienię.

- Już dobrze, dobrze - uśmiechnął się. - Mamy tu mnóstwo bystrych dzieciaków i, uprzedzając pani pytanie, nie, nie ograniczamy ich potencjału. Dla większości przedmiotów prowadzimy dodatkowe zajęcia z rozszerzonym programem. Ale dobre wykształcenie to coś więcej niż tylko liczba maksymalnych ocen z egzaminów. Nie można oceniać szkoły na podstawie miejsca, które zajmuje w rankingu.

- Nie można - zamyśliłam się. - Dziecka też nie...

- Słucham?

- Nic, nic.

Cieszyłam się ogromnie, że Ruby będzie chodzić do tak wspaniałej państwowej szkoły, tak samo jak się cieszyłam, że Molly będzie chodzić do prywatnej, razem z koleżankami. Przez kilka krótkich dni świat wydawał mi się idealny. Teraz już na pewno będę mogła przestać się martwić tak bardzo, że z ledwością nadażalam z farbowaniem siwych włosów.

Okazuje się jednak, że złoty wiek pokoju i bezpieczeństwa bywa zawsze tuż za rogiem. Dwa dni później Sarah została wyrzucona z pracy w Chelsea College. To smutne, kiedy taka przykrość spotyka

najbliższą przyjaciółkę. Jest to bolesne, osobiste upokorzenie, w obliczu którego pozostaje nam tylko słuchać i współczująco kiwać głową.

- Nadawałam się do tej pracy...

- Nadawałaś się do tej pracy..

- Ona nie miała prawa mnie zwolnić...

- Nie miała prawa cię zwolnić...

- Ta szkoła i tak jest do kitu...

- Hm... wiesz, rozumiem, że w tej sytuacji tak to odbierasz, ale...

To się stało dość niespodziewanie. Sarah nie zdawała sobie sprawy, że jej dociekliwość w sprawach szkolnych musiała irytować panią dyrektor, tymczasem każde nerwowe zapytanie, jakie przedmioty będzie miała Kirsty, do której trafi klasy albo czy dzieciom wolno mieć ze sobą na lekcji wodę mineralną („gazowaną czy niegazowaną?") było tylko kolejnym argumentem przemawiającym przeciwko dalszemu zatrudnieniu tej wścibskiej matki.

Ponieważ przy pierwszym kontakcie dyrektorka zrobiła na mnie tak dobre wrażenie, jakaś część mnie po cichu obwiniła Sarah za to, co się stało. Oczywiście zwolnienie odbyło się w kulturalnej atmosferze, z zachowaniem dobrych manier. Pani dyrektor uznała, że „Sarah nie bardzo pasuje do wizerunku Chelsea College". William stwierdził, że to typowa frazeologia wyższych sfer stosowana przy takich okazjach.

- Anna Boleyn dowiedziała się, że zetną jej głowę, gdy jej mąż z czarującym uśmiechem na ustach oznajmił: „Po prostu nie pasujesz do wizerunku żony Henryka VIII".

Pani dyrektor nic nie wspomniała o ewentualnym cofnięciu decyzji w sprawie miejsca dla Kirsty, ale Sarah nie była już taka pewna, czy chce, żeby ona tam chodziła.

- Nie możesz jej teraz wypisać. To byłoby nie fair rozłączać ją ze wszystkimi koleżankami... - argumentowałam spokojnie, a w środku ogarniała mnie panika.

- I tak nie mam jej gdzie dać. Ale wiesz co, Alice, teraz, kiedy miałam okazję przyjrzeć się z bliska, ta Chelsea wcale nie jest taka cudowna.

- Cóż, żadna szkoła nie jest idealna, zwłaszcza gdy cię właśnie wywalili z pracy, ale nie wolno tracić głowy.

- Jeżeli jakieś dziecko nie pasuje do ich ściśle określonego wzorca, który określa, jak powinien wyglądać przyszły student Oxfordu albo Cambridge, to przestają się nim interesować...

„O, kurczę, wyobraź sobie, że Molly idzie do Oxfordu albo Cambridge”, odezwał się szeptem diabełek siedzący mi na ramieniu.

- Kiedy dziecko powoduje jakieś problemy, po prostu je usuwają...

„Trudne dzieci nie mogą przeszkadzać twojemu dziecku w nauce”, kontynuował diabeł.

- Ich bardziej obchodzi średnia ocen niż sam uczeń. „Szkoła z wysoką średnią! To idealne miejsce dla twojego

dziecka”, podszeptował do ucha złośliwy głosik.

- A niektórzy uczniowie... Oni są po prostu chamscy. Arogancy i bezczelni. Całe życie im wmawiano, że urodzili się lepsi od innych i że są chodzącymi ideałami. I oni w to naprawdę wierzą.

„Och, ale moje dzieci nigdy takie nie będą - pomyślałam. - Przecież tylko one są idealne”.

Jednak to, co Sarah odczuła jako umiarkowanie upokarzająca porażkę, kilka dni później zamieniło się w prawdziwą katastrofę, kiedy przyszło pismo z informacją, że skoro ona nie jest już pracownikiem Chelsea College, nie ma podstaw, aby utrzymywać w szkole miejsce dla uczennicy, która na egzaminie wstępnym uzyskała wynik poniżej wymaganej normy. Chociaż pismo pochodziło od dyrektorki, w jej zastępstwie podpisała je - jak można przypuszczać - nowa sekretarka, którą zatrudniono na miejscu Sarah. Nie mogłam w to uwierzyć. Ta urocza, tolerancyjna pani dyrektor... Na pewno dostała jakiś nakaz z góry Sarah i William byli załamani. Do rozpoczęcia roku zostało niecałe dwa i pół miesiąca, a Kirsty nie miała dokąd pójść. Sarah powiedziała, że złożyli odwołanie, napisali

też list do pośła z okręgu, ale i tak wszystko znowu stało pod znakiem zapytania. Bez przerwy płakała mi do słuchawki, a ja w głębi duszy czułam, że to ma jakiś związek z moim występkiem. Stwierdziłam, że spróbuję poprawić im nastrój, zabierając ich wieczorem na spektakl teatralny. To miała być niespodzianka.

- Czyżbyśmy jechali do Narodowego? - dopytywała się Sarah, wsiadając do samochodu.

Zauważyłam, że chyba trochę przesadnie się wystroiła.

- Niezupełnie...

- Royal Shakespeare Company? - dążył William.

- Nie, Szekspir to nie jest. Powiedzmy, że nasz drugi największy pisarz.

- Super! - wykrzyknął William. - Więc to ta nowa sztuka Jeffreya Archera...

Na początku się ucieszyłam, słysząc, że gimnazjum w Battersea zamierza wystawić klasyczny musical *Oliver!*. Porządna dickensowska powieść, kilka świetnych piosenek i dodatkowo parę okazji do uronienia łezki - jakże Sarah z Williamem mogliby się temu oprzeć? Ale dopiero po rozpoczęciu spektaklu zorientowałam się, że to nowa wersja, w której akcję przeniesiono w czasy współczesne. Wszystkie teksty piosenek zostały przerobione i znalazły się w nich tam takie wersy jak: „Kto kupi najświeższy numer «Big Issue»" albo „Musisz gwizdnąć parę komórek!". Gang Fagina tworzyła grupa podejrzanie wyglądających piętnastolatków ubranych w bluzy z kapturami.

- Ci kieszonkowcy wyglądali niebezpiecznie przekonująco - stwierdził William w przerwie. -

Ciekawe, jak wnikliwie przygotowywali się do tej roli?

- To interesujący pomysł, żeby zrobić z Olivera Twista uchodźcę... - dodała odważnie Sarah. - Sądzę, że teraz wiąże

się z tym takie samo piętno, jak w czasach wiktoriańskich bycie sierotą.

- Albo musieli jakoś uzasadnić, dlaczego on ledwie potrafi się wysłowić po angielsku...

- Nie, on ma po prostu bardzo silny akcent, to wszystko. Ładne rysunki - dodałam, dopijając zimną kawę i zjadając przydziałowe ciastko. William wpatrywał się w program: pojedynczą kartkę A4, na której wyszczególniono obsadę, a marginesy zdobiło parę ilustracji wykonanych raczej amatorską ręką.

- Hm... Myślę, że Królewska Akademia Sztuki może się na razie czuć bezpieczna.

Pierwotnie miałam zamiar tylko delikatnie im zasugerować, żeby wzięli pod uwagę tę szkołę, myśląc o Kirsty, ale teraz złapałam się na tym, że pragnę, aby spodobała im się ona tak bardzo jak mnie. W związku z tym obserwowałam każdą ich reakcję, czy to na nauczycieli, czy na innych rodziców.

„Proszę, zagrajcie tę sztukę jak najlepiej - błagałam w myślach. - Niech będzie tak dobra, żeby Sarah i William zastanowili się nad zapisaniem tu Kirsty. Wtedy mogłaby chodzić razem z Ruby...”.

Przy scenie, w której Nancy pokonuje Billa Sykesa za pomocą boksu tajskiego, bardzo już bolała mnie głowa od ciągłego patrzenia na wprost i jednoczesnego sprawdzania nastrojów Sarah i Williama, którzy siedzieli obok. Po zakończeniu William uprzejmie oklaskiwał aktorów, chociaż widać było, że myślami jest zupełnie gdzie indziej. Wychodząc, zajrzeliśmy jeszcze do kilku sal. Oboje tajemniczo kiwali głowami, gdy zwracałam im uwagę na komputery, nową świetlicę i nową pracownię plastyczną. Oni jednak milczeli. Bałam się, że po cichu są tym wszystkim zdegustowani.

Nastroje w hinduskiej knajpie, w której wylądowaliśmy po spektaklu, były bardzo przygaszone.

Zrozumiałam, że trudno nam będzie się powstrzymać od porównywania tego występu z operetką, którą widzieliśmy kilka tygodni wcześniej w Chelsea College. Tamta inscenizacja była dużo, dużo lepsza.

Nikt z nas się nie odzywał, tylko wszyscy udawaliśmy, że studiujemy menu, które znaleźliśmy na pamięć. Jedyne odgłosy wydawał David, który kawałek po kawałku obłamywał papadam, jak gdyby chciał uzyskać jakiś kształt.

- Co robisz?

- Cypr - odparł, unosząc dumnie figurę, która, jak rozumiem, miała nam coś przypominać.

- Bardzo udany - powiedziałam. Według mnie wyglądało to jak kawałek papadamu. David dokonał jeszcze ostatniej poprawki, ale zaklął, kiedy nagle odpadł cały północny półwysep.

- Cholera! Cypr się rozpadł na pół - orzekł. - To by się zresztą zgadzało.

Po czym zanurzył turecką część wyspy w sosie z mango i wsunął ją sobie do ust.

- Teraz ty, Williamie. -Co?

- Zrób jakieś państwo.

William jednak wyraźnie nie był w nastroju. Wziął do ręki miseczkę z najostrzejszym sosem i powiedział- Chile.

- Świetnie. Chile jest chyba najtrudniej zrobić. Zawsze się łamie gdzieś na północ od Santiago.

- Davidzie, wydaje mi się, że oni mają teraz ważniejsze sprawy na głowie... -1 to był dla Sarah sygnał, żeby wybuchnąć płaczem.

- To niesprawiedliwe, wszyscy mają już zaklepane szkoły, tylko nie Kirsty... Musiała zdać pięć różnych egzaminów. Dwa i pół roku prywatnych korepetycji i co? Nie ma dokąd pójść, nie ma szkoły, nie ma nic. Totalnie odrzucona w wieku jedenastu lat.

William objął żonę ramieniem, a David, trochę zmieszany, schrupał grecką część Cypru. Pocieszyłam ich, że zarząd szkoły jeszcze nie rozpatrzył odwołania i Sarah otarła łzy. Kelner spojrzał na nią z lekkim niepokojem.

- Wszystko w porządku, proszę pani?
 - Tak, tak. To te ostre, hinduskie przyprawy - odparła Sarah, pociągając nosem i wskazując na miseczkę z ogórkową raitą.
 - Ja tylko chciałam, żebyście zobaczyli, jak jest w Battersea -powiedziałam. - Tak na wypadek, gdybyście chcieli ją wziąć pod uwagę. Ale zdaję sobie sprawę, że przedstawienie było trochę... Cóż, jeszcze nigdy nie widziałam wersji *Olivera!*, w której Fagin dostaje ASBO¹.
 - Coś ty, to był świetny pomysł - oznajmił mój mąż. Czulałam, że za chwilę uderzy w swój ulubiony, sarkastyczny ton. - Żeby namówić małżeństwo z klasy średniej, aby wysłali swą kształconą prywatnie córkę do państwowego gimnazjum, zabrałaś ich na przedstawienie opowiadające o sierocie z wyższych sfer, który trafia do bandy rzezimieszków z przestępczego półświatka. Super! Trafiłaś w dziesiątkę!
- To przynajmniej wywołało uśmiech na twarzy Sarah.
- Słuchaj, ja wiem, że przedstawienie w Chelsea robiło dużo większe wrażenie.
 - Właśnie - wtrącił się William. - Dokładnie tak bym to określił.
 - Ale nie można oceniać szkół na podstawie tego, która wystawia najlepsze sztuki.
 - Nie powiedziałem, że ta w Chelsea była najlepsza - zaznaczył. - Powiedziałem tylko, że robiła większe wrażenie. A to pewna różnica.
- Sarah na moment przestała bezmyślnie bawić się kawałkiem warzywa na talerzu i uniosła głowę.
- Co masz na myśli?
 - Operetka w Chelsea College zrobiła na wszystkich ogromne wrażenie, bo taki był właśnie jej cel. Żeby nam zaimponować. Nie rozumiecie? Ona była robiona dla rodziców. Z kolei ta w Battersea dla dzieci.
- Kelner za moimi plecami niósł skwierczące danie curry, a ja pierwszy raz w życiu nie odwróciłam się, żeby zobaczyć, co to jest. Ten odgłos odpowiadał temu, co czulałam w moich trzewiach.

¹ ASBO (Anti-social Behaviour Order) - wprowadzony niedawno w Wielkiej Brytanii, bardzo restrykcyjny system kar za tzw. zachowania antyspołeczne.

- W *Piratach* solowe partie dali dziecku, które umie śpiewać najlepiej - ciągnął William. - No i co? Wszyscy wiedzą, że ma talent, ale co komu z tego przyjdzie? A widzieliście wyraz twarzy tej małej, która śpiewała solówkę w *Oliverze P.* Jej nikt nie uczył śpiewać, a mimo to dawała z siebie wszystko. A później ten jej uśmiech, kiedy widownia biła brawo. Widać było, że to najtrudniejsza rzecz, jaką przyszło jej w życiu zrobić. A kiedy zeszła ze sceny, widzieliście, jak ten nauczyciel przy niej kucnął i pogratulował?

- Yyy... Nie. Patrzyłam głównie na was... - bąknęłam.

Kelner podjechał z wózkiem z zamówionymi potrawami i kładąc na stole talerze, każdy ostentacyjnie przecierał ścierką.

- Przedstawienie w Battersea nie było robione po to, żeby zaimponować nam, rodzicom, ich klientom - kontynuował William. - Ono miało służyć dzieciom. Miało im pomóc przełamać bariery, nabrać wiary w siebie, pokazać, jak to jest wspólnie coś tworzyć i spróbować czegoś, co wcześniej wydawało się niewykonalne. W Chelsea nie było miejsca na scenie dla dzieci nieśmiałych ani takich, które śpiewają przeciętnie. Sarah mi mówiła, że część głównej obsady to nawet nie byli ich uczniowie. Pożyczyli sobie najlepszych wokalistów z innej szkoły!

- Coś ty?

- To akurat jest prawda - potwierdziła Sarah.

- Czego my w ten sposób uczymy te pozostałe dzieci? W dodatku okazuje się, że ten genialny solista grał główną rolę także w zeszłym roku i jeszcze w poprzednim. A więc: sorry, inni nie mają szans. To była niezła szkoła PR-u: jak poprawić samopoczucie rodzicom, którzy płacą ciężką kasę za chesne.

- Zaraz, zaraz, to nie było takie złe - usłyszałam własny głos, który stawał w obronie przyszłej szkoły Molly - Te dzieciaki mimo wszystko były całkiem słodkie.

- Okropność - nie przestawał William. - Jeden wielki fałsz. Kompletnie odwrócenie wszelkich wartości. Tam nie pytają: „Czy możesz robić coś lepiej?“, ale: „Jeżeli nie jesteś najlepszy, nawet się u nas nie pokazuj“. Kiedy dzisiaj Nancy zaśpiewała „*Dopóki będę mu potrzebna*“, prawie się poryczałem, chociaż nie skojarzyłem tego fragmentu o „karierze zawodowej, na której można się oprzeć, jeśli małżeństwo się nie układa“.

Przy stole zapadła pełna konsternacji cisza.

- Cóż, trzeba przyznać, że to bardzo kosmopolityczna szkoła - odezwała się Sarah, panicznie bojąc się użyć słowa „rasa“.

- Kurczak tikka masala - powiedział kelner.

- Dziękuję.

- A czy nie na tym, między innymi, ma polegać edukacja? - zapytał jej mąż.

- Krewetki królewskie w sosie korma.

- Tutaj.

- Czy nie chcemy, żeby nasze dzieci nauczyły się żyć w przyjaźni z muzułmanami, hindusami czy Latynosami?

-1 stek z frytkami...

- A, to dla mnie, dziękuję - powiedział William. -Wybaczcie, szczerze mówiąc nie przepadam za curry. - Przepraszam - zaczęłam kelnera. - Jak jest „dziękuję“ po bengalsku?

- *Dhonnobaad*. - Przychodzę do tej restauracji od dziesięciu lat i nawet nie wiem, jak powiedzieć „dziękuję“. W takim razie - *dhonnobaad*.

- Nie ma za co, maleńka - odparł kelner z perfekcyjnym południowolondyńskim akcentem.

Porzuciliśmy temat szkoły i znaleźliśmy sobie inny, znacznie przyjemniejszy i bardziej pokrzepiający

- co nas najbar-

dziej irytuje w Ffion. Ich opiekunka podobno odeszła, bo chce sobie znaleźć mniej stresującą pracę. William powiedział, że złożyła podanie do Air Iraq. David zamówił sobie piwo, co automatycznie dało mi do zrozumienia, że to ja będę dzisiaj kierowcą. Ponieważ równouprawnienie płci nie zaszło jeszcze tak daleko, żeby faceci choć przez chwilę pomyśleli o tym, że trzeba zwolnić w domu opiekunkę, Sarah i ja w końcu postanowiłyśmy ich zostawić w restauracji, gdzie zamówili sobie po kolejce brandy i roztrząsali tak głębokie emocjonalnie kwestie jak: „Gdyby to hitlerowcy wygrali II wojnę światową, to czy wtedy Beatlesi nagraliby płytę *Sergeant Peppelfi*”. Zaproponowałam Sarah, że ją odwiozę.

- O czym tu w ogóle dyskutować? Przecież to absurd -powiedziała, kiedy szliśmy do samochodu.

- Jasne. Przede wszystkim Hitler nigdy by się nie zgodził na te ich psychodeliczne mundury.

Samochód stał zaparkowany przy bocznej uliczce. Kilka latarni się nie świeciło, księżyc schował się za chmury, a im dalej od głównej ulicy, tym cienie wydawały się bardziej zimne i kontrastowe.

- Zaraz, gdzie to było... Aha, tędy chyba szłam. Między parterowymi budynkami komunalnymi biegła wąska, brukowana alejka i kiedy wchodziłyśmy w gęstą zabudowę ceglanych domów, czułam, że Sarah trzęsie się ze strachu. Była jednak dopiero jedenasta wieczorem, a puby jeszcze nie zdążyły opustoszeć. „Nic nam nie grozi”, powtarzałam sobie w myślach.

Przed nami pojawiło się trzech młodych ludzi. Wyszli zza rogu i stanęli. Trzech zakapturzonych nastolatków w załomie ulicy. Jeden siedział okrakiem na rowerze, a dwóch pozostałych opierało się o ścianę. Żeby przejść, musiałyśmy ich minąć. Sarah złapała mnie za ramię i odruchowo zwolniłyśmy kroku.

- O Boże... - jęknęła. - To koniec. - Ręka jej drżała. -Wracajmy - szepnęła.

Czułam, jak całe ciało jej napina się i ścisnęła moje ramię tak mocno, że aż bolało. W końcu stanęliśmy z nimi twarzą w twarz.

- O, witaj, Kofi, cześć Carl, cześć Aubrey-z-Norbury.
- Dobry wieczór, pani Chaplin - wybąkali.
- Kofi, już dawno chciałam zapytać, przeniosłeś się na ten kurs projektowania mody w collegeu?
- Nie, muszę przejść rozmowę kwalifikacyjną. Idę w przyszłym tygodniu.
- Świetnie! Życzę powodzenia. A co u ciebie, Aubrey?
- Skończyłem college. Dorabiam trochę w wypożyczalni.
- A, to pewnie się tam wkrótce spotkamy. Pozdrów ode mnie rodzinę, Kofi.
- Dobra, dzięki.

I poszliśmy dalej. Nie odezwałam się do Sarah ani słowem, choć czułam, jak jej wzrok przewierca mnie na wylot. Zupełnie, jakbym przed chwilą odbyła pogawędkę z ufoludkami w języku wenusjańskim.

- Skąd ty ich znasz, u licha? - zapytała, kiedy siedziałyśmy już bezpieczne w samochodzie i Sarah wcisnęła guzik blokady drzwi.
- Mieszkają w okolicy. Z wyjątkiem Aubreya-z-Norbury. On jest... Hm... z Norbury. Ale dwaj pozostali mieszkają całkiem blisko was.
- W życiu ich nie widziałam na oczy.
- Prawdopodobnie mijałaś ich setki razy, tylko specjalnie się nie przyglądałaś.
- Kto by pomyślał, że taki potężny facet chce być projektantem mody. Czy on jest gejem?
- Raczej nie.
- To straszna tragedia, kiedy młodym ludziom nie ma kto wskazać odpowiedniej drogi zawodowej. Wiesz, co myślę? Możliwe, że czekałaby go wspaniała przyszłość w zawodowej drużynie koszykarskiej, ale założę się, że nikt mu tego nigdy nie zasugerował.

Następnego dnia David poszedł do ogrodu pograć z Jamiem w ping-ponga. Obserwowałam ich przez chwilę. David nawet wpadł na pomysł, żeby wykorzystać punktację do przypomnienia Jamiemu najważniejszych dat w historii.

- Siedemnaście piętnaście. Pierwsze powstanie jakobitów w tysiąc siedemset piętnastym! - zawołał, trafiając w siatkę. Zaserwował jeszcze raz, a później umyślnie przepuścił piłkę Jamiego.
- Osiemnaście piętnaście. Bitwa pod Waterloo w tysiąc osiemset piętnastym.
- Davidzie... - przerwałam. - Nie miałbyś ochoty dokładnie obejrzeć sobie gimnazjum w Battersea?
- Po jakiego diabła? - odparł, starając się nie odrywać wzroku od stołu, przy którym cierpliwie odbijał kolejne uderzenia naszego bardzo żywotnego syna.
- Wiesz, nigdy nie braliśmy pod uwagę tej szkoły, ale może damy Molly szansę zobaczenia, jak tam jest, zanim się ostatecznie zdecydujemy na Chelsea.
- Już się zdecydowaliśmy: kupiliśmy mundurek, wysłaliśmy dokumenty i powiedzieliśmy Molly, że właśnie tam będzie chodziła. Osiemnaście szesnaście. W tysiąc osiemset szesnastym Argentyna ogłasza niepodległość. A propos, nie powinnyście już jechać na balet?
- Molly stwierdziła, że jej się nie chce, dałam jej więc spokój - wzruszyłam ramionami, jakby to był zupełnie normalna sytuacja w naszej rodzinie.
- Co się z tobą ostatnio dzieje? A może w ogóle wypiszemy dzieci ze szkoły? Całymi dniami będą oglądać Cartoon Network, a my będziemy trzymać kciuki, żeby na maturze dali pytania z *Atomówek*.
- Pozwolisz nam oglądać Cartoon Network? - zawołał radośnie Jamie, posyłając ojcu prostą piłkę.
- Nie! - odpowiedział David jednoznacznym lobem z forhendu.

- Coś ty, szkoła jest ważna - kontynuowałam ze spokojem. -Ale dlaczego nie mielibyśmy im trochę odpuścić? Co się stanie, jeżeli Molly od czasu do czasu nie będzie miała nic do roboty, jeżeli się trochę ponudzi, a wolne chwile spędzi tak, jak chce?

- Tato, grasz czy nie?

Roztargniony David znowu zaserwował, ale zbyt mocno, żeby Jamie mógł to odebrać.

- Cholera! Przez ciebie zdobyłem punkt. Powinno być: dziewiętnaście szesnaście. Tysiąc dziewięćset szesnasty: bitwa nad Sommą. Nie wiem, co się wydarzyło w tysiąc osiemset siedemnastym. Owszem, stanie się, bo oboje doszliśmy do wniosku, że pragniemy, aby Molly wyrosła na osobę w pełni ukształtowaną, która nie będzie mieć do nas pretensji, że nie daliśmy jej szansy spróbować baletu, nauczyć się grać na skrzypcach czy zrozumieć matematykę. A dzieciństwo to właśnie najlepszy okres na takie rzeczy. Jeżeli będziemy jej odpuszczać za każdym razem, jak jej się czegoś nie chce, to do niczego w życiu nie dojdzie. Dziewiętnaście siedemnaście. Tysiąc dziewięćset siedemnasty

Rewolucja październikowa!

- A gdzie miejsce na przyjemność, zabawę? Kiedy jest czas na to, żeby się zwyczajnie poobijać?

Kiedy ostatnio wpisaliśmy to do jej planu zajęć, co?

- My z Jamiem właśnie świetnie się bawimy. Gramy w ping-ponga, a Jamie przy okazji ćwiczy koordynację ręką--oko. Mówisz tak, jakbyśmy nigdy nie dawali im luzu, tylko ciągle gonili do nauki, a to nieprawda. Dziewiętnaście osiemnaście. Tysiąc dziewięćset osiemnasty. Zakończenie pierwszej wojny światowej.

- Dobrze. W takim razie, skoro Molly uznała, że dziś wieczorem balet to byłaby średnia przyjemność i woli odpocząć w domu, zamiast pakować się do auta i zasuwać na kolejne zajęcia w swoim napiętym kalendarzu, to ja nie mam nic przeciwko temu.

W związku z tym, że ojciec był już dość rozkojarzony i zirytowany, Jamie posłał mu podkręcaną piłkę tuż nad siatką, która tak zmyliła Davida, że rzucił się zupełnie nie w tę stronę, co trzeba, i przy okazji boleśnie walnął biodrem o kant stołu.

- Dwadzieścia osiemnaście! - zawołał triumfująco Jamie. - W dwa tysiące osiemnastym tacie wstawiają nowe biodro!

Nazajutrz rano kontynuowaliśmy dyskusję. Właśnie wróciłam ze szkoły, dokąd odwoziłam Jamiego i Molly Sprzątając bałagan ze stołu, zauważyłam, że David przygląda się drobnym zmianom, jakie wprowadziłam do planu zajęć dzieci wiszącego na drzwiach lodówki.

- Co ty tu napisałaś, że co Jamie ma robić w poniedziałki między siedemnastą a osiemnastą?

- „Cokolwiek”.

- Nie rozumiem.

- To jego nowe zajęcie. Odwołałam francuski, bo się boję, że zaniedba „cokolwiek”.

- Co ty wygadujesz?

- Aha, a w czwartki, jeśli byłbyś uprzejmy spojrzeć, do planu Molly dodałam „podwójne cokolwiek”.

Chcę, żeby stała się w tym najlepsza w całej klasie. I zdała z tego egzamin w przedterminie.

- A co się stanie, jeśli nie będzie chciała robić „czegokolwiek”?

- No wiesz... Cokolwiek.

- Ja wiem, dlaczego tak się zachowujesz. To przez Williama, tak?

- O czym ty mówisz?

- Posłuchaj, nie będziemy nagle zmieniać całego etosu wychowania naszych dzieci tylko dlatego, że William został zmuszony spojrzeć na Battersea w nowym, idealistycznym świetle.

- To nie ma z tym nic wspólnego.

- Oczywiście, że ma. Nie gadałby w ten sposób, gdyby ich dziecko nadal miało zaklepane miejsce w Chelsea College. Zobaczysz, jak tylko uda im się załatwić odwołanie, zbłąkane owieczki zaraz wrócą do stada.

- A jeśli nie załatwią, Kirsty pójdzie do szkoły razem z Ruby i jej koleżankami, a pomyśl, o ile lepszy byłby świat, gdybyśmy wszyscy chodzili razem do szkoły.
- Pewnie, zgadzam się. W idealnym świecie tak by się mogło zdarzyć, ale, niestety, nie żyjemy w jakiejś bajkowej krainie, tylko w centrum Londynu, a ty, jeśli masz ochotę, możesz sobie zmieniać świat, tylko nie wykorzystuj naszej córki jako forpoczty
- Och, dałbyś sobie na chwilę spokój z tymi wojskowymi skojarzeniami! Kompletnie mnie nie zrozumiałeś. Chodzi mi o to, że to byłoby dobre dla społeczeństwa i dla naszej córki. Jestem samolubną matką, chcę tylko tego, co najlepsze dla Molly Dlatego muszę być całkowicie pewna, że pójdzie do takiej szkoły, w której będzie naprawdę szczęśliwa. I nie jestem wcale przekonana, że to ma być właśnie ta szkoła, po której co wieczór będzie musiała ślepczeć dwie godziny nad książkami i będzie się czuła nikim, jeśli nie zda celująco wszystkich egzaminów i nie otrzyma bezwarunkowej propozycji z Oxfordu.
- Z Cambridge - sprostował mój mąż.
- Co, już postanowiłeś, na której z renomowanych uczelni będzie studiować nasza córka? Założę się, że nawet wybrałeś konkretny college! - To, że nagle zamilkł, było dowodem, że tą ironiczną uwagą trafiłam w dziesiątkę. - Zrobiłeś to! Zdecydowałeś, do jakiego college'u ma pójść Molly, czy tak?
- Nie... To znaczy... Ja tylko przeglądałem taką stronę w Internecie i była tam wzmianka o Trinity College w Cambridge, i pomyślałem, że byłby dla niej odpowiedni.
- Co to była za strona?
- Już nie pamiętam.
- Co to była za strona?
- **Feil! Hyperkoblingsreferansen er ugyldig..** Wiem, że ona jest dopiero w podstawówce, ale już teraz musimy zacząć myśleć o tych sprawach...
- Nie, musimy unikać myślenia o tych sprawach, ponieważ dziecko to wyczuwa i zaczyna czuć presję. Dopóki nie znalazłam się w skórze jednego z naszych dzieci, nie zdawałam sobie sprawy, że my je

zmuszamy, aby się zachowywały jak dorośli. Dlatego chcę, żebyśmy dokładnie wiedzieli, co robimy, zanim ją wyślemy do Chelsea, bo kiedy ona już wpadnie w te tryby, nie zdoła się zatrzymać, aż minie jej dzieciństwo.

David nie zdążył odpowiedzieć, bo w tym momencie zadzwonił dzwonek do drzwi i wyszłam do przedpokoju, mrużąc coś pod nosem. Czemu wciąż odczuwam ten straszny niepokój, skoro moje odwieczne marzenie w końcu się spełniło? Może za długo żyłam pod zbyt dużym ciśnieniem i ta nagła zmiana spowodowała u mnie chorobę dekompresyjną? Czy o to w tym wszystkim chodzi? O czysto fizyczną potrzebę ciągłego zamartwiania się o cokolwiek? Trawa na szkolnych boiskach z przeszłości zawsze wydaje się bardziej zielona, a raczej wydawałaby się, gdyby ich wiele lat temu nie sprzedano deweloperom.

Wytarłam ręce w fartuch i otworzyłam drzwi. Przede mną stała wysoka i efektowna ciemnoskóra kobieta.

- Jestem matką Ruby - przedstawiła się.
- Och, nareszcie! Od tak dawna chciałam panią poznać!
- Kto przyszedł? - zawołał David.
- To mama Ruby! Chodź, przywitaj się.

Musiała być dobre dwadzieścia centymetrów wyższa ode mnie i miała na sobie czerwoną, skórzaną kurtkę. Podobieństwo było wyraźne, ale o ile twarz Ruby była jasna i pogodna, o tyle twarz jej matki była surowa i zdradzała napięcie.

- Miałam nadzieję, że w końcu uda nam się spotkać - kontynuowałam. - Ruby to takie cudowne dziecko. David dołączył do mnie, ale nasze życzliwe uśmiechy nie zostały odwzajemnione.
- Pani ukradła miejsce mojej córce - wyrzuciła z siebie.
- Słucham?
- Ukradła je pani. Ruby mi powiedziała, że na egzaminie do Chelsea College siedziała pani obok niej przebrana za własną córkę.

- Zaraz, chwileczkę - przerwał David.

- Nic dziwnego, że dostała stypendium! Skoro pani odebrała je Ruby, odpisując od niej wszystkie zadania.

Wtedy właśnie spostrzegłam Ruby, która czekała na chodniku, usiłując bezskutecznie schować się za latarnią.

- To jakieś absurdalne oskarżenia - powiedział David. - Nikt pani w to nie uwierzy.

- Tak pan sądzi? - odparła. - Dobrze. W takim razie natychmiast jadę do Chelsea i im to powiem.

Alice Chaplin - więzień nr FG 489775
Sekrety odpowiedzialnego rodzicielstwa.
Jak zapewnić dziecku najlepszy start w życiu

Sunrise Books
Cena: 6,99£

Dzieci uczą się na przykładach, a najlepszy sposób, żeby ułatwić swojemu dziecku życiowy start, to dać się zamknąć za oszustwo. Nic nie pobije tych drogocennych chwil, które spędzicie na wspólnym czytaniu książek podczas comiesięcznych odwiedzin w więzieniu Holloway. Widok mamy, która zostaje skazana za próbę zdefraudowania pieniędzy z charytatywnego funduszu powierniczego, nauczy je tych wszystkich wartości i zasad moralnych, w które zawsze chciałaś je wyposażyć na przyszłość. Nagłośniony proces, w czasie którego w prasie nieustannie będzie padało nazwisko dziecka, uczyni cuda z jego poczuciem własnej wartości, zwłaszcza gdy świat się dowie, że, twoim zdaniem, przebranie się za odrażającego, pryszczatego dziwoląga to najlepszy sposób na upodobnienie się do jedenastoletniej córki.

Byłoby znacznie korzystniej, gdyby i ojciec stał się współwinnym przestępstwa! Jeśli i on dostałby wyrok pozbawienia wolności, to twoje dzieci przy odrobinie szczęścia mogłyby przejść pod opiekę służb społecznych, co - jak powszechnie wiadomo - zapewni im stabilne i pełne miłości środowisko, w którym będą mogły się bez przeszkód rozwijać i osiągać liczne sukcesy!

- No! Szybciej! - krzyczał David przez te kilka ciągnących się w nieskończoność sekund, kiedy czekaliśmy, aż otworzy się elektryczna brama wjazdowa. Siedział za kierownicą w pozycji charta, który czeka w boksie na start do wyścigu. Uruchomił silnik i ruszył z piskiem opon, gdy tylko szpara między skrzydłami zrobiła się wystarczająco szeroka. Spod buksujących kół poleciał żwir i obsypał drzwi wejściowe.

- Musimy tam zdążyć przed nią.

- Co im powiemy?

W cichości ducha wciąż liczyłam na to, że jest jakiś inny sposób wybrnięcia z tej sytuacji, bez konieczności przekraczania progu tej najmroczniejszej ze smoczyc jam, czyli gabinetu pani dyrektor. Miałam koszmarną wizję, że stoję przed jej biurkiem, milcząc jak zaklęta i gapiąc się w podłogę, a pani dyrektor po raz nie wiadomo który każe mi się wytłumaczyć.

- Powiemy, że wszystko zmyśliła. Do tego stopnia bywają zdesperowani niektórzy rodzice, kiedy zależy im na umieszczeniu dziecka w konkretnej szkole. To są właśnie metody, do jakich się uciekają. Wymyślają niestworzone historie.

Samochód zmieniał biegi z gardłowym rykiem, kiedy David pruł na pełnym gazie po długim, prostym torze wyścigowym Oaken Avenue. Jakaś kobieta z wózkiem właśnie miała przejść przez ulicę, ale musiała się cofnąć i głośno nam wygrażała, gdy ją mijaliśmy.

David miał rację. Jeśli pierwsi dotrzemy do Chelsea College, będziemy mogli ostrzec dyrektorę, że pewna zdesperowana matka rozgłasza jakieś szaleńcze oskarżenia. Powiemy jej, że kosztuje nas to wiele nerwów i że chcieliśmy

ją tylko ostrzec, aby podjęła jakieś kroki, żeby ochronić dobre imię szkoły. A później, kiedy matka Ruby już tam wpadnie, pani dyrektor potraktuje ją ze sceptycyzmem i może nawet wrogością.

Pomyślałam też, że lepiej by było, gdyby to wszystko załatwił David, a ja bym zaczekała w wozie.

- A co to były za bzdury z tym odpisywaniem zadań od Ruby? Ta kobieta jest chyba nienormalna - powiedział David, pędząc boczną uliczką.

- Yyy... Tego... Prawdę mówiąc, kilka zadań odpisałam...

- CO? - spojrzał na mnie. Jakiś kierowca zatrąbił i David gwałtownie skręcił kierownicą, żeby uniknąć zderzenia. - Zerznęłaś odpowiedzi od Ruby?

- Tylko kilka. Co trudniejsze zadania z matematyki.

- Ale to jest oszustwo - powiedział, jakby ta dorosła kobieta, która wtedy udawała dziecko, przekroczyła jakąś granicę moralności.

Wyjechaliśmy na główną drogę.

- Dzięki Bogu! - odetchnął David, widząc, że ruch odbywa się płynnie. - Będziemy tam za pięć minut.

- Nadal twierdzę, że powinniśmy najpierw zadzwonić...

- Nie, dyrektorka mogłaby być na jakimś zebraniu i umówiliby nas za tydzień albo i później, a w tym czasie matka Ruby już by zrobiła awanturę. Ze ściągałaś od jej córki!

- O Boże, to ona! - krzyknęłam. Przed nami na chodniku stała matka Ruby i czekała z córką na autobus. Nagle poczułam, że być może wszystko nie pójdzie tak łatwo, jak się spodziewamy. Przejechaliśmy dokładnie obok nich. Uzmysłowiłam sobie, że kiedy się zbliżaliśmy, zasłoniłam twarz ręką, żeby mnie nie rozpoznały. Jednak matka Ruby nie była zainteresowana przejeżdżającymi samochodami. Jej twarz wciąż wyrażała złość, ale ja, widząc, jak stoją tam zupełnie bezradne, poczułam cień litości pomieszany z wyrzutami sumienia. Stwierdziłam, że chyba nie warto proponować Davidowi, żeby się zatrzymał i zaoferował podwiezienie. Byłyśmy dwiema

matkami, które biorą udział w karkołomnym wyścigu, tyle że ona była zmuszona korzystać z transportu publicznego. Jej bezsilność aż biła po oczach. Pani Osafo mogłaby równie dobrze być przykuta do przystanku łańcuchem. To tutaj przebiega linia frontu - masywna limuzyna z napędem na cztery koła przeciw miejskiemu piętrusowi. Transport publiczny przeciw prywatnemu, przeszłość przeciw przyszłości. O żadnej równowadze sił nie może być mowy.

Obiektywnie rzecz biorąc, wiedziałam, że to ona ma rację, a nie ja, ale uważałam, że mam w ręku kartę, która liczy się bardziej niż jakiegokolwiek normy etyki społecznej - byłam matką, która robi to, co jest najlepsze dla jej dzieci. To był ten as atutowy bijący wszystkie inne karty w talii. A jednak, kiedy je minęliśmy, poczułam, że cała drzę. Jakby moje wnętrze znalazły się w epicentrum jakiegoś potwornego trzęsienia ziemi, na styku dwóch ścierających się płyt tektonicznych. W jednym świecie byłam osobą, która zaledwie asystowała córce podczas ważnego egzaminu, a potem była na tyle miła, że pomogła jeszcze innemu dziecku. Ale w tym drugim świecie, który właśnie z impetem wdzierał się do mojej świadomości, ograbiłam pokrzywdzone społecznie dziecko z jedynej szansy na zdobycie prestiżowego wykształcenia, oszukiwałam i okłamywałam własną córkę, a teraz to wszystko miało zostać ujawnione, a ja publicznie skompromitowana.

- Szybciej! Zrób coś! - popędzałam Davida, kiedy utknęliśmy za jakąś ciężarówką. - Wyprzedź go od wewnętrznej strony!

- Cholera! - zaklął David, spojrzawszy w lusterko. - Ich autobus właśnie przyjechał.

Odwróciłam się i ujrzałam autobus linii 137; ten, którego trasa wiedzie prosto do Chelsea. Kiedy Ruby i jej matka wsiadały do środka, my wciąż byliśmy sporo ponad sto metrów przed nimi.

- Na szczęście on się musi zatrzymywać na przystankach. Na pewno będziemy na miejscu dużo wcześniej - powie-

działam. - Jak ona mogła być tak głupia, że najpierw przyszła do nas?

- Wiesz, kierowała się emocjami, nie rozumem. Jak typowa kobieta. CO TEN KRETYN WYPRAWIA?! - wrzasnął mój mąż, hamując gwałtownie, gdy tymczasem sznur samochodów przejeżdżał płynnie na sąsiednim pasie. - Aaa, teraz łaskawie włączył kierunkowskaz... Co za dupek! Na szczęście David znał jakiś tajemny kod, który przydaje się w takich sytuacjach i nadał specjalny sygnał, mający oznaczać: „Kierowca za tobą prosi o jak najszybsze zjechanie z drogi”. Polegało to naciśnięciu klaksonu i trzymaniu go tak w nieskończoność.

- Nie możesz się jakoś wcisnąć?

- Nie mam gdzie.

Auta nieustannie śmigają obok nas, a autobus był coraz bliżej. Wtedy zobaczyliśmy, że z kabiny ciężarówki wysiada facet i idzie w naszą stronę.

- Jakiś problem, kolego? - odezwał się agresywnym tonem. - Mam ci sklepać maskę?

Po chwili zastanowienia David doszedł do wniosku, że nie skorzysta z tej niewątpliwie kuszącej propozycji. Wyznawał żelazną zasadę, że nie należy wdawać się w dyskusje z osobnikami, którzy mają wytatuowane pajęczyny na karku. Szybko wycofał samochód i teraz udało mu się wreszcie wcisnąć na sąsiedni pas, lecz autobus tymczasem zdążył nas wyprzedzić.

Przed nami zobaczyłam chłopczyka, który szedł chodnikiem razem z mamą. Serce mi zamarło, gdy zbliżali się do przejścia dla pieszych uruchamianego przyciskiem. Nie ma takiego dziecka na świecie, które przeszłoby obojętnie obok guzika, nie przyciskając go. I rzeczywiście, gdy chłopczyk znalazł się na wysokości słupa, jego mały wskazujący paluszek uruchomił zmianę światła. Maluch nawet się nie obejrzał, gdy land rover discovery zahamował z piskiem opon, a siedzące w środku małżeństwo wykrzykiwało na prawo i lewo różne

brzydkie słowa. David nerwowo bębnił palcami po kierownicy: dziesięć sekund, dwadzieścia - bez sensu włączone czerwone światło wciąż nie chciało się zmienić. Nagle rozejrzał się dookoła, żeby sprawdzić, czy w pobliżu nie stoi policja, i ruszył przed siebie. Jadący za nami starszy pan odruchowo zrobił to samo, ale zaraz się zorientował, że coś jest nie tak, i wystraszony zahamował.

Znajdowaliśmy się jakieś sto metrów za autobusem pani Osafo. Drażnił się z nami, zatrzymując się na przystanku, żeby zabrać następnych pasażerów. Później kulturalnie włączył kierunkowskaz, ale wyobraźcie sobie, że jakiś kretyn w ciężarówce zatrzymał się, żeby mu ustąpić pierwszeństwa. Co za egoista! Ciężarówka miała z tyłu naklejkę z napisem „Jeżeli uważasz, że jeżdżę niebezpiecznie, dzwoń pod numer...” i tu widniał darmowy numer telefonu jakiegoś organu kontroli drogowej, pod który można zadzwonić z komórki, jeśli się takiego delikwenta przyłapie, jak usiłuje jechać szybciej od ciebie. Miałam ochotę to zrobić. „Kierowca tej ciężarówki jeździ w sposób zupełnie nieodpowiedzialny, właśnie się zatrzymał, żeby przepuścić autobus”.

Droga przed nami rozszerzała się na dwa pasy. Prawy był zakorkowany. Posuwał się nim sznur prywatnych samochodów. Z kolei lewy był przeznaczony dla autobusów i jechał nim tylko autobus pani Osafo, zmierzając prosto do Chelsea College. Na Grand Prix w Monako nie mają takich problemów. Właśnie z zakrętu wyłania się Schumacher w ferrari, ale - och! - trafił na godziny szczytu, a między 7.00 a 21.00 nie wolno poruszać się pasem dla autobusów i oto nagle wyprzedzają go emeryci udający się na zakupy dużym, czerwonym piętrem...”

Transport publiczny powiększał swoją przewagę, gdy transport prywatny w ogóle się nie poruszał.

- Zjedź na lewy pas! Na lewy pas! - krzyczał David na samochód, który blokował nam drogę.

Transport publiczny spokojnie przejechał na zielonym świetle, transport prywatny

nerwowo wciskał pedał gazu w nadziei, że to nieco przyspieszy ślimacze tempo. Pusta strona jezdni rozciągała się przed nami niczym jakaś ekskluzywna aleja dla VIP-ów, ale leming, który włókł się przed nami, zamiast przekroczyć Rubikon w postaci białej linii oddzielającej nieużywany pas jezdni, cierpliwie, centymetr po centymetrze posuwał się naprzód, żeby zająć miejsce w korku, który ciągnął się w siną dal.

W końcu David zdołał wjechać kołami na chodnik tak, żeby ominąć ciężarówkę, i skręcił na pas dla autobusów. Teraz mógł spokojnie wyprzedzić z lewej strony cały sznur cierpliwie posuwających się do przodu samochodów. Biorąc pod uwagę, że do Sloane Street jest jeszcze sześć przystanków, wkrótce wyprzedzimy autobus i będziemy w Chelsea dużo wcześniej. Nic nas nie zatrzyma. Właśnie w tym momencie na jezdnię wkroczył policjant w odblaskowej kamizelce i dał nam jasno do zrozumienia, że mamy stanąć. Być może David przez chwilę rozważał, czy go nie przejechać, ale mimo że naruszyliśmy już dopuszczalne granice moralności, najpewniej uznał, że byłoby to jednak o jeden krok za dużo.

Do Chelsea College dotarliśmy dwadzieścia minut później.

- Pamiętaj, musimy zachowywać się spokojnie i przytomnie - powtarzał David, gdy wbiegaliśmy do recepcji. - Jeżeli ona tam siedzi i się awanturuje, to nam może pomóc, kiedy przyjdzie skonfrontować nasze słowa przeciwko niej.

- Wygląda na to, że wszystko dokładnie przemyślałeś. Jesteś pewien, że nie chcesz tego załatwić sam? Ja bym zaczekała w samochodzie...

Okazało się, że pani Osafo i Ruby siedziały w gabinecie dyrektorki dopiero od kilku minut. Sekretarka stanowczo nie chciała nas tam wpuścić, ale David nalegał, mówiąc, że przyszliśmy pomóc w wyjaśnieniu pewnego nieporozumienia, o którym właśnie toczy się rozmowa w gabinecie. Za drzwiami odbyła się krótka, stłumiona wymiana zdań i nagle ukazała się w nich uśmiechnięta pani Reynolds z wy-

ciągniętą ręką. Gdyby nie to, że była pełnia lata, całą szkołę można by ogrzać zarem, który bił od mojej coraz bardziej czerwonej twarzy

- Państwo Chaplin, jakże miło państwa znów widzieć - przywitała się rozpromieniona, chociaż Davida widziała pierwszy raz w życiu. - Zdaje się, że mamy kolejnego rodzica, który wysuwa dosyć poważne oskarżenia dotyczące egzaminu państwa córki. Jeśli państwo pozwolą, skończę tylko rozmawiać z panią, o której mowa, a później zapraszam, może zamienimy parę słów?

Zabrzmiało to złowieszczo. David spojrział na mnie i powiedział:

- Cóż, jeżeli pod naszym adresem wysuwane są fałszywe oskarżenia, to myślę, że mamy prawo je usłyszeć.

- Hm... pani Osafo przyszła z córką. Nie powinniśmy jej narażać na oglądanie nieprzyjemnych scen. Wydawało mi się, że dostrzegam wyjście z tej sytuacji.

- A może byłoby lepiej, gdyby mąż wszedł tam sam, a ja zaczekałabym w samochodzie?

- Z drugiej strony - kontynuowała pani Reynolds - pani Osafo wydaje się raczej spokojna, a z tego, co zdążyłam zaobserwować, wszelkie animozje zazwyczaj znikają, kiedy ludzie decydują się na spotkanie twarzą w twarz i przedyskutowanie problemu.

I tak drzwi się otworzyły. Gabinet wzywał, a ja, przestę-pując próg, wzięłam głęboki oddech.

Świadkowie oskarżenia już zajęli miejsce po przeciwnej stronie. Pani Osafo siedziała obojętna i niewzruszona, a Ruby próbowała ukryć skrepowanie, ale wychodziło jej to jeszcze gorzej niż mnie.

- Dzień dobry, Ruby - powiedziałam możliwie neutralnym tonem.

- Dzień dobry - odparła, tym razem bez uśmiechu. Obok pani Reynolds siedział protokolant sądowy, pan Worrall, jej neurotyczny zastępca, którego zapamiętałam z poprzedniej wizyty w szkole. Gestem wskazał nam krzesła, ale dopiero wtedy, gdy jego szefowa zaproponowała, żebyśmy usie-

dli. Wreszcie sędzia Reynolds zajęła swoje miejsce i wzięła głęboki oddech, przygotowując się na niezwykle trudne przesłuchanie. Co się stanie, jeżeli tu, na tej sali sądowej zostanę uznana za winną? Czy pani Reynolds założy na głowę czarny biret i odczyta wyrok? Czy brukowce okrzykną mnie najbardziej zwyrodniałą kobietą w Wielkiej Brytanii? Czy na zewnątrz będzie czekał tłum grubasów, żeby mnie opluć, kiedy będę wsiadała do radiowozu z płaszczem zarzuconym na głowę?

- Tak... Rozumiem, że pani Osafo wyjaśniła już państwu naturę swoich oskarżeń...

- Tak - zeznał David.

- Tak - potwierdziłam.

Zapadła niezręczna cisza. W oddali zawyła syrena policyjna. David odchrząknął. Żadne z nas nie wiedziało, od czego zacząć.

- To może ja zaparzę herbatę? - zaszcebiotał zniecierpliwiony pan Worrall, wstając z krzesła. - Herbatki, pani Chaplin? - Yyy... Nie, dziękuję.

- A dla pana? Kawa czy herbata?

- Dziękuję, nic.

- Pani Osafo, jak pani najchętniej pija herbatę?

- Z mlekiem i cukrem.

- Z mlekiem i cukrem. Już się robi.

- Ale ja teraz nie chcę herbaty, dziękuję.

- Ach tak... - stropił się pan Worrall i usiadł z powrotem. - Ty, Ruby, zapewne jeszcze nie pijasz herbaty, co? - Poproszę - odparła, a ja poczułam się z niej dumna, że pan Worrall musi się znów podnieść i włączyć czajnik, żeby zrobić herbatę dla tej jedenastolatki. Zauważyłam, że pani Reynolds przyłożyła palce do skroni, jak gdyby usiłując się na nowo skupić w hałasie brzęczących naczyń dobiegającym z drugiego końca gabinetu.

- A więc zapoznaliście się z zarzutami obecnej tu pani Osafo i jej córki, i z tego, co zdążyłam usłyszeć na korytarzu, w całości temu zaprzeczacie, czy tak?

David budził jednocześnie podziw i strach. Zamiast się oburzać, zachowywał się raczej jak wyrozumiały pracownik opieki społecznej - bardziej zatroskany niż rozgniewany.

- Proszę pani, tak jak każda inna rodzina mamy świadomość, jakim ogromnym stresem są dla dzieci te wszystkie testy i egzaminy. Przez ostatnie kilka miesięcy zdążyliśmy poznać siedzącą tu Ruby i jesteśmy pewni, że musiało być jej ciężko patrzeć, jak Molly, która i tak już tyle dostała od życia, zdobywa tak pożądane stypendium Chelsea College. Nie wydaje mi się, żeby Ruby celowo kłamała, sądzę raczej, że próbuje sobie w ten sposób poradzić z rozczarowaniem i w mówiła sobie, że została oszukana. To zdumiewająco powszechne zjawisko...

Ta wypowiedź zdawała się całkowicie przekonywać panią Reynolds. Kiedy David mówił, kiwała potakująco głową, ale twarz jej spochmurniała, gdy wtrąciła się mama Ruby

- Znam moją córkę i wiem, że ona nie kłamie.

- Wydaje mi się, że pan Chaplin chciał tylko powiedzieć, że dla Ruby nie było to kłamstwo. W jej umyśle cała ta sytuacja naprawdę się wydarzyła, ponieważ wtedy jest to dla niej mniej bolesne, niż gdyby musiała zmierzyć się z prawdą...

- Przepraszam - wtrącił się pan Worrall z drugiego końca pokoju. - Ruby, wygląda na to, że został nam tylko Earl Grey. Może być?

Pani Reynolds ścisnęła palcami czubek nosa i sprawiała wrażenie, jakby dostała potwornego ataku migreny. - Co to jest Earl Grey? - spytała Ruby.

- To zwykła herbata, tyle że z aromatem bergamotki.

- Co to jest bergamotka?

- Taki owoc, którego używa się do aromatyzowania... Cóż, na przykład herbaty Earl Grey całkiem ładnie pachnie.

- To ja poproszę.

- INNYMI SŁOWY... - kontynuowała pani Reynolds. - Innymi słowy.. Hm... przepraszam, teraz kompletnie zgubiłam wątek.

- Znam moją córkę, ona nie mogła sobie tego wymyślić. Ruby, powtórz pani to, co mi mówiłaś.

Ruby nerwowo zerknęła na mnie, a później wbiła wzrok w podłogę i zaczęła mówić cicho i powoli:

- Na egzaminie siedziałam koło pani Chaplin, tyle że ona nie wyglądała tak jak teraz. Była ubrana w dziecięce rzeczy i miała okulary, a także pryszczę na twarzy

- Ale mówiłaś, że to na pewno była ona? - ponaglała ją matka.

- Chwileczkę, pani wkłada swoje słowa w jej usta - zaprotestował David.

- To na pewno była pani Chaplin - powtórzyła Ruby, nie patrząc na mnie.

Pewność Ruby w połączeniu z tym dodatkowym szczegółem na temat mojego wyglądu niebezpiecznie przydały wiarygodności jej wersji. David poczuł się zmuszony przyjąć ryzykowną linię obrony, która, gdyby ktoś chciał ją zweryfikować, mogłaby nas pograżyć.

- Cóż, mogę tylko powiedzieć, że nasza córka bardzo dokładnie pamięta, jak siedziała na sali egzaminacyjnej, a ja pamiętam, jak ją tutaj przywiozłem, a następnie odwiozłem do domu. A więc pytanie, kto tu mówi prawdę... Jeśli trzeba, mogę pojechać po Molly do szkoły i będzie ją pani mogła sama zapytać...

Pani Reynolds przez moment rozważała to w myślach. To była najstraszniejsza sekunda w moim życiu.

- Nie, nie sądzę, żeby to było konieczne...

- Biskopta, Ruby?

- Nie, dziękuję.

- Ruby, znasz jeszcze inne dzieci, które dostały stypendium? - zagadnął David.

- To znaczy?

- Czy oprócz Molly znasz jeszcze kogoś, kto dostał się do Chelsea. Może ktoś od ciebie ze szkoły, jacyś sąsiedzi, koleżanki?

-Nie.

- Czy to nie przypadek, że osoba, której dotyczą twoje oskarżenia, jest równocześnie jedyną znaną ci osobą, która dostała się do tej szkoły?

Na moment zapadła cisza. Zdaje się, że na pani Reynolds ten argument zrobił odpowiednie wrażenie.

- A jakie to ma za znaczenie? - przerwała pani Osafo. - Musi panią znać, żeby mogła panią rozpoznać? Pani zabrała jej miejsce w szkole i my chcemy je odzyskać...

Dyrektorka musiała interweniować, żeby temperatura dyskusji zbyt nie wzrosła.

- Pani Osafo, przypominam, że to jest bardzo poważne oskarżenie i w wielu szkołach w ogóle by pani tu nie zaproszono i nie miałyby pani okazji przedstawić swojej wersji wydarzeń.

- Nikt mnie nie zapraszał, sama przyszedłam.

- No tak, ale chodzi o to, że musimy postępować...

- Przepraszam, Ruby, z mlekiem i cukrem? - zawołał pan Worrall.

- Tak, proszę.

- To znaczy: i z mlekiem, i z cukrem, tak?

- Tak, proszę.

- Musimy postępować...

- Ile kostek?

- Dwie.

- Co to ja chciałam powiedzieć... - zmarszczyła brwi pani Reynolds.

- Pani nawet nie potrzebuje tego stypendium. Pani już ma duży dom i drogi samochód. Co to za sens dawać stypendia bogatym?

- Och, nie. Widzę, że ta rozmowa zaczyna się przeradzać w coś bardzo nieprzyjemnego. Miałam nadzieję, że uda nam się tego uniknąć. To jest całkowicie osobna kwestia, pani Osafo. Dość powiedzieć, że szkoła nie jest zainteresowana wtrącaniem się w sprawy finansowe rodziców - ostry ton pani

Reynolds wyraźnie udowodnił, że jest skłonna wziąć naszą stronę w tym sporze. Chyba jesteśmy uratowani.

Pan Worrall postawił filiżankę z herbatą przed Ruby, a ona cicho podziękowała. Zdaje się, że to wszystko, co mogła jej zaoferować szkoła Chelsea College.

David zadał konstruktywne pytanie:

- A nie ma czegoś takiego, jak częściowe stypendium, które mogłoby objąć Ruby, skoro była tak blisko?

Doskonale wiedział, że nie.

- Ona nie chce żadnego częściowego stypendium, chce pełne - warknęła mama Ruby.

- Jestem pewna, że każdy by chciał, aby mu w całości zrefundować opłaty za naukę, ale fakty są takie, że Ruby zdobyła na testach dziewięćdziesiąt jeden procent, a Molly uzyskała zupełnie niesłychany wynik: sto procent!

- Sto procent! Żadne dziecko nie jest w stanie uzyskać Sto procent! Czy to nie wydało się wam podejrzane?

To był celny strzał. Przez moment David poczuł się zbity z tropu, więc ja się włączyłam.

- Właśnie że Molly jest bardzo zdolnym dzieckiem - podkreśliłam z dumą. - Kiedyś cała klasa miała napisać wiersz pod tytułem *Moja mama* i Molly dostała za niego ocenę celującą! Noszę ten wiersz ze sobą, mogę udowodnić, jeśli pani chce - Wyjęłam z torebki sfatygowaną kartkę i wskazałam ocenę wypisaną u dołu czerwonym flamastrem. - Widzi pani? A więc nic dziwnego, że jej tak świetnie poszło na egzaminie.

- No to chyba mamy dowód - powiedziała pani Reynolds. Punkt dla mnie. Jesteśmy bezpieczni.

- Ja myślę. To najwyższy stopień, jaki można dostać... Ten wiersz był nawet odczytany na zebraniu.

- Nie, miałam na myśli charakter pisma Molly - dodała spokojnie dyrektorka. Połączyła się z sekretarką. - Meg, możesz mi wydobyć z archiwum pracę egzaminacyjną Molly Chaplin? To jedna z naszych nowych stypendystek. Dzięki.

„Molly Chaplin, dobrze, zaraz przyniosę”, odezwał się zniekształcony głos w głośniku telefonu. Taki obrót spraw na moment mnie dezorientował, ale wyczuwając, że to niekoniecznie może zadziałać na naszą korzyść, zerknęłam nerwowo na Davida. Cała krew odpłynęła mu z twarzy. Nie widziałam go w takim stanie od czasu, gdy wyrzuciłam jego wszystkie czarne płyty na strych.

- Wystarczy, że porównamy charakter pisma na arkuszu egzaminacyjnym z tym na kartce - powiedziała pogodnie pani Reynolds. - W ten sposób raz na zawsze zamkniemy ten niefortunny incydent, prawda?

Zdaje się, że nawet próbowałam coś powiedzieć, ale głos uwiązł mi w gardle. Wydobyłam z siebie zdławiony pomruk, który w zamierzeniu miał być radosnym, potakującym „Mmm!”, ale zabrzmiał raczej jak jęk starego psa przed uśpieniem.

- Mogę zobaczyć ten wiersz? - poprosiła dyrektorka. David usiłował wymyślić, co powiedzieć, ale żadne słowa

nie przychodziły mu do głowy. Na przemian otwierał i zamykał usta, niczym ryba wyrzucona na pokład. Ja, trzymając kurczowo w dłoni kartkę pokrytą okrągłym, dziecięcym pismem Molly, próbowałam się jakoś wykręcić.

- Ale... Wie pani... Ona to pisała jakiś czas temu, a przecież u dzieci charakter pisma bardzo się zmienia, prawda?

- Wcale nie tak bardzo, zdziwiłaby się pani... - Dyrektorka trzymała wyciągniętą dłoń, a ja tak mocno ścisnęłam kartkę, że groziło jej przedarcie na pół.

- Chodzi o to - zaczął David - że to jest dosyć osobisty wiersz, opowiadający o miłości córki do matki i myślę, że powinniśmy uszanować prywatność Molly.

- Właśnie! - przytaknęłam, spoglądając z wdzięcznością na Davida.

- Wydawało mi się, że pani wspominała, że był odczytany na zebraniu?

Pani Reynolds jeszcze raz wyciągnęła rękę, żeby chwycić kartkę. Przez krótką chwilę patrzyliśmy sobie w oczy

Dyrektorka uśmiechała się do mnie, a ja wciąż nie wypuszczałam kartki z dłoni. W tym momencie otworzyły się drzwi i weszła sekretarka.

- Mam teczkę z testami, ale nigdzie nie umiem znaleźć pracy Molly Chaplin.

„Dzięki ci Boże”, pomyślałam. Akurat wtedy, gdy najbardziej potrzebowaliśmy jakiegoś łutu szczęścia, niebiosa nam go zesłały. Obiecałam sobie, że już nigdy więcej nie zakwestionuję istnienia Boga.

- Ach, wybacz, Meg - powiedziała pani Reynolds. - No jasne, przecież testy stypendystów są u mnie w biurku.

Otworzyła szufladę i wyjęła z niej teczkę. Na samym wierzchu sterty arkuszy leżała praca podpisana nazwiskiem „Molly Chaplin”. Wielkie dzięki, panie Boże. Najwyraźniej się łudziłam, że jednak istnieje.

Pani Reynolds położyła na biurku kartkę z moim pismem.

- Przykro mi, że musimy to robić, ale każdą taką skargę należy rozpatrywać z największą starannością. Nie chodzi przecież wyłącznie o miejsce w szkole. W grę wchodzi tysiące funtów.

Spojrzałam bezradnie na Davida. Ponieważ żadne z nas nie wiedziało, jak wybrnąć z tej samobójczej sytuacji, zdobyłam się na wymuszony uśmiech i powoli podsunęłam wiersz.

Pani Reynolds położyła obie kartki obok siebie. Wiedziałam, że nie istnieją dwie bardziej różniące się od siebie próbki pisma. No, chyba że Molly pisałaby hieroglifami. W sumie była blisko, zważywszy na tę „bużkę” zdobiącą literkę „O” w nagłówku. Jednak o żadnym podobieństwie nie mogło być mowy. Moje drobne, pochylone pismo obok okrągłych literek Molly. Moje wysmukłe spółgłoski obok jej niesfornych, pękatych samogłosek. Różny był też kolor atramentu, ale uznałam, że byłaby to z mojej strony ewidentna desperacja, gdybym zwróciła na to uwagę.

- Cóż - powiedziała pani Reynolds, studiując dowody rzeczowe. Pani Osafo wyciągała szyję, jak mogła, ale nie była w stanie nic dostrzec. Zbierałam siły, przygotowując się na reakcję dyrektorki, i

przez ten ułamek sekundy miałam nadzieję, że może przynajmniej zamiast się wściec, okaże rozczarowanie.

- Tak, no więc... Nie widzę tu zbyt dużych różnic. - Gwałtownie zamrugła oczami. - Tak, biorąc pod uwagę inny kolor atramentu i upływ czasu, i w ogóle... - Powieki drgały jej nerwowo. - Tak, tak, wszystko idealnie się zgadza.

- Mogę zobaczyć? - spytała pani Osafo.

- Nie, wolałabym uniknąć przedłużania tej dyskusji, a jak powiedziała pani Chaplin, to bardzo osobisty wiersz napisany przez dziecko do matki i uważam, że powinniśmy to uszanować... A więc to nam wyjaśnia sprawę, taaak... Świetnie, muszę przyznać, że ten dowód zupełnie mi wystarcza. Przepraszam za te wszystkie nieprzyjemności.

- A więc to wszystko, tak? - spytała pani Osafo. - Uwierzyła jej pani? Ten wiersz niczego nie dowodzi, mogła go sama napisać.

- Nie w tym rzecz, pani Osafo. Szczęję się opinią osoby, która bardzo dobrze zna się na ludziach. To jedna z cech, które pomagają Chelsea College ustanawiać wysokie standardy, z których jesteśmy tak dumni.

W tym momencie Ruby głośno wypluła do filiżanki pierwszy łyk Earl Greya.

- Faj, to smakuje jak płyn do naczyń! - oznajmiła.

- Ależ nie, to ma taki smak - pośpieszył w wyjaśnieniu pan Worrall.

- Nie smakuje mi.

- To nic, nie przejmuj się. Odstaw na stolik.

Pani Reynolds uniosła oczy ku górze, nie mogąc uwierzyć, jak można marnować czas na takie błażostki. Była już mocno zirytowana. Pan Worrall uznał, że to najlepszy moment, aby zaproponować pani Osafo jakieś wyjście z sytuacji.

- Ruby, tłumaczmy ci przecież, że prawdopodobnie byłaś tak rozczarowana z powodu nieotrzymania stypendium i że to wpłynęło na twoją pamięć. Mogło ci się tylko wydawać, że na egzaminie siedziała obok ciebie pani Chaplin.

Ruby milczała. Pan Worrall pochylił się do przodu i splótł palce w nieco zbyt wymownym geście.

- Ruby, z wynikiem dziewięćdziesiąt jeden procent jesteś następna w kolejce po stypendium do tej szkoły. Ale jeżeli natychmiast nie wycofasz tego bardzo poważnego oskarżenia, pani Reynolds nie będzie w stanie zaproponować ci miejsca, jeśli takowe się zwolni. Rozumiesz?

-Tak.

Pani Reynolds spojrzała na niego, unosząc brwi, co sugerowało, że nie powinien się wyrywać.

- Pozwól, że zapytam jeszcze raz: czy jest możliwe, że się pomyliłaś? Ze widziałaś tam córkę pani Chaplin, która z oczywistych względów musiała bardzo przypominać swoją mamę? Czy tak właśnie było, Ruby?

Ruby spojrzała na mnie, potem na mamę i pokręciła głową.

- Nie. To była pani Chaplin - powiedziała cichym głosem. Odrzuciła swoją ostatnią szansę. Jedyne, co miała zrobić, to przyjąć to podsuwane jej, elegancko opakowane kłamstwo, które pozwoliłoby nam wszystkim wyjść z twarzą z tej sytuacji, ale ona wolała unieść się ponad to i wybrała trudniejszą drogę - postąpiła uczciwie. Nie mogę udawać, że mnie to nie poruszyło, niemal do łez. Zwłaszcza, że i jej zaczęło się zbierać na płacz. Nagromadzona frustracja z powodu tej niepojętej niesprawiedliwości w końcu musiała znaleźć ujście.

- Nikt mi nie wierzy, ale to prawda... - szeptała, a mama ocierała płynące jej po policzkach łzy. Pani Osafo miała w zanadru jeszcze jeden, ostatni argument.

- Gdybyśmy były białe, a ona czarna, wtedy byście nam uwierzyli, tak? - powiedziała, zbierając się do wyjścia.

- Słucham? - zamrugła znad okularów pani Reynolds.

- Gdybyśmy były białe i zgłosiły, że jakaś czarnoskóra rodzina popełniła oszustwo, wtedy uwierzylibyście nam, a nie im.

Pani Reynolds smutno pokręciła głową.

- Jestem bardzo rozczarowana, pani Osafo, że posądza nas pani o rasizm. Choć mnie to nie dziwi. Jeśli chce pani wiedzieć, mamy w szkole kilkoro kolorowych dzieci, między innymi syna ambasadora Nigerii i nawet specjalnie dla niego podjęliśmy trud podniesienia tablic na boisku do koszykówki. Więc to chyba dowodzi, że nie jesteśmy rasistami, zgodzi się pani ze mną, pani Chaplin?

Ruby wpatrywała się we mnie. Zrobiłam z niej kłamcę. W jej wypełnionych łzami oczach widać było już mniej optymizmu, jakby nagle ujrzała przed sobą wszystkie odmowy, jakich przyjdzie jej doświadczyć w całym życiu. Wydmuchwała nos w wyświechtaną chusteczkę i spojrzała na mnie tak, jakby mówiła: „Wiem, że pani wie, że ja wiem”.

- Prawdę mówiąc, nie najlepiej się czuję - powiedziałam.

- Tam stoi filizanka Earl Greya, jeśli to pomoże - zaproponował pan Worrall.

- Mamo, ja i tak nie chcę chodzić do tej szkoły - wyszeptała Ruby. - Zapisz mnie do Battersea.

- Dobrze, kochanie, chodź, pójdziemy już. Nic tu nie zwojujemy.

Ruby podreptała za matką i drzwi zamknęły się za nimi z trzaskiem. Pani Reynolds miała minę tak zawiedzioną jak nigdy.

- Nie, nie, nie - westchnęła. - Ta rodzina zupełnie nie odpowiada wizerunkowi Chelsea College.

- Zupełnie... - jak echo powtórzył pan Worrall.

- Do zobaczenia we wrześniu, państwo Chaplin... Mam nadzieję, że spotkamy się na zebraniu inauguracyjnym? I jeszcze jedno: nasza szkoła znana jest ze swojej dyskrecji, a jestem przekonana, że i państwo wesprą nas w tej kwestii. Aha, zwracam wiersz córki. To niesamowite, jak dzieciom może się zmienić charakter pisma! - dodała i zaśmiała się

konspiracyjnie. Ja jednak nie potrafiłam jej opowiedzieć tym samym. Zdobyłam w końcu swoją nagrodę, ale w moich rękach obróciła się ona w pył. Byłam jednocześnie zdenerwowana, oszołomiona i na dodatek zrobiło mi się niedobrze. Nagle zadzwonił dzwonek i chciałam tylko jak najszybciej stamtąd uciec.

Najzabawniejsze stwierdzenia dzieci.

Zbiór autentycznych cytatów uczniów szkoły podstawowej Spencer House

Notowała: Alice Chaplin

Cena: 6,99 £ (a właściwie bezcenne)

Jak to, macie tylko jeden dom? To gdzie mieszkanie w weekendy? (Bronwyn, lat 9)

Mamusiu, ta głupia dziewczyna ze schroniska wrzuciła mój ski-pass do pralki. (Julian, lat 9)

Molly nawet nie wie, czym się różni wałach od ogiera! (Jemima, lat U)

Jestem WE WSZYSTKIM lepsza od Kirsty i Molly. (Bronwyn, lat 10)

Ja dziękuję za ziemniaki, jestem na diecie Atkinsa. (Druscilla, lat 10)

Mamusiu, dlaczego niania nie może lecieć w tej samej części samolotu co my? (Charles, lat 7)

Mamusiu, Alice przed chwilą nazwała mnie zmanierowanym bachorem. (Bronwyn, lat U)

W końcu nadszedł wrzesień. Pierwszy dzień nowego roku szkolnego. Podjęliśmy decyzję, wybraliśmy szkołę - bez względu na nasze zastrzeżenia musieliśmy zrobić to, co będzie najlepsze dla Molly, a jej jest potrzebne odpowiednio szczęśliwe i bezpieczne środowisko do nauki, żeby zrównoważyć tę nerwowość rodziców bezustannie lękających się o jej edukację. Musiałam wybrać taką szkołę, która w przyszłości zrobi z niej dobrze wykształconą profesjonalistkę, żeby w razie czego było ją stać na umieszczenie mnie w przyzwoitym domu starców.

Poranny ruch na ulicach w czasie pierwszego w tym roku wyścigu do szkół wydawał się mniej agresywny niż zwykle - opaleni kierowcy świeżo po wakacjach promieniowali życzliwością, a na reflektorach aut wciąż tkwiły zaślepki z taśmy izolacyjnej - pozostałości wypraw na kontynent. Na zewnątrz groźny wiatr targał pstrokatymi platanami, wzbijał w powietrze reklamówki i zrzucił powykęcane gałęzie z liśćmi, które były jeszcze zbyt zielone, żeby opaść. W miarę zbliżania się do szkoły widziałam coraz więcej rodziców podążających z dziećmi w tym samym kierunku. Ukochane pociechy być może po raz ostatni pozwalały jeszcze mamom trzymać się za rękę. W końcu podjechałam pod gwarną i zatłoczoną bramę Chelsea College. Z dziesiątków innych aut o nietypowych rozmiarach wysiadały dzieci o mleczej cerze, ubrane w nowiutkie prążkowane bluzy. Trudno było sobie wyobrazić, że kiedykolwiek do nich dorosną. Jeden chłopak przyjechał taksówką sam i nonszalanckim gestem kazał kierowcy zatrzymać resztę. Siedziałam i obserwowałam przez chwilę tę scenę,

a później odwróciłam się i spojrzałam na puste miejsce na tylnym siedzeniu. Jednym z tych dzieci mogła być dzisiaj Molly. Mogła stać się członkinią tego prywatnego klubu dla rozpieszczanych wybrańców losu, ale dwadzieścia minut wcześniej zawiozłam ją do gimnazjum w Battersea.

Pocałowałam w czubek głowy, a następnie patrzyłam, jak lśniące, słodko pachnące włoski znikają w tłumie. Odjeżdżając, jeszcze raz z niepokojem obejrzałam się za siebie (widok częściowo przysłaniała mi kartka na tylnej szybie: „Na sprzedaż”), ale Molly już nie było. A później przyjechałam tutaj, żeby się na własne oczy przekonać, co straciłam. Jeszcze ostatni rzut oka na to obce plemię, do którego przez ostatnie dziesięć lat mimowolnie należałam. Oczywiście jakaś część mnie wciąż się zastanawiała, czy postąpiliśmy dobrze. Jadąc tego ranka do Battersea, dotarłam do ronda Queen's Circus, z którego skręca się na Chelsea Bridge.

- Mamo? - zapytała Molly. - Czemu czwarty raz objeżdżamy to rondo?

Trudno było przekonać Davida do tak radykalnej zmiany planów.

- Mówimy o Molly, naszej żywej, prawdziwej córce! - zakrzyknął w trakcie jednej z nocnych dyskusji.

- A nie jakiejś szmacianej lalce na kiju, którą wrzucimy do państwowej szkoły, żeby sprawdzić, co się stanie!

W końcu zrozumiałam, dlaczego tak go to wszystko złościło. Dlatego, że kompletnie nie wiedział, co robić. Ten facet zna więcej gołych faktów niż jakakolwiek ze znanych mi osób, ale gdy trzeba zdecydować, co będzie najlepsze dla naszych dzieci, odpowiedzi nie da się znaleźć na kartonikach *Trivial Pursuit - III Rzesza. Wydanie specjalne*. David po prostu musiał mi zaufać. A ja mogłam zaoferować jedynie swoją intuicję.

- Może i nie wiem, co jest stolicą głupiej Mongolii - powiedziałam do niego - ale wiem, co jest najlepsze dla naszej córki.

Na chwilę się uspokoił, ale nie mógł się powstrzymać, żeby nie mruknąć:

- Ułan Bator.

Chodząc i zwiedzając Battersea, po prostu czułam się podniesiona na duchu, niczym adoptowane dziecko, które odnalazło wreszcie swoich prawdziwych rodziców. Zaszokowała mnie hipokryzja pani Reynolds. Przypominała mi o mojej własnej ciemnej stronie. I w ten sposób doszłam do przekonania, że Battersea to jedyny możliwy wybór. Tak czy owak, ktoś już nam sprzątnął sprzed nosa tę małą rybacką chatkę na www.lundy-properties.com.

Oczywiście nadal nurtował mnie stary jak świat problem wielkości klas w szkołach państwowych. Klasa robotnicza po prostu za bardzo się rozrosła. Może powinno się zmodyfikować nieco program, żeby zachęcić większą liczbę ludzi z klasy średniej. Na przykład na zajęciach ze stolarstwa dzieci mogłyby się między innymi uczyć, jak sterzeć nauczycielowi nad głową, mówiąc: „Próbowaliśmy to zrobić sami, ale ta instrukcja jest taka skomplikowana...”. Egzamin na kartę rowerową wyglądałby po prostu tak, że dziecko wsiadłoby na kilkanaście minut na rowerek treningowy i pedałując, oglądało poranny program w telewizji. Szkolne obiady składałyby się z maleńkich porcji smażonego ogona żabnicy podawanych z sufletem ze szparagów, a dyżurni prowadziliby konwersacje przy stole na temat cen nieruchomości i tego, czy należy zabierać au pair na zimowe wakacje na nartach. Jednak Molly będzie teraz częścią społeczności złożonej z dzieci wszelkich możliwych kolorów skóry, wyznających odmienne religie i pochodzących z różnych warstw społecznych. Będzie mieć koleżanki i kolegów, dla których widok opiekunki przylepionej do tylnej szyby terenowej limuzyny obok golden retrievera nie jest całkowicie normalny. Pozna muzułmanów i dowie się, że islam to nie tylko dżihad i fatwa, lecz że jest to miłująca pokój religia, która opiera się na... Nieważne. Nie wiem, nie znam żadnego muzułmanina. Będzie dorastać w szkole, która reprezentuje cały przekrój społeczeństwa - jak kolejka na poczcie, tyle że tutaj nie daje się dzieciom klapsów.

Czy kiedykolwiek udałoby nam się przeskoczyć tę społeczną przepaść, gdyby nie towarzyszyli nam w tym przyjaciele, tego nie wiem. Be zważenia „nawrócenie” Williama znacznie pomogło przekonać mojego męża. Jak na faceta, który zwykle siadywał z tyłu i tylko od czasu do czasu rzucał jakieś ironiczne uwagi, William stał się bardzo rozmowny w tej kwestii.

- Sądzić, że prywatna szkoła może dać komuś kompletne wykształcenie, to tak, jakby zamieszkać w hotelu Claridge w Delhi i uważać, że się pojechało do Indii - oświadczył zuchwale. - Okres dzieciństwa jest po to, żebyśmy się nauczyli, że nie jesteśmy jedynymi osobami we wszechświecie, że stanowimy tylko część jakiejś społeczności. Najpierw musimy się wszystkim dzielić z rodzeństwem, później z przyjaciółmi i kolegami ze szkoły. Najważniejszą lekcją, jaką wynosimy z pierwszych dziesięciu lat życia, jest pokonanie pierwotnego odruchu, żeby się wszędzie wpychać i mówić: „Ja pierwszy!” albo: „Mnie się należy największy kawałek!” Ale później tacy nadopiekuńczy rodzice, jak my kiedyś, płacą ciężkie pieniądze, żeby wysłać dzieci do szkół, które znowu ich uczą, że należy mówić „Ja pierwszy!” i „Mnie się należy największy kawałek!”, więc nic dziwnego, że z powrotem zamieniają się w zachłanne, rozpieszczone bachory. Chcę, żeby moje dzieci wiedziały, że są wyjątkowe, a nie lepsze od innych.

- Oczywiście, Williamie - odezwałam się, stojąc w drzwiach - ale czy Kirsty idzie w końcu z nami do parku czy nie?

Straciwszy tyle czasu na wbijanie Molly do głowy, że byłaby najszcześniejsza chodząc do Chelsea College, nie mieliśmy go za wiele, żeby teraz wykonać całkowity zwrot i przekonać ją, że jest wprost przeciwnie. Zastanawialiśmy się, w jaki sposób zrobić to najlepiej. Włożyć jej do dzienniczka kartkę z erratą? „Uwaga, błąd administracyjny. Jest: «Kochanie, będziesz bardzo szczęśliwa w Chelsea College». Powinno być: «Kochanie, w Battersea będziesz dużo szczę-

śliwsza niż w tej głupiej Chelsea College, nie uważasz?»". A może lepiej zatrudnić hipnotyzera? „Zapomnisz o wszystkim, co rodzice opowiadali ci o nowej szkole... Tak, tak, bardziej wolisz tę drugą... A tak przy okazji, będziesz pamiętać o wyczyszczeniu akwarium złotej rybki..." W końcu powiedzieliśmy jej prawdę. A mianowicie to, że nie chcieliśmy, aby szła do tak strasznie ambitnej szkoły z tych samych powodów, dla których ona nie chciała się dłużej uczyć brydża, bawić się w klub czytelniczy ani chodzić na te wszystkie dodatkowe zajęcia, które zajmowały każdy wieczór.

David i ja nie spotykaliśmy się już więcej z Ffion

i Philipem na gruncie towarzyskim, chociaż Sarah i William przekazywali nam na bieżąco wszystkie plotki. Podobno jej trener rozwoju osobistego poradził, żeby popełniła samobójstwo. Któregoś dnia, gdy miałam coś do załatwienia wcześniej rano, zobaczyłam blade twarze jej dzieci przyklepione do szyby samochodu, którym około wpół do ósmej wyruszały do szkoły. Jeżeli nawet mnie zauważyła, nie dała tego po sobie poznać. Jediną rzeczą, która mnie w tym wszystkim wkurzała, było to, że program komputerowy ich pomysłu okazał się wielkim komercyjnym sukcesem, przebojem roku, kupowanym zarówno przez rodziców, jak i osoby samotne. Nagle wszyscy dali się opętać tej nowej obsesji tworzenia osobistych rankingów, w których albo oni sami, albo ich dzieci zawsze jakimś cudem lądowali na samym szczycie. Ja nie upadłam tak nisko, żeby stwarzać sobie podobne złudzenia. Ffion i Philip trafili na żyłę złota i prawdopodobnie uważają, że to ostatecznie dowodzi ich absolutnej wyższości nad innymi. Ale cały czas pamiętałam, że to właśnie ja powiedziałam kiedyś Ffion, że nie można oceniać dziecka na podstawie tylko jednego wyniku z egzaminu. To był od początku mój pomysł, a więc w moim osobistym rankingu uplasowałabym się znacznie wyżej niż oni.

W ramach oficjalnego zamknięcia tego stresującego, wypełnionego rywalizacją etapu w życiu Molly, pomogłam

jej wysprzątać pokój. W wielkim, czarnym worku na śmieci wylądowały stare zeszyty, ćwiczenia, referaty, teczki z pracami i kartki z planami powtórek. Czytałam o pewnym nastolatku z Hackney, który odszedł ze szkoły, a nazajutrz wieczorem przyszedł ją podpalić. Cóż, każdy ma swój sposób na zamknięcie jakiegoś okresu w życiu. Po uporządkowaniu biurka zabrałyśmy się za zdeponowane w kuchni pudła pełne papierów. Opróżniłyśmy je z rozwiązanych testów i dodatkowych ćwiczeń przygotowanych przez korepetytorów. Właśnie lądowały w koszu całe godziny z jej życia, a właściwie wylądowały tam już dawno temu. Teraz śmiałyśmy się z tych testów, zupełnie jak więzień, który po odsiedzeniu wyroku spotyka się jak równy z równym ze swoim byłym strażnikiem.

- Jeżeli Simon miał czternaście jabłek i zjadł dwanaście, to ile mu zostało? - zapytałam ją.

- Góra dwa miesiące, bo na pewno umrze na niestrawność - odpowiedziała Molly, pamiętając żart, który jej powtarzałam w płonnej nadziei, że uda mi się wywołać na jej twarzy uśmiech podczas ślęczenia nad powtórką z matmy

- A to co? - zapytała nagle, wyjmując jakieś papiery z koperty.

- Pewnie stare testy, kochanie... Zostawiasz te broszurki, czy mogę je wyrzucić?

- Ale one są jakieś inne... „Egzamin wstępny. Chelsea College” - przeczytała zaskoczona.

Trudno uwierzyć, ale tak się jakoś złożyło, że nie pozbyliśmy się tych testów, które kazaliśmy Molly pisać, kiedy jej wmówiliśmy, że może zdawać egzamin w domu.

- Poznają je. Co one tu robią?

- Hm... może je odesłali, nie pamiętam, kochanie. Wrzucmy je do worka, co? - Ale moja mała delikatna próba wyrwania ich z rąk córki spotkała się z równie silnym oporem. Molly zaczęła je kartkować.

- One w ogóle nie są poprawione! Coś jest nie tak, nie ma żadnych skreśleń ani nic...

- Hm... To dziwne. Pokaż. - To był pretekst, żeby je odebrać z rąk Molly Rzuciłam okiem na pytania, które ostatni raz miałam przed oczami parę miesięcy temu, gdy siedziałam w sali egzaminacyjnej Chelsea College. Nagle wszystko do mnie wróciło. Niemal poczułam zapach pasty do podłóg i mokrą od potu bejsbolówkę. To dość przewrotne z naszej strony, że ani ja, ani David nie byliśmy na tyle ciekawi, żeby sprawdzić, ile punktów zdobyłaby Molly Kosztowało nas to tyle nieprzespanych nocy, że woleliśmy po prostu wrzucić te testy do pudła i zapomnieć.

- Ach, już sobie przypominam - oznajmiłam nagle. -Kazali nam przysłać kserokopie, a oryginał zatrzymać, na wypadek gdyby kopia zaginęła na poczcie albo coś...

I dołączyłam testy do sterty papierów przeznaczonych do wyrzucenia. Wetknęłam je głęboko pod spód.

Wieczorem z czystej ciekawości dałam je Davidowi do sprawdzenia. Przyszedł po dwudziestu minutach do kuchni z zaskoczonym i skruszonym wyrazem twarzy.

- W życiu nie uwierzysz - powiedział. - Tak czy owak załapałaby się na to stypendium.

- Poważnie? -No.

- Naprawdę? -Nie.

- Ojej. No i jak jej poszło?

- Nie za dobrze. Przy dzieleniu ułamków wszystko pokręciła.

Po kolacji zerknęłam na test z matematyki, który spoglądał na mnie, leżąc na szafce, i przyszła mi do głowy osobliwa myśl.

- Davidzie, mógłbyś wymazać wszystkie odpowiedzi Molly? Chcę sprawdzić, czy teraz umiałabym go zrobić...

- Jaki to ma sens? Molly ma już szkołę, jaką chcieliśmy.

- Nie chodzi o Molly. Robię to tylko dla siebie.

I tak w półmrocznym zaciszu własnej kuchni, przy dźwiękach szumiącej zmywarki, przerobiłam zadanie po zadaniu

cały egzamin wstępny z matematyki do Chelsea College. Tam, gdzie wcześniej dostrzegłabym tylko bezładny zbiór przypadkowych cyfr, teraz widniała logiczna sekwencja, którą byłam w stanie rozwikłać krok po kroku. $0,7 \times 0,9 = 0,63$. Tak, nawet kiedy się mnoży, wynik może wyjść mniejszy, to się wydaje całkiem sensowne, kiedy już człowiek to ogarnie. Powiem więcej - patrząc na zawartą w tym wszystkim symetryczną logikę, można było poczuć dreszczyk satysfakcji. To było właśnie najdziwniejsze, podobało mi się to. Miło było mieć nad czymś całkowitą kontrolę, być w stanie znaleźć odpowiednią odpowiedź na każde rzucone mi wyzwanie. Pytania nagabywały mnie ze wszystkich stron, niczym alfonsi-deale-rzy w grze PlayStation *Pogromca mętów 7 albo Strażnik miasta*, ale ja byłam na każde z nich przygotowana: w obu rękach trzymałam uzi, miałam opanowane kung-fu, a w bucie ukryty nóż sprężynowy. Byłam w stanie je zadźgać, zabić, zastrzelić, z którejkolwiek strony chciałyby mnie zaskoczyć. Dlaczego nigdy nie udało mi się przekonać dzieci, że matematyka może być równie ekscytująca, jak patrolowanie ulic Bronxu i ekster-minowanie ciężko uzbrojonych zbrojców? A masz: 270 -280! Udław się: $12 \times 1200!$ Trrrrach! Plask! Już po tobie, $7 \times (7 + 13)!$ Złapałam się na tym, że w czasie rozwiązywania wydaję z siebie odgłosy wybuchów. Ale już nic nie było w stanie mnie powstrzymać. Wszystkich wrogów pokonałam na pierwszym poziomie. „Gratulacje, Graczu nr 1 - przeszedłeś pierwszy etap. Teraz musisz się zmierzyć z potężniejszym wrogiem - zamianą ułamków na procenty!” Zajęło to kilka lekcji, ale w końcu udało mi się przezwyciężyć związaną z tym blokadę psychiczną. David usiłował mi wytłumaczyć podstawowe zasady, ale nauka szybko się skończyła, kiedy zarzuciłam mu, że się niecierpliwi i w sposób protekcyjny pochrząkuje. Dopiero Ruby zdołała mnie oświecić - i pomyśleć, że to ja miałam ją uczyć. Którejś soboty wpadłyśmy na siebie na mieście. Babcia Ruby była jak zwykle miła i serdeczna. Śmiała się i rozmawiała, jakby nic

się między naszymi rodzinami nie wydarzyło. Była zachwycona, że Molly będzie chodzić razem z Ruby do Battersea i z radością przyjęła moją propozycję, żeby jej wnuczka wpadła do nas w gości. Ruby jak zwykle zachowywała się bardzo grzecznie i uprzejmie, z wyjątkiem sytuacji, kiedy późnym popołudniem grała z Molly w grę planszową i pojawił się spór, czyj jest kolejny ruch. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej Ruby ustąpiłaby Molly, ale od tego czasu parę cech charakteru mojej córki przeszło także i na nią.

- Zamknij się, Molly, ty oszustko. Teraz moja kolej!

- Molly, Ruby jest twoim gościem - przerwałam im. -Niech będzie, że to jej ruch, skoro nie możecie dojść do porozumienia.

- To niesprawiedliwe - zaprotestowała moja córka. -Dlaczego ty jej zawsze wierzysz?

- Bo nigdy nie słyszałam, żeby skłamała.

I uśmiechnęłam się do Ruby, a ona otworzyła szeroko oczy, wiedząc dokładnie, o czym mówię, po czym lekko zawstydzona odwróciła wzrok.

-I możesz to powtórzyć swojej mamie, Ruby Dziś, zaledwie kilka miesięcy po tym, jak wszystkie zadania z matematyki odpisałam od nieznajomej jedenastolatki, potrafiłam je wreszcie rozwiązać poprawnie. Dotarłam do końca testu i zadowolona pozwoliłam sobie na nostalgiczny uśmiech.

Mnożenie i dzielenie ułamków. Ile jest pół dzielone na pół? Jeden. Jedna całość. To się właśnie stało ze mną - na nowo stałam się całością. „Zona Davida” to tylko pół osoby, „mama Molly” też. Alice Chaplin, czyli ja, to dopiero jest kompletna osoba. „Znasz Alice Chaplin? Niewysoka, brązowe oczy, dobra z matmy”. Ile wynosi liczba cztery w systemie dwójkowym? To będzie jeden, zero, zero, już potrafię o tym myśleć, nie rozglądając się nerwowo za naj -bliższą toaletą. I jeszcze jedno: teraz jestem dumna z siebie, a nie z moich dzieci. Już nie ma: „Brawo, Molly, świetnie ci poszło” ani: „Ależ ten Jamie jest sprytny”. Nie jest to zastępcza

duma matki kibicującej małemu mistrzowi zza linii boiska. To jestem ja, w blasku reflektorów, a moje nazwisko wreszcie widnieje wypisane dużymi literami na plakacie reklamującym film mojego życia. „Rodzice, którzy mają małe dzieci, niech najpierw sami założą maski tlenowe, zanim zaczną ratować innych...” Czy o to w tym wszystkim chodziło? Czy mój mózg domagał się tlenu w postaci samokształcenia, żebym odzyskała zdrowe zmysły niezbędne przy wychowywaniu trójki dzieci? Zrobiłam to po to, by zostać szczęśliwszym człowiekiem czy lepszą matką? A może to jedno i to samo? Tyle trudnych pytań - wreszcie zrozumiałam, co ludzi tak pociąga w matematyce. Tam po prostu wychodzi, że $x = 7$, i koniec. Chyba, że się jest Ffion, wówczas oczywiście $x = 7$, ale jest nad wiek rozwinięte i może uchodzić za 9.

Kiedy pierwszego dnia przyjechałam odebrać córkę z Battersea, Molly promieniała radością i entuzjazmem. Wybiegły razem z Kirsty na dziedziniec, gdzie akurat podjeżdżał też William. Z jakiegoś powodu byłam mu niezmiernie wdzięczna, jak gdyby zapisał tu swoją córkę specjalnie ze względu na Molly, dlatego kiedy do nas podszedł, rzuciłam mu się w ramiona i pozostałam tak przez chwilę. Byłam taka szczęśliwa, że moja córka jest szczęśliwa i tak zobowiązana Williamowi, że się do tego przyczynił, że miałam ochotę pocałować go w usta. Ściślej mówiąc, miałam ochotę odbyć z nim stosunek na samym środku placu przed szkołą, ale dzieci w tym wieku bywają dosyć nieśmiałe i boją się, że widok mamy, która robi to z tatusiem jej najlepszej koleżanki, mógłby nieco krępować moją jedenastoletnią córkę.

Molly z przejęciem relacjonowała, jak to każde z nich dostało własne hasło do komputera, że różnych przedmiotów będą uczyć różni nauczyciele, że będzie miała niemiecki i matematykę, i zajęcia teatralne, i informatykę, i angielski, i netball, i nauki humanistyczne, i fizykę, i matematykę. Nie mogłam uwierzyć, że aż dwa razy wspomniała o matematyce i po cichu odetchnęłam z ulgą, że nie spędziła

całego dnia na malowaniu doniczek z opakowań po jogurtach. Odniosłam też wrażenie, że w tej szkole obowiązuje jakby równoległy program nauczania prowadzony pod kierunkiem uczniów starszych klas: jak nosić krawat z węzłem opuszczonym do połowy albo jak zakryć pewne litery na naszywce z mottem szkoły, żeby powstało brzydkie słowo. Te dwie dziewczynki skończyły prywatną podstawówkę i wiedziałam, że muszą się nauczyć umniejszać znaczenie swojej, jakby na to nie patrzeć, uprzywilejowanej pozycji, ale nastolatki doskonale potrafią same wypracować własny wizerunek, obojętnie, w jakim środowisku się znajdują. Molly trochę się wstydziła tych drobnych smakołyków, które włożyłam jej do pudełka z drugim śniadaniem. Szkoda, zawsze lubiła przepiőrcze jaja. Ale była szczęśliwa. Moja córka czuła się szczęśliwa w nowej szkole. Przepelniała ją tak wielka duma z siebie i życzliwość dla świata, że kiedy wracaliśmy do auta, zauważyłam, że choć koleżanki patrzyły, w milczeniu wzięła obu młodszych braci za ręce.

Nazajutrz odprowadziłam Alfiego do jego nowej szkoły, tej samej, do której chodziła Ruby. Szliśmy pieszo, szkoła mieści się zaraz przy końcu ulicy. A później znaleźliśmy się z Davidem sami w pustym domu. Po raz pierwszy wszystkie dzieci były w szkole. Zostaliśmy tylko we dwójkę. Zaparzyłam dzbanek kawy i usiedliśmy naprzeciw siebie przy kuchennym stole.

- Co to? - zapytał David, biorąc do ręki gazetę z zakreślonym ogłoszeniem.

- A, wiesz, pomyślałam, że zadzwonię i dowiem się szczegółów...

- Chcesz iść do pracy? Świetny pomysł. Jeśli trzeba będzie zdawać jakiś egzamin, daj mi znać, założę perukę i sukienkę i pójdę za ciebie.

Siedem godzin później Molly samodzielnie, na własnych nogach, wróciła ze szkoły. Wciąż było lato i na zewnątrz panowała przepiękna, słoneczna pogoda. Dzieci zapytały,

czy mogą się pobawić węzem ogrodowym, a my oczywiście się zgodziliśmy

- Nie powinni założyć strojów kąpielowych? - zapytał David, a ja odpowiedziałam:

- A co tam...

I tak w czyściutkich, białych, bawełnianych ubrankach dzieciaki po kolei wbiegały pod strumień zraszacza, chichocząc z radości za każdym razem, gdy przeskakiwały przez połyskującą kurtynę zimnej wody. Wyglądały na bardzo szczęśliwe. Jamie z tym swoim wysuniętym języczkiem i zmarszczonym czołem, w skupieniu i z determinacją przygotowujący się kolejnego odważnego skoku. A potem - szszust! - i histeryczny śmiech, bo się poślizgnął na mokrej trawie i wylądował na pupie.

- Uciekaj! Zaraz cię znów ochłapie! - wrzeszczała do niego Molly, wbiegając pod zbliżający się strumień wody, żeby pomóc bratu. Sama przemokła, ale wyciągnęła go stamtąd.

- Teraz Alfie! - krzyknęło dwoje starszych, a mały wskoczył i stanął w samym środku ulewy. Śmiał się i cieszył, bo wiedział, że starsze rodzeństwo podziwia jego odwagę. Ich skóra lśniła pod warstwą wody, była tak idealnie gładka i różowiutka. Nagle sama zbiegłam do ogrodu i rzuciłam się pod strumień zraszacza, a dzieciaki cieszyły się i klaskały. Chciałam wrócić, ale Molly podniosła węża i zagroziła, że mnie obleje. Przyszedł David, stanął koło mnie i powiedział:

- Jeśli oblejesz mamę, będziesz musiała oblać i mnie...

I cała trójka chwyciła za wąż, skierowała dysze w naszą stronę i piszczła z uciechy, kiedy kompletnie przemoczeni padliśmy na kolana.

- Błagamy was, nie moczcie nas więcej...

To był dla nich sygnał, żeby skierować dysze prosto na nasze głowy. Niemal z sadystyczną przyjemnością oblewali nas z góry na dół, rozkoszując się tym chwilowym odwróce-

niem sił, a my udawaliśmy, że błagamy o litość. Szczerze mówiąc, to już nie było udawanie, my naprawdę błagaliśmy, żeby przestali - przełączyli na najsilniejszy strumień i to zwyczajnie bolało - ale Alfie klaskał w rączki, zanosząc się od śmiechu i nagle wszyscy na zmianę zaczęliśmy się oblewać, aż w końcu chwyciłam całą trójkę i mocno przytuliłam do siebie ich kochane, śliskie ciała.

- Moje śliczne, słodkie maleństwa, nie rośnijcie już więcej, proszę, zostańcie tacy jeszcze trochę...

Okres, kiedy twoje dzieci są od ciebie całkowicie zależne, to niesamowicie krótki etap w życiu.

Myślisz, że tak będzie zawsze, aż tu nagle wszystko się kończy. A dopiero co sprawdzałaś, czy mają porządnie zapięte guziki. Pewnego dnia siedzisz w kuchni, odzywa się dzwonek u drzwi, a to twoje dziecko wraca ze szkoły, uginając się pod ciężarem plecaka z czterema tonami książek i z głową wypełnioną milionem myśli, których nigdy nie poznasz. I spoglądasz na te fotografie na ścianie, gdy dzieci były jeszcze małe: stoją ubrane w ciuszki, które ty im wybierałaś, siedzą na huśtawce, na którą musiałaś je podsadzać, i piszczą z radości, kiedy je bujasz w przód i w tył. To już nie wróci, skończyło się. Ona jest już dorosła - ten wyraz absolutnej ufności na zawsze zniknął z jej twarzy, to tylko wspomnienie. Wtedy trzeba było myśleć o tylu sprawach, zewsząd czyhało tyle potencjalnych zagrożeń, że człowiek z łatwością zapominał, że powinien się tym po prostu nacieszyć. Na tym wielkim placu zabaw, jakim jest macierzyństwo, zawsze stoi huśtawka między radością a strachem, ale jeśli ciągle będziesz usadzała swój wielki, tłusty lęk tylko po jednej stronie, to ani ty, ani twoje dzieci nigdy nie zaznacie prawdziwego szczęścia. Musisz im czasem pozwolić upaść, podnieść się i spróbować od nowa. Nie da się niczego nauczyć bez doświadczenia (tak napisali w książce, którą przeczytałam, żeby stać się lepszą matką).

Trzeciego dnia pobytu Molly w Battersea podczas przerwy na lunch zdarzył się pewien incydent. Trzy starsze o rok

dziewczyny złapały Ruby na boisku i zapowiedziały, że zrobią jej tzw happy slap. Ruby wiedziała, co to oznacza - zostanie uderzona w twarz, a kiedy się rozplacze, cała akcja będzie sfilmowana przez komórkę w celu rozpowszechnienia w Internecie, wyemitowania w telewizji Al-Jazeera czy co tam jeszcze. To szczególnie paskudna moda, która ogarnęła ostatnio gimnazja i szkoły średnie - choć trzeba oddać tym nie zrównoważonym emocjonalnie chłystkom, że nauczyli się umieszczać pliki wideo w Internecie.

To się stało błyskawicznie. W jednej chwili Ruby szła sobie spokojnie do stołówki, a w następnej ktoś naskoczył na nią z tyłu i wykręcił jej obie ręce.

- Te, nowa, uśmiech do kamery - powiedziała najgrubsza z trzech dziewcząt, przykładając Ruby telefon do twarzy. Ruby z całych sił starała się uwolnić z uścisku.

- Zostawcie ją! - zawołał zbliżający się głos, który wydał się Ruby znajomy. - Puszczaj!

Bez chwili namysłu Molly wbiegła w sam środek zamieszania i zasłoniła dłonią obiektyw aparatu.

- Zjeżdżaj, głupia dziwko - odezwała się prowodyrka. Widać, że wakacje spędzone w szwajcarskiej szkole dobrych manier były tu kompletną stratą pieniędzy

- Zostawcie ją!

- Chcesz oberwać?

- Nie - powiedziała Molly, co było odpowiedzią szczerą, choć niekoniecznie błyskotliwą. Cały czas drżącą ręką starała się zasłonić obiektyw. Tymczasem Ruby udało się wyplątać i obie nowe uczennice wzięły nogi za pas.

- I tak was filmuję! Następnym razem was rozpoznam! - krzyknęła dziewczyna, kierując komórkę w stronę uciekających Molly i Ruby. Zapewne rozsądniej byłoby dalej uciekać, ale coś kazało się Molly zatrzymać i wrzasnąć prosto w obiektyw:

- Wiesz co? Znajdź sobie do roboty coś bardziej sensownego, na przykład zgól te ohydne wąsy, ty wielki tłusty morsie.

I dwie pozostałe napastniczki wybuchnęły gromkim śmiechem, a ich przywódczyni zaczęła nerwowo dotykać górnej wargi i kazała im wyłączyć kamerę.

- Nic ci nie jest, Ruby? - spytała Molly, kiedy znalazły się już w bezpiecznym miejscu.

- Nie, w porządku. Dzięki.

- Dobra nasza! - zabrzmiał niedaleko czyjś triumfujący głos. Stojąca pod drzewem nieśmiała, pryszczata dziewczynka w bejsbolówce jak najdyskretniej uderzyła pięścią w powietrze. Chciałam tylko mieć pewność i teraz zobaczyłam to na własne oczy. Molly sobie poradzi. Moja córka jest dobrą i dzielną dziewczynką. Wzruszyłam się niemal do łez, widząc, jak samodzielnie stawia czoła tej sytuacji. Przyszła na ratunek przyjaciółce i sama też potrafiła się obronić. Będzie tu bezpieczna i szczęśliwa. O niczym więcej nie mogłam marzyć. Choć przy okazji okazało się również, że jest jednak bardzo bystra, bo kiedy napastniczki już sobie poszły, a Ruby pobiegła opowiedzieć wszystkim, co Molly im nagadała, ta rozejrzała się na wszystkie strony, po czym wolno podeszła do pryszczatej dziewczynki w czapce, objęła ją ramieniem i powiedziała:

- Mamo, wracaj do domu. Poradzę sobie.

KONIEC